

ANNE RICE

**CHRYSTUS PAN**  
**WYJŚCIE Z EGIPTU**

*Dla*  
*Christophera*

Gdy Izrael wychodził z Egiptu,  
Dom Jakuba — od ludu obcego, przybytkiem jego stał się Juda,  
Izrael jego królestwem.

Ujrzało morze i uciekło,  
Jordan bieg swój odwrócił.  
Góry skakały jak barany, pagórki — niby jagnięta.

Cóż ci jest, morze, że uciekasz?  
Czemu, Jordanie, bieg swój odwracasz?  
Góry, czemu skaczeć jak barany, pagórki — niby jagnięta?

Zadrżnij, ziemio, przed obliczem Pana całej ziemi, przed obliczem Boga  
Jakubowego, który zmienia opokę w oazę, a skałę w krynicy wody.

Psalm 114 [113A]\*

---

\* Cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań — Warszawa 1989.

## I

Miałem wtedy siedem lat. Co się wie, kiedy ma się siedem lat? Całe życie, jak mi się wtedy przynajmniej zdawało, mieszkaliśmy w Aleksandrii, w Zaułku Cieśli, tam gdzie inni Galilejczycy, i prędzej czy później mieliśmy wrócić do domu.

Było późne popołudnie. Bawiliśmy się podzieleni na dwa obozy, oni przeciw nam, i wówczas wpadł na mnie całym impetem kolejny raz, bo zawsze wykorzystywał to, że jest silniejszy i większy ode mnie, i kiedy uderzył mnie od tyłu, gdy się tego zupełnie nie spodziewałem, krzyknąłem, czując, jak wychodzi ze mnie moc:

— Już nie pójdziesz dalej swoją drogą!

Pobladł i runął na piasek, a wszyscy natychmiast stłoczyli się wokół niego. Z nieba lał się żar, a ja przyglądałem się chłopakowi, dysząc ciężko. Nie ruszał ręką ani nogą.

W następnej chwili się cofnęli. W całym zaułku nagle zapadła cisza przerywana tylko stukaniem ciesielskich młotków. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej ciszy.

— On nie żyje — powiedział Mały Józef. A po chwili wszyscy podchwycili jego słowa:

— Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Wiedziałem, że to prawda. Leżał bezwładnie, jak kukła, na ziemi ubitej bosymi stopami chłopców.

A ja byłem zupełnie pusty w środku. Moc zabrała wszystko, nic nie zostało.

Z jednej z lepianek wyszła jego matka, a jej krzyk odbił się od ścian sąsiednich domów i przeszedł w bolesny jęk. Ze wszystkich stron zaczęły się zbiegać kobiety.

Moja mama szybko porwała mnie z ziemi, poniosła zaułkiem, potem przez podwórze i ukryła w zakamarkach domu. Otoczyli mnie kuzyni, a Jakub, mój starszy brat, szybko zaciągnął zasłonę. Stanął przy oknie, zasłaniając światło, i powiedział:

— Jezus to zrobił. To on go zabił. — W jego głosie było słycać strach.

— Nie opowiadaj takich rzeczy! — ofuknęła go matka. Przycisnęła mnie mocno do piersi, tak że prawie nie mogłem oddychać.

W tej chwili przebudził się Duży Józef.

Duży Józef był moim ojcem, ponieważ był mężem mojej matki, ale nigdy nie mówiłem do niego „ojcze”. Kazali mi mówić na niego „Józef”. Nie wiedziałem dlaczego.

Duży Józef spał na macie. Pracowali cały dzień w domu Filona i przed godziną, jak inni mężczyźni, położył się, by przespać największy skwar. Usiadł na macie.

— Co to za krzyki na zewnątrz? — spytał. — Co się tam stało?

Spojrzał na Jakuba. Jakub był jego najstarszym synem, jeszcze z małżeństwa z kobietą, z którą Józef był żonaty, nim poślubił moją matkę.

Jakub powtórzył to, co powiedział przed chwilą:

— Jezus zabił Eleazara. Rzucił na niego klątwę, a Eleazar natychmiast padł martwy.

Józef spoglądał na mnie i widać było, że jeszcze do końca się nie przebudził. Krzyki dochodzące z ulicy stawały się coraz głośniejsze i liczniejsze. Podniósł się z maty i przygłodził dłonią gęste, kręcone włosy.

Moi młodszy kuzyni i kuzynki wślizgiwali się, jedno po drugim, do izby i stawali dokoła nas. Matka dygotała.

— Niemożliwe, żeby to zrobił — powiedziała. — Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

— Przecież widziałem — odparł Jakub. — Widziałem, jak w szabat ulepił wróble z gliny. Nauczyciel powiedział mi, że nie powinien robić takich rzeczy w szabat, a Jezus tylko spojrzał na gliniane ptaki, a one zmieniły się w prawdziwe wróble i odleciały. Przecież ty też to widziałaś. To on zabił Eleazara, matko. Sam widziałem.

Poblądle twarze stojących wokół kuzynów i kuzynek tworzyły jasny krąg w półmroku izby: Mały Józef, Juda, Mały Symeon i Salome, wszyscy patrzyli niespokojnie i każde bało się, że zaraz zostanie wysłane na zewnątrz. Salome miała tyle lat co ja, była mi najbliższa i najdroższa memu sercu. Była dla mnie jak siostra.

Wtedy wszedł brat mojej matki, Kleofas, najbardziej wygadany z naszej rodziny. Był ojcem wszystkich stojących w izbie kuzynów, a także Dużego Sylasa, który wszedł zaraz po nim. Sylas był starszy od mojego brata Jakuba. Potem wszedł jeszcze Lewi, brat Sylasa, bo obaj także chcieli zobaczyć, co się dzieje.

— Posłuchaj, Józefie, na zewnątrz jest pełno ludzi — powiedział Kleofas. — Jonatan bar Zakkai i jego bracia mówią, że to Jezus zabił tego chłopaka. Cały czas nam zazdroszczą, że dostaliśmy tę pracę w domu Filona, zazdroszczą nam, że wcześniej dostaliśmy inną pracę, zazdroszczą nam, że wszyscy ciągle najmują nas, a oni uważają, że są lepsi niż my i...

— Czy on naprawdę nie żyje? — spytał Józef. — Może żyje?

Salome rzuciła się w moją stronę i wyszeptała mi gorączkowo do ucha:

— Jezusie, zrób coś, żeby ożył, tak samo jak z tymi ptaszkami z gliny!

Mały Symeon zachichotał. Był jeszcze malutki i nie rozumiał, co się dzieje. Mały Juda rozumiał wszystko, ale nic nie mówił.

— Przestań — rzucił Jakub, który cieszył się największym mirem wśród maluchów. — Salome, uspokój się!

Słyszałem krzyki dochodzące z ulicy. Słyszałem też inne dźwięki. Odgłos kamieni uderzających o ściany naszego domu. Matka zaczęła płakać.

— Ani się ważcie! — krzyknął wuj Kleofas i wybiegł z izby, a Józef ruszył za nim.

Wyśliznąłem się z objęć matki i rzuciłem do drzwi, nim zdołała mnie zatrzymać. Minałem wuja i Józefa i wpadłem prosto w tłum ludzi wymachujących rękoma, potrzęsających pięściami, wrzeszczących na całe gardło. Biegłem tak szybko, że nawet mnie nie zauważyli, kiedy ich mijałem. Byłem niczym ryba w wodzie. Prześlizgiwałem się wśród stojących mężczyzn i kobiet krzyczących nad moją głową, aż dotarłem do domu Eleazara.

Wszystkie zebrane kobiety stały tyłem do drzwi i nie zauważyły mnie sunącego ukradkiem wzdłuż ściany. Wszedłem do środkowej izby domu, pogrążonej w półmroku, gdzie położyli go na macie. Jego matka stała, podtrzymywana przez swą siostrę, i szlochała.

Izbę rozświetlała tylko jedna, licha lampka.

Eleazar leżał na macie blady, z rękami wzdłuż ciała, w tej samej zakurzonej tunice, i miał brudne stopy. Nie żył. Usta miał rozchylone i widać było wyraźnie białe zęby.

Do izby wszedł lekarz, Grek, chociaż naprawdę był Żydem. Ukląkł przy Eleazarze, spojrzął na niego i pokręcił głową. Potem zobaczył mnie i rzucił w moją stronę:

— Już cię tu nie ma.

W tej chwili matka Eleazara odwróciła się, ujrzała mnie i zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Pochyliłem się nad chłopcem.

— Obudź się, Eleazarze — powiedziałem. — Obudź się.

Wyciągnąłem rękę i położyłem na jego czole. W tej chwili wyszła ze mnie moc. Przymknąłem oczy i poczułem, jak zakręciło mi się w głowie. Usłyszałem oddech Eleazara.

Jego matka cały czas przeraźliwie krzyczała, aż bolały mnie uszy. Jej siostra także wrzeszczała. Wszystkie kobiety w izbie darły się wniebogłosy.

Osunąłem się na klepisko. Byłem strasznie słaby. Lekarz spoglądał na mnie. Było mi niedobrze. Izba pogrążyła się w jeszcze głębszym półmroku. Do środka zaczęli wbiegać inni ludzie.

Eleazar podniósł się z maty i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, rzucił się na mnie z pięściami, uderzał kolanami i wymierzał kuksańce, chwycił mnie za głowę i walił nią o klepisko, i kopał, kopał, kopał.

— Syn Dawida! Syn Dawida! — krzyczał, przedrzeźniając mój głos. — Syn Dawida! Syn Dawida! — wołał, kopiąc mnie w twarz i żebra, aż wreszcie jego ojciec chwycił go wpół, podniósł i odciągnął ode mnie.

Wszystko potwornie mnie bolało i nie mogłem odychać.

— Syn Dawida! — krzyczał bez przerwy Eleazar.

Ktoś podniósł mnie z klepiska i wyprowadził na zewnątrz, prosto w zebrany przed domem tłum. Ciągle z trudem łąpałem powietrze. Bolała mnie każda część ciała. Miałem wrażenie, że wszyscy ci ludzie krzyczą jeszcze głośniejsze niż przedtem, aż ktoś powiedział, że idzie tu Nauczyciel. Wuj Kleofas wrzeszczał po grecku na Jonatana, ojca Eleazara, a Jonatan nie pozostawał mu dłużny i darł się na niego, a Eleazar cały czas krzyczał:

— Syn Dawida! Syn Dawida!

Znalazłem się w ramionach Józefa. Chciał iść ze mną do domu, ale tłum zagroził mu drogę. Kleofas chwycił za tunikę ojca Eleazara, a ten próbował dorwać Kleofasa, lecz inni mężczyźni przytrzymywali go za ramię. Słyszałem przedrzeźniające krzyki Eleazara.

Wtedy odezwał się Nauczyciel.

— To dziecko żyje! Uspokój się, Eleazarze. Kto powiedział, że on nie żyje? Eleazarze, przestań krzyżeć! Komu w ogóle przyszło do głowy, że to dziecko nie żyje?

— Po prostu przywrócił go do życia, ot co! — powiedział ktoś z tłumu.

Staliśmy teraz na podwórzu naszego domu, tłum wepchnął się za nami, wuj i krewni Eleazara ciągle wrzeszczeli na siebie, a Nauczyciel głośno domagał się ciszy i porządku.

Nadeszli moi wujowie Alfeusz i Szymon, bracia Józefa. Dopiero co się obudzili. Stali z pięściami wyciągniętymi w stronę tłumu, mieli zaciśnięte usta i zacięty wzrok.

Przyszły też moje ciotki, Salome, Estera i Miriam, a najmłodsi kuzyni i kuzynki biegali i skakali dokoła, jakby to było jakieś święto. Tylko Sylas, Lewi i Jakub nie skakali i nie biegali, tylko stali razem z mężczyznami.

Potem już nic nie widziałem.

Znalazłem się w ramionach matki, która zaprowadziła mnie do izby. Było ciemno. Za nami weszły ciotki Estera i Salome. Znowu słyszałem, jak o ściany domu uderzają kamienie. Nauczyciel mówił coś podniesionym głosem. Po grecku.

— Masz krew na twarzy! — wyszeptała z przerażeniem matka. — Masz podbite oko i rozcięty policzek! — Rozpłakała się. — Popatrz, co on ci zrobił! — mówiła po aramejsku, którym nie posługiwaliśmy się zbyt często.

— Nic mi nie jest — odparłem. Chciałem przez to powiedzieć, że nic takiego się nie stało. Znowu stłoczyli się wokół nas kuzyni i kuzynki. Salome uśmiechała się do mnie, jakby chciała powiedzieć, że dobrze wiedziała, że przywróćę go do życia. Chwyciłem jej dłoń i uściśnałem.

Ale Jakub wbił we mnie twardy wzrok.

W izbie znalazł się Nauczyciel. Wszedł tyłem, wycofując się przed tłumem, z uniesionymi rękami. Ktoś nagłym ruchem odsunął zasłonę i do środka wlało się ostre światło. Weszli Józef i jego bracia. Po nich Kleofas. Musieliśmy przesunąć się w głąb izby, żeby zrobić im miejsce.

— Mówicie o Józefie, Kleofasie i Alfeuszu! Co to znaczy, że mają się stąd wynosić? — zwracał się Nauczyciel do tłumu. — Są z nami od siedmiu lat!

Rozwścieczona rodzina Eleazara stała na progu izby, a jego ojciec wszedł do środka.

— Tak, siedem lat, i najwyższy czas, żeby sobie poszli z powrotem do Galilei! Wszyscy! — krzyczał. — Siedem lat to już za długo! Ten chłopak jest opętany i mówię wam, że mój syn nie żył!

— Uskarżasz się dlatego, że znowu żyje? O co ci chodzi? — zawołał do niego wuj Kleofas.

— Mówisz jak szaleniec! — dodał wuj Alfeusz.

I tak się przekrzykiwali i wymachiwali pięściami, a kobiety przytakiwały to jednym, to drugim i posyłały sobie nawzajem gniewne spojrzenia, a stojący dalej przyłączali się do każdej ze stron.

— Jak możesz mówić takie rzeczy! — powiedział Nauczyciel z namaszczeniem w głosie, tak jakby przemawiał w domu nauki. — Jezus i Jakub to moi najlepsi uczniowie. A ci ludzie to wasi sąsiedzi! Dlaczego zwracacie się przeciwko nim, i to w ten sposób? Posłuchajcie tylko, co mówicie!

— Twój uczniowie! Twój uczniowie! — przedrzeźniał go ojciec Eleazara. — My musimy tu żyć i pracować, a życie to coś więcej niż nauka w szkole! — Teraz reszta jego rodziny wepchnęła się do izby.

Matka stała pod ścianą, przyciskając mnie mocno do siebie. Chciałem wyzwolić się z jej uścisku, ale nie chciała mnie puścić. Bała się.

— No właśnie, praca, o to wam chodzi! — odezwał się triumfalnie wuj Kleofas. — A kto powiedział, że nie możemy tu mieszkać i pracować? Czy to znaczy, że trzeba nas stąd wyrzucić, tylko dlatego, że ludzie częściej nas najmują, bo jesteśmy lepsi i dajemy im to, czego chcą, i poza tym...

W tej chwili Józef podniósł ramiona i zawołał:

— Uspokójcie się! — głosem tak przerażającym, że wszyscy umilkli.

Kłębiący się przed domem tłum ucichł jak za dotknięciem różdżki.

Nigdy przedtem Józef nie podniósł tak głosu.

— Hańbą dla Pana są takie kłótnie! — powiedział. — Burzycie ściany mojego domu!

Nikt się nie odezwał ani słowem. Wszyscy patrzyli na niego, nie wyłączając Eleazara, który wyrósł jak spod ziemi. Nawet Nauczyciel umilkł.



— Eleazar żyje — powiedział wreszcie Józef. — A my rzeczywiście wracamy do Galilei. Jego słowa przyjęto milczeniem.

— Wyruszamy do Ziemi Świętej, gdy tylko skończymy robotę, którą tu dostaliśmy. Pożegnamy się z wami, a tych, którzy przyjdą do nas z nowym zleceniem, pošlemy do was za waszym łaskawym przyzwoleniem.

Ojciec Eleazara najpierw wyciągnął szyję, potem przytaknął i wreszcie rozluźnił pięści. Następnie wzruszył ramionami, spuścił głowę i odwrócił się. Jego krewni uczynili tak samo. Eleazar gapił się na mnie przez chwilę, a potem on i cała jego rodzina wyszli z izby.

Tłum opuścił podwórze, a żona Kleofasa, moja ciotka Miriam, która była Egipcjanką, weszła do izby i zaciągnęła częściowo zasłonę.

W izbie pozostała teraz nasza rodzina i Nauczyciel, który wcale nie wyglądał na zadowolonego i spoglądał na Józefa, marszcząc brwi.

Matka otarła łzy i przyjrzała się uważnie mojej twarzy, lecz w tej chwili Nauczyciel zaczął mówić. Znów przycisnęła mnie mocno do siebie drżącymi rękoma.

— Wracacie do domu? — spytał. — I zabieracie ze sobą moich najlepszych uczniów? Zabieracie mojego wspaniałego Jezusa? A do jakiego domu wracacie, jeśli mogę spytać? Do ziemi mlekiem i miodem płynącej?

— Drwisz z naszych ojców? — rzucił wuj Kleofas.

— A może i z samego Pana? — dodał pytająco wuj Alfeusz, który władał greką równie dobrze jak Nauczyciel.

— Z nikogo nie drwię — odparł Nauczyciel i ciągnął dalej, spoglądając na mnie: — po prostu dziwię się, jak możecie decydować się na to, by opuścić Egipt tak szybko z powodu paru wrzasków na ulicy.

— To nie ma z tym nic wspólnego — odrzekł Józef.

— To dlaczego chcecie odejść? Jezus świetnie sobie tu radzi. Filon jest pod wrażeniem jego mądrości, Jakub też wszystkich zadziwia, a na dodatek...

— Wszystko to prawda, ale to nie Izrael — odparł Kleofas. — I tu nie jest nasz dom.

— Właśnie! Poza tym uczysz ich greki! Pisma po grecku! — zawołał Alfeusz. — W domu uczymy ich po hebrajsku, bo wy nawet nie znacie hebrajskiego, a przecież jesteście Nauczycielem, i taką tu mamy szkołę — grecką, i grecki tekst nazywasz Torą, i owszem Filon, ten wielki Filon daje nam pracę i jego przyjaciele także, i wszystko to bardzo pięknie, i dobrze nam się tu żyje, i jesteśmy wdzięczni, prawda, ale on także mówi po grecku i czyta Pisma po grecku, i zachwyca się tym, co potrafią powiedzieć nasi chłopcy po grecku.

— Cały świat mówi dzisiaj po grecku — odparł Nauczyciel. — Żydzi w każdym mieście imperium mówią po grecku i czytają Pisma po grecku.

— Jerozolima nie mówi po grecku! — krzyknął Alfeusz.

— W Galilei czyta się Pisma po hebrajsku — powiedział Kleofas. — Czy ty w ogóle rozumiesz hebrajski? A nazywasz siebie Nauczycielem!

— Och, męczą mnie już wasze ataki, nie wiem, dlaczego to wszystko znoszę.

Dokąd idziecie i zabieracie tych chłopców? Do jakiejś zapadłej dziury! Dla niej opuszczacie Aleksandrię!

— Zgadza się — odparł Kleofas. — I to nie żadna zapadła dziura, lecz dom mojego ojca. Czy ty znasz chociaż jedno słowo po hebrajsku? — Wuj zaczął śpiewać po hebrajsku swój ulubiony psalm, którego nauczył nas dawno temu: — „Pan będzie strzegł twego wyjścia i przyjscia, teraz i po wszystkie czasy”. — A na koniec dodał: — Czy ty wiesz, co to w ogóle znaczy?

— A czy ty sam wiesz, co to znaczy?! — odparował Nauczyciel. — Chętnie posłucham twoich wyjaśnień! Uczony w Piśmie z waszej synagogi powiedział wam, co to znaczy, i to wszystko, a jeśli nauczyliście się greki na tyle, żeby teraz wrzeszczeć mi w twarz, to niech wam będzie. Co wy w ogóle wiecie, wy tępi galilejscy Żydzi? Przybyliście do Egiptu, szukając schronienia, i opuszczacie Egipt równie głupi jak przedtem.

Matka głaskała mnie niespokojnie. Nauczyciel spojrzał na mnie.

— A na dodatek zabieracie ze sobą to dziecko, tego zdolnego chłopca...

— A co mamy twoim zdaniem zrobić? — spytał Alfeusz.

— Nie, nie pytaj o takie rzeczy — wyszeptala matka. Bardzo rzadko zabierała głos w rozmowach mężczyzn i jej słowa zaskoczyły wszystkich.

Józef posłał jej przelotne spojrzenie, a następnie popatrzył na Nauczyciela, który ciągnął:

— Zawsze to samo — mówił. — Jak są kłopoty, przychodzicie do Egiptu, tak, zawsze do Egiptu, i to Egipt zawsze przyjmuje wszystkie męty i szumowiny z Palestyny...

— Szumowiny! — przerwał mu Kleofas. — Naszych praojców nazywasz szumowinami?!

— Oni też nie mówili po grecku — dodał Alfeusz.

Kleofas się roześmiał.

— I Pan na Synaju też nie mówił po grecku!

Wuj Szymon powiedział cicho:

— A w tej chwili arcykapłan w Jerozolimie, kiedy kładzie dłonie na koźle ofiarnym, zapominał pewnie, żeby wyznać wszystkie nasze grzechy po grecku.

Teraz wszyscy się zaśmiali. Starsi chłopcy, ciotka Miriam. Tylko matka cały czas płakała. Musiałem stać przy niej. Nawet Józef się uśmiechnął. Ale Nauczyciel ciągnął dalej ze złością:

— Jest głód, przychodźcie do Egiptu; nie macie pracy, przychodźcie do Egiptu; kiedy wasz Herod wpada w morderczy szał, przychodźcie do Egiptu, tak jakby króla Heroda obchodził los garstki galilejskich Żydów, takich jak wy! Ot, zwykła żądza mordu u władcy! A wy...

— Dosyc — przerwał Józef.

Nauczyciel zamilkł. Wszyscy mężczyźni wpatrywali się w niego. Żaden nie powiedział ani słowa, żaden się nie poruszył.

Co się zdarzyło w Palestynie? Co powiedział Nauczyciel? Morderczy szał? Co miały znaczyć te słowa? Nawet na twarzy Jakuba malowało się takie samo zdziwienie jak na twarzach wujów i ojca.

— Co wy myślicie, że ludzie nie mówią o takich rzeczach? — odezwał się wreszcie Nauczyciel. — A zresztą wcale nie wierzę w to wszystko, co opowiadają kupcy...

Nikt nie powiedział ani słowa. Wreszcie Józef przerwał milczenie, odzywając się łagodnym głosem.

— Pan miał dość cierpliwości, ja tyle nie mam. Wracamy do domu dlatego, że to jest nasz dom — ciągnął, nie odrywając wzroku od Nauczyciela — i dlatego, że to ziemia Pana. I dlatego, że Herod nie żyje.

Widać było, że słowa Józefa całkowicie zbiły z tropu Nauczyciela, podobnie jak wszystkich wizbie. Nawet matka była zaskoczona i widziałem, jak ona i inne kobiety spoglądają po sobie niepewnie.

My, dzieci, dobrze wiedzieliśmy, że Herod był królem Ziemi Świętej i złym człowiekiem. Niedawno zrobił straszną rzecz, zbezczescił Świątynię, a przynajmniej tak mówili wszyscy mężczyźni, lecz nie wiedzieliśmy nic więcej.

Nauczyciel zmarszczył brwi i spojrzał z wyrzutem na Józefa.

— Niemądrze, Józefie, mówić takie rzeczy — powiedział. — Nie można tak mówić o władcy.

— Herod nie żyje — odparł Józef. — Wieść o tym przyjdzie za dwa dni z rzymską pocztą.

Nauczyciel wysłuchał tych słów z kamienną twarzą. Wszyscy bez słowa wpatrywali się pytająco w Józefa.

— Skąd wiesz? — spytał Nauczyciel. Nie uzyskał odpowiedzi.

— Przygotowania do podróży zajmą trochę czasu — powiedział Józef. — Chłopcy będą musieli nam pomagać aż do dnia, w którym wyruszymy. Chyba nie pójda już więcej do szkoły.

— Ale co pomyśli Filon, kiedy się dowie, że zabieracie Jezusa? — spytał Nauczyciel.

— Co ma Filon do mojego syna? — odezwała się matka. Ton jej głosu zaskoczył wszystkich.

Znowu zapadła cisza. Wiedziałem, że to niezręczna sytuacja.

Dopiero co Nauczyciel zaprowadził mnie do Filona, bogatego człowieka i uczonego, by pokazać mnie jako swego najlepszego ucznia, i tak spodobałem się Filonowi, że zabrał mnie nawet do Wielkiej Synagogi, tak ogromnej i pięknej jak świątynie pogan w naszym mieście. W szabat zbierali się w niej bogaci Żydzi, a moja rodzina nigdy tam nie była. My chodziliśmy do małego domu modlitwy na końcu naszej ulicy.

To po tych odwiedzinach Filon zlecił prace mojemu ojcu i wujom i robiliśmy dla niego drzwi, ławy i pulpity na zwoje do jego nowej biblioteki, i wkrótce jego przyjaciele także zaczęli nam zlecać podobne prace, a to oznaczało dobre zarobki.

Ilekróć Nauczyciel przyprowadzał mnie do Filona, ten traktował mnie jak gościa.

Nawet dzisiaj, kiedy wstawiliśmy drzwi w jego domu i przynieśliśmy świeżo pomalowane ławy, widziałem się z nim, a za każdym razem, kiedy się z nami spotykał, mówił Józefowi jak najlepsze rzeczy o mnie.

Dlatego mówić o tym wszystkim teraz, kiedy Filon tak sobie mnie upodobał, to nie było w porządku i miałem wrażenie, że mężczyźni, spoglądający na Nauczyciela, czują się nieswojo. Pracowali ciężko dla Filona i jego przyjaciół.

Nauczyciel nic nie odpowiedział mojej matce.

Wreszcie odezwał się Józef:

— Czy Filon naprawdę będzie zaskoczony tym, że mój syn udaje się ze mną do Nazaretu?

— Nazaret? — spytał chłodnym głosem Nauczyciel. — Co to jest Nazaret? Nigdy nie słyszałem o takim miejscu. Przecież pochodzisz z Betlejem. Te twoje straszne opowieści... dlaczego ty... Filon uważa, że Jezus to najbardziej obiecujący młody uczonec, jakiego kiedykolwiek widział. Wykształciłby twojego syna, gdybyś mu na to pozwolił. To właśnie ma Filon do twojego syna. On sam to powiedział. Filon dopilnowałby, żeby...

— Filonowi nic do mojego syna — powtórzyła matka, zaciskając mocniej dłonie na moich ramionach. Mówiła głośno i zdecydowanie, co znów zaskoczyło wszystkich.

A więc już nigdy nie zobaczę domu z marmurowymi posadzkami. Ani biblioteki z pergaminowymi zwojami. Zapach atramentu. Greka to język imperium. Spójrz. To mapa imperium. Przytrzymaj jej brzeg. Popatrz. Wszystkim tym rządzi Rzym. Tu jest Rzym, tu Aleksandria, tu Jerozolima. Spójrz, tu jest Antiochia, tu Damaszek, Korynt, Efez, wszystko to wielkie miasta i we wszystkich tych miastach żyją Żydzi i mówią po grecku, i czytają Torę po grecku. Poza Rzymem nie ma miasta większego niż Aleksandria i tu właśnie się znajdujemy.

Otrząsnąłem się ze wspomnień. Jakub przyglądał mi się uważnie. Nauczyciel mówił do mnie:

— No przecież polubiłeś Filona, prawda? Lubieś odpowiadać na jego pytania. Podobała ci się jego biblioteka.

— Zostaje z nami — powiedział spokojnie Józef. — Nie pójdzie do Filona.

Nauczyciel ciągle spoglądał na mnie. Nie podobało mi się to wszystko.

— Jezusie, odezwij się! — powiedział. — Przecież chcesz, żeby Filon cię kształcił, prawda?

— Panie, zrobię to, czego chcą mój ojciec i matka — odparłem i wzruszyłem ramionami. Co miałem robić?

Nauczyciel odwrócił się i wyrzucił w górę ramiona.

— Kiedy ruszacie? — spytał.

— Tak szybko jak się da — odparł Józef. — Mamy jeszcze robotę do skończenia.

— Muszę powiadomić Filona, że Jezus wyjeżdża — powiedział Nauczyciel i odwrócił się, zmierzając do wyjścia, lecz Józef go zatrzymał.

— Dobrze nam się wiodło w Egipcie — powiedział. Wyjął z sakiewki monety i wcisnął je Nauczycielowi w rękę. — Dziękuję ci za to, że uczyłeś nasze dzieci.

— Tak, a ty je teraz zabierasz do... nawet nie wiem, gdzie to jest. Józefie, w Aleksandrii mieszka więcej Żydów niż w Jerozolimie!

— Może i tak, Nauczycielu — odezwał się Kleofas — lecz Pan mieszka w Świątyni w Jerozolimie, a Jego ziemia to Ziemia Święta.

Wszyscy mężczyźni roześmiali się z aprobatą, a razem z nimi kobiety, a także ja i Mała Salome, i Juda, i Mały Józef, i Symeon.

Nauczyciel nic nie mówił, tylko kiwał w milczeniu głową.

— A jeśli uwiniemy się szybko z pracą — powiedział Józef, wzdychając — to może zdążymy jeszcze do Jerozolimy na Święto Paschy.

Wszyscy krzyknęliśmy z radości, słysząc te słowa. „Jerozolima”. „Pascha”. Wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani. Salome klasnęła w dłonie. Nawet wuj Kleofas się uśmiechał.

Nauczyciel skłonił nisko głowę. Przyłożył dwa palce do ust, a następnie udzielił nam błogosławieństwa.

— Niech Pan będzie z wami w czasie waszej drogi do domu. Obyście dotarli tam w pokoju.

Po tych słowach wyszedł.

Wtedy wszyscy po raz pierwszy tego popołudnia zaczęliśmy mówić w naszym rodzimym języku.

Matka odwróciła mnie ku sobie, chcąc opatrzeć moje zadrapania i sińce.

— To niemożliwe! — wyszeptała. — Wszystkie zniknęły! Nie ma śladu!

— To nie było nic wielkiego — odparłem. Czułem się bardzo szczęśliwy, że wracamy do domu.

## II

Tamtego wieczoru, po wieczerzy, kiedy mężczyźni drzemali na podwórzu na swoich matach, przyszedł Filon.

Usiadł przy winie razem z Józefem, tak jakby było mu obojętne, że ma na sobie tunikę ze śnieżnobiałego lnu, którą łatwo pobrudzić, i skrzyżował nogi jak inni mężczyźni. Usiadłem obok Józefa w nadziei, że posłucham, o czym rozmawiają, ale po chwili matka wzięła mnie do środka.

Słuchała, stojąc za kotarą, i pozwoliła mi zostać przy niej. Ciotki Salome i Estera też tam były.

Filon chciał mnie zatrzymać przy sobie i kształcić, i odesłać do Józefa jako biegłego w nauce młodzieńca. Józef słuchał tego wszystkiego w milczeniu i wreszcie powiedział: „Nie”. Był moim ojcem i musiał zabrać mnie z powrotem do Nazaretu. Wiedział, że musi to zrobić. Podziękował Filo — nowi i zaproponował mu jeszcze wina, a na koniec dodał, że dopilnuje, żebym został wykształcony jako Żyd.

— Zapominasz, panie — zwrócił się do Filona swoim jak zwykle łagodnym głosem — że w szabat wszyscy Żydzi na całym wiecie są filozofami i uczonymi. W Nazarecie jest tak samo, możesz mi wierzyć.

Filon przyjął te słowa z zadowoleniem. Skinął głową i uśmiechnął się.

— Będzie chodził do szkoły jak wszyscy chłopcy — ciągnął Józef — i będziemy wieść dysputy o Prawie i prorokach. Pójdziemy też do Jerozolimy i w czasie świąt być może będzie słuchał nauczycieli w Świątyni. Mam mnóstwo czasu.

Kiedy Filon zaproponował dar na moje kształcenie w postaci małej sakiewki, którą chciał wcisnąć do ręki Józefowi, ten odmówił jej przyjęcia.

Filon się nie obraził. Rozsiadł się wygodniej i rozmawiał z Józefem o wielu sprawach, o mieście, pracy, którą wykonali ludzie Józefa, o imperium, aż wreszcie na koniec spytał, skąd Józef ma taką pewność, że Herod nie żyje.

— Wiadomość o tym dotrze wkrótce z rzymską pocztą — powiedział Józef. — Jeśli chodzi o mnie, dowiedziałem się tego we śnie, panie. A to oznacza, że wracamy do domu.

Moi wujowie, siedzący do tej pory w milczeniu i niewidoczni w ciemności, przytaknęli słowom Józefa i mówili o tym, jak bardzo pogardzali królem.

W głowie miałem ciągle słowa Nauczyciela o morderczym szale, lecz nikt o tym nie wspomniał i wreszcie Filon uznał, że nadeszła pora, by się pożegnać.

Kiedy się podniósł, nawet nie strzepnął pyłu z szaty, bardzo serdecznie podziękował Józefowi za wino i życzył nam wszystkiego dobrego.

Wybiegłem z za zasłony. Szedłem z Filonem kawałek naszą ulicą. Miał ze sobą dwóch niewolników, którzy nieśli przed nim pochodnie, i nigdy jeszcze nie widziałem, by Zaulek Cieśli był o tej porze tak jasno rozświetlony. Wiedziałem dobrze, że ludzie, którzy wyszli przed domy odetchnąć chłodną bryzą, jaka nadpływała po zmroku od morza, przyglądali się nam z ciekawością.

Filon powiedział mi, żebym nigdy nie zapomniał o Egipcie i o mapie imperium, którą pokazał mi wcześniej.

— Dlaczego wszyscy Żydzi nie wrócą do Izraela? — spytałem. — Skoro jesteśmy Żydami, czy nie powinniśmy mieszkać w Ziemi Świętej, którą dał nam Pan? Nie pojmuję tego.

Filon zastanawiał się przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

— Żyd może żyć gdziekolwiek i pozostać Żydem. Mamy Torę, mamy Proroków i Tradycję. Żyjemy jak Żydzi, gdziekolwiek mieszkamy. Czyż nie zabieramy ze sobą Słowa naszego Prawdziwego Pana, dokądkolwiek się udajemy? Czy nie głosimy Jego Słowa między poganami, gdziekolwiek żyjemy? Mieszkam tutaj, ponieważ w Aleksandrii mieszkał mój ojciec, a przed nim jego ojciec. Ty udajesz się do domu, ponieważ twój ojciec chce, by tak się stało.

Mój ojciec.

Przejął mnie dreszcz. *Józef nie był moim ojcem.* Zawsze to wiedziałem, ale nie była to informacja, którą należało się z kimkolwiek dzielić. I dlatego nic nie powiedziałem.

Skinąłem potakująco głową.

— Nie zapomnij o mnie — powiedział Filon.

Ucałowałem jego ręce, a on schylił się i pocałował mnie w oba policzki.

Potem odwrócił się i ruszył przed siebie. Za chwilę prawdopodobnie zje dobrą wieczerzę w swoim domu, gdzie posadzki są z marmuru, pali się mnóstwo lamp, wiszą grube kotary, a z górnych komnat widać morze.

Zatrzymał się na chwilę, odwrócił w moją stronę i pomachał na pożegnanie, a potem i on, i trzymający pochodnie niewolnicy zniknęli mi z oczu.

Przez chwilę czułem smutek, tylko przez chwilę, ale tak dojmujący, że wiedziałem, iż nigdy tego nie zapomnę. Trwało to jednak krótko, ponieważ cały czas byłem przejęty myślą o rychłym powrocie do Ziemi Świętej.

I dlatego ruszyłem pospiesznie w stronę domu. Dotarłem w ciemnościach niezauważony na nasze podwórze i usłyszałem płacz matki. Siedziała obok Józefa.



— Nie rozumiem, dlaczego nie możemy zamieszkać w Betlejem — mówiła. — Myślałam, że tam właśnie wrócimy.

Betlejem. Miejsce, gdzie się urodziłem.

— W żadnym wypadku — odparł Józef. — Nawet nie możemy brać tego pod uwagę. — Zwracał się do niej, jak zawsze, łagodnym tonem. — Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że moglibyśmy kiedykolwiek wrócić do Betlejem?

— Cały czas miałam taką nadzieję — nie ustępowała matka. — Minęło już siedem lat... Ludzie zapominają, nawet jeśli kiedykolwiek coś rozumieli...

Wuj Kleofas, który leżał na macie z podciągniętymi kolanami, roześmiał się cicho, tak jak często śmiał się z wielu rzeczy. Wuj Alfeusz wcale się nie odzywał. Wydawało się, że patrzy w gwiazdy. W drzwiach ujrzałem Jakuba przyglądającego się dorosłym, który pewnie tak samo jak ja starał się coś usłyszeć.

— Pomyśl o wszystkich znakach — mówiła dalej matka. — Pomyśl o tej nocy, kiedy przyszli ci mężowie ze Wschodu. Już samo to oznacza, że...

— Wystarczy — przerwał jej Józef. — Wydaje ci się, że wszyscy, którzy tam mieszkają, zapomnieli? Myślisz, że już nic nie pamiętają? Nigdy nie możemy tam wrócić.

Kleofas zaśmiał się znowu. Józef nie zwracał uwagi na jego śmiech. Matka także. Objął ją ramieniem.

— Zawsze będą pamiętać gwiazdę — powiedział. — Pasterzy, którzy przyszli ze wzgórz. Karawanę ze Wschodu. Najbardziej jednak będą pamiętać tę noc, kiedy...

— Dość — powiedziała matka, zasłaniając uszy dłońmi. — Nie mów.

— Nie widzisz, że musimy go zabrać do Nazaretu? Nie mamy wyboru. Poza tym...

— Jaka gwiazda? Jaka karawana ze Wschodu? — spytałem, bo nie mogłem się powstrzymać. — Co się stało?

Wuj Kleofas znowu zaśmiał się pod nosem. Matka podniosła głowę i spojrzała na mnie. Nie przypuszczała, że już wróciłem.

— Nic. Nic, czym miałbyś się martwić albo przejmować.

— Ale co takiego zdarzyło się w Betlejem? — drażyłem.

Józef patrzył mi prosto w oczy.

— Nasz dom jest w Nazarecie — odezwała się matka. Mówiła teraz bardziej zdecydowanym, mocniejszym głosem, a to dlatego, że zwracała się do mnie, a nie do mężczyzn. — W Nazarecie masz mnóstwo kuzynów. Czekają tam na nas Stara Sara i Stary Justus. To nasi krewni. Wracamy do domu. — Podniosła się i skinęła dłonią w moją stronę, bym do niej podszedł.

— Właśnie — przytaknął Józef. — Wyruszymy tak szybko, jak się da. Zajmie nam to kilka dni, ale zdążymy do Jerozolimy na Paschę, a potem do domu.

Matka ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do środka.

— Co to była za karawana ze Wschodu, mamusiu? — spytałem. — Możesz mi powiedzieć?

Wuj nadal śmiał się bezgłośnie. Chociaż było ciemno, widziałem dziwny wyraz twarzy Józefa.

— Chodzi o pewną noc. Wszystko ci o niej opowiem. — Już nie płakała. Przy mnie była zawsze silna, nie zachowywała się jak dziecko, jak wtedy, kiedy rozmawiała z Józefem. — Nie możesz mnie pytać teraz o takie rzeczy. Nie teraz. Opowiem ci, kiedy nadejdzie pora.

— To prawda — dodał Józef. — Nie chcę, żebyś więcej o to pytał, rozumiesz?

Zwracali się do mnie łagodnie, ale w mocnych i stanowczych słowach. Wszystko, co mówili, było bardzo dziwne.

Powinienem był siedzieć cicho i nie wrywać się z pytaniem. Wtedy dowiedziałbym się więcej. Wiedziałem, że to, o czym rozmawiali, to jakaś wielka tajemnica. No bo co innego? Uważali, że nie powinienem być usłyszeć ich rozmowy.

Nie spałem. Leżałem na posłaniu, próbując zasnąć, lecz sen nie przychodził i właściwie wcale nie chciałem, by przyszedł. Nigdy nie chciałem zasypiać. W głowie galopowały mi myśli. Wracaliśmy do domu, a ja musiałem przemyśleć tyle spraw, bo tyle się ostatnio wydarzyło, a teraz jeszcze te dziwne rzeczy, o których rozmawiali.

A dzisiaj? Co się stało dzisiaj z Eleazarem? I te wróble, na tyle, na ile mogłem sobie przypomnieć. Wszystko to było w mojej głowie niby jasne i wyraźne kształty, których nie potrafiłem ująć w słowa. Nigdy wcześniej nie czułem nic takiego jak wówczas, kiedy moc wyszła ze mnie na chwilę przed tym, nim Eleazar runął na piach, i jeszcze raz, zanim podniósł się z maty. *Syn Dawida, Syn Dawida, Syn Dawida...*

Wszyscy powoli, jeden po drugim, zapadali w sen. Kobiety spały w swojej części izby, a do mnie przytulał się przez sen Mały Justus, najmłodszy syn Szymona. Salome nucila coś cicho Esterce, która jakimś cudem nie płakała.

Kleofas zakaszlał przez sen, potem coś wymamrotał, wreszcie ucichł.

Poczułem, jak leżący obok Jakub, najstarszy brat, chwytając mnie za rękę. Otworzyłem oczy.

— Wiesz, co zrobiłeś?

— O co ci chodzi?

— Jak zabiłeś Eleazara, a potem przywróciłeś go do życia?

— No?

— Nigdy, przenigdy nie rób tego więcej — powiedział.

— Wiem — odparłem.

— Nazaret to małe miasteczko.

— Wiem — odparłem znowu.

Odwrócił się do mnie plecami.

Przewróciłem się na drugi bok i wsunąłem dłonie pod głowę. Przymknąłem oczy. Poglądziłem po głowie Małego Justusa. Przytulił się do mnie mocniej, pomrukując przez sen.

Czy cokolwiek wiedziałem?

— Jerozolima — wyszeptalem. — Tam, gdzie Pan mieszka w swej Świątyni. — Nikt mnie nie słyszał. Filon mi powiedział, że to największa świątynia na całym świecie. Widziałem gliniane wróble, które ulepiłem. Widziałem, jak ozywają, słyszałem trzepot ich skrzydeł, słyszałem oddech matki i Józefa krzyczącego: „Nie!”, a potem zniknęły, rozmyły się niczym drobne punkciki na rozległym niebie. „Jerozolima”. Ujrzałem, jak Eleazar podnosi się z maty.

Tego dnia, kiedy Filon przyjął mnie u siebie, powiedział mi, że Świątynia jest tak piękna, że tysiące ludzi przybywają z całego świata, by ją podziwiać. Tysiące, poganie i Żydzi z całego imperium, mężczyźni i kobiety przybywają, by złożyć ofiarę Panu Wszelkiego Stworzenia.

Otworzyłem raptownie oczy. Wszyscy wokół już spali.

Co takiego się wydarzyło? Ogromne zgorszenie.

Skąd wyszła ta moc? I czy jeszcze była?

Józef nigdy mi o tym nie mówił. Matka nie pytała mnie, co się stało. Czy kiedykolwiek rozmawialiśmy w domu o wróblach ulepionych z gliny w szabat?

Nie. Nikt nigdy nie mówił o tych rzeczach. A ja nie mogłem nikogo zapytać, bo jak? Jak rozmawiać z kimś spoza rodziny o sprawach, które nigdy nie mogły się zdarzyć? Nie bardziej prawdopodobnych niż to, że mógłbym zamieszkać w wielkim mieście Aleksandrii i uczyć się u Filona w jego domu o marmurowych posadzkach.

Muszę odtąd bardzo uważać, żebym nawet w najdrobniejszych sprawach nie wykorzystał źle tej mocy, która jest we mnie i sprawiła, że Eleazar zmarł, a potem powrócił do życia.

Och, to bardzo przyjemne widzieć uśmiech na twarzy wszystkich z powodu moich postępów w nauce. Filon i Nauczyciel, inni chłopcy i ja znaliśmy już dobrze Pisma po grecku, a dzięki Józefowi, wujowi Kleofasowi i wujowi Alfeuszowi poznałem je po hebrajsku, ale to było co innego.

Wiedziałem coś, co wykraczało poza wszystko, co mógłbym zawrzeć w słowach.

Chciałem pójść do Józefa, obudzić go i poprosić o pomoc w zrozumieniu tych spraw. Ale pamiętałem jego polecenie, żebym nie pytał go więcej ani o te rzeczy, ani o inne, o których rozmawiali dorośli dzisiejszego wieczoru. Ponieważ ta moc, właśnie ta moc łączyła się w jakiś

sposób ze wszystkim, o czym rozmawiali, i z niezrozumiałymi słowami Nauczyciela, po których wszyscy zamilkli i tylko spoglądali na niego bez słowa. Tak, między tym wszystkim musiał zachodzić jakiś związek.

Zrobiło mi się smutno, tak smutno, że chciało mi się płakać. To z mojego powodu musieliśmy wyjechać. Z mojego powodu, i nawet jeśli wszyscy się cieszyli, mnie samemu było smutno i dręczyło mnie poczucie winy.

Nikomu nie mogłem o tym powiedzieć. Któregoś dnia dowiem się, co się zdarzyło w Betlejem. Dowiem się, w ten czy inny sposób, nawet jeśli teraz muszę postępować tak, jak powiedział mi Józef.

A na razie na czym polegała ta najgłębsza z tajemnic? Co się w niej kryło? Nie mogę wykorzystywać w złym celu tego, *kim jestem*.

Poczułem chłód. Byłem cały zeszywniały i czułem się bardzo mały. Owinąłem się w derkę. Sen, sen. Przyszedł do mnie tak, jakby dotknął mnie anioł.

Lepiej spać teraz, kiedy śpią wszyscy. Lepiej odpłynąć w sen razem z nimi. Lepiej ufać tak, jak oni ufają. Przestałem walczyć z sennością i myśleć o wszystkich tych sprawach. Czułem, jak moje powieki stają się coraz cięższe, i nie byłem już w stanie myśleć o niczym.

Kleofas znowu zakasłał przez sen. Będzie chory, jak to zawsze z nim bywało. Wiedziałem, że tym razem zachoruje poważnie. Słyszałem rżenie w jego piersiach.

### III

Nie minęło kilka dni, a do portu dotarła wiadomość, że Herod nie żyje. Tylko o tym rozprawiali bez przerwy Galilejczycy i Judejczycy. Skąd Józef o tym wiedział? Do naszego domu wpadł jak burza Nauczyciel i domagał się od Józefa, by zdradził mu, skąd o tym wiedział, lecz Józef milczał.

Całe dni spędzaliśmy na robocie, kończąc to, co zostało jeszcze do zrobienia: odrzwia, drzwi, ławy, wszystko, co wymagało wyrównania, zheblowania i wygładzenia przed zanieśieniem do malarzy. Potem trzeba było odebrać od nich wszystkie te rzeczy i zamocować w domach tych, którzy nas najęli, i to mi się podobało najbardziej, ponieważ mogłem przy tej okazji ujrzeć wiele komnat i wielu różnych ludzi. I chociaż zawsze pracowaliśmy ze spuszczoneymi głowami przez szacunek dla naszych pracodawców, to i tak mogłem ujrzeć wiele rzeczy. I zawsze wracaliśmy do domu dobrze po zmroku, zmęczeni i głodni.

Pracy było więcej, niż na początku sądził Józef, ale chciał dokończyć wszystko, pragnąc dotrzymać danego słowa. Tymczasem matka podyktowała list do domu, do Starej Sary i swoich kuzynek, informując je, że niebawem wyruszamy.

Jakub go napisał i razem z nim poszedłem oddać go na stację rzymskiej poczty. Wszyscy żyliśmy przygotowaniami do podróży.

Teraz, kiedy wiadomo było, że opuszczamy Aleksandrię, wszyscy mieszkańcy naszej uliczki znowu zaczęli odnosić się do nas z sympatią. Inne rodziny obdarowywały nas podarkami na drogę. Dostaliśmy gliniane kaganki, kamionkowy garnek i zwój lnianego sukna.

Było już niemal postanowione, że będziemy podróżować łądem, i zaplanowaliśmy zakup osłów, kiedy pewnej nocy wuj Kleofas podniósł się z maty i kasłając głośno i długo, powiedział: „Nie chcę umrzeć na pustyni”. W ostatnich dniach bardzo pobrał i schudł, i prawie wcale nie pracował z innymi mężczyznami. Były to jego jedyne słowa. Przyjęto je w milczeniu.

I dlatego zdecydowano, że popłyniemy statkiem. Miało to kosztować o wiele więcej, o czym każdy dobrze wiedział, ale Józef powiedział, że tak właśnie zrobimy. Popłyniemy do starego portu w Jamnii i dotrzemy do Jerozolimy jeszcze przed Świętem Paschy. Kiedy zapadła ta decyzja, wuj Kleofas od razu zaczął lepiej sypiać.

Nadszedł czas, by wyruszyć w drogę. Mieliśmy na sobie nasze najlepsze wełniane odzienie, a na nogach sandały, i każdy z nas obładowany był pakunkami. Wydawało się, że cała ulica wyległa, by nas pożegnać.

Oczywiście polały się łzy i nawet Eleazar przyszedł i kiwnął głową w moją stronę, a ja odpowiedziałem takim samym gestem. Potem, w porcie, przepychaliśmy się przez największy tłum, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem, razem z matką, która prowadziła nas zbitych w gromadkę, i trzymałem mocno za rękę Salome, a Jakub stale nam powtarzał, żebyśmy trzymali się razem. Nad naszymi głowami co chwilę dęto w trąby, przynagłając do wsiadania na ten czy inny statek. Wreszcie rozległo się trąbienie wzywające podróżnych, by wsiadali na statek płynący do Jamnii, potem następne i jeszcze jedno. Ze wszystkich stron ludzie nawoływali się i machali do siebie.

— Pielgrzymi — powiedział wuj Kleofas, śmiejąc się z cicha, tak jak to robił jeszcze przed chorobą. — Cały świat kieruje się do Jerozolimy.

— Cały świat! — pisnęła Mała Salome. — Słyszałeś? — zwróciła się do mnie.

Roześmiałem się razem z nią.

Zaczęliśmy się przepychać i torować sobie drogę łokciami, przyciskając mocno do piersi nasze węzłki. Nad naszymi głowami mężczyźni krzyczeli i gestykulowali zawzięcie, a kobiety trzymały się blisko siebie, co chwilę wyciągając ręce i przygarniając nas do siebie. Nagle znaleźliśmy się na trapie wiodącym na pokład i o mało co nie wpadliśmy do mętnej wody.

Nigdy w życiu nie spacerowałem po pokładzie statku i kiedy tylko ułożyliśmy w jeden stos nasze pakunki, a kobiety na nich usiadły i zza zasłon na twarzach spoglądały po sobie, Jakub zaś posłał nam jedno ze swoich poważnych, ostrzegawczych spojrzeń, razem z Salome pognaliśmy ku barierce okalającej pokład. Prześlizgując się, schyleni, między nogami pasażerów, dotarliśmy do miejsca, z którego widać było port i wszystkich spieszących się ludzi, bezustannie machających, rozprawiających o czymś i noszących swoje tobołki, i nawet nie czuliśmy, jak z tyłu przygniatają nas czyjeś brzuchy i plecy.

Zobaczyliśmy, jak podnoszą trap i rzucają na pokład cumy. Potem na statek wskoczył ostatni z żeglarzy i pas wody między nami a nabrzeżem zaczął się poszerzać, i nagle, kiedy statek na dobre wyszedł z portu, poczuliśmy mocne szarpnięcie i wszyscy na pokładzie głośno jęknęli, i wypłynęliśmy na pełne morze, a wówczas przycisnąłem do siebie Małą Salome i śmialiśmy się oboje z radości, bo wspaniale było czuć pod stopami statek niesiony przez fale.

Machaliśmy i krzyczeliśmy do ludzi, których wcale nie znaliśmy, a oni także nam machali i czułem, że wszystkim wokół udziela się nastrój podniecenia.

Przez kilka chwil sądziłem, że Aleksandria ze statkami i ich masztami zaraz zniknie nam z oczu, ale im bardziej oddalaliśmy się od portu, tym większy obszar miasta ukazywał się moim oczom i mogłem ujrzeć je takim, jakim nie widziałem go nigdy dotąd. W pewnej chwili

przesunął się nade mną jakiś cień i gdyby nie szczęście na twarzy Małej Salome, być może nie byłbym już w tak doskonałym nastroju. Ale byłem.

Zapach od morza stał się nagle czysty i cudowny, a wiatr przybrał na sile, targał nam włosy i chłodził twarze. Opuszczaliśmy na dobre Egipt i miałem ochotę się rozplakać.

W pewnej chwili wszyscy zaczęli wołać, żebyśmy spojrzeli na latarnię na Faros, tak jakbyśmy sami nie zauważyli już wcześniej górującej nad nami z lewej strony strzelistej budowli.

Wcześniej nie raz i nie dwa kierowałem wzrok w stronę morza, ku latarni.

Ale mijając ją w tej chwili to zupełnie coś innego.

Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy i wskazywali ją palcami, aż wreszcie po chwili razem z Salome mogliśmy zobaczyć ją wyraźnie. Wzniesiona na niewielkiej wyspie, była niczym wielka pochodnia sięgająca w niebo. Obserwowaliśmy ją, jak gdyby była jakąś świętością, wydając pomruki zachwytu i podziwu.

Statek płynął i chociaż przed chwilą zdawało się, że porusza się wolno, teraz można było odnieść wrażenie, że sunie szybko, podrzucany falami, tak że tu i ówdzie słychać było krzyki kobiet.

Ludzie zaczęli śpiewać hymny. Łąd oddalał się coraz bardziej. Latarnia stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła. Tłum stojący na pokładzie i obserwujący znikający brzeg przerzedził się, a kiedy się odwróciłem, po raz pierwszy ujrzałem ogromny kwadratowy żagiel, wydęty wiatrem, i żeglarzy pracujących przy linach i innych, trudzących się przy sterze, i rodziny siedzące na pokładzie wokół swoich tobołków i wiedziałem już, że razem z Salome powinniśmy wrócić do naszych, bo z pewnością niepokoiłi się o nas.

Ludzie śpiewali coraz głośniejsze i wkrótce wszyscy przyłączyli się do śpiewu, także ja z Małą Salome, lecz wiatr porywał nasze słowa i je zagłuszał.

Musieliśmy torować sobie drogę wśród rodzin rozłożonych na pokładzie, aż w końcu dotarliśmy do swoich. Matka i ciotki zajęły się szyciem, starając się ignorować wściekłe podmuchy wiatru próbującego zerwać im z twarzy zasłony, i usłyszałem, jak ciotka Miriam mówi, że wuj Kleofas ma gorączkę, sam wuj zaś spał zwinięty w kłębek, przykryty derką, i nie widział żadnej z tych wspaniałości.

Obok niego na jednej z naszych skrzyń siedział Józef, jak zwykle cichy i milczący, spoglądał w błękitne niebo i przypatrywał się masztowi nad żaglem, podczas gdy wuj Alfeusz sprzeczał się zawzięcie z siedzącymi obok niego mężczyznami, mówiącymi o kłopotach czekających w Jerozolimie.

Jakub cały zamienił się w słuch i ja też próbowałem coś podsłuchać z tej rozmowy, ale nie śmiałem podejść bliżej, bo bałem się, że kiedy mnie zauważą, przeniosą się w inne miejsce. Próbowali przekrzyknąć nasilający się coraz bardziej wiatr, stojąc blisko siebie i przytrzymując mocno szarpane podmuchami płaszcze, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę wraz z kołyszącym się statkiem.

Wreszcie chęć usłyszenia, o czym mówią, wzięła górę i sprawiła, że podszedłem do nich. Mała Salome chciała pójść za mną, ale jej matka zatrzymała ją raptownym gestem, a wówczas kiwnąłem jej ręką, żeby chwilę poczekała, a ja zaraz wrócić.

— Powiadam wam, że to niebezpieczne — odezwał się jeden z mężczyzn po grecku. Był wysoki, bardzo śniady i miał na sobie kosztowny strój. — Na waszym miejscu nie udawałbym się do Jerozolimy. Dla mnie Jerozolima to dom, ponieważ tam mieszkają moja żona i dzieci. Ja muszę tam wrócić. Ale mówię wam, to nieodpowiednia pora dla pielgrzymów.

— A ja chcę tam być — odparł drugi, władający greką równie biegle jak ów pierwszy, chociaż wyglądał na kogoś o mniejszej ogładzie. — Chcę zobaczyć, co się tam dzieje. Byłem tam, kiedy Herod spalił żywcem Mateusza i Judę, dwóch najwspanialszych uczonych, jakich kiedykolwiek mieliśmy. — Skinął głową w stronę moich wujów. — Chcę od Heroda Archelaosa sprawiedliwości. Chcę, żeby ludzie, którzy pomagali Herodowi w tej zbrodni, zostali ukarani. To, jak Archelaos z nimi postąpi, będzie wskazówką, czego można się po nim spodziewać w innych sprawach.

Słuchałem tego wszystkiego z ogromnym zdziwieniem. Słyszałem wiele złych rzeczy o królu Herodzie, ale nie wiedziałem nic o jego synu, Archelaosie.

— Co w takim razie powie ludziom? — spytał wuj Alfeusz. — Bo przecież musi coś powiedzieć?

W tej chwili do rozmowy włączył się nagle wuj Kleofas, który obudziwszy się, podniósł się z posłania i opuściwszy towarzystwo kobiet, podszedł do mężczyzn.

— Jeśli będzie musiał, będzie ich okłamywał — powiedział, jakby wszystko to wiedział już z góry. — Musi czekać na decyzję Cezara, nim ogłosi, że będzie królem. Nie może rządzić, jeśli Cezar tego nie zaaprobuje. Cokolwiek powie, nie będzie to miało żadnego znaczenia. — Wuj skwitował własne słowa szyderczym śmiechem.

Ciekaw byłem, co o tym sądzą inni mężczyźni.

— Rzecz jasna powie wszystkim, że mają się uzbroić w cierpliwość — odezwał się znowu płynną greką pierwszy z mężczyzn. Mówił po grecku równie doskonale jak nasz Nauczyciel lub Filon. — Czeka na aprobatę Cezara, to pewne, i każe ludziom czekać wraz z nim. Ale tłumy



nie mają ochoty słuchać, co głoszą jego heroldowie. Tłumy straciły cierpliwość. Domagają się działania. Pragną zemsty. I całkiem możliwe, że dostaną to, czego chcą.

Te słowa mnie zaintrygowały.

— Nie zapominajcie — powiedział ten drugi, bardziej nieokrzesany, w którego głosie i zachowaniu można było wyczuć więcej złości — że Cezar nic nie wiedział o całym złu, które uczynił stary Herod. Skąd Cezar może wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w imperium? Mówię wam, że trzeba osądzić wszystkie jego czyny.

— To prawda — przytaknął wysoki mężczyzna — ale nie w Jerozolimie, i to w czasie Paschy. Nie teraz, kiedy przybędą tam pielgrzymi z całego imperium.

— A dlaczego nie? — spytał ten drugi. — Dlaczego nie teraz, kiedy zgromadził się tam cały świat? Dlaczego nie teraz, kiedy do Cezara może dotrzeć wiadomość, że ten, który mieni się przywódcą ludu, nie panuje nad tymi, którzy domagają się sprawiedliwości za krew pomordowanych?

— Dlaczego Herod kazał spalić żywcem dwóch uczonych w Prawie? — spytałem. Moje nagłe włączenie się do rozmowy zaskoczyło mnie samego.

W tej chwili Józef, chociaż siedział daleko i z pewnością nic nie słyszał, ocknął się z zamyślenia i spojrzał na mnie i rozprawiających mężczyzn.

Jednak ów wyższy i odznaczający się większym spokojem mężczyzna wcale się nie przejął tym, że do rozmowy wtrącił się chłopiec, i odrzekł:

— Dlatego że zdjęli złotego orła, którego Herod kazał umieścić nad wejściem do Świątyni — zaczął spokojnym głosem. — Prawo mówi wyraźnie, że w Świątyni nie może być wizerunku żadnego żywego stworzenia. Jesteś na tyle duży, by to wiedzieć, chłopcze. Nie wiesz o tym? To, że Herod zbudował Świątynię, nie oznacza, że mógł tam umieścić wizerunek żywego stworzenia. Po co było odbudowywać wspaniałą Świątynię, skoro złamał Prawo, umieszczając na murach obraz, który ją bezcześcił?

Zrozumiałem, co miał na myśli, chociaż nie wyrażał się prostymi słowami. Przebiegł mnie dreszcz.

— Ci ludzie byli faryzeuszami, nauczycielami Prawa — ciągnął dalej mężczyzna, utkwivszy we mnie wzrok. — Poprowadzili ze sobą swych uczniów, by razem z nimi zdjęli orła. A Herod ich za to uśmiercił!

W tej chwili obok mnie stanął Józef.

Ten bardziej poirytowany powiedział do niego:

— Nie zabieraj chłopaka. Niech się uczy. Pewnie wie, kim byli Mateusz i Juda. Oni obaj powinni to już wiedzieć. — Skinął głową, wskazując na mnie i Jakuba. — Była to rzecz słuszna

i sprawiedliwa. Dobrze wiedzieli, jakim potworem był Herod. Każdy to wiedział. Wy, w Aleksandrii, co wyście mieli z tym wspólnego? Nic. — Spojrzał na moich wujów. — Ale my, którzy żyliśmy pod jego panowaniem i widzieliśmy jego okrucieństwa... Ich ofiarami padali i wielcy, i mali. Możecie mi wierzyć. Raz, pod wpływem kaprysu, szalonego kaprysu, obawiając się, że narodził się nowy król, Syn Dawida, posłał swoich żołnierzy do miasteczka dwie mile od Jerozolimy, do Betlejem, i tam...

— Wystarczy! — przerwał mu Józef i skłoniwszy się mężczyznom, pożegnał ich gestem dłoni.

Następnie odciągnął mnie szybko i zdecydowanie i zaprowadził do kobiet. Jakubowi pozwolił jednak zostać i przysłuchiwać się dalej rozmowie.

Słowa mężczyzn porwał wiatr.

— Co takiego stało się w Betlejem?

— Będziesz słuchał opowieści o czynach Heroda całe swoje życie — odparł Józef przez zaciśnięte usta. — Pamiętaj, powiedziałem ci, że nie chcę, żebyś zadawał pewne pytania.

— Czy w takim razie pójdziemy do Jerozolimy? Józef nie odpowiedział.

— Idź tam i siądź obok matki i innych dzieci — rzekł wreszcie.

Zrobiłem, co mi kazał.

Wiatr wiał teraz bardzo mocno i statek kołysał się z burty na burtę. Czulem, że robi mi się niedobrze, i zaczynało mi być zimno.

Mała Salome czekała na mnie, żeby o wszystko wypytać.

Wcisnąłem się między nią a matkę. Było mi tam ciepło i poczułem się lepiej.

Mały Józef i Symeon już spali na prowizorycznym posłaniu między tobołami. Syłas i Lewi siedzieli zbici w gromadkę razem z Elim, moim kuzynem, synem ciotki Miriam i wuja Kleofasa, którzy zamieszkali z nami. Pokazywali sobie palcami żagiel, maszt i liny.

— O czym oni mówili? — spytała mnie Salome.

— O tym, że coś niedobrego dzieje się w Jerozolimie — odparłem. — Mam nadzieję, że mimo to tam pójdziemy. Chcę ją zobaczyć. — Pomyślałem o wszystkim, co usłyszałem, i odezwałem się podnieconym głosem do Salome: — Pomyśl tylko, Salome, ludzie z całego imperium zmierzają do Jerozolimy!

— Tak, wiem — odrzekła. — To najlepsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić.

— To prawda — powiedziałem z westchnieniem i dodałem: — Mam nadzieję, że w Nazarecie też będzie dobrze.

Matka także westchnęła i spojrzała w niebo, zadarłszy głowę.

— To prawda, najpierw musisz zobaczyć Jerozolimę — zaczęła smutnym głosem. — Jeśli chodzi o Nazaret, to widać taka jest wola Boga.

— Czy to duże miasto? — spytała Mała Salome.

— Nie — odparła matka.

— Nie? — zdziwiłem się.

— To miasteczko. Ale pewnego razu odwiedził je anioł.

— Ludzie tak mówią? — zapytała zaintrygowana Mała Salome. — Że do Nazaretu przyszedł anioł? Naprawdę?

— Nie, ludzie tak nie mówią — wyjaśniła matka. — Ale ja to wiem.

Umilkła. W taki sposób zwykle się zachowywała. Zdradzała jakiś szczegół i nic więcej. Potem już nic nie mówiła, nawet kiedy się ją bez końca prosiło, żeby powiedziała coś więcej.

Wuj Kleofas wrócił na swoje miejsce, kasłając głośno, i położył się, a ciotka przykryła go troskliwie i delikatnie poklepała po ramieniu.

Słyszał, jak rozmawialiśmy o aniołach w Nazarecie i o tym, że bardzo byśmy chcieli je zobaczyć, i znów roześmiał się pod nosem.

— Mama mówi, że Nazaret któregoś razu nawiedził anioł — zwróciłem się do niego, bo wiedziałem, że i on mógłby powiedzieć nam coś na ten temat. — Ona o tym wie.

Wuj śmiał się dalej, zwijając się w kłębek do snu.

— A co ty byś zrobił, ojcze — spytała wuja Mała Salome — gdybyś na własne oczy zobaczył anioła w Nazarecie?

— Dokładnie to samo, co zrobiła moja ukochana siostra — odparł, spoglądając na mnie. — Posłuchałbym anioła we wszystkim, co kazałby mi uczynić. — I znowu zaczął się śmiać cicho, pod nosem.

W oczach matki pojawił się straszny gniew. Spojrzała na brata. Ciotka potrząsnęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „Daj spokój, nie przejmuj się nim”. To był jej zwykły sposób postępowania z mężem.

Matka najczęściej tak właśnie robiła, nie przejmowała się słowami brata, ale nie tym razem.

Mała Salome zauważyła gniewne spojrzenie mojej matki, a i dla mnie było to coś tak zaskakującego, że nie wiedziałem, co o tym myśleć. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem stojącego nad nami Jakuba i domyśliłem się, że wszystko słyszał. Było mi bardzo smutno. Nie wiedziałem, co robić. Józef tymczasem siedział w pewnej odległości, zajęty swoimi myślami.

Wówczas coś sobie uświadomiłem, nie wiem, dlaczego dopiero tak późno. Dotarło do mnie, że Józef znosił w milczeniu zachowanie Kleofasa, nigdy nie reagując na jego słowa. To ze względu na niego zdecydował się na podróż morzem, nie lądem, i ze względu na niego

postanowił udać się do Jerozolimy, chociaż wiedział, że w mieście jest niespokojnie. Nigdy się z nim nie sprzeczał. Nigdy też nie reagował na jego bezustanny śmiech.

A Kleofas śmiał się ze wszystkiego. W domu modlitwy śmiał się, ilekroć uznał, że opowieści o prorokach są zabawne. Śmiał się wtedy półgłosem, a małe dzieci, takie jak ja, zaczynały się śmiać razem z nim. Śmiał się w ten sposób, kiedy czytano o proroku Eliaszu. A kiedy Nauczyciel wpadał w złość, Kleofas przekonywał go uparcie, że w tej historii są naprawdę zabawne fragmenty. Powtarzał, że Nauczyciel powinien umieć to dostrzec. Wtedy wszyscy mężczyźni zaczęli się sprzeczać z Nauczycielem o Eliasza i o to, co mu się przydarzyło.

Matka zajęła się na powrót łataniem odzieży. Jej twarz znowu przybrała łagodny wyraz. Trzymała w ręku skrawek miękkiej, egipskiej bawełny i właśnie go przyszywała, jakby nic się nie stało.

Kapitan statku wrzeszczał na żeglarzy, którzy nie mieli chwili wytchnienia.

Wiedziałem, że najlepiej będzie, jak nie będę się wcale odzywać.

Wszędzie dokoła rozciągało się lśniące morze, wspaniałe i piękne, a statek unosił się i opadał na falach, i niósł nas lekko. Pozostałe rodziny śpiewały, a ponieważ znaliśmy hymny, dołączyliśmy do nich i śpiewaliśmy razem z nimi całą mocą naszych serc.

W tej chwili nieważne były wszystkie sekrety i tajemnice.

Płynęliśmy do Jerozolimy.

## IV

Kiedy w końcu dotarliśmy do niewielkiego portu w Jamnii, nawet Mała Salome i ja mieliśmy dość ciągłego huśtania. Z portu korzystały teraz tylko statki z pielgrzymami i te wolno płynące z towarami i musieliśmy zakotwiczyć daleko od brzegu z powodu płycizn i skał.

Przyplłynęły po nas niewielkie łodzie. Mężczyźni ze statku podzielili się i w trosce o wszystkich część popłynęła z kobietami w jednej łodzi, a część z dziećmi w drugiej. Morze było bardzo wzburzone i bałem się, że wpadniemy do wody, ale podobało mi się.

Wreszcie mogliśmy wyskoczyć z łodzi i brnąć przez pędzące w stronę brzegu spienione fale, wyszliśmy na ląd. Upadliśmy na kolana i pocałowaliśmy piasek z wdzięczności za to, że dotarliśmy szczęśliwie do Ziemi Świętej. Potem cali mokrzy i dygocący z zimna ruszyliśmy w stronę miasta Jamnia, oddalonego spory kawałek od nabrzeża, i zatrzymaliśmy się w gospodzie.

Było tam tłoczno, jak zawsze po przybyciu statku, a mała izdebka na górze była wypełniona sianem, ale byliśmy tak szczęśliwi, że tam jesteśmy, że wcale nam to nie przeszkadzało. Do gospody wciąż przybywali nowi pielgrzymi i kiedy zasypiałem, dochodziły mnie głosy spierających się głośno mężczyzn, krzyki i śmiechy.

Następnego dnia czekało na nas i pozostałych pielgrzymów mnóstwo wystawionych na sprzedaż osłów. Tak rozpoczęliśmy podróż przez piękną równinę, którą ozdabiały rosnące w oddali kępy drzew, i żegnając się z mglistym morzem, ruszyliśmy powoli ku wzgórzom Judei.

Kleofas z początku się opierał, ale w końcu dał się przekonać i wsiał na osła. Posuwaliśmy się bardzo wolno, rodzina wśród wielu innych rodzin, w wielkim, mijającym nas tłumie, ale byliśmy tak szczęśliwi, że jesteśmy na ziemi Izraela, że wcale nie chcieliśmy przyspieszyć kroku, a poza tym Józef powiedział, że z pewnością zdążymy do Jerozolimy na oczyszczenie.

Kiedy zatrzymaliśmy się na noc w kolejnej przydrożnej gospodzie i rozłożyliśmy posłania w dużym namiocie stojącym obok niej, ludzie udający się w stronę wybrzeża ostrzegali nas, że nie powinniśmy iść dalej, lecz skręcić od razu na północ, do Galilei. Jednak wuj Kleofas zaczął już mówić od rzeczy i tylko bez przerwy śpiewał: „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie...” i wszystkie inne pieśni o tym mieście, jakie pamiętał.

— Zaprowadź mnie pod Świątynię i zostaw tam jako żebraka, jeśli chcesz od razu iść do Galilei — powtarzał Józefowi.

Józef tylko skinął głową i powiedział, że pójdziemy do Jerozolimy, do Świątyni.

Jednak kobiety zaczęły się coraz bardziej obawiać tego, co może nas spotkać w Jerozolimie, a oprócz tego bały się o Kleofasa.

Napady kaszlu pojawiały się i mijały, ale wuj cały czas miał rozpalone czoło, chciało mu się pić i był niespokojny. I bezustannie śmiał się półgłosem. Śmiał się z małych dzieci i z tego, co mówili inni, a potem spoglądał na mnie i znowu się śmiał. A czasami śmiał się do siebie, jakby coś sobie przypominał.

Następnego dnia zaczęliśmy długą i powolną wspinaczkę ku wzgórzom. Nasi towarzysze ze statku już dawno nas wyprzedzili i szliśmy teraz obok ludzi, którzy przybyli tu z różnych miejsc. Słyszałem grekę i aramejski, a ktoś mówił nawet po łacinie. Nasza rodzina przeszła z greckiego na aramejski.

Dopiero trzeciego dnia po raz pierwszy ujrzelśmy ze szczytu wzgórza Miasto Święte. Razem z innymi dziećmi podskakiwałem z podniecenia. Krzyczeliśmy z radości, a Józef się uśmiechał. Droga przed nami wiła się i kluczyła, lecz najważniejsze, że widzieliśmy je przed sobą — święte miejsce, które było w naszych sercach, modlitwach i pieśniach od chwili, gdy się narodziliśmy.

Na zewnątrz wysokich murów widzieliśmy rozstawione namioty wszelkich możliwych rozmiarów, paliły się ogniska, na których gotowano strawę, a my przybliżaliśmy się coraz bardziej do bram w tłumie tak gęstym, że czasami staliśmy w miejscu przez długie godziny. Wszyscy wokół mówili po aramejsku, chociaż czasami słyszałem grekę, i wszyscy rozglądali się, szukając znajomych. Co jakiś czas z tej czy innej strony ludzie machali do siebie, podawali sobie z radością dłonie i nawoływali przyjaciół i krewnych.

Przez bardzo długi czas nic nie widziałem. Stałem w gromadzie innych dzieci, pośród mężczyzn, trzymając Józefa mocno za rękę. Wiedziałem tylko, że posuwamy się naprzód krok po kroku i że jesteśmy już blisko murów.

Wreszcie przeszliśmy przez otwartą bramę miasta.

Józef schylił się, ujął mnie pod ramiona, posadził sobie na barkach i wówczas ujrzałem Świątynię górującą nad ciasnymi uliczkami.

Było mi smutno, że Mała Salome nie może tego zobaczyć, lecz Kleofas powiedział głośno, że musi siedzieć z nim na osle. Gdy ciotka Miriam to usłyszała, podniosła ją i Salome też mogła to wszystko zobaczyć.

Wyobraźcie to sobie! Byliśmy w Mieście Świętym Jerozolimie, a na wprost nas widniała Świątynia.

Kiedy jeszcze mieszkałem w Aleksandrii, nigdy nie spoglądałem, nawet przypadkiem, na świątynie pogan, jak każdy żydowski chłopiec. Nie przyglądałem się także pogańskim

posągom. Były one dla nas pozbawionymi jakiegokolwiek mocy bożkami, których nie wolno sporządzać. Kiedy mijaliśmy świątynie i procesje pogan z głośną muzyką, spoglądałem na domy, do których szliśmy z Józefem. Poza tym rzadko opuszczaliśmy dzielnicę żydowską i wydawało mi się, że aleksandryjska Wielka Synagoga była najwspanialszą budowlą, której progi przestąpiłem kiedykolwiek w życiu. Ponadto do świątyń pogan nie wolno było wchodzić. Nawet ja wiedziałem, że były one domami pogańskich bogów, których imionami były nazywane i dla których zostały wzniesione.

Mimo to wiedziałem jednak coś niecoś o tych świątyniach i dostrzegając je kątem oka, mogłem oszacować ich rozmiary. Oceniałem także wielkość pałaców bogaczy i miałem pewne pojęcie o tym, co syn cieśli mógłby określić mianem skali.

Lecz kiedy spoglądałem na Świątynię, właśnie skali mi zabrakło. Żadne słowa — Kleofasa, Alfeusza, Józefa ani nawet Filona — nie przygotowały mnie na to, co ujrzałem.

Była to budowla tak ogromna, wspaniała i monumentalna, tak lśniąca złotem i bielą, rozciągająca się hen na prawo i lewo, że wymiotła z mojej świadomości wszystko, co kiedykolwiek widziałem w tak bogatym mieście jak Aleksandria, i nagle zapomniałem o wszystkich cudach Egiptu, zaparło mi całkowicie dech w piersi. Stałem jak rażony gromem.

Kleofas trzymał w ramionach Małego Symeona, żeby i on mógł coś zobaczyć, Mała Salome trzymała Esterkę w powijkach, która nie wiedząc czemu darła się przeraźliwie, ciotka Miriam podtrzymywała Małego Józefa, a wuj Alfeusz mojego kuzyna, Małego Jakuba.

Mój starszy brat, Duży Jakub, ten, który wiedział tak wiele, widział już wcześniej Świątynię, kiedy był jeszcze bardzo mały i przybył do Jerozolimy razem z Józefem, jeszcze zanim się urodziłem. Ale nawet on stał w zdumieniu, a i Józef milczał, tak jakby całkowicie zapomniał o nas i otaczającym nas tłumie.

Matka wyciągnęła ku mnie rękę i położyła ją na moim biodrze. Spojrzałem na nią z ramion Józefa i uśmiechnąłem się. Wydawała mi się piękna jak zawsze i bardzo nieśmiała, z zasłoną zakrywającą większą część twarzy, i widać było, że jest bardzo szczęśliwa z tego powodu, że tu wreszcie jesteście, i tak jak ja spoglądała w kierunku Świątyni.

W całym tym nieprzebranym tłumie, który wciąż się przesuwał, gdyż ludzie stale nadchodzili i szli dalej, co chwilę ktoś przystawał w milczeniu, by spojrzeć na Świątynię, tak jak my, starając się ogarnąć jej wielkość, wchłonać ją w siebie, próbując być może zapamiętać tę szczególną chwilę, gdyż wielu przybyło tu z bardzo daleka, zjawilo się po wielu latach lub po raz pierwszy.

Chciałem iść dalej, wejść do Świątyni — myślałem, że tak właśnie zrobimy — ale stało się inaczej.

Posuwaliśmy się w jej stronę, torując sobie drogę w tłumie, lecz traciliśmy ją z oczu, zanurzając się w wijące się, ciasne uliczki. Stojące przy nich domy zdawały się zamykać i łączyć nad naszymi głowami, ludzie się pchali, a wujowie i Józef dopytywali się o drogę do synagogi Galilejczyków, gdzie mieliśmy się zatrzymać podczas pobytu w Jerozolimie.

Wiedziałem, że Józef jest zmęczony. Miałem już przecież siedem lat, a on niósł mnie na ramionach przez dłuższy czas. Poprosiłem go, żeby postawił mnie na ziemi.

Kleofas, w gorączce, wciąż się śmiał, tym razem ze szczęścia. Poprosił o wodę, bo chciał się obmyć, lecz ciotka Miriam powiedziała, że teraz to niemożliwe. Kobiety zdecydowały, że po przybyciu na miejsce trzeba go od razu położyć.

Ciotce do oczu napływały łzy, kiedy przyglądała się wujowi, i Mały Symeon zaczął płakać. Podniosłem go, ale był dla mnie za ciężki i wówczas Jakub wziął go na ręce.

I tak przepychaliśmy się przez wąskie, kręte uliczki, takie same jak w Aleksandrii, chociaż bardziej zatłoczone. Śmiałem się razem z Małą Salome, mówiąc, że rzeczywiście jest tutaj „cały świat”, i jakby na potwierdzenie tego ze wszystkich stron dobiegały nas szybkie rozmowy i podniesione głosy, jedni mówili po grecku, inni po hebrajsku, wyobraźcie sobie, po hebrajsku, niektórzy po łacinie, lecz takich było niewiele, większość zaś mówiła po arabsku — mejsku, jak my.

Kiedy dotarliśmy do dużej, dwupiętrowej synagogi, kwatery dla pielgrzymów — tak jak się spodziewaliśmy — były już zajęte, ale kiedy chcieliśmy się udać do synagogi Aleksandryjczyków, matka spostrzegła wchodzącego właśnie na dziedziniec swego kuzyna Zebedeusza z żoną i dziećmi i zawołała do nich, a oni przybiegli do nas i zaczęły się uściski i pocałunki. Zebedeusz powiedział, że chce, żebyśmy zostali tutaj, bo oni mają już miejsce na dachu, którym się z nami podziela. Inni kuzyni czekali na górze i Zebedeusz obiecał, że wszystkiego dopilnuje.

Żoną Zebedeusza była Miriam Aleksandra, kuzynka mojej matki, na którą zawsze wołano Miriam, tak samo jak na ciotkę, żonę wuja Kleofasa, brata matki. I kiedy wszystkie razem zaczęły się ściskać i całować, zawołały:

— Trzy Miriam! — i były bardzo szczęśliwe, że się spotkały, i nagle cały świat wokół przestał je obchodzić.

Józef tymczasem płacił za nocleg, my zaś razem z Zebedeuszem i jego liczną rodziną — miał trzech braci z żonami i dziećmi — przepchaliśmy się przez zatłoczony dziedziniec, gdzie oprócz ludzi stały także osły, posilając się obojętnie, i zaczęliśmy się wspinać po schodach, a potem jeszcze wyżej, po drabinie. Mężczyźni nieśli Kleofasa, który cały czas śmiał się cichutko do siebie, ponieważ czuł się zawstydzony tą sytuacją.



Gdy znaleźliśmy się na dachu, znowu nie było końca serdecznym powitaniom krewniaków. Nieopodal, z boku, stała starsza kobieta, która wyciągnęła ręce do mojej matki, kiedy tylko ta wypowiedziała głośno jej imię.

— Elżbieta!

Znałem dobrze to imię, a także imię jej syna, Jana. Matka znalazła się w objęciach owej starszej kobiety. Długo ścisnęły się i płakały, a po chwili podprowadzono mnie do niej i do jej syna, który był w moim wieku, lecz nie odzywał się ani słowem.

Jak powiedziałem, słyszałem o kuzynce Elżbiecie, podobnie jak o wielu innych kuzynkach i kuzynach, ponieważ matka często słała z Egiptu listy do domu i sama otrzymywała dużo listów z Galilei i Judei. Czasami towarzyszyłem jej, gdy udawała się do skryby z naszej dzielnicy dyktować mu listy. A kiedy dostała jakiś list, był on czytany wiele razy i dlatego dobrze znałem imiona krewnych i wszystkie związane z nimi historie.

Elżbieta ujęła mnie swoim spokojem i ciepłem, a jej twarz promieniała czymś, co trudno było wyrazić słowami. Często odnosiłem takie wrażenie, kiedy przebywałem ze starszymi ludźmi. Wydawało mi się, że każda ich zmarszczka to osobna opowieść, fascynowały mnie także ich oczy, jasne i błyszczące w pobrużdżonej twarzy.

Ale ponieważ staram się opowiedzieć wam tę historię z punktu widzenia dziecka, którym wówczas byłem, nie będę na razie mówił o tym więcej.

Jan zachowywał się podobnie jak jego matka, chociaż bardziej przypominał mi mojego brata Jakuba. W zasadzie obaj przypominali się nawzajem. Jan wyglądał jak Jakub, chociaż był od niego młodszy, poza tym odróżniały go jego bardzo długie włosy. I Jan, i Elżbieta ubrani byli w białe, nieskazitelnie czyste szaty.

Wiedziałem z tego, co matka opowiadała mi o swej kuzynce, że Jan od chwili narodzin został poświęcony Panu. Miał do końca życia nie ścinać włosów i nie pić wina. Przyglądałem mu się tylko przez chwilę, ponieważ cały czas wszyscy się witali, obejmowali, płakali i krzyczeli z radości, i panowało straszne zamieszanie.

Dach już nie mógł pomieścić więcej ludzi. Józef odnajdywał swoich kuzynów, a ponieważ on i matka także byli kuzynami, oznaczało to ogromną radość dla obojga. W tym samym czasie Kleofas odpychał ze wstrętem wodę, którą przyniosła mu żona, mówiąc, że nie będzie jej pić. Mały Symeon płakał, a potem rozpląkała się Esterka, więc Szymon, jej ojciec, wziął ją w ramiona.

Zebedeusz i jego żona robili miejsce na nasze posłania, a Mała Salome próbowała unieść Esterkę. Mały Zoker wyrwał się i usiłował pobiec przed siebie. Mała Miriam głośno płakała i tyle się działo wokół, że trudno mi było na coś się skupić.

Nim ktokolwiek się zorientował, chwyciłem za rękę Małą Salome i pociągnąłem ją za sobą. Schylając się i przechodząc pod rękoma tego lub tamtego gestykulującego żywo kuzyna lub przekraczając leżące osoby, doszliśmy do krawędzi dachu.

Biegł wzdłuż niej niewysoki murek chroniący przed upadkiem.

I znów ujrzałem Świątynię! Między nią a nami widać było dachy miasta, na których roilo się od ludzi, a domy pięły się w górę i opadały w dół razem ze wzgórzami, podchodząc aż pod potężne świątynne mury.

Z dołu, z ulicy, dobiegała muzyka i słyszałem śpiewy, a dym ognisk, na których gotowano posiłek, niósł przyjemne wonie. Wszędzie słyhać było gwar rozmów, na ulicy i na dachach, a wszystkie dźwięki łączyły się w jedną wspólną pieśń.

— Nasza Świątynia — powiedziała Mała Salome z dumą w głosie, a ja przytaknąłem. — Pan, który stworzył niebo i ziemię, mieszka w Świątyni — dodała.

— Pan jest wszędzie — odparłem. Spojrzała na mnie.

— Ale On jest w Świątyni! — powtórzyła uparcie. — Wiem, że Pan jest wszędzie, ale teraz powinniśmy mówić o Jego przebywaniu w Świątyni. Jesteśmy tutaj po to, by pójść do Świątyni.

— To prawda — odrzekłem. Spojrzałem jeszcze raz na Świątynię.

— Jest w Świątyni, żeby mieszkać ze swym ludem — ciągnęła dalej Mała Salome.

— Tak... w Świątyni... i wszędzie — powiedziałem, nie odrywając wzroku od majestatycznej budowli.

— Dlaczego tak mówisz? — spytała Salome. Wzruszyłem ramionami.

— Wiesz, że to prawda. Pan jest z nami, z tobą, ze mną, właśnie teraz. Pan zawsze jest z nami.

Roześmiała się. Ja także.

Dymy z ognisk łączyły się ze sobą, tworząc delikatną mgiełkę, szum rozmów też dobiegał do nas jakby zza mgły. *Bóg jest wszędzie i Bóg jest w Świątyni.*

Jutro do niej pójdziemy. Staniemy na dziedzińcu, w obrębie jej murów. Tak, jutro mężczyźni zostaną pokropieni i oczyszczeni krwią czerwonej krowy, przygotowując się do obchodów Paschy, którą będziemy spożywać razem w Jerozolimie, świętując nasze wyjście z Egiptu przed wieloma wiekami. Ja będę z dziećmi i kobietami, ale Jakub będzie już z mężczyznami. Będziemy przyglądać się temu z naszego miejsca, lecz wszyscy będziemy w obrębie świątynnych murów. Blisko ołtarza, gdzie zostaną złożone w ofierze baranki paschalne. Blisko Świętego Świętych, do którego wchodzi tylko arcykapłan.

Od chwili, kiedy wiedzieliśmy cokolwiek o świecie, wiedzieliśmy o Świątyni. Od chwili, kiedy wiedzieliśmy cokolwiek o świecie, wiedzieliśmy o Prawie. Uczyli go nas w domu Józef, Alfeusz i Kleofas, a potem w szkole Nauczyciel. Zналиśmy Prawo na pamięć.

Mimo zgiełku panującego w Jerozolimie czułem w sercu spokój. Miałem wrażenie, że Mała Salome także odczuwa podobny spokój w swoim sercu. Staliśmy blisko siebie, bez ruchu, nie mówiąc ani słowa, a gwar rozmów, śmiechy, płacz dzieci, nawet dźwięki muzyki nie dotykały nas w żaden sposób.

W pewnej chwili podszedł do nas Józef i zaprowadził z powrotem do reszty rodziny. Kobiety właśnie wracały z zakupioną żywnością. Czas, by zebrać się razem i odmówić modlitwę.

Pierwszy raz dostrzegłem smutek i niepokój w oczach Józefa, przyglądającego się Kleofasowi.

Wuj ciągle spierał się z ciotką o wodę, której nie chciał wypić.

Kiedy spojrzałem na niego, od razu wiedziałem, że nie jest świadomy tego, co robi. Widać było, że postradał zmysły.

— Chodź i siądź przy mnie! — rzucił w moją stronę.

Zrobiłem, jak kazał, i usiadłem po jego prawej stronie, skrzyżowawszy nogi. Siedzieliśmy ciasno obok siebie. Mała Salome usiadła po jego lewej stronie, przyglądając mu się uważnie.

Widać było, że wszystko się w nim gotuje, lecz nie kierował swej złości w stronę któregoś z nas. W pewnej chwili spytał, kiedy wybierzemy się do Jerozolimy. Czy ktokolwiek pamięta o tym, że mamy udać się do Jerozolimy? Jego słowa nappełniły wszystkich lękiem.

Ciotka, zmęczona tym wszystkim, wyrzuciła w górę ramiona w geście bezradności. Mała Salome siedziała cicho i tylko spoglądała na ojca.

Kleofas spojrzał w prawo i lewo i zorientował się, że powiedział coś niewłaściwego. Znowu był przez chwilę sobą. Wziął kubek z wodą i wypił. Odetchnął głęboko i spojrzał na żonę. Ciotka wróciła do nas, a matka przysunęła się do niej i objęła ją ramieniem. Ciotka Miriam potrzebowała snu, widać to było wyraźnie, ale nie mogła w tej chwili udać się na spoczynek.

Polewka w kociołku była bardzo gorąca. Czułem straszny głód. Chleb także był jeszcze ciepły.

Nadeszła pora błogosławieństwa. Pierwsza wspólna modlitwa w Jerozolimie. Pochyliłem głowę. Modlitwę poprowadził Zebedeusz, bo był najstarszym z mężczyzn. Mówił po aramejsku i odmawiał modlitwę trochę inaczej niż nasza rodzina. Ale i tak była bardzo piękna.

A potem mój kuzyn Jan bar Zachariasz zaczął przypatrywać mi się uważnie, jakby coś bardzo ważnego zaprzątało mu umysł, lecz nie powiedział ani słowa.

Wreszcie można było zamoczyć kawałki chleba w polewce. Była znakomita, gęsta, z soczewicy, rozgotowanej fasoli, papryki i przypraw. Na dokładkę dla każdego były suszone figi, ile kto chciał, i można było je pogryzać, łagodząc ostry smak polewki, i wszystko to bardzo mi smakowało. Myślałem tylko o jedzeniu. Kleofas też trochę zjadł, co wszystkich ucieszyło.

Był to pierwszy porządny wieczorny posiłek od dnia, w którym opuściliśmy Aleksandrię. Bardzo obfity. Zjadłem tyle, że nie byłem w stanie przełknąć nic więcej.

A potem Kleofas chciał porozmawiać tylko ze mną i kazał wszystkim odejść. Ciotka Miriam znowu uniosła ręce w geście rezygnacji i poszła chwilę odpocząć, by potem zabrać się do sprzątania po posiłku. Ciotka Salome miała przy sobie Małego Jakuba i inne dzieci. Mała Salome pomagała dorosłym, zajmując się Esterką i Małym Zokerem, których bardzo kochała.

Matka podeszła do Kleofasa.

— Co chcesz mi powiedzieć? — spytała. Usiadła przy wuju, nie tuż obok niego, ale dość blisko. — Dlaczego chciałeś, żebyśmy odeszli na bok? — mówiła łagodnym tonem, ale widać było, że czegoś się obawia.

— Ty też odejdz — powiedział do niej wuj. Mówił tak, jakby był pijany, ale przecież nie był, wypił najmniej wina ze wszystkich. — Chodź tu do mnie, Jezusie, jak najbliżej, powiem ci wszystko na ucho.

Matka nie posłuchała wuja.

— Tylko go nie kuś — powiedziała.

— O co ci chodzi? — oburzył się Kleofas. — Myślisz, że przybyłem do Miasta Świętego Jerozolimy, żeby go kusić?

Potem ścisnął mnie mocno za ramię. Miał gorące palce.

— Coś ci powiem — zaczął. — Zapamiętaj to dobrze. Niech ci to zapadnie w serce razem z Prawem, słyszysz? Kiedy powiedziała mi, że przyszedł anioł, uwierzyłem jej. Anioł przyszedł do niej, a ja jej uwierzyłem.

Anioł, anioł, który przybył do Nazaretu. Przyszedł do niej. To o tym mówił jeszcze na statku, czy nie tak? Ale co to miało znaczyć?

Matka wpatrywała się w niego badawczo. Twarz miał mokrą od potu, a oczy szeroko otwarte. Widziałem wyraźnie trawiącą go gorączkę i czułem bijące od niego ciepło.

Mówił dalej:

— Wierzyłem jej. W końcu jestem jej bratem. Miała trzynaście lat, była zaślubiona Józefowi i mówię ci, że nigdy nie oddalała się od domu, zawsze ją widzieliśmy i niemożliwe, żeby z kimś

przebywała na osobności, wiesz, o co mi chodzi, z mężczyzną. Nie było takiej możliwości, ja, jej brat, ci to mówię. Pamiętaj, co ci powiedziałem. Wierzyłem jej. — Przerwał, odchylił się do tyłu i położył na leżących za nim zwiniętych płaszczach. — Młoda dziewczyna, dziewica w służbie Świątyni w Jerozolimie, gdzie tkala zasłonę razem z innymi, także wybranymi, a potem mieszkała cały czas u nas i ani na chwilę nie straciliśmy jej z oczu.

Jego ciało przebiegł dreszcz. Spojrzał na moją matkę i nie odrywał od niej oczu. Odwróciła głowę, a potem odeszła, lecz niezbyt daleko. Usiadła plecami do nas, obok swej kuzynki Elżbiety.

Elżbieta spoglądała uważnie na Kleofasa i na mnie. Nie wiedziałem, czy słyszała coś z tego, co mówił.

Ja zostałem na miejscu. Spoglądałem na leżącego wuja. Jego pierś podnosiła się i opadała wraz z każdym świszczącym oddechem, a ciałem znowu wstrząsnął dreszcz.

Mój umysł pracował gorączkowo, gdy starałem się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem na swój temat i co pomogłoby mi nadać jakiś sens temu, co powiedział wuj. Umysł dziecka, które dorastało, śpiąc w jednym pomieszczeniu z mężczyznami i kobietami, nie oddzielonym drzwiami ani zasłonami od innych pomieszczeń, a czasami w upalne letnie dni śpiącego na dworze, żyjącego cały czas z innymi, słyszącego i widzącego mnóstwo rzeczy.

Wciąż intensywnie myślałem, ale trudno mi było ułożyć jakąś sensowną całość z tego, co usłyszałem.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem: uwierzyłem! — powtórzył wuj.

— Ale nie jesteś pewien, prawda? — wyszeptalem do niego.

Otworzył szeroko oczy i jego twarz przybrała nagle zupełnie inny wyraz, jakby budził się z gorączki.

— Józef też nie jest pewien, prawda? — spytałem szeptem. — I dlatego nigdy nie kładzie się obok niej.

Wypowiedziałem te słowa, nim zdążyłem pomyśleć. Zaskoczyły mnie równie mocno jak wuja. Przebiegł mnie zimny dreszcz i poczułem na całym ciele gęsią skórę. Ale nie próbowałem zmienić tego, co powiedziałem.

Wuj podniósł się, oparł na łokciu i przybliżył twarz do mojej twarzy.

— Przeciwnie — powiedział, z trudem łapiąc oddech. — Nigdy się do niej nie zbliża właśnie dlatego, że wierzy. Naprawdę tego nie widzisz? Jak mógłby dotknąć jej po czymś takim? — Uśmiechnął się, a potem zaśmiał półgłosem, jak zawsze, lecz tym razem nikt tego nie słyszał. — A ty? — ciągnął dalej. — Czy nie musisz dorosnąć, nim wypełni się proroctwo? Tak, musisz. I czy nie musisz najpierw być dzieckiem, nim staniesz się mężczyzną? Tak. Bo jak

inaczej? — Wyraz jego oczu się zmienił, tak jakby nagle widzenie w jego wyobraźni się skończyło. Znów łapiąc z trudem oddech, dodał: — Tak samo było z królem Dawidem. Został namaszczoney, a potem posłany z powrotem do trzód jako pasterz, pamiętasz? Aż do dnia, kiedy posłał po niego Saul. Aż do dnia, kiedy posłał po niego Pan i Bóg! Nie widzisz, że dlatego właśnie nie potrafią tego pojąć? Nie pojmują, że musisz dorosnąć jak każde dziecko! I dlatego tak często nie wiedzą, co z tobą począć. Tak, jestem tego pewien! I zawsze byłem!

Wyczerpany padł z powrotem na płaszcz, nie będąc w stanie mówić dalej, lecz nadal na mnie spoglądał. Uśmiechnął się i znów usłyszałem jego cichy śmiech.

— Dlaczego się śmiejesz? — spytałem. Wzruszył ramionami.

— Bo mnie to bawi — odparł. — Właśnie tak, bawi. Czy to ja widziałem anioła? Nie. Może gdybym widział, tobym się nie śmiał, a może przeciwnie, śmiałbym się jeszcze bardziej. Poprzez śmiech rozmawiam ze światem, pewnie tak... Pamiętaj o tym. Posłuchaj ich, tam, na dole. Na tej ulicy i na innych ulicach. Chcą sprawiedliwości. Chcą zemsty. Słyszałeś? „Herod zrobił to, Herod zrobił tamto”. Ukamienowali żołnierzy Archelaosa! Czy to wszystko ma dla mnie jakieś znaczenie? Najbardziej chciałbym chociaż przez kwadrans oddychać bez tego bólu w piersiach.

Wyciągnął ku mnie rękę, szukając mojej głowy. Przyciągnął ją ku sobie, a ja nachyliłem się i pocałowałem go w policzek.

Niech odejdzie od niego ten ból.

Wciągnął powietrze w płuca, przymknął oczy i wydawało mi się, że zasnął. Oddychał teraz powoli i bez trudu. Położyłem dłoń na jego piersi i poczułem, jak bije mu serce. Trochę mocy, tylko na chwilę. Czy chcę czegoś złego?

Potem wstałem i poszedłem na skraj dachu. Chciało mi się płakać. Co takiego zrobiłem? Może nic? Ale to chyba nie było nic. A to wszystko, co mi mówił, co to miało znaczyć? Jak to rozumieć?

Chciałem znać odpowiedzi na te pytania, lecz jego słowa zrodziły we mnie tylko jeszcze więcej pytań i zaczynała mnie boleć głowa. Bałem się.

Usiadłem i oparłem się o niewysoki murek. Niewiele spoza niego widziałem. Teraz, kiedy wszystkie rodziny siedziały zbite w ciasne gromadki i słychać było zewsząd gwar rozmów lub kołysanki nucone cicho dzieciom, wydawało mi się, że nikt mnie nie widzi.

Było już ciemno i wokół płonęły pochodnie, słychać było radosne okrzyki i muzykę. Płonęły ogniska, już nie do gotowania stawy, ale by ogrzać siedzących przy nich ludzi, ponieważ zrobiło się chłodno. Mnie także było zimno. Przez chwilę chciałem zobaczyć, co się dzieje na dole, ale potem odeszła mi na to ochota. Było mi to zupełnie obojętne.

Do mojej matki przyszedł anioł. Anioł. Nie byłem synem Józefa.

W pewnej chwili ktoś szarpnął mnie za ramię i ujrzałem nad sobą twarz ciotki Miriam. Zapłakana przykucnęła przy mnie i łamiącym się głosem spytała:

— Możesz go uleczyć?

Byłem tak zaskoczony jej pytaniem, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Podeszła do nas matka i próbowała ją odciągnąć. Stały nad moją głową, ich szaty ocierały się o moją twarz, a kobiety szeptały coś między sobą z gniewem.

— Nie możesz prosić go o coś takiego — mówiła matka. — Jest dzieckiem i dobrze o tym wiesz!

Ciotka Miriam szlochała. Co mogłem jej odpowiedzieć?

— Nie wiem! — powiedziałem głośno. — Nie wiem! — powtórzyłem.

Teraz i ja płakałem. Podciągnąłem kolana pod brodę i przyłgnałem mocniej do glinianego murku. Potem otarłem dłonią łzy.

Matka i ciotka odeszły.

Rodziny znajdujące się najbliżej nas rozsiadły się kręgiem, kobiety zaczęły układać dzieci do snu. Pod nami jakiś mężczyzna grał na piszczałce, a inny wtórował mu śpiewem. Najpierw dźwięki dobiegały do mnie wyraźnie, potem nagle ucichły.

Z powodu mgły unoszącej się nad miastem nie widziałem gwiazd. Za to widok rozsianych po całym mieście pochodni i ich migoczących płomieni u podnóży i na szczytach wzgórz, a przede wszystkim widok Świątyni górującej nad wszystkim i także rozświetlonej pochodniami, nie pozwalał mi skupić się na czymkolwiek innym.

Wówczas nasza mnie myśl, że gdybym był w Świątyni, mógłbym się pomodlić i prosić o zrozumienie nie tylko tego, co powiedział mi wuj, ale wszystkiego, co usłyszałem.

Wróciła matka. Przy murku było jeszcze miejsce, więc przysiadła na piętach naprzeciwko mnie. Jej zwróconą w stronę Świątyni twarz rozświetlał blask pochodni.

— Posłuchaj mnie — powiedziała.

— Słucham — odparłem bezwiednie po grecku.

— To, co miałam ci powiedzieć, powinno było poczekać — mówiła teraz także po grecku.

Mimo hałasu dobiegającego z ulicy i gwaru rozmów na dachu słyszałem wyraźnie każde jej słowo.

— Ale stało się inaczej. Mój brat już się o to postarał. Gdyby tylko umiał cierpieć w milczeniu... Ale on nigdy nie potrafił niczego robić w milczeniu. I dlatego teraz ci o tym mówię. Słuchaj uważnie. Nie wypytuj o mnie. Rób tak, jak ci kazał Józef. Ale posłuchaj tego, co ci teraz powiem.

— Słucham — powtórzyłem.

— Nie jesteś dzieckiem anioła.

Skinąłem głową. Pochyliła się w moją stronę, a w jej oczach odbijał się wyraźnie płomień pochodni. Milczałem.

— Anioł powiedział mi... że ogarnie mnie moc Pana. I cień Pana ogarnął mnie. Czułam to. A po jakimś czasie poczułam w sobie nowe życie i to byłeś ty.

Nic na to nie powiedziałem.

Matka spuściła głowę.

Hałas miasta już ucichł. W blasku pochodni wyglądała bardzo pięknie. Pewnie tak pięknie jak Sara w oczach faraona lub Rachel w oczach Jakuba. Moja matka była bardzo piękna. Skromna, lecz piękna. I nie zmieniały tego ani zasłony na twarz mające ukryć jej urodę ani to, że schylała głowę lub się rumieniła.

Chciałem znaleźć się na jej kolanach, w jej ramionach, ale nie wykonałem żadnego ruchu. W tej chwili nie należało nic robić ani mówić.

— I tak właśnie było — dokończyła, podnosząc głowę i patrząc na powrót w moją twarz. — Nigdy nie obcowałam z mężczyzną, ani wówczas, ani teraz, i nigdy nie będę tego robić. Jestem poświęcona Panu.

Znowu skinąłem głową.

— Nie potrafisz tego zrozumieć, prawda? Nie pojmujesz tego, co próbuję ci powiedzieć.

— Pojmuję — odparłem. — Rozumiem wszystko.

Że Józef nie jest moim ojcem, to wiedziałem. Nigdy nie nazywałem go ojcem. Oczywiście jest nim zgodnie z Prawem i poślubił moją matkę, ale nie jest moim prawdziwym ojcem. A matka zawsze bardziej przypominała młodą dziewczynę, inne kobiety były jak jej starsze siostry. To wszystko wiedziałem, oczywiście, że tak.

— Dla Pana nie ma nic niemożliwego — powiedziałem. — Pan uczynił Adama z prochu ziemi. Adam nawet nie miał matki. Pan może stworzyć dziecko bez ojca. — Wzruszyłem ramionami.

Pokręciła z rezygnacją głowę. Teraz nie wyglądała jak dziewczyna, ale nie przypominała też żadnej innej zwykłej kobiety. Mówiła cicho, niemal ze smutkiem, a jej kolejne słowa brzmiały tak, jakby to nie ona je wypowiadała.

— Chociażby nie wiadomo co mówili ci w Nazarecie, zawsze pamiętaj o tym, co usłyszałeś tej nocy.

— A będą mówić? Przymknęła oczy.

— To dlatego nie chcesz wracać do Nazaretu? — spytałem.



Z jej piersi wydobyło się głębokie westchnienie i zakryła dłonią usta. W jej oczach widać było ogromne zdumienie, a potem odetchnęła głęboko i wyszeptała łagodnym głosem:

— Nie zrozumiałeś ani słowa z tego, co ci powiedziałam. — Widać było, że bardzo ją to zabolalo. Mialem wrazenie, że za chwile się rozplacze.

— Nie, mamusiu, naprawde, wszystko rozumiem — rzucilem pospiesznie. Nie chcialem jej ranic. — Pan moze wszystko uczynic.

Na jej twarzy odmalowalo sie rozczarowanie, ale po chwili spojrzala mi w oczy i pewnie przez wzglad na mnie usmiechnela sie.

— Mamusiu. — Wyciagnalem do niej reke.

W glowie dudnilo mi od myśli. Wróble z gliny, martwy Eleazar lezacy na piasku, a potem podnoszacy sie z maty, znów zywy, i tyle innych rzeczy, które trudno mi bylo ogarnac, za duzo, mój umysl nie byl w stanie ich pomiescic. I słowa Kleofasa, a co takiego mialy one znaczc? „Musisz dorosnac jak kazde dziecko. Czy nie tak bylo z Malym Dawidem, który wrócił do trzód, nim go na powrot wezwali? Nie zasmucaj jej”.

— Rozumiem. Pojmuję wszystko — powiedzialem i usmiechnalem sie do matki lekko, tak usmiechalem sie tylko do niej, jeśli mial to byc mój dar dla niej. Teraz byl to bardziej nasz znak porozumiewawczy. Ona tez miala usmiech przeznaczony tylko dla mnie. Łagodny i delikatny.

Teraz, kiedy zrzucila juz z serca wszystkie przeszle wydarzenia, wyciagnela do mnie reke.

Podnioslem sie z piet i nadal klęczac, przysunalem sie do niej, a ona przytulila mnie mocno do siebie.

— To na razie wystarczy — powiedziala. — Wystarczy ci moje slowo — wyszeptała mi do ucha.

Po chwili wstalismy i wrócilismy do reszty rodziny.

Pozolyłem sie na posłaniu z ubrań, a matka mnie przykryła. Lezac pod gwiazdami i slyszac spiewy dobiegajace z miasta i ciche nucenie Kleofasa, zasnamłem glębokim snem.

Bylo to najdalsze miejsce, do którego mogłem sie udac.

## V

Następnego ranka uliczki były tak zatłoczone, że trudno się było przemieszczać, a przecież wszyscy, nie wyłączając matek z niemowlętami na rękach, kierowali się ku Świątyni.

Kleofas wypoczął w nocy i czuł się odrobinę lepiej, wciąż jednak był bardzo słaby i trzeba go było całą drogę podtrzymywać.

Siedziałem na ramionach Józefa, a Salome na ramionach wuja Alfeusza. Udało się nam chwycić za ręce i tak oglądaliśmy w zachwycie, jak rzeka ludzi niesie nas krętymi uliczkami, przez sklepione przejścia, aż w końcu dotarliśmy do wielkiej otwartej przestrzeni przed ogromnymi schodami i wznoszącymi się w górę złotymi murami Świątyni.

Wówczas się rozdzieliliśmy — osobno mężczyźni, osobno kobiety i dzieci — i zaczęliśmy posuwać się wolno do miejsca, w którym znajdowały się mykwy, by obmyć się starannie przed wejściem w obręb świątynnych murów.

Nie był to pełen rytuał związany ze Świętem Paschy. Na ten składały się bowiem trzy obmycia, a pierwszym było pokropienie mężczyzn krwią na terenie Świątyni, które miało się odbyć właśnie dzisiaj.

Po prostu chcieliśmy się odświeżyć po długiej podróży z Egiptu, a także przygotować w ten sposób do wejścia na teren Świątyni. Wszystkie nasze rodziny chciały się więc obmyć w mykwach, chociaż nie było to wymagane przez Prawo.

Zajęło nam to sporo czasu. Woda była zimna i z radością włożyliśmy na powrót ubrania i wyszliśmy na światło dnia, by się przyłączyć do kobiet. Znowu mogłem się zobaczyć z Małą Salome i chwyciliśmy się za ręce.

Wydawało się, że tłum wciąż gęstnieje, chociaż nie potrafiłem pojąć, jak na tej przestrzeni może się zmieścić jeszcze więcej ludzi. Niektórzy śpiewali psalmy po hebrajsku, inni modlili się z przymkniętymi oczyma. A inni po prostu rozmawiali. Dzieci, jak to dzieci, płakały.

Józef ponownie posadził mnie sobie na ramionach i zaczęliśmy się wspinać po schodach, oślepiani słońcem odbijającym się od świątynnych murów.

Kiedy szliśmy po stopniach w górę, każdy, nie wyłączając mnie, był pod wrażeniem ogromu budowli, a zachwyt i podziw tłumu zdawały się modlitwą, chociaż nią nie były.

Wydawało się niemożliwe, że to ludzie wzniesli tak wysokie mury, nie mówiąc o ozdobieniu ich śnieżnobiałym marmurem. Nasze głosy odbijały się echem, a kiedy dotarliśmy na górę i posuwając się wolno, przeszliśmy przez bramy, ujrzałem nagle poniżej, na dziedzińcu, żołnierzy, wśród nich paru jeźdźców.

Nie byli to Rzymianie, a ja nie wiedziałem, jacy to żołnierze. Jednak tłum najwyraźniej nie darzył ich sympatią. Nawet stąd widziałem, że ludzie wygrażali im pięściami i że poleciało w ich stronę kilka kamieni, a spłoszone konie zaczęły niespokojnie przebierać kopytami.

Nie mogłem już znieść tego nieustannego czekania.

Wydaje mi się, że chciałem, by Józef przedostał się z nami jak najszybciej przez bramę. Ale on zawsze ustępował innym. Poza tym musieliśmy trzymać się razem, a to znaczy, że musieliśmy mieć na względzie nie tylko naszą rodzinę, lecz także Zebedeusza i jego krewnych, a także Elżbietę i Małego Jana, i wszystkich kuzynów, których imion nawet nie pamiętałem.

Wreszcie przeszliśmy przez bramy i ze zdziwieniem spostrzegłem, że znaleźliśmy się w długim sklepionym przejściu. Trudno było w ciemnościach zobaczyć i podziwiać piękne zdobienia na ścianach. Modlitwy odbijały się echem od murów i sklepienia. Włączałem się do modlitw, ale przede wszystkim rozglądałem się dokoła, czując, jak z przejęcia zaczyna mi brakować tchu w piersiach, tak jak wtedy, kiedy Eleazar kopnął mnie tak mocno, że przez chwilę nie mogłem oddychać.

Wreszcie wyszliśmy na ogromną otwartą przestrzeń pierwszego dziedzińca Świątyni i z piersi wszystkich wyrwał się radosny okrzyk.

Po obu stronach jak okiem sięgnąć ciągnęły się portyki, cały dziedziniec nieustannie przemierzali ludzie, przed nami zaś, w oddali, wznosiły się mury Świątyni. Ludzie stojący na dachach byli tak mali, że z naszego miejsca nie byłem w stanie dostrzec wyraźnie ich twarze, tak ogromna była budowla, w której się znajdowaliśmy.

Z drugiego końca dziedzińca dolatywały nas zapachy i odgłosy zwierząt sprzedawanych na ofiarę, a w uszach narastał wszechobecny gwar.

Nastrój tłumu był zupełnie inny niż przed chwilą. Wszyscy byli szczęśliwi, że się tu znaleźli, a dzieci śmiały się radośnie.

Słońce świeciło jasno i mocno, nie tak jak w ciasnych uliczkach miasta. Powietrze przesycone było świeżością i słodyczą.

Słyszałem także konie, nie stukot kopyt, ale parskanie, kiedy koniom ściąga się cugle. Słyszałem też krzyki.

Przez chwilę nie zwracałem na nie uwagi, bo pochłonął mnie bez reszty widok majestatycznych, lśniących, wyrastających przede mną murów otaczających osobne dziedzińce dla kobiet i mężczyzn. Byłem jeszcze za mały, żeby pójść na dziedziniec dla mężczyzn, i wiedziałem, że dzisiaj pozostanę z kobietami. Ale będę mógł widzieć mężczyzn, kiedy arcykapłan będzie skrapiał ich krwią w czasie pierwszego oczyszczenia.

Wszystko to budziło mój zachwyt, a sam fakt, że przebywałem właśnie tutaj, był dla mnie czymś tak cudownym, że brakowało mi słów, by to opisać. Wiedziałem, że wokół mnie tłoczy się ludzie, którzy przybyli tutaj ze wszystkich stron imperium właśnie na ten dzień, i było tak wspaniale, jak się tego wszyscy spodziewaliśmy. Kleofas trzymał się przy życiu tylko po to, by być właśnie tutaj w tym dniu. By zostać oczyszczonym i zjeść Paschę razem z nami. Może dożyje nawet szczęśliwego powrotu do domu.

Była to nasza Świątynia i Świątynia Boga. Wspaniale było móc wejść w jej mury i czuć obecność Pana.

Ludzie chodzili po dachu odległych portyków i po innych dachach i — jak mówiłem — wydawali się stąd bardzo mali. Nawet ich głosy nie docierały do nas, ale z pewnością krzyczeli, bo widać było, jak wymachują przy tym rękoma.

Nagle falujący tłum pchnął nas w jedną, a potem w drugą stronę. Myślałem, że Józef się przewróci, ale udało mu się zachować równowagę.

Z ust wszystkich zgromadzonych wydobył się krzyk trwogi.

Mężczyźni wołali coś głośno, a kobiety zaczęły przeraźliwie krzyczeć. Wydaje mi się, że dzieciom w pierwszej chwili się to podobało. Ciągle siedziałem na ramionach Józefa, który z powodu ogromnego ścisku nie mógł wykonać żadnego ruchu.

Wówczas ujrzałem zmierzających w naszą stronę z przeciwległej strony dziedzińca uzbrojonych jeźdźców. Tłum rozstępował się przed nimi, a potem zamykał, jak woda. Matka i ciotka Miriam krzyczały, Mała Salome też krzyczała i chciała podać mi rękę, ale dzieliła nas zbyt wielka odległość.

Większość ludzi wołała coś po aramejsku, ale wielu krzyczało też po grecku.

— Wychodźcie z dziedzińca! Wychodźcie! — krzyczeli mężczyźni, ale nadaremnie, bo nie było dokąd się przesunąć. Raptem usłyszałem beczenie owiec, jakby ktoś nagle zaczął pędzić wszystkie zwierzęta. Potem dołączył do tego przeraźliwy ryk krów i wołów.

Zbliżający się jeźdźcy unieśli włócznie. Nie byliśmy w stanie przesunąć się ani o krok.

I wówczas, nie wiadomo skąd, poleciał w ich stronę grad kamieni.

Wszyscy krzyczeli. Widziałem, jak jeden z żołnierzy, ugodzony kamieniami, zaczął osuwać się z konia. Zaraz wyciągnęło się ku niemu kilkanaście par rąk i ściągnęło go w tłum. Jakiś mężczyzna w opończy wdrapał się na wierzchowca i wdał w walkę z innym żołnierzem, który ugodził go dwa razy w brzuch mieczem. Z nieszczęśnika chlusnęła krew.

Miałem wrażenie, że przestałem oddychać. Znowu czułem się tak samo jak wtedy, kiedy kopnął mnie Eleazar. Otworzyłem usta, lecz nie mogłem zaczerpnąć tchu. Józef próbował mnie

ściągnąć z ramion, lecz tłum napierał z taką siłą, że nie był w stanie tego zrobić, a ja nie chciałem zejść. Choć wszystko to było przerażające, chciałem to widzieć.

Ze wszystkich stron popłynęły modlitwy, ale nie były to psalmy radości, lecz wołanie o pomoc, o wybawienie. Niektórzy z pielgrzymów zaczęli upadać na ziemię.

To samo działo się na całym dziedzińcu. Potem wszyscy znowu się przesunęliśmy, jakby przez tłum przechodziła ogromna fala.

Józef sięgnął w górę i z pomocą innych rąk podniósł mnie nad głowę i zaczął powoli opuszczać na ziemię, trzymając ze wszystkich sił, gdy tymczasem tłum napierał i krzychał.

Kiedy wreszcie stanąłem na marmurowej posadzce, nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, a tunika zaplątała mi się między ludzi stojących przede mną i za mną.

— Salome! — zawołałem. — Salome!

— Jeszua! — odrzyknęła po aramejsku. — Daj mi rękę! Widziałem jej głowę, kiedy próbowała przecisnąć się w moją stronę przez otaczający ją tłum, niczym zmagający się z wodą pływak.

Pociągnąłem ją ze wszystkich sił ku sobie, przed Józefa. Nad głowę usłyszałem cichy śmiech wuja Kleofasa. Stał przede mną i śmiał się, tak jak zwykle.

Tłum przesunął się do przodu, potem w bok, i straciliśmy równowagę — zaczęliśmy się przewracać. Czyjeś ręce szarpnęły mnie w dół, a ja pociągnąłem Małą Salome, przycisnąłem ją do siebie i osłoniłem jej głowę rękami.

— Uklękajcie i nie ruszajcie się! — rozkazał nam Józef.

Co innego mogliśmy robić? Klęczeliśmy już od dłuższej chwili, pochyleni ku ziemi. Usłyszałem głos matki:

— Synu, mój synu!

Józef i Kleofas wyciągnęli ramiona i modlili się do Pana. Przytrzymując prawą ręką Salome, lewą wyrzuciłem w górę.

— Panie, jesteś moją ucieczką! — wołał Józef.

Kleofas odmawiał inną modlitwę.

— Wyciągam ręce do Ciebie, Panie! — mówiła matka.

Mała Salome krzychała:

— Panie, ratuj mnie! Wszyscy wokół wzywali Pana.

— Niech niegodziwcy wpadną we własne sidła! — wołał tuż obok mnie Jakub.

— Wybaw mnie, Panie, wybaw od wszelkiego zła wokół mnie — modliłem się, lecz nie słyszałem własnego głosu. Modlitwy stawały się coraz głośniejsze i zlewały w ogłuszający szum, w którym ginęły krzyki przerażonych ludzi i odgłosy walki.

Ryk wołów stawał się nie do zniesienia, a cienki, piskliwy wrzask kobiet ranił uszy.

Przełamując strach, podniosłem na chwilę głowę i ujrzałem, że wszyscy wokół klęczą pochyleni ku ziemi. Zebedeusz wstał, by błagać Pana, po czym zgiął się w pokłonie, tak samo robiło wielu mężczyzn, tylu, że nie mogłem ich zliczyć.

Niektórzy próbowali przedostać się przez morze schylonych w modlitwie ludzi, rozgarniając rękoma pochylone ramiona i plecy i starając się jak najszybciej opuścić dziedziniec.

Przez chwilę leżałem przygnieciony przez innych do marmurowej posadzki, cały czas ochraniając rękoma głowę Małej Salome.

Rozpaczliwym wysiłkiem woli, szamocząc się, podniosłem się i tak długo przepychałem i napierałem, aż przedostałem się pod bijącego pokłony Józefa. Potem podniosłem się lekko i patrzyłem.

Ujrzałem przed sobą rozległą przestrzeń dziedzińca. Daleko przed nami ludzie biegali we wszystkich kierunkach, truchtały spłoszone owce, a jeźdźcy szarżowali na pielgrzymów, którzy nawet klęcząc lub pochylając się w modlitewnym pokłonie, ciskali kamieniami w jeźdźców.

W paru miejscach dostrzegłem ludzi leżących bezładnie jeden na drugim, jakby byli nieżywi.

Psalmy wznosiły się do nieba.

— „Wybaw mnie, Panie, do Ciebie się uciekam!” „Wołam do Ciebie, Panie!”

Uzbrojeni jeźdźcy gnali za mężczyznami i kobietami biegnącymi wprost na nas.

— Józefie, uważaj! — krzyknęła matka. — Trzymaj go! Zasłoń!

Uwolniłem się od rąk, które chciały mnie pociągnąć w swoją stronę.

Ludzie biegli, deptając po tych, którzy pochylali się w pokłonie, tak jakby przeskakiwali z kamienia na kamień w strumieniu. Pograżeni w modlitwie jęczeli i wydawali przeraźliwe okrzyki. Nagle w oddali pojedynczy jeździec skierował konia w naszą stronę i ruszył, zostawiając po obu stronach padających pokotem ludzi.

Poczułem na głowie i plecach ręce Józefa, popychające mnie na ziemię. Słyszałem zbliżające się parskanie konia i stukot kopyt.

Dotknąłem policzkiem chłodnego marmuru posadzki.

Kątem oka dostrzegłem pęciny wierzchowca, a kiedy koń się cofnął, ujrzałem, jak jeden z pochylonych dotąd mężczyzn wyprostował się, wyjął zza opończy kamień i rzucił w stronę jeźdźcy. Zawołał przy tym po grecku:

— Nie ma innego, kto miałby prawo rządzić nami poza Panem! Powiedz to Herodowi! Powiedz to Cezarowi!

Potem w kierunku żołnierza poleciał jeszcze jeden kamień wydobyty spod opony, a potem następny.

Lecz w tej chwili włócznia jeźdźca wbiła się w pierś mężczyzny i przebiła go na wylot.

Mężczyzna wypuścił z ręki kamień i osunął się na ziemię z szeroko otwartymi oczyma.

Matka zaczęła szlochać. Mała Salome krzyczała przeraźliwie:

— Nie patrz tam! Nie patrz!

Ale czy miałem odwrócić się od tego człowieka w jego ostatnich chwilach? Czy miałem nie zwracać uwagi na jego śmierć?

Żołnierz pociągnął włócznię, a razem z nią szarpnął mężczyznę.

Z ust śmiertelnie ranionego wypłynęła strużka krwi.

Bezwładne ciało zataczało się to w jedną, to w drugą stronę, a kiedy żołnierz wydobył wreszcie włócznię, upadło na ziemię.

Jeździec zawrócił konia i znalazł się teraz na wprost nas, spoglądając mi prosto w oczy.

Nie widziałem szalejącego konia, słyszałem tylko jego rzenie i parskanie, a potem ujrzałem, jak w stronę żołnierza wyciągnęło się kilkanaście par rąk, chwyciło go w żelaznym uścisku i ściągnęło na ziemię z wierzchowca, który pogalopował w swoją stronę.

Ciało żołnierza zniknęło w kłębiącym się tłumie i w ruch poszły pięści.

Mężczyźni z naszej rodziny pochylili się w modlitwie.

Umierającemu pielgrzymowi, nawet jeśli słyszał lub domyślał się, co się dzieje na dziedzińcu, było to obojętne.

Nie widział nas. Nie widział żołnierza. Krew z jego ust sączyła się na kamienie.

Ci, którzy ściągnęli żołnierza, podnieśli się i rozpierzchli. Coraz więcej ludzi zaczynało biec, ale jeszcze więcej pozostawało na kolanach i wciąż się modliło.

Żołnierz leżał zakrwawiony i nie ruszał się.

Przed chwilą jeszcze na mnie spoglądał, a teraz wyciągnął rękę, lecz zaraz jego ramię opadło bezwładnie i skonał.

Między leżącym żołnierzem a nami przebiegli znowu jacyś ludzie. Z dala dochodziło beczenie owiec.

Poczułem, że matka traci równowagę, i próbowałem ją przytrzymać, ale bezskutecznie, i osunęła się na ziemię z zamkniętymi oczyma.

Nad naszymi głowami znowu przeleciały ciskane zewsząd kamienie. Czy wszyscy, którzy przybyli do Świątyni, zaopatrzyli się w nie, wiedząc, że wybierają się na wojnę?

Teraz grad kamieni posypał się na nasze plecy i głowy.

Kiedy Józef wyciągnął w górę ramiona i zaintonował śpiew, wydostałem się spod niego i klęcząc, rozejrzałem się dokoła.

Tłum się przerzedził. Wszędzie leżały bezwładne ciała, jedno na drugich, niczym zakrwawiona wełna owiec, którą mają płukać w wodzie.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrziałem, ludzie walczyli ze sobą i ginęli.

Na dachach przepięknych portyków widać było niewielkie, poruszające się sylwetki odcinające się wyraźnie na tle jasnego nieba. Żołnierze zatapiaли miecze w ciałach tych, którzy próbowali dosięgnąć ich pałkami.

Niedaleko nas, w miejscu, gdzie dziedziniec już prawie opustoszał, jakiś mężczyzna próbował zaatakować żołnierza i nadział się na wyciągniętą w jego stronę włócznię, która przebiła go na wylot. Kobiety biegły do zmarłych, żeby ich oplakiwać. Było im obojętne, gdzie się znajdują. Zawodziły, chwytając się za głowy, a z ich piersi wydobywał się przeciągły, bolesny jęk. Żołnierze zostawiali je w spokoju.

Nikt jednak nie podszedł do mężczyzny, który zginął od włóczni żołnierza tuż obok nas i leżał teraz na boku, z zakrwawionymi ustami, wpatrując się przed siebie szeroko otwartymi, niewidzącymi oczyma. Ten leżał zupełnie sam.

Wreszcie cały dziedziniec zaroił się od żołnierzy w lśniących zbrojach. Było ich tak wielu, że nie potrafiłem policzyć. Już nie jeźdźcy, lecz piechurzy wkroczyli w tłum. Posuwali się między klęczącymi rodzinami i podchodzili coraz bliżej z lewej i prawej strony.

Pielgrzymi ciskający kamieniami zniknęli.

— Módl się! — rzucił w moją stronę Józef, przerywając na chwilę modlitewny śpiew.

Zrobiłem, jak kazał. Wyciągnąłem w górę ramiona i zacząłem się modlić.

— A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka.

Po chwili na drugim krańcu dziedzińca pojawili się i zaczęli zmierzać wolno ku nam kolejni jeźdźcy. Krzyczeli coś do nas po grecku podniesionymi głosami. Z początku nie słyszałem ich wyraźnie, lecz po chwili któryś, jadąc stępą, znalazł się całkiem blisko nas.

— Idźcie stąd! Idźcie do domów! — krzyczał. — Wynoście się z Jerozolimy! Taki jest rozkaz króla!



## VI

Zapanowała cisza przerywana jednak krzykami, szlochami, stukotem kopyt, rżeniem koni i okrzykami żołnierzy rozkazujących nam opuścić dziedziniec.

Na dachach portyków leżały porzucone ciała zabitych. O ciało mężczyzny, który zginął obok nas, też nikt się nie zatroszczył. Wszędzie chodziły luzem owce, baranki bez skazy, które miały być złożone w paschalnej ofierze. Próbowali je łapać biegający za nimi mężczyźni. Starali się także zagonić w jedno miejsce woły, które wciąż ryczały, i ten ryk najbardziej wdzierał się w uszy.

W końcu podnieśliśmy się z kolan, najpierw Józef, a my wszyscy za nim. Kleofas z trudem utrzymywał równowagę, lecz mimo to ciągle śmiał się z cicha, tak jednak, by nie słyszał tego żaden z żołnierzy.

Ciotki Salome i Ester podtrzymywały za ramiona moją matkę, która osuwała się na ziemię, jęcząc. Józef chciał do niej podejść, lecz dzieci płały mu się pod nogami. Ja trzymałem za rękę Małą Salome.

— Mamusiu, musimy iść — powiedziałem, stając tuż obok matki. — Mamusiu, obudź się! Idziemy.

Próbowała się pozbierać, ale ostatecznie ciotki musiały ją prowadzić, delikatnie popychając przed sobą. Wuj Alfeusz pochylał się nad Sylasem i Lewim, którzy zadawali mu szeptem pytania. Nie słyszałem, o co pytali. Obaj skończyli już czternaście lat i z pewnością odbierali to wszystko inaczej niż my, młodsze dzieci.

Resztki tłumnie zebranych pielgrzymów ruszyły w stronę bramy.

Tylko Kleofas, niczym żona Lota, stanął, odwrócił się i patrzył.

— Spójrzcie tam — mówił tak głośno, że mógł go usłyszeć każdy, kto przechodził. — Tam są kapłani. — Wskazał na mury okalające wewnętrzny dziedziniec. — Zachowali na tyle zimnej krwi, że zdążyli się schronić. A może wiedzieli, że żołnierze nas zaatakują?

Widziałem ich pierwszy raz w życiu. Stali całą grupą wysoko, na murze, nad bramami, i mogli obserwować wszystko z góry. Z tej odległości trudno było dojrzeć ich wyraźnie, ale chyba mieli na sobie kosztowne szaty i tiary, a może tylko tak mi się wydawało.

Co sobie myśleli, spoglądając na pobojuwisko? I kto przyjdzie po zabitego pielgrzyma? W jaki sposób zostanie zmyta ta krew? Cała Świątynia została nią zbezczeszczona. Trzeba będzie dokonać oczyszczenia całego przybytku.

Nie było teraz czasu na takie rozważania, a poza tym chciałem się jak najszybciej stamtąd wydostać. Jeszcze się nie bałem, tylko chłonałem wszystko otwartymi szeroko oczyma. Lęk miał przyjść później.

Za nami postępowali żołnierze, poganiając nas okrzykami. Najpierw wołali po grecku, potem po aramejsku.

Ci sami żołnierze, którzy zabijali pielgrzymów na dziedzińcu. Szliśmy najszybciej, jak się dało.

— W tym roku nie będzie Paschy! — krzyczał głośno jeden z nich. — Nie ma Święta! Nie ma Paschy! Nie ma! Wracajcie do domów!

— Nie ma Paschy! — powtórzył cicho Kleofas, śmiejąc się pod nosem. — Tak jakby można było jednym słowem znieść Paschę! Dopóki żyje na ziemi chociaż jeden Żyd, zawsze kiedy ma być Pascha, będzie Pascha!

— Cicho bądź! — ofuknął go Józef. — I nie patrz na nich! Chcesz, żeby zmieszali krew jeszcze większej liczby Żydów i Galilejczyków z krwią ofiar? Nie prowokuj ich!

— To była rzeź — powiedział Alfeusz. — Powinniśmy opuścić miasto najszybciej, jak się da.

— Ale czy właśnie teraz? — spytał mój kuzyn Syłas. Wuj Alfeusz zdecydowanym gestem nakazał mu, aby natychmiast zamilkł.

Wuj Szymon, zawsze milczący, teraz też nic nie mówił.

Szliśmy powoli długim, sklepionym przejściem, a ludzie mijali nas pospiesznie. Józef wziął na ręce mnie i Małą Salome, a inni mężczyźni pozostałe dzieci. Kleofas próbował unieść swego najmłodszego syna, Małego Symeona, ale natychmiast dopadł go kaszel i od razu zajęły się nim kobiety. Dlatego Symeona niosła moja matka.

To był dobry znak. Teraz, kiedy miała dziecko w ramionach, nic jej się nie stanie.

Trudno było cokolwiek zobaczyć w ciemnościach. To jednak nie miało znaczenia. Mała Salome ciągle pochlipywała i nic, co szeptała jej ciotka Miriam, nie mogło jej uspokoić. Nie mogłem podać jej ręki, ponieważ była za mną.

— Żadnej Paschy! — zawołał Kleofas i urwał, bo zaczął dusić go kaszel, po czym ciągnął dalej: — Tak więc nowy król, który nie chce czekać, aż Cezar potwierdzi jego prawo do tronu, zlikwidował Święto Paschy! Król, który ma ręce splamione krwią jak jego ojciec!

— Ucisz się — powiedział Alfeusz. — Jeśli usłyszą chociaż jedno słowo z tego, co mówisz, obrócą się przeciwko nam wszystkim.

— Może i tak, ale ilu niewinnych ludzi zabili przed chwilą?

Głos zabrał Józef, podobnie jak czynił to w Aleksandrii.

— Dość gadania o tym do czasu, aż opuścimy Jerozolimę!

Kleofas nic nie odpowiedział. Milczał, podobnie jak wszyscy pozostali.

Ledwie wyszliśmy na światło, znowu ujrzelśmy wszędzie wokół żołnierzy, którzy wydawali nam rozkazy i rzucali przekleństwa pod naszym adresem.

Na ulicach leżeli martwi ludzie. Wyglądali, jakby spali. Kobiety szlochały, kiedy musieliśmy przekraczać lub obchodzić ciała. Oplakujący ich krewni klęczeli przy nich, głośno zawodząc. Niektórzy wyciągali ręce w naszą stronę, zebrząc o jałmużnę.

Mężczyźni z naszej rodziny dawali im monety. Podobnie robili inni. Czasami oplakujący byli do tego stopnia pogrążeni w smutku, że nie mieli siły prosić; inni nie mieli takiej potrzeby.

Wszyscy ludzie, przechodzący pospiesznie obok leżących ciał, płakali. Płakały nasze kobiety, a ciotka Miriam, szlochając, cały czas powtarzała, że to jej pierwsza pielgrzymka, że całe życie w Egipcie czekała na tę chwilę, a teraz co widzi?

W synagodze wszyscy byli pełni obaw. Józef zebrał nas na dziedzińcu i kazał czekać, a tymczasem kobiety poszły szybko na dach, pozbierać nasze tobołki. Józef razem z Alfeuszem poszli po osły. Jakub kazał nam stać, nie ruszać się i uważać na maluchy. Trzymałem za rękę Małego Symeona. Wuj Kleofas stał oparty o ścianę i uśmiechał się, mrucząc coś do siebie pod nosem.

Wciąż brzmiały mi w uszach krzyki i jękliwe zawodzenia kobiet oplakujących zmarłych. Nie mogłem przestać myśleć o człowieku, który zginął nieopodal nas, na naszych oczach. Czy ktoś przyszedł, by go pogrzebać? A jeśli nikt tego nie zrobił?

Nie chciałem spojrzeć w twarz żołnierza, który go zabił. Nie chciałem patrzeć w twarz żadnego żołnierza. Widziałem jedynie zasznurowane wysoko caligae i zbroje, ciemne i zmatowiałe, oraz włócznie. Tych nigdy nie zapomnę.

— Opuśćcie Jerozolimę! — Okrzyki po hebrajsku było słychać nawet tutaj, na dziedzińcu synagogi. — Opuśćcie Jerozolimę i udajcie się do swoich domów! Nie ma Paschy!

Wciąż nie dawała mi spokoju myśl o zabitym mężczyźnie. Kiedy ciskał w żołnierza ukrytymi pod opończą kamieniami, musiał wiedzieć, że zginie. A przecież przyniósł kamienie do Świątyni.

Wyglądał tak samo jak my. Miał taki sam prosty płaszcz i tunikę. Takie same ciemne, kręcone włosy i brodę, jak Józef i moi wujowie. Żyd jak my, chociaż krzyczał po grecku. Właśnie, dlaczego po grecku i w ogóle dlaczego to zrobił? Dlaczego niemal rzucił się na żołnierza, wiedząc, że tamten ma włócznie?

Jeszcze raz stanął mi przed oczyma obraz, gdy włócznia wbijała się w jego ciało. Widziałem to raz po raz, a także wyraz jego twarzy. Stawały mi przed oczyma trupy zalegające świątynny dziedziniec i biegające wśród nich owce. Ukryłem twarz w dłoniach, ale widok nie zniknął.

Zrobiło mi się zimno i instynktownie przytuliłem się do matki, która natychmiast schowała mnie w ramionach. Przyłgnałem do niej i czułem jej miękką szatę.

Mały Symeon biegł w kółko, zajęty zabawą. Zwróciłem się do wuja stojącego obok nas:

— Dlaczego ten mężczyzna rzucał kamieniami, chociaż wiedział, że żołnierz go zabije?

Kleofas to przecież widział. Tak jak my wszyscy.

Wuj spoglądał przez chwilę w górę, ku promykowi światła, który docierał do nas spoza wysokiego muru otaczającego dziedziniec synagogi, i wyglądało tak, jakby się zastanawiał.

— Bo to był dobry moment na to, by umrzeć — powiedział wreszcie. — Być może najlepszy, jaki kiedykolwiek mu się nadarzył.

— Myślisz, że dobrze zrobił?

Wuj zaśmiał się swym cichym, przeciągłym śmiechem. Spojrzał na mnie z góry.

— A ty? Jak sądzisz? Dobrze zrobił?

Ale zamiast poczekać na moją odpowiedź, powiedział mi głośno do ucha:

— Archelaos to głupiec. — Mówił po grecku. — Cezar powinien wystawić go na pośmiewisko. Król Żydów! — Potrząsnął z rezygnacją głową. — Jesteśmy wygnańcami we własnym kraju. Taka jest prawda. Dlatego się z nimi bili! Chcą się pozbyć tej żalostnej królewskiej rodziny, która buduje pogańskie świątynie i której członkowie żyją jak pogańscy tyrani.

Józef chwycił Kleofasa za ramię i odciągnął go na bok.

— Przestań — powiedział, wbijając w niego wzrok. — Ani słowa więcej w tym miejscu, zrozumiałeś? Nie obchodzi mnie, co myślisz, po prostu nie mów o tym więcej!

Kleofas nie odpowiedział. Znowu dopadł go kaszel. Potem zaczął coś niewyraźnie mruzczyć pod nosem.

Józef tymczasem objuczał osły i po chwili, już łagodniejszym tonem, powiedział:

— Dość o tym. Rozumiesz, bracie?

Kleofas milczał. Ciotka Miriam podeszła do niego i otarła mu z czoła kropelki potu.

A zatem myliłem się, sądząc, że Józef zawsze milczeniem odpowiadał na słowa Kleofasa.

Z zachowania wuja nie wynikało jednak, że wziął sobie do serca napomnienia Józefa. Śmiał się cały czas z cicha, spoglądając w dal tępym wzrokiem, tak jakby nie dotarło do niego nic z tego, co powiedział Kleofas. Całą twarz miał zroszoną potem, chociaż dzień wcale nie był upalny.

Kiedy wreszcie wszystkie rodziny były już gotowe do drogi, Józef i Zebedeusz ruszyli pierwsi, wyprowadzając nas ze świątynnego dziedzińca.

— Bracie — zwrócił się Józef do Kleofasa — kiedy wyjedziemy z miasta, chcę, żebyś wsiadł na osła.

Kleofas skinął potakująco głową.

Przeciskaliśmy się wąskimi uliczkami, zbici w gromadkę ciaśniej niż stado owiec.

Jęki i krzyki kobiet zawodzących w sklepionych przejściach i pod wysokimi murami, wzdłuż których szliśmy, były jeszcze głośniejsze. Okiennice i drzwi domów były szczelnie pozamykane, podobnie jak drewniane furtki prowadzące na dziedzińce. Ludzie przekraczali żebraków siedzących w pojedynkę i mijali stojące tu i ówdzie żebrzące grupki.

Mężczyźni rozdawali pieniądze. Józef włożył mi do ręki monetę i powiedział, że mam ją dać żebrakowi. Zrobiłem tak, a wtedy żebrak ucałował moje palce. Był stary i wychudły, miał siwe włosy i błyszczące, niebieskie oczy.

Bolały mnie nogi i stopy od marszu po nierównych kamieniach, jakimi wyłożone były uliczki, ale nie była to najlepsza pora na to, by się uskarżać.

Ledwie wyszliśmy poza mury miasta, ujrzelśmy widok znacznie gorszy od tego, którego byliśmy świadkami na dziedzińcu Świątyni.

Namioty pielgrzymów były zniszczone i poprzewracane. Wszędzie wokół leżały trupy. Nikt nie próbował zbierać porozrzucanego bezładnie dobytku. Jeźdźcy galopowali jak szaleni wśród biegających bezradnie ludzi, wykrzykując rozkazy i tratując zmarłych. Mieliśmy iść przed siebie, iść, cały czas, jak najdalej od miasta. Część żołnierzy trzymała w pogotowiu włócznie, inni wydobyli miecze. Otaczali nas zewsząd i popędzali.

Nie mogliśmy się zatrzymać, by komukolwiek pomóc, podobnie jak nie mogliśmy tego uczynić w mieście. Żołnierze poganiali pielgrzymów, dźgając ich włóczniami, ci zaś uciekali, by uniknąć dotyku pogan i się nie skalać.

Mimo to nie mogliśmy oderwać oczu od ciał zabitych. Liczba trupów była niewyobrażalna.

— Urządzili tu masakrę — powiedział wuj Alfeusz, przyciągając ku sobie swych synów, Sylasa, Lewiego i Elego, po czym dodał, tak by każdy z nas mógł usłyszeć: — Spójrzcie, co robi ten mężczyzna. Spójrzcie i zapamiętajcie to na całe życie.

— Widzę, ojcze, ale czy nie powinniśmy zostać? Czy nie powinniśmy walczyć? — zapytał Syłas. Mówił szeptem, lecz wszyscy go usłyszeliśmy i kobiety natychmiast zaczęły go napominać, ukradkiem i trwożliwie, by nie mówił takich rzeczy, Józef zaś odparł stanowczo, że to niemożliwe.

Wówczas się rozpląkałem. Nie wiedziałem dlaczego. Nie mogłem złapać tchu i nie potrafiłem przestać.

Matka powiedziała do mnie:

— Niebawem wyjdziemy na wzgórza, daleko od tego wszystkiego. Jesteśmy przy tobie. Idziemy do spokojnego miejsca. Tam nie ma wojny.

Próbowałem powstrzymać płacz i łzy, ale wtedy dopadł mnie lęk. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej w życiu się bałem. Znowu stanął mi przed oczyma martwy mężczyzna z dziedzińca Świątyni.

Jakub przyglądał mi się uważnie. Podobnie jak mój kuzyn Jan, syn Elżbiety. Jego matka jechała na osła. Kiedy spostrzegłem, że obaj na mnie patrzą, przestałem płakać, chociaż przyszło mi to z wielkim trudem.

Nasza wędrówka stawała się coraz cięższa i na niej trzeba się było skupić. Wspinaliśmy się cały czas pod górę, aż wreszcie mogliśmy z oddali ujrzeć w dole miasto. Im trudniejsza była wspinaczka, tym mniej było we mnie lęku. Wkrótce była przy mnie Mała Salome. Nie mogliśmy spoglądać na miasto, nawet gdybyśmy chcieli, ponieważ widok zasłaniali nam dorośli, ale ja wcale nie chciałem go widzieć, nie w tej chwili. I nikt nie przystanął, żeby zachwycić się pięknem Świątyni.

Mężczyźni zmusili Kleofasa, żeby wsiadł na osła, a na drugim posadzili ciotkę Miriam. I Miriam, i Kleofas trzymali w ramionach najmłodsze dzieci. Wuj mruczał coś do siebie pod nosem.

I tak posuwaliśmy się naprzód całą gromadą.

Wydawało mi się, że źle robimy, opuszczając w ten sposób Jerozolimę. Pomyślałem o słowach Sylasa. Źle, że wychodzimy. Źle, że uciekliśmy pośpiesznie ze Świątyni w godzinie, w której potrzebowała naszej pomocy. Jednak z drugiej strony, pozostały tam setki kapłanów, którzy wiedzą, jak oczyścić przybytek. Wielu z nich mieszkało w Jerozolimie i nie musiało opuszczać miasta. Zostaną. Oni i arcykapłan. Razem oczyszczą Świątynię tak, jak powinno to zostać zrobione.

Będą też wiedzieć, co zrobić z martwym mężczyzną z dziedzińca. Dopilnują, by został umyty, zawinięty i pogrzebany jak należy. Wolałem jednak nie myśleć o nim więcej, bo czułem, że za chwilę znów się rozplączę.

Znaleźliśmy się teraz w górzystym terenie. Nasze głosy odbijały się echem od górskich zboczy. Ludzie zaczęli śpiewać, lecz teraz w niebo wznosiły się psalmy pełne smutku, wyrażające ból i udręczenie.

Kiedy traktem galopowali jeźdźcy, usuwaliśmy się w bok, zbici w ciasną gromadkę. Kobiety krzyczały. Mała Salome spała w ramionach Kleofasa, który także drzemał, śmiał się do siebie, mówił przez sen i co chwila zsuwał się z osła.

Zacząłem płakać. Nie mogłem się powstrzymać. Mijało nas tylu jeźdźców, pędzili tak szybko... I musieliśmy opuścić Jerozolimę.

— Wrócimy tu w przyszłym roku — powiedział do mnie Józef. — A potem znowu za rok. Teraz jesteśmy w domu.

— I może w przyszłym roku nie będzie już Archelaosa — mruknął Kleofas pod nosem, nie otwierając oczu, jednak na tyle głośno, że Jakub i ja to usłyszeliśmy. — Król Żydów! — zawołał z pogardą. — Król Żydów!

## VII

Sen. Budzę się. Szlocham. Mężczyzna pada przebity włócznią. Jeszcze raz pada i jeszcze raz włócznia przebija jego pierś.

— Obudź się — mówią do mnie jakieś głosy, coraz więcej głosów.

Wciąż szlochając, otworzyłem oczy. Gdzie jesteśmy?

— Obudź się — powiedziała do mnie matka. Otaczały mnie kobiety, mrok pomieszczenia rozświetlał ogień, a ciemne niebo na krótką chwilę rozjaśniła luna.

— Obudź się, to tylko sen — powtórzyła matka i podparła mi głowę.

Przybiegł do nas Jakub i skądś dobiegł mnie głos Małej Salome.

— Jezusie, obudź się! — powiedział mój kuzyn Jan, który nigdy dotąd nie wypowiedział ani słowa.

Co to za miejsce? Jakaś grotka? Nie, to dom moich krewniaków, dom, w którym mieszkała Elżbieta ze swym synem. Józef niósł mnie na rękach cały czas, aż dotarliśmy tutaj.

Kobiety, jedna po drugiej, ocierały mi twarz.

— To tylko ci się śni.

Krzusilem się od płaczu. Bałem się, strasznie się bałem i już nigdy potem nie bałem się tak jak wówczas. Chwyciłem się kurczowo matki. Przytuliłem twarz do jej twarzy.

— To pałac królewski! — zawołał ktoś. — Podpalili pałac króla!

Dobiegł nas hałas, a potem tętent i rzenie koni. Zrobiło się ciemno i tylko na powale odbijała się czerwona luna.

Moja kuzynka Elżbieta modliła się cichym głosem, a jeden z mężczyzn kazał dzieciom cofnąć się od drzwi.

— Zgaście lampy! — rozkazał Józef.

Znowu słyhać było na zewnątrz jakiś hałas, zagłuszony tętentem galopujących w ciemnościach koni, a potem krzyki.

Nie chciałem widzieć tego, o czym rozmawiali, nie chciałem widzieć krzyczących z przejęcia dzieci, nie chciałem słyszeć modlącej się cały czas Elżbiety. Pochłonał mnie całkowicie lęk.

Chociaż zamknąłem oczy, wciąż czułem na powiekach migoczącą, czerwoną lunę. Matka pocałowała mnie w czoło.

Jakub powiedział:

— Płonie Jerycho. Pałac Heroda cały w płomieniach. Wszystko się pali.



— Odbudują go — powiedział Józef. — Już raz go spalili. Cezar August zadba o to, by go odbudowali. — Mówił pewnym, zdecydowanym głosem. Poczulem jego rękę na moim ramieniu. — Nie bój się, mały. Nic się nie bój.

Na chwilę zapadłem z powrotem w sen. Znowu widziałem Świątynię i mężczyznę biegnącego wprost na wyciągniętą włócznię. Zacisnąłem zęby, a potem krzychałem przeraźliwie. Matka przytrzymywała mnie z całych sił.

— Jesteśmy bezpieczni, mój mały — powiedział Józef. — Jesteśmy w domu, wszyscy razem, nic nam nie grozi.

Pochylające się nade mną kobiety podniosły się z klęczek i podeszły do drzwi, żeby oglądać pożar. Mała Salome piszczała z ekscytacji tak samo jak wtedy, kiedy się bawiliśmy. Wszystkie dzieci biegały tam i z powrotem i naprzykrzały się dorosłym, prosząc, żeby pozwolili im stanąć w drzwiach i oglądać płonący pałac.

Mały Symeon krzychał głośno:

— Pożar, pożar, pożar!

Podniosłem głowę i spojrzałem. Nad głowami osób stojących w drzwiach domu ujrzałem niebo rozświetlone czerwoną luną i poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego nieba. Odwróciłem się i spostrzegłem wuja Kleofasa, który siedział oparty o ścianę, z wyciągniętymi nogami. Miał błyszczące oczy. Uśmiechnął się do mnie.

— Dlaczego? — spytałem. — Dlaczego pałą Jerycho?

— A dlaczego nie? — spytał w odpowiedzi Kleofas. — Niech Cezar August zobaczy, w jakiej pogardzie mamy człowieka, który posłał żołnierzy, by zmieszać naszą krew z krwią naszych ofiar! Wieść o tym dotrze do Rzymu jeszcze przed Archelaosem. Płomienie rozchodzą się szybciej niż słowa.

— Tak jakby płomienie miały zastąpić słowa — powiedziała cicho matka, ale chyba nikt jej nie słyszał.

W tej chwili do domu wbiegł mój kuzyn Sylas, krzyząc:

— To Szymon, jeden z niewolników Heroda! Ogłosił się królem i zebrał wojsko! To on podpalił pałac!

— Do domu i nie waż się wychodzić! — krzyknął do niego wuj Alfeusz. — Gdzie jest twój brat?

Lewi był z nami i kiedy na niego spojrzałem, ujrzałem w jego twarzy strach, a to spowodowało, że sam zacząłem się bać jeszcze bardziej.

Wszyscy mężczyźni wyszli przed dom, by obserwować pożar. Ich ciemne, odcinające się na tle nieba sylwetki poruszały się jak w jakimś makabrycznym tańcu.

Józef wstał i powiedział:

— Chodź Jezu i zobacz to.

— Dlaczego? — spytała matka. — Czy musi wychodzić?

— Chodź, zobacz, co zrobiła banda rabusiów i morderców — mówił dalej Józef. — Zobacz, z jakim rozpasaniem świętują śmierć Starego Heroda. Zobaczysz, co kryje się za władzą króla, który wymusza posłuszeństwo okrucieństwem i strachem. Chodź.

— Czemu pozwalają tyranowi pławić się w luksusie? — wtrącił się Kleofas. — Tyranowi, który gnębi własny lud? Który w Jerozolimie, Mieście Świętym, buduje teatry i cyrki, których nigdy nie odwiedzi żaden porządny Żyd? A arcykapłani, których powołuje? Wyznacza ludzi, których chce obdarzyć zaszczytem, jakby nie wiedział, że arcykapłan to ten, kto wchodzi do Świętego Świętych, a nie jego płatny sługa.

— Dość, bracie! — przerwała mu moja matka. — Oszaleję od tego.

Trząśłem się tak bardzo, że bałem się podnieść z maty, ale w końcu wstałem i ująłem dłoń Józefa.

Wyprowadził mnie z domu. Cała rodzina stała na szczycie wzgórza, nawet kobiety, z wyjątkiem mojej matki. Wokół nich gromadzili się inni mieszkańcy i w tę noc na wzgórzu wyległa cała wioska.

Chmury w dolinie przed nami gotowały się od ognia. Powietrze było na przemian to chłodne, to gorące, ludzie rozmawiali bardzo głośno, jakby to było jakieś święto, a dzieci biegały w kółko, podskakiwały, tańczyły i co chwila biegly popatrzeć znowu na pożar. Przytuliłem się do Józefa.

— On jest jeszcze bardzo mały — powiedziała matka, która stanęła za mną.

— Powinien to zobaczyć — uznał Józef.

Płomienie wzbijały się coraz wyżej, lizały niebo i nagle w górę wystrzeliła ściana ognia, która zdawała się sięgać gwiazd. Odwróciłem głowę. Nie byłem w stanie oglądać tego dłużej. Wybuchnąłem płaczem nie do opanowania. Zacząłem spazmatycznie szlochać. Przed sobą widziałem falujące płomienie, od których nie mogłem uciec. Nozdrza wypełnił mi gryzący dym. Matka chciała mnie wziąć na ręce i chociaż nie miałem zamiaru się opierać, zacząłem wymachiwać rękoma, a wówczas Józef przytrzymał mnie i zaczął mówić do mnie uspokajającym głosem.

— Jesteśmy daleko od pożaru. Nic nam nie grozi. Naprawdę!

Ja jednak nie umiałem powstrzymać płaczu i przestałem dopiero, kiedy przycisnął mnie mocno do siebie, tak mocno, że nie mogłem nawet poruszyć głową ani się odwrócić.

Ruszył ze mną szybkim krokiem w stronę domu.

Z mojej piersi nadal wydobywały się krzyki. Wszystko w środku mnie od nich bolało.

Usiedliśmy w izbie na klepisku, a kuzynka Elżbieta ujęła moją twarz w dłonie i spojrzała mi głęboko w oczy.

— Posłuchaj, co ci powiem, moje dziecko — zaczęła. — Czy sądzisz, że anioł Pana przyszedłby do twego ojca, Józefa, i powiedział mu, że ma cię przyprowadzić do domu, gdyby coś ci tu groziło? Kto przeniknie zamiary Pana? Więc przestań płakać i zaufaj Panu. Połóż się tu, u mamy na piersi, i przestań płakać. Niech mama cię przytuli, o tak. Jesteś w rękach Boga.

— Anioł Pana — wyszeptalem. — Anioł Pana.

— Tak — powiedział Józef. — Anioł Pana będzie z tobą, dopóki nie dojdziemy do Nazaretu.

Matka mnie przytuliła.

— Wytrzymaj jeszcze trochę — powiedziała. Jej głos brzmiał cicho i słodko w moich uszach. — Jeszcze trochę, wkrótce będziemy w domu. Będziemy jeść figi z własnego drzewa i winogrona z naszej winorośli. We własnym piecu będziemy codziennie piekli chleb.

Usiedliśmy obok Kleofasa. Ciągle pochlipywałem, wtuliwszy twarz w suknię matki, a ona gładziła mnie po plecach.

— Już dobrze — powiedział Kleofas.

Objąłem matkę za szyję. Oddychałem spokojniej.

— Gdy będziemy w Nazarecie — rzekł Kleofas — nikt już nie będzie cię szukał, obiecuję ci, mój mały.

Nagle poczułem się bardzo senny. Co miał na myśli Kleofas, mówiąc, że nikt nie będzie mnie szukał? Kto mnie szuka? Nie chciałem zasnąć. Chciałem go o to zapytać. Co znaczą te wszystkie dziwne opowieści? Co znaczy historia o tym, że do mojej matki przybył anioł? W całym tym nieszczęściu zapomniałem zupełnie o tym, co wcześniej, na dachu Świątyni, powiedziała matka, ojej dziwnych słowach. A teraz Elżbieta wspominała o aniele, który przyszedł do Józefa. Józef nie mówił, że przyszedł do niego anioł.

Przez chwilę, gdy ogarniała mnie coraz większa senność, wydawało mi się, że to wszystko musi być ze sobą jakoś powiązane. Powinienem doszukać się w tym sensu. Wiem! Anioły. Anioł przyszedł na samym początku, potem jeszcze raz i teraz też był tutaj. Tyle przynajmniej wiedziałem, prawda? Nieprawda. W tej chwili znowu ogarnęła mnie wielka senność i czułem się już zupełnie bezpieczny.

Matka zaczęła mi nucić po hebrajsku, a Kleofas wraz z nią. Widać było, że czuje się znacznie lepiej, chociaż ciągle kasłał. Za to ciotka Miriam nie czuła się dobrze, a mimo to nikt się tym nie przejmował.

Jutro opuścimy to straszne miejsce. Opuścimy moich kuzynów i kuzynki, tego dziwnego i nad wiek poważnego chłopca, jakim był Jan, który przyglądał mi się tak uważnie i mówił tak niewiele, i naszą kochaną Elżbietę, jego matkę, i pójdziemy szukać schronienia w Nazarecie.

## VIII

Z pierwszym brzaskiem do wioski przygalopowali jeźdźcy, by dać upust żądzy gwałtu i zniszczenia.

Wszyscy, siedzący jeszcze przed chwilą w ciasnym kręgu wokół kuzynki Elżbiety, stłoczyliśmy się w tylnej izbie domu.

Kleofas był tam już od wczoraj, ponieważ w nocy bardzo kasłał i znowu miał gorączkę. Leżał z uśmiechem na twarzy, wpatrując się wilgotnymi oczyma w niską powalę nad naszymi głowami.

Z zewnątrz dobiegały przeraźliwe krzyki, beczenie owiec i hałas drobiu.

— Zabierają wszystko — powiedziała kuzynka Miriam Aleksandra.

Pozostałe kobiety uciszały ją, a jej mąż Zebedeusz poklepał ją delikatnie po ramieniu dla dodania otuchy.

Sylas chciał podejść do zasłony, ale jego ojciec zdecydowanym ruchem posłał go w drugi kąt izby. Nawet najmniejsze dzieci, które zawsze hałasowały i dokazywały, zachowywały się bardzo cicho. Ciotka Estera, żona Szymona, trzymała w ramionach małą Esterkę i ilekroć dziewczynka zaczynała płakać, podsuwała jej do ssania pierś.

Nie wiedziałem dlaczego, ale teraz już się nie bałem. Stałem wśród kobiet razem z innymi dziećmi, z wyjątkiem Jakuba, który stał obok ojca. Już nie jest dzieckiem, pomyślałem, spoglądając na niego. Gdybyśmy zostali w Jerozolimie i gdyby nie doszło tam do zamieszek, Jakub poszedłby na dziedziniec Izraelitów razem z Sylasem, Lewim i innymi mężczyznami.

Nagle moje myśli przerwał jednak bolesny skurcz strachu, którego doświadczył w tej chwili każdy z nas, i poczułem, jak palce matki zaciskają się mocniej na moim ramieniu.

Jeźdźcy, którzy przybyli do wioski, wpadli do pierwszej izby. Mała Salome przycisnęła się do mnie z całej siły, a ja przytuliłem ją tak mocno, jak matka zawsze przytulała mnie.

W tej chwili ktoś gwałtownym ruchem zerwał zasłonę i, oślepiiony światłem, zmrużyłem oczy, próbując coś zobaczyć. Matka jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na moim ramieniu. Nikt nie wypowiedział ani słowa, nikt się nie poruszył. Wiedziałem, że musimy być cicho i stać bez ruchu. Każdy to wiedział, nawet najmłodsze dzieci. Tylko niemowlęta kwiliły cicho, lecz nie z powodu obcych, którzy zdarłszy zasłonę, stali teraz przed nami.

Było ich trzech lub czterech, ich masywne i ciemne sylwetki rysowały się wyraźnie w blasku światła wlewającym się do izby. Mieli łydki owinięte szmatami, przytrzymywanymi przez

rzemienie sandałów. Jeden miał na sobie zwierzęcą skórę, a inny na głowie lśniący hełm. Światło odbijało się od mieczy i sztyletów. Nadgarstki też mieli owinięte szmatami.

— Popatrzcie tylko — zaczął po grecku ten w hełmie. — Co my tu mamy? Pół wioski.

— No już! Dawać wszystko! — krzyknął drugi, robiąc krok w naszą stronę. On także mówił po grecku nieprzyjemnym, odstręczającym głosem. — Każdego denara, jakiego macie, wszyscy, natychmiast! Złoto, srebro, wszystko. Kobiety, zdejmujcie bransolety. Jak będzie trzeba, rozplątamy was mieczami i zobaczymy, czy czegoś nie połknęliście, więc dawajcie wszystko, co macie!

Nikt się nie poruszył. Kobiety też trwały w bezruchu.

Mała Salome zaczęła płakać. Przyciskałem ją do siebie tak mocno, że pewnie musiało ją to boleć. Nikt jednak nie wypowiedział ani słowa.

— Walczymy o wolność dla naszego kraju — powiedział wreszcie jeden z obcych. Dalej mówił po grecku: — Głupcy, nie wiecie, co się dzieje w Izraelu?

Zbliżył się do nas i wyciągnawszy sztylet, podsuwał go kolejno do twarzy Alfeusza, Szymona, a wreszcie Józefa, posyłając każdemu z nich groźne spojrzenie. Mężczyźni jednak milczeli.

Nadal nikt się nie ruszał ani nie odzywał.

— Słyszeliście, co powiedziałem? Mogę każdemu z was poderznąć gardło, zaczynając od dzieci! — krzyknął, cofając się o krok i omiatając nas wszystkich wzrokiem.

Drugi kopnął nasze tobołki, a trzeci podniósł derkę, sprawdzając, czy czegoś pod nią nie schowano. Józef odezwał się po hebrajsku łagodnym głosem:

— Nie rozumiem, czego od nas chcecie. Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Nie rozumiem, o co wam chodzi.

Także Alfeusz dodał po hebrajsku równie opanowanym głosem:

— Proszę, nie krzywdźcie naszych niewinnych dzieci i kobiet. Niech nie mówią o was, że przelaliście krew niewinnych.

Usłyszawszy to, mężczyźni zamilkli i stali chwilę nie — poruszeni, jak kamienie, aż wreszcie jeden z nich odwrócił się i skierował ku wyjściu.

— Wy głupi, nic niewarci wieśniacy — powiedział po grecku. — Żałośni, ciemni i brudni.

— Tacy nigdy w życiu nie widzieli pieniędzy — dodał jego kompan. — Nic tu nie ma poza szmatami i śmierdzącymi bachorami. Żałośni nędznicy. Gnijcie tu sobie w pokoju.

— Tak, łaście się do stóp wszystkim, podczas gdy my walczymy o waszą wolność!

Odwrócili się i wyszli ciężkim krokiem, odkopując na bok stojące im na drodze wiadra i zwinięte maty.

Staliśmy jeszcze przez chwilę w bezruchu, czekając, aż pójdą sobie na dobre. Na ramieniu czułem zaciśnięte dłonie matki. Spojrzałem na Jakuba i zauważyłem, że wyglądał dokładnie tak samo jak Józef. Aż dziw, że nie spostrzegłem tego wcześniej.

Wreszcie krzyki i tętent koni rabusiów ucichły w oddali.

— Zapamiętajcie to — rzekł Józef. Spoglądał po kolei na Jakuba, na mnie, na Małego Józefa, potem na moich kuzynów, którzy wpatrywali się w niego szeroko rozwartymi oczyma, i wreszcie na Jana stojącego obok swej matki. — Zapamiętajcie. Nigdy nie podnoście ręki we własnej obronie ani po to, by kogoś uderzyć. Jeśli musicie przemówić, mówcie prosto i jasno.

Skinęliśmy potakująco głowami. Wiedzieliśmy, co się stało. Każde z nas. Mała Salome pociągała nosem. W tej chwili ciotka Miriam, która czuła się bardzo osłabiona, wybuchnęła strasznym płaczem i usiadła obok Kleofasa, wciąż wpatrującego się nieruchomym wzrokiem w powałę, tak jak przedtem. Wyglądał, jakby nie żył. Jednak nadal pozostawał przy życiu.

Dzieci na wyścigi pobiegły do wyjścia. Ludzie ze wszystkich domów wychodzili na zewnątrz, wściekli na rabusiów. Kobiety goniły trzepoczące skrzydłami ptactwo, a ja nagle spostrzegłem leżące na środku drogi, między domami, ciało mężczyzny, który wpatrywał się w niebo takim samym wzrokiem jak wuj Kleofas w powałę. Z jego ust sączyła się krew. Wyglądał jak mężczyzna na dziedzińcu Świątyni.

Uszła już z niego dusza.

Ludzie obchodzili go obojętnie, nikt nad nim nie płakał ani przy nim nie uklęknął.

Wreszcie zjawilo się dwóch mężczyzn, założyli mu powróż pod ramiona i odciągnęli za wioskę.

— To jeden z tamtych — powiedział do mnie Jakub. — Nie patrz na niego.

— Kto go zabił? — spytałem. — I co z nim zrobią? Teraz, kiedy dzień wstał już na dobre, wszystko wokół nie było tak przerażające jak w nocy. Jednak nawet w tamtej chwili wiedziałem, że ciemność znów powróci. I znowu wszystko będzie straszne. Wiedziałem, że lęk przyczaił się i czekał. Lęk był nowym uczuciem. Przerażającym. Nie odczuwałem go, lecz wciąż o nim pamiętałem i wiedziałem, że wróci. Nigdy nie zniknie.

— Pogrzebią go — odparł Jakub. — Nie wolno zostawić niepogrzebanego ciała. To wykroczenie przeciw Panu w Niebiosach. Położą go w jakiejś grocie albo zakopią w ziemi. To bez znaczenia.

Zawołano nas do środka.

Izbę zamieciono i rozłożono już piękne wełniane kobierce w kwieciste wzory. Kazano nam usiąść, zachowywać się cicho i słuchać, ponieważ Elżbieta chciała nam coś powiedzieć przed naszym odejściem.

Pamiętam, że zgromadziliśmy się w tym celu już wcześniej, lecz nim zdążono rozłożyć kobierce, do wioski przybyli rabusie.

Teraz, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nikt nie zginął o świcie, wróciliśmy do naszych spraw.

Siedzieliśmy stłoczeni w ciasnym kręgu. Najmłodsze dzieci nie hałasowały zbyt i mogliśmy słyszeć wyraźnie wszystko, co chciała nam powiedzieć Elżbieta. Siedziałem obok Józefa, skrzyżowawszy i podciągnąwszy nogi tak jak on, a obok mnie siedziała Mała Salome, opierając się plecami o matkę. Kleofas nadal przebywał w drugiej izbie.

— Powiem wszystko szybko — zaczęła Elżbieta. Kiedy obudziłem się tego ranka, mówiła o swoich dziadkach i babkach, kto kogo poślubił i kto wyprowadził się do jakiej wioski. Nie byłem w stanie zatrzymać w pamięci wszystkich tych imion, za to wszyscy mężczyźni i kobiety powtarzali to, co mówiła Elżbieta, żeby dobrze zapamiętać.

Nim Elżbieta zaczęła mówić dalej, potrząsnęła głową i podniosła rękę. Ujrzałem wymykające się spod nakrycia głowy siwe pasemka odcinające się od jej czarnych włosów.

— Muszę opowiedzieć wam o czymś, o czym nigdy nie pisałam w listach. Kiedy umrę — a stanie się to niebawem — nie, nie mówcie, że tak nie będzie, bo wiem, że umrę. Widziałam już znaki. A więc kiedy umrę, Jan zamieszka z naszymi krewnymi u esseńczyków.

Natychmiast rozległy się okrzyki protestu. Nawet Kleofas stanął na progu izby, pochylony, trzymając się jedną ręką za pierś.

— W żadnym razie! Dlaczego podjęłaś taką decyzję?! — zaprotestował. — Posyłać dziecko do ludzi, którzy nie oddają czci Bogu w Świątyni! I to Jana, syna kapłana! Ty, która byłaś całe życie poślubiona kapłanowi, a i Zachariasz był synem kapłana jak jego ojciec!

Kleofas, powłócząc nogami i trzymając się teraz za brzuch, dotarł do kręgu siedzących, po czym osunął się na kolana tuż obok mojej matki. Ona zaś rozwiązała mu przepaskę i poprawiła szatę, a wuj mówił dalej:

— I ty chcesz posłać Jana, którego matka jest z domu Dawida, a ojciec z domu Aarona, do esseńczyków, żeby z nimi żył? Do esseńczyków? Ci ludzie myślą, że lepiej od nas wiedzą, co jest dobre, a co złe, kto jest sprawiedliwy i czego wymaga Pan!

— Co ty wiesz o esseńczykach... — odparła Elżbieta cichym głosem. Wysłuchiwała cierpliwie słów Kleofasa, ale chciała, by ją dobrze rozumiano. — Czy nie są dziećmi Abrahama? Czy nie są z domu Dawida, z domu Aarona i ze wszystkich plemion Izraela? Czy nie są pobożni? Czy nie są gorliwi w wypełnianiu Prawa? Powtarzam raz jeszcze: zabiorą go ze sobą na pustynię, wykształcą i będą się nim opiekować. Mój syn, moje dziecko, tego właśnie chce i ma swoje powody.



Kuzyn Jan przyglądał mi się uważnie. Dlaczego? Dlaczego patrzył na mnie, a nie na swoją matkę, tak jak wszyscy, którzy spoglądali to na nią, to na niego? Z jego twarzy niewiele można było wyczytać. Przypatrywał mi się i jedyne, co widziałem w jego oczach, to spokój. Wcale nie wyglądał na chłopca. Wyglądał jak mały mężczyzna. Siedział naprzeciwko swej matki i miał na sobie prostą, białą tunikę z wełny znacznie delikatniejszej niż szaty moje lub kogokolwiek z nas, a na niej wełniany płaszcz równie dobrej jakości. Zauważyłem to już wcześniej, lecz nie zwracałem na to większej uwagi, teraz jednak, kiedy sobie to uświadomiłem, mocno mnie to zastanowiło, lecz nie miałem czasu myśleć o tym dłużej, ponieważ wuj Kleofas mówił dalej, a chciałem dokładnie słyszeć jego słowa.

— Esseńczycy! — ciągnął. — Czy nikt z was nie wypowie się w imieniu tego chłopca, nim stanie się on synem mężów, którzy nie stają przed Panem o przepisanej porze? Czy tylko ja tutaj umiem mówić? Elżbieto, na głowy naszych przodków, przysięgam, że coś takiego...

— Bracie, uspokój się! — przerwała mu Elżbieta. — Oszczędź swój zapal na własnych synów! To jest mój syn, którego dał mi Pan w mej starości, chociaż wszyscy w to wątpili. Mówiąc do mnie, nie przemawiasz do zwykłej kobiety. Mówisz do Sary, która stała się brzemienna w podeszłym wieku. Mówisz do Anny, która stała się brzemienna w podeszłym wieku. Mówisz do jednej z tych, które zostały wybrane, i to nie bez powodu. Czyż nie mam zapewnić memu dziecku tego, czego w moim mniemaniu życzy sobie Pan?

— Józefie, powiedz coś, nie milcz — poprosił Kleofas.

— To ty jesteś najbliższym krewnym tego chłopca — odparł Józef. — Jeśli musisz powiedzieć coś przeciw jego matce, mów!

— Nie mówię przeciwko tobie — zaczął wuj, lecz nie dokończył, bo dopadł go kaszel, sprawiając mu wyraźny ból.

Ciotka Miriam spoglądała na niego zatroskana, podobnie jak moja matka. Kleofas podniósł rękę, dając znak, że prosi o ciszę. Lecz kaszel nie mijał. Wreszcie wuj powiedział:

— Mówisz o Sarze, żonie Abrahama, i Annie, matce Samuela, ale czy któryś z tych mężów odstąpił chociaż w małym stopniu od przykazań Pana? A ty nam powiadasz, że chcesz posłać swoje dziecko, by zamieszkało z tymi, którzy odwrócili się od Świątyni Pana?

— Masz słabą pamięć, bracie — odrzekła Elżbieta. — Do kogo przysłała twoja siostra Miriam, kiedy się dowiedziała, że została wybrana, by urodzić to dziecko, Jezus? Do mnie. A dlaczego? A zatem nim kolejne nieszczęście dotknie tę wioskę, błagam was, byście wysłuchali mego postanowienia, a nie sprzecjali się ze mną. Zrozumcie, że nie poddaję go pod wasz osąd. Powtarzam raz jeszcze, chłopiec pójdzie do esseńczyków.

Nigdy jeszcze nie słyszałem, by kobieta przemawiała z takim autorytetem i mocą. Rzecz jasna, i w Zaulku Cieśli w Aleksandrii można było znaleźć powszechnie szanowane kobiety, takie, które potrafiły uciszyć dzieciarnię jednym kłaśnięciem, i takie, które Nauczycielowi w synagodze zadawały tak trudne pytania, że musiał szukać odpowiedzi w zwoju Pisma. Jednak słowa, które padły z ust Elżbiety, były o wiele mocniejsze i bardziej zdecydowane niż wszystko, co słyszałem wcześniej.

Kleofas zamilkł. Elżbieta mówiła teraz ciszej.

— Są u nich nasi bracia, wnuki Matatiasza i Naomi, którzy dawno temu udali się na pustynię, by tam zamieszkać. Już rozmówiłam się z nimi i są gotowi go przyjąć, choćby zaraz. Mają w zwyczaju przyjmować dzieci i wychowywać je w czystości i postach we wspólnocie kierującej się surowymi zasadami, a wszystko to są dla mojego syna zupełnie naturalne rzeczy. Będzie się u nich uczył. Będzie czytał proroków. Będzie poznawał słowo Pana. Sam pragnie żyć na pustyni, a kiedy udam się do moich przodków, pójdzie tam i pozostanie do czasu, gdy stanie się mężczyzną i sam zdecyduje, co będzie czynił dalej. Rozmówiłam się z esseńczykami co do Jana i czekają tylko na moje słowo lub na niego samego, gdy uda się do tych, którzy mieszkają po drugiej stronie Jordanu, a oni zaprowadzą go tam, gdzie będzie wychowywany z dala od spraw ludzi.

— Dlaczego nie pójdziesz z nami do Nazaretu? — zapytał Józef. — Przyjmiemy cię z otwartym sercem. Twój brat na pewno także się zgodzi, bo przecież wszyscy idziemy do domu jego rodziców.

— Nie — odparła Elżbieta. — Zostanę tutaj. Pochowają mnie z moim mężem Zachariaszem. A teraz powiem wam, dlaczego to dziecko ma się udać do esseńczyków.

— Powiedz zatem — odrzekł Kleofas. — A jeśli chodzi o Nazaret, to dobrze wiesz, że i ja chcę, żebyś poszła z nami. Z pewnością dobrze by się stało, gdyby Jezua i Jan mogli wychowywać się razem. — Znowu dopadł go kaszel, który wuj próbował stłumić, i wiedziałem, że gdyby nie to, mówiłby dalej.

— Tego właśnie nie mogłam napisać wam w listach — mówiła Elżbieta. — Wysłuchajcie mnie uważnie, ponieważ powiem to tylko raz.

Matki zaczęły uspokajać maluchy. Kleofas z trudem odchrząknął.

— No, mów — ponaglił — bo umrę, nim to usłyszę.

— Wiecie, że po tym, jak wyruszyliście do Egiptu, Mi — riam, Józef i dziecko, Herod wpadł w szal.

— Wiemy, wiemy — przynaglił ją Kleofas. — Mów dalej. — Znowu zaczął kasłać.

— Wiecie także, że Jan urodził się nam, mnie i Zachariaszowi, kiedy byliśmy już bardzo starzy, w podobnym wieku jak Sara i Abraham, kiedy urodził im się Izaak. — Przerwała i spojrzała na dzieci siedzące w wewnętrznym kręgu, a my przytaknęliśmy, ponieważ wiedzieliśmy wszystko o Sarze i Abrahamie. — Wy, dzieci, wiecie także o Annie i o tym, jak się modliła o dziecko w Szilo, wiecie też pewnie, jak się nazywał ten, który sądził, że jest pijana. Które z was mi to powie?

— To był kapłan Eli — odparł błyskawicznie Sylas. — Ona powiedziała mu, że się modli i o co, a wtedy on modlił się razem z nią.

— Właśnie — przytaknęła Elżbieta. — Podobnie ja często się modliłam, ale wy, najmłodszy, może nie wiecie tego, że narodziny mojego dziecka zostały przepowiedziane wcześniej.

Ja o tym nie wiedziałem, a z min innych dzieci wywnioskowałem, że one także nie miały o tym pojęcia. Jeżeli chodzi o Jana, siedział spokojnie, pogrążony w myślach, przyglądając się matce, i nic nie wskazywało na to, by jej słowa były dla niego zaskoczeniem.

— Wyjaśnienie, jak się to odbyło, zostawiam waszym ojcom, bo nie ma powodu, by mówić o tym w tej chwili. Powiem tylko, że nasz syn przyszedł do nas późno, z woli Nieba, i kiedy się urodził, poświęciłam go Panu. Możecie zobaczyć, że brzytwa nie dotknęła jego głowy i nie spożywa on niczego, co pochodzi z winnego krzewu. Należy do Pana.

— Do Pana esseńczyków? — wtrącił Kleofas.

— Nie przerywaj — ofuknęła go moja matka. — Nie pamiętasz, co powiedziała?

Kleofas zamilkł. Elżbieta znowu spojrzała po kolei na każdego z nas. Wszyscy milczeli i czekali na to, co powie.

— Jesteśmy z domu Dawida — zaczęła. — Wiecie, że Herod tak znenawidził nas wszystkich i każdego z osobna za to, że mamy prawo do królewskiej krwi, iż spalił wszystkie zapisy świątynne, przez co straciliśmy imiona przodków zapisywane tam od wieków. Wiecie też, co się zdarzyło, nim wyruszyliście do Egiptu, i co zmusiło moją ukochaną kuzynkę Miriam i jej nowo narodzone dziecko, Józefa i ciebie, Kleofasie, do tego, by udać się do obcego kraju. Wiecie doskonale.

Nie śmiałem zadać pytania, które cisnęło mi się na usta. Ja nie wiedziałem, dlaczego musieliśmy się udać do Egiptu! Elżbieta jednak mówiła dalej.

— Król Herod miał swoich ludzi wszędzie — powiedziała cichszym, lekko drżącym głosem.

— Wiemy — przyznała moja matka łagodnym tonem i wyciągnęła rękę do kuzynki, a ona ujęła ją i skinęły ku sobie głowami, tak że prawie się dotknęły, i wyglądało to tak, jakby podzieliły się, bez słów, jakąś wielką tajemnicą.

Elżbieta ciągnęła dalej:

— Ludzie Heroda, jego siepacze, tacy sami jak rabusie, którzy przybyli dzisiaj do naszej wioski i naszego domu, sądząc, że korzystając z tego, że wznieśli bunt, mogą obrabować także i nas, zatem tacy sami żołnierze weszli nie gdzie indziej jak do Świątyni, znaleźli mojego Zachariasza i zaczęli wypytywać go o syna, który mu się urodził, syna z domu Dawida. Chcieli nam go zabrać.

— Nic o tym nie wiemy — wyszeptał Józef.

— Powiedziałam wam, że nie chciałam pisać o tym w listach — odrzekła Elżbieta. — Musiałam czekać, aż wrócicie.

Co się stało, to się nie odstanie. Żołnierze zatem zaczęli nagabywać Zachariasza w Świątyni, kiedy wyszedł z budynku świątynnego, gdyż był wówczas jego czas, by pełnić obowiązki kapłana. Myślicie, że powiedział im, gdzie jest jego syn? Już wcześniej ukrył mnie z dzieckiem. Schroniliśmy się w grotach niedaleko esseńczyków i to oni przynosili nam jedzenie. Zachariasz nie chciał zdradzić żołnierzom, gdzie jesteśmy. Wtedy ci popchnęli go na ziemię, na kolana, i wszystko to przed budynkiem Świątyni, a inni kapłani ich nie powstrzymali. Myślicie, że próbowali? A uczeni w Piśmie, czy stanęli w jego obronie? A starsi kapłani, czy zaprotestowali?

Teraz Elżbieta spoglądała uważnie na mnie. Potem powoli przenosiła wzrok na Józefa, na moją matkę i na każdego z siedzących w kręgu, a wszyscy słuchali jej słów, wstrzymując oddech.

— Zaczęli bić Zachariasza, ponieważ nie chciał im nic powiedzieć. Wreszcie uderzyli go w głowę i zabili. Przed obliczem Pana.

W izbie panowała absolutna cisza.

— Wielu ludzi widziało, co się stało. Nie wiedzieli jednak dlaczego. Oprócz niektórych kapłanów. Pchnęli do mnie posłańca. Powiedział o wszystkim moim krewnym, ci innym krewnym, a oni przyszli do esseńczyków i poinformowali mnie. I tak się dowiedziałam.

Wszyscy siedzieli jak rażeni gromem, usłyszawszy słowa Elżbiety. Moja matka pochylała się i wsparła głowę na jej ramieniu, a kuzynka ją przytuliła. Po chwili jednak kobiety się opanowały i Elżbieta mówiła dalej.

— Krewni Zachariasza, także kapłani, dopilnowali, by został pochowany obok swych przodków. Jak wam się wydaje, czy od tamtej pory chociaż raz byłam w Świątyni? Nie, dopiero teraz, kiedy przybyliście do Jerozolimy. Dopiero kiedy umarł tyran i runął w wieczny ogień. Dopiero kiedy ludzie zapomnieli o Janie i Jezui. I co znaleźliśmy, kiedy stanęliśmy przed Panem?

Milczeliśmy.

— Jan pójdzie do esseńczyków, i to niebawem. Tam pozostanie w ukryciu. Mnie tu zostawcie i idźcie do Nazaretu, nim zjawią się kolejni rabusie. Nie mam nic cennego, z czego mogliby mnie obrabować, jestem stara, a Jan jeszcze mały i dlatego zostawią nas w spokoju. Ale z wami już nigdy się nie zobaczę. To wiem na pewno. Jan ma być głosem Pana, jestem tego pewna. Jest poświęcony Panu i esseńczycy wiedzą, że obowiązują go śluby. Zatrąszczą się o niego. Będzie się u nich uczył i studiował Pismo, aż nadejdzie jego dzień. A teraz czas na was, idźcie już.

## IX

Żołnierze Heroda, rabusie we wsi, mężczyzna zabity w Świątyni, mój krewny zamordowany w Świątyni, kapłan, który zginął, bo Herod chciał wiedzieć, gdzie przebywa dziecko. A tym dzieckiem był mój kuzyn.

J e s z u a i J a n . Dlaczego został przepowiedziany i dlaczego złączony był ze mną? A poza tym wszystkim jedno dręczące pytanie: Co wówczas zdarzyło się w Betlejem? Co się tam stało i czy to właśnie z tego powodu moja rodzina musiała udać się do Egiptu, gdzie mieszkaliśmy do niedawna?

Ilekróć próbowałem o tym myśleć, pragnienie poznania prawdy mieszało się z lękiem. Lęk stał się nieodłączną częścią moich myśli. Stał się częścią całej opowieści. Mój krewniak Zachariasz, siwowłosy kapłan, kopany przez żołnierzy Heroda. A teraz przebywaliśmy w wiosce, w której ludzie pomstowali na rabusiów, pełni obaw, że lada chwila zjawią się kolejni.

Nasze osły ciągle stały na skraju wioski, uwiązane postronkami. Jakaś stara, bezzębna kobieta stała przy nich, śmiejąc się głośno.

— Próbowali je ukraść! — zawołała. — Ale nie chciały się ruszyć! — Śmiała się, klepiąc się po udach. — Nie potrafili w żaden sposób ruszyć ich z miejsca!

Stary mężczyzna, siedzący na ziemi obok nędznej lepianki, także się śmiał.

— Ukradli mój tańs! — zawołał. — Powiedziałem: „Dalej, bracie, weź go sobie!” — Zamachał rękoma, śmiejąc się bezustannie.

Załadowaliśmy szybko nasze tobołki, posadziliśmy na osłach wuja Kleofasa i ciotkę Miriam, a wreszcie moja matka i Elżbieta objęły się i rozplakały.

Mały Jan stał i spoglądał na mnie uważnie.

— Obejdziemy Jerycho, a potem pójdziemy doliną w stronę domu — powiedział Józef do wszystkich.

Kiedy nadeszła moja matka, ruszyliśmy w drogę. Mała Salome i ja szliśmy przodem razem z Jakubem, a za nami kilkoro kuzynów i kuzynek. Kleofas zaczął śpiewać.

— Kto to są ci esseńczycy? — zapytała Mała Salome.

— Nie wiem — odparłem. — Słyszałem tyle, co ty. Skąd mam wiedzieć?

Do rozmowy włączył się Jakub.

— Nie trzymają z kapłanami w Świątyni. Wierzą, że to u nich są prawdziwi kapłani. Są potomkami Sadoka. Czekają na dzień, w którym będą mogli oczyścić Świątynię. Ubierają się na białe, modlą się razem, mieszkają osobno.

— Są dobrzy czy źli? — spytała Mała Salome.

— Są dobrzy dla naszych krewniaków — odparł Jakub. — Skąd mamy wiedzieć? Są faryzeusze, są kapłani, są esseńczycy. Wszyscy się modlimy: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Panem jedynym”.

Powtórzyliśmy za nim półgłosem po hebrajsku słowa tej modlitwy. Odmawialiśmy ją codziennie każdego ranka po przebudzeniu i każdego wieczoru przed udaniem się na spoczynek. Była ona dla mnie tak oczywista, że prawie się nad nią nie zastanawiałem. Kiedy wypowiadaliśmy te słowa, zawsze ze szczerego serca, wszystko wokół przestawało mieć znaczenie.

Nie chciałem mówić o tym, co nie dawało mi spokoju. Miałem niejasne przeczucie, że Jakub wie wszystko, co ja chciałbym wiedzieć, ale wołałem o nic nie pytać w obecności Małej Salome. W mojej głowie kotłowały się coraz mroczniejsze myśli, a lęk był blisko, bardzo blisko.

Szliśmy — jak mi się zdawało — bardzo szybko, droga prowadziła cały czas w dół, wśród wzgórz, aż w końcu przed nami ukazała się rozciągająca się aż po horyzont równina. Była bardzo piękna w blasku słońca, rosły na niej palmy, chociaż tu i ówdzie widać było dymiące zgliszcza. Wokół rozsiane były domy. Nietrudno było sobie wyobrazić, że w każdym z nich ludzie wrócili do swych codziennych obowiązków, tak jakby ubiegłej nocy nie grasowali tu rabusie.

Mijały nas grupy pielgrzymów, niektórzy szli ze śpiewem na ustach, niektórzy jechali konno. Wszyscy pozdrawiali nas radośnie.

Przechodziliśmy w pobliżu wiosek, na których skraju bawiły się dzieci i skąd dolatywał smakowity zapach gotującej się stawy.

— Widzisz — powiedziała do mnie matka, jakby czytając w moich myślach. — Tak będzie cały czas, aż do Nazaretu. Rabusie przychodzą i odchodzą, a my jesteśmy tu zawsze. — Uśmiechnęła się do mnie i przez chwilę wydawało mi się, że już nigdy w życiu nie zaznam lęku.

— Czy oni naprawdę walczą o wolność Ziemi Świętej? — dopytywała się Mała Salome, spoglądając pytająco po mężczyznach, gdy szliśmy przez chwilę blisko siebie.

Kleofas zaśmiał się i potarł ją delikatnie po głowie.

— Córeczko, jeśli ludzie chcą się bić, zawsze znajdą jakiś powód — odrzekł. — Tacy ludzie walczyli o wolność Ziemi Świętej, najeżdżając wioski, ilekroć przyszła im na to ochota, od setek lat.

Józef jedynie potrząsnął głową. Alfeusz zaś przygarnął Małą Salome do siebie.

— Nic się nie martw — powiedział. — Kiedyś miał na nas baczenie król Cyrus, teraz Cezar August. Nam wszystko jedno, bo jedynym królem, jakiego mamy w naszych sercach, jest Pan Zastępów, a kto z ludzi na ziemi sądzi, że jest królem, wcale nas nie obchodzi.

— Ale przecież Dawid był królem Izraela — powiedziałem. — A Salomon jego następcą. A potem król Jozjasz, wielki król Izraela. Wszyscy to wiemy. Pochodzimy z domu Dawida, a Pan powiedział Dawidowi: „Trwać będzie twój dom i twoje królestwo nad Izraelem na wieki”.

— Na wieki... — powtórzył Alfeusz w zamyśleniu. — Kto potrafi osądzić drogi Pana? Pan dotrzyma obietnicy złożonej Dawidowi na swój sposób.

Odwrócił się, wypowiadając te słowa. Znajdowaliśmy się teraz w dolinie. Za nami sunął tłum wędrowców schodzących z gór. Zbiliśmy się w ciaśniejszą gromadę.

— „Na wieki”... Co znaczy „na wieki” w ustach Pana? — ciągnął dalej Alfeusz. — Tysiąc lat dla Pana to tylko chwila.

— Czy przyjdzie król? — spytałem. Józef odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Pan dotrzyma obietnicy danej Izraelowi — powiedział Alfeusz. — Ale kiedy i w jaki sposób to uczyni, tego nie wiemy.

— Czy anioły przychodzą do ludzi tylko w Izraelu? — spytała Mała Salome.

— Nie — odparł Józef. — Przychodzą, gdzie chcą i kiedy chcą.

— Dlaczego musieliśmy pójść do Egiptu? — dopytywała się dalej. — Dlaczego ludzie króla Heroda...

— Teraz nie czas, żeby o tym mówić — przerwał jej Józef.

W tej chwili przemówiła moja matka.

— Przyjdzie czas, w którym powiemy wam wszystko dokładnie, tak żebyście zrozumieli. Lecz teraz jeszcze nie pora.

Wiedziałem, że odpowiedzą tak lub podobnie. Tak czy owak, znaczyło to, że jest jakaś szansa, i byłem rad, że Mała Salome się odezwała. Nie wiedziałem, gdzie się podziali Syłas, Justus i pozostali kuzyni ani co myślą o tym, co powiedziała Elżbieta. Może jako starsi wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi? Może Syłas rozumiał?

Zwolniłem kroku, przepuszczając po kolei wszystkich, aż zrównałem się z wujem Kleofasem jadącym na osle.

Słyszał naszą rozmowę, byłem tego pewien. Czy ktoś zobowiązał mnie do tego, bym nie zadawał mu żadnych pytań? Wcale nie.

— Modłę się, żebym pożył jeszcze trochę i mógł ci o wszystkim opowiedzieć — rzekł Kleofas.



Ledwie jednak wypowiedział te słowa, Józef także zwolnił kroku, dołączył do nas i dorzucił szybko:

— I ja także modłę się, żebyś pożył jeszcze trochę i pozwolił mi powiedzieć mojemu dziecku, co zechcę. — Mówił łagodnie, ale stanowczo. — Dość pytań. Dość mówienia o złych sprawach z przeszłości. Już opuściliśmy Jerozolimę, zostawiliśmy za sobą najgorsze. Słońce stoi wysoko i uda nam się pokonać spory szmat drogi, nim będziemy musieli zatrzymać się na noc.

— Chciałam iść do Jerycha! — zawołała Mała Salome. — Czy nie możemy zejść na chwilę do Jerycha? Chciałam zobaczyć spalony pałac Heroda!

— My chcemy zobaczyć Jerycho! — zawołał Mały Symeon.

Nagle wszystkie dzieci dołączyły do Symeona i także zaczęły krzyczeć, nawet dzieci innych pielgrzymów, którzy szli obok nas, a ja, widząc zakłopotanie Józefa, zacząłem się śmiać.

— Posłuchajcie — powiedział wreszcie Józef. — Dzisiaj wieczorem będziemy się kąpać w Jordanie! Rzeka Jordan! Obmyjemy się w niej i wypierzemy odzież. Po raz pierwszy od tylu lat zobaczymy Jordan, niektórzy pierwszy raz w życiu! A potem będziemy spać w dolinie, pod gwiazdami!

— Jordan! Jordan! — zawołali wszyscy z ogromnym podekscytowaniem.

Józef opowiedział historię trędowatego, który przyszedł do proroka Elizeusza, a ten kazał mu się obmyć w Jordanie i chory został oczyszczony. A Kleofas zaczął opowiadać o tym, jak Jozue przekroczył suchą stopą Jordan, potem Alfeusz przytoczył Jakubowi jeszcze jedną historię i tak szliśmy, słuchając kolejnych opowieści.

Mniej więcej w tym czasie dogonił nas idący daleko za nami Zebedeusz i jego krewni, których straciliśmy z oczu krótko po naszym wyjściu od Elżbiety, i on także opowiedział nam historię związaną z Jordanem. Żona Zebedeusza zaś, Miriam, która była kuzynką mojej matki i nazywała się Miriam Aleksandra, ale zawsze mówiliśmy na nią Miriam, zaczęła śpiewać: „Szczęśliwy każdy, kto boi się Pana, który chodzi Jego drogami”.

Miriam miała piękny, słodki głos. Po chwili śpiewaliśmy razem z nią.

„Bo z pracy rąk swoich będziesz pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie!”

Nasza rodzina była liczna, więc szliśmy bardzo powoli i musieliśmy często przystawać, ze względu na kobiety i po to, by przewinąć małą Esterkę. Widać było, że ciotka Miriam jest bardzo słaba, ale matka powiedziała, że to dobra nowina, że wkrótce urodzi się nowe dziecko, i przestałem się o nią martwić. Kleofas także musiał wiele razy schodzić z osła i oddalać się, by okryć sobie nogi.

Ponieważ był słaby, cały czas towarzyszyła mu moja matka, podtrzymując go za ramię, co go bardzo złościło, ale z drugiej strony nie mógł sobie poradzić sam, a matka nie chciała, by pomagali mu inni mężczyźni.

— To mój brat — powiedziała i oddaliła się z nim sama.

Wuj tak często musiał się zatrzymywać, że w końcu opowiedział nam zabawną historię z Pisma o tym, jak król Saul walczył z młodym Dawidem i bardzo się go lękał, ponieważ wiedział, że Dawid ma być królem. Król Saul wszedł do groty, by okryć sobie nogi, a tam schronił się jego wróg, Dawid, i właśnie wtedy miał najlepszą okazję, by zabić Saula. Czy to zrobił? Boże broń! Zamiast tego Dawid podczołgał się w ciemnościach do Saula, kiedy ten załatwiał swoją potrzebę i kiedy nie było przy nim strażnika, i odciął frędzel od jego płaszcza; taki frędzel zaś ozdobił jedynie płaszcz króla.

Kilka godzin później Dawid, chcąc zawrzeć pokój z Saulem, posłał mu frędzel, by pokazać mu, że on, Dawid, mógł zabić króla, ale czyż mógłby zgładzić tego, który został namaszczony na władcę? Niech Bóg broni.

Wszyscy bardzo lubiliśmy opowieści o Dawidzie i Saulu. Nawet Syłas i Jakub, których zazwyczaj nudziły te opowiadania, podeszli i słuchali razem z nami. Kleofas mówił cały czas po grecku, co było dla nas rzeczą zupełnie normalną i lubiliśmy opowiadać sobie biblijne historie po grecku, chociaż nigdy nie dawaliśmy temu szczególnego wyrazu.

Kleofas opowiedział nam wspaniałą historię o tym, jak Saul, kiedy Pan przestał już do niego mówić, udał się do wróżki z Endor i zaczął ją błagać, by wywołała z Szeolu ducha zmarłego proroka Samuela, by ten przepowiedział Saulowi jego los. Następnego dnia miała się odbyć wielka bitwa i Saul, który już dłużej nie znajdował łaski u Pana, był zdesperowany. Szukał więc kobiety, która umiała rozmawiać ze zmarłymi. Problem polegał na tym, że sam Saul zakazał wywoływania duchów zmarłych i wszelkiego wróżbiarstwa. Udało się jednak znaleźć taką kobietę.

I oto z czeluści ziemi wyszedł wywołany mocą owej kobiety duch proroka i spytał Saula: „Dlaczego nie dajesz mi spokoju?” Następnie przepowiedział Saulowi, że jego wrogowie pokonają Izrael, a Saul i jego synowie zginą.

— I co się stało potem? — spytał Kleofas, spoglądając na nas.

— Kobieta kazała mu usiąść i się posilić — powiedział Syłas.

— I my teraz chcemy zrobić dokładnie to samo! — Wszyscy się roześmiali.

— Będziemy jeść i pić, dopiero kiedy dotrzemy nad rzekę! — zawołał Kleofas.

Ruszyliśmy w dalszą drogę i wreszcie dotarliśmy do rzeki.

Jordan płynął w oddali, oddzielony od nas kępami wysokich traw, czerwony od blasku zachodzącego słońca, które już prawie skryło się za horyzontem.

W rzece kąpało się wielu ludzi. Nadciągali ku jej brzegom ze wszystkich stron, niektórzy rozbijali niedaleko obozowiska. Zewsząd dochodziły nas śpiewy, a melodie i słowa różnych pieśni mieszały się ze sobą.

Wbiegliśmy do wody i zatrzymaliśmy się, gdy sięgała nam do kolan. Umyliśmy się i wypraliśmy ubrania. Śpiewaliśmy i krzyczeliśmy z radości. Nie przeszkadzał nam nadrzeczny chłód, a nasze ciała przyzwyczyły się do wody, która przestała nas ziębić i wydawała nam się teraz ciepła.

Kleofas zszedł z osła i wszedł do rzeki. Wyrzucił w górę ramiona i zaczął śpiewać głośno, tak że wszyscy go słyszeli:

— „Chwał, duszo moja, Pana,  
chcę chwalić Pana, jak długo żyć będę!  
Chcę śpiewać Bogu mojemu, póki będę istniał;  
Nie pokładajcie ufności w książętach  
ani w człowieku, u którego nie ma wybawienia.  
Gdy tchnienie go opuści, wraca do swej ziemi,  
wówczas przepadają jego zamiary!”

Wszyscy zaczęli śpiewać razem z nim:

— „Szczęśliwy, komu pomocą jest Bóg Jakuba!”

Cała rzeka rozbrzmiała śpiewem i ludzie na brzegu także zaczęli śpiewać.

Nigdy jeszcze nie widziałem wuja takiego, jaki był w tej chwili, z wyciągniętymi w górę ramionami, zapatrzony w czerwone niebo, z rozmodlonym wyrazem twarzy. Znikł cały jego spryt. Znikła cała jego złość. Nie obchodzili go ludzie. Nie dla nich był jego śpiew. Śpiewał i śpiewał bez końca, nie zwracając uwagi na nikogo. Spoglądał w niebo, a ja razem z nim podziwiałem ciemniejący horyzont poprzecinany smugami czerwieni zachodzącego słońca i pierwsze świecące jasno gwiazdy.

Brodząc w wodzie i śpiewając, dotarłem do wuja. Kiedy znalazłem się przy nim, położyłem mu dłonie na plecach i poczułem, jak cały drży pod płaszczem, którego poły unosiły się na powierzchni wody.

Wuj nawet nie był świadom, że stoję za nim.

*Zostań ze mną. Panie, Ojcze w Niebie, pozwól mi pozostać z nami. Ojcze w Niebie, proszę o to! Czy to zbyt wiele? Jeśli nie mogę otrzymać odpowiedzi na moje pytania, niech chociaż ten człowiek pozostanie z nami trochę dłużej, tak długo, jak tego zechcesz, Panie.*

Zrobiło mi się słabo. Musiałem się chwycić wuja, bo inaczej osunąłbym się do wody. Coś nastąpiło bardzo szybko, a potem wszystko zwolniło tempa. Już nie było rzeki ani ciemnego nieba, nie było śpiewów, lecz wszędzie wokół mnie znajdowali się inni, wielu ludzi, niezliczone rzesze; byli liczniejsi niż piasek na pustyni lub na brzegu morza. *Proszę Cię, wysłuchaj mnie. Jeśli jednak musi umrzeć, niech i tak będzie.* Wyciągnąłem ramiona, a potem je uniosłem. Przez chwilę, przez krótką chwilę znałem odpowiedzi na wszystkie pytania i nie martwiłem się o nic, lecz chwila ta minęła, wszyscy ci zaś, których nie można było zliczyć, odpłynęli ode mnie w górę i więcej ich już nie widziałem ani nie czułem ich obecności.

Ciemność. I cisza. Ludzie śmiejący się i rozprawiający głośno, jak zawsze późną nocą.

Otworzyłem oczy. Coś odpłynęło ode mnie niczym fala odbijająca od brzegu, potężna i nieujarzmiona, której nie sposób zatrzymać. Zniknęło wszystko, cokolwiek to było. Zniknęło na dobre.

A mimo to się bałem. Nie wiadomo dlaczego, skoro suchy i opatulony leżałem na miękkim posłaniu i było mi ciepło, przytulnie i ciemno. Niebo było usiane gwiazdami. Ludzie wciąż śpiewali i wszędzie widać było wędrujące światła. Światła latarni, kaganków i ognisk płonących przed namiotami. Leżałem okryty po szyję, było mi ciepło i czułem na sobie dłoń matki.

— Co się stało? — spytałem.

— Wpadłeś do wody. Byłeś zmęczony, modliłeś się i bardzo zmęczyłeś. Wokół kręciło się tylu ludzi, a ty krzyczałeś głośno do Pana. Teraz jesteś na brzegu i zaraz zaśniesz. Ułożę cię do snu. Zamkniesz oczy, a kiedy obudzisz się rano, zjesz coś i nabierzesz sił. Miałeś zbyt dużo wrażeń. Jesteś jeszcze mały, no może nie aż tak mały, bo właściwie już duży chłopak z ciebie, ale przecież nie aż tak duży jak Jakub.

— Ale jesteśmy tutaj, w domu — odparłem. — I przecież coś się stało.

— Nie — odparła z przekonaniem.

Nic nie rozumiała. Uśmiechała się. Widziałem jej uśmiechniętą twarz w świetle ogniska i czułem bijące od niego ciepło. Mówiła prawdę, jak zawsze. Spojrzałem w bok i ujrzałem śpiącego twardo Jakuba, a obok najmłodszych synów Zebedeusza i wszystkich innych kuzynów i kuzynki, których imion nie znałem. Mały Symeon spał wtulony w Małego Judasza. Mały Józef pochrapywał przez sen.

Miriam, żona Zebedeusza, rozmawiała z Miriam, żoną Kleofasa. Wyrzucała z siebie słowa szybko, z niepokojem, ale nie słyszałem, co mówi. Widać było, że się zaprzyjaźniły. Potem Miriam Egipcjanka, żona Kleofasa, żywo gestykulowała, a Miriam, żona Zebedeusza, słuchała jej uważnie, potakując głową.

Przymknąłem oczy. *Inni, ogromne rzesze, tak miłe i przyjemne niczym wełniana derka, która mnie teraz ogrzewa, niczym wiatr przynoszący z sobą zapach rzeki.* Gdzie oni są? Poczułem, jak coś we mnie drgnęło, świadomość tak wyraźna i czysta, jakby jakiś głos mówił we mnie: „Nie to jest najtrudniejsze”.

Trwało to tylko chwilę. Potem znów byłem sobą.

Tu i ówdzie rozległy się śpiewy i ludzie przechodzący obok nas także śpiewali. Słuchałem tych głosów z zamkniętymi oczyma i byłem szczęśliwy.

— „Pan króluje na wieki — śpiewali. — Bóg twój, Syjonie, przez pokolenia. Chwalcie Pana!”

Dobiegł mnie głos ciotki Miriam, żony Kleofasa.

— Nie wiem dokładnie, gdzie on jest. Chyba tam, nad rzeką, z kimś rozmawia. Krzyczą coś do siebie, a potem śpiewają.

— Uważaj na niego! — wyszeptała moja matka.

— Odzyskał siły, mówię ci to! Po gorączce ani śladu. Kiedy będzie chciał się położyć, wróci. Jeśli pójde po niego z mężczyznami, będzie zły. Nie, nie zrobię tego. Po co mam tam iść? Po co mam próbować cokolwiek mu tłumaczyć? Jeśli będzie musiał do nas wrócić, wróci.

— Powinnyśmy jednak na niego uważać — powtórzyła matka.

— Nie rozumiesz, że właśnie tego mu trzeba? — zwróciła się do niej ciotka Salome. — Jeśli ma umrzeć, niech umrze, klóćąc się o królów, podatki i o Świątynię tu, nad Jordanem, wołając do Pana. Niech poczuje po raz ostatni, że są w nim siła i moc.

Umilkły.

Potem zaczęły rozmawiać półgłosem. O zwykłych, codziennych sprawach. Potem o swoich zmartwieniach, ale tego nie chciałem słuchać. Wszędzie rabusie, którzy palą wioski. Archelaos udał się nad morze, by popłynąć do Rzymu. Rzymianie niedługo tu będą, jeśli już nie wymasze — rowali z Syrii. Czyż nie wiedzą, co się stało, dzięki sygnałom przesyłanym za pomocą ogni palonych na wzgórzach? Cała Jerozolima ogarnięta zamieszkami. Przytuliłem się mocno do matki. Ciało miałem napięte i czułem każdy mięsień.

— Wystarczy już — uznała w końcu matka. — Zawsze to samo.

Zasnąć, tak, zasnąć. Pogrążyłem się w płytkim śnie.

— Anioły! — zawołałem głośno i otworzyłem oczy. — Ale ja ich nie widziałem.

— Śpij już, śpij — powiedziała matka.

Zaśmiałem się cicho. Widziała anioła, jeszcze zanim się urodziłem. Anioł powiedział Józefowi, żeby przyprowadził nas z powrotem do Nazaretu; sam słyszałem, jak tak mówił. I ja też widziałem anioły. Widziałem je, ale tylko przez chwilę. Nawet krócej niż przez chwilę.

Przybyły wielką rzeszą, niezliczone, niczym gwiazdy na niebie, i widziałem je przez moment. Czy to naprawdę były anioły? Jak wyglądały? Nieważne. „Nie to jest najtrudniejsze”.

Przewróciłem się na drugi bok. Dlaczego nie zwróciłem uwagi na to, jak wyglądają? Dlaczego nie zatrzymałem na nich dłużej wzroku? Dlatego, że one zawsze są! Trzeba tylko umieć je zobaczyć! To jak otwarcie drzwi lub odsłonięcie zasłony. Ale zasłona jest ciężka i gruba. Może taka jest zasłona oddzielająca Święte Świętych? Ciężka i gruba? I ta zasłona może spaść na ziemię, po prostu, ot tak.

Matka widziała anioła. Przemówił do niej. Wyszedł z tej niezliczonej rzeszy, zbliżył się do niej i wypowiedział do niej słowo, ale jakie było jego znaczenie?

Chciało mi się płakać, ale się nie rozplakałem. Byłem zarazem szczęśliwy i zasmucony. Owo dziwne uczucie wypełniało mnie po brzegi, niczym woda dzban. Byłem nim wypełniony do tego stopnia, że zwinąłem się w kłębek pod derką i chwyciłem z całej siły dłoń matki.

Czułem, jak jej palce wyślizgują się z mojej ręki.

Położyła się obok mnie. Miałem wrażenie, że zapadłem w dziwny sen.

A więc tak to trzeba zrobić? — pomyślałem. Myśli zaczęły mi się plątać. Trzeba to zrobić tak, żeby nikt nie wiedział. I nie mówić o tym nigdy nikomu. Nigdy, nawet Małej Salome ani matce. Nikomu. Ale przecież, Ojczy w Niebie, zrobiłem to, prawda? Dowiem się, co się zdarzyło w Betlejem. Dowiem się wszystkiego.

Przybyły znowu, było ich bardzo dużo, lecz tym razem tylko się uśmiechnąłem i nie otwierałem oczu. Chodźcie, możecie przyjść, śmiało, nie zerwę się na równe nogi. Możecie przyjść, nawet jeśli jest was tak wiele, że brakuje liczb, by was zliczyć. Przychodźcie z miejsca, gdzie nie ma liczb. Przychodźcie z miejsca, gdzie nie ma rabusiów, nie ma pożarów, nikt nie umiera od ciosu włóczni. Przychodźcie, ale nie wiecie tego, co ja wiem, prawda? Nie, nie wiecie.

A skąd ja to wiem?

## X

Jakże krótko trwał spokój tej nocy! Jak szybko został zburzony!

Następnego ranka cała dolina Jordanu zappełniła się ludźmi uciekającymi przed zamieszkami i buntem. Obudziły nas krzyki i płacz. Okoliczne wioski stały w płomieniach. Objuczyliśmy osły i skierowaliśmy się w dalszą drogę, na północ.

Z początku szliśmy wzdłuż rzeki, lecz wkrótce widok płomieni i dochodzące nas głośny płacz i zawodzenie sprawiły, że skierowaliśmy się bardziej na zachód. Tam jednak także trwały zamieszki i ludzie uciekali z wiosek, trzymając na jednym ręku tobołki, a na drugim niemowlęta i małe dzieci.

Kiedy przekroczyliśmy rzekę, na drugim brzegu ujrzeliśmy podobne, napawające przerażeniem sceny. Trakt wypełniony był nieszczęśnikami, którzy z płaczem opowiadali nam o bandach rabusiów i watazków mieniących się przyszłymi władcami, którzy najeżdżali wioski, zabierając ludziom dobytek i szukając złota, a w końcu paląc wszystko bez żadnego powodu. Znowu poczułem ściskający za gardło lęk, który mnie nie opuszczał, tak że niedawne chwile szczęścia, mimo olśniewającego blasku słońca, wydały mi się teraz tylko snem.

Straciłem rachubę czasu, a nazwy wiosek i osad, przez które przechodziliśmy, znikwały z mojej pamięci. Co pewien czas stawały nam na drodze bandy rabusiów. Torowali sobie siłą drogę przez tłum, krzycząc i przeklinając, pragnąc rabować kogo się da.

Staliśmy w takich sytuacjach razem, zbici w gromadę, i staraliśmy się nic nie mówić. Przed zapadnięciem zmroku rozbijaliśmy obóz z dala od osad i wiosek, które najczęściej były opuszczone albo spalone.

Gdy przebywaliśmy w jednym z miasteczek, chroniąc się w którymś z domów, rabusie podpalili sąsiednie domostwa. Mała Salome zaczęła płakać i teraz ja ją pocieszałem; ja, który tak bardzo płakałem, gdy staliśmy koło Jerycha, teraz przytulałem ją, zapewniając, że już niedługo będziemy w domu. Syłas i Lewi byli wściekli, że nie mogą się bić z tymi, którzy nas zaczepiali, domagając się złota i pieniędzy, ale Jakub powtórzył surowe słowa ojca, że pod żadnym pozorem mamy się nie odzywać i nie wdawać w bójki, bo jest ich zbyt wielu.

A poza tym, jak mówili mężczyźni, te „łotry mają miecze i sztylety”. Zabijali każdego, kogo mieli ochotę uśmiercić. Byli „spragnieni krwi”. Mieliśmy ich „nie prowokować”.

Czasem wędrowaliśmy jeszcze po zapadnięciu zmroku, nawet wówczas, gdy inni pielgrzymi rozbili już obóz, a ilekroć mężczyźni sprzeczali się zawzięcie o różne rzeczy,

zawsze między nimi był Kleofas. Ciotka Miriam mówiła, że wuj był bardzo rad i podekscytowany, że znalazł tylu nowych słuchaczy.

Gorączka opuściła go na dobre. Już więcej nie rozmawialiśmy na ten temat.

Trzymałem się blisko wuja, chcąc słyszeć wszystkie jego słowa. A on bez ogródek mówił, co myśli o królu Archela — osie, nie zważając na to, co powiedział mu kiedyś Józef, tak że nawet Alfeusz zrezygnował z napominania go. Arche — laos popłynął do Rzymu. Takie przynajmniej rozchodziły się wieści. Podobnie uczyniły pozostałe dzieci Heroda, „wszystkie, które przeżyły” — mówił Kleofas. Ludzie bowiem twierdzili, że w ciągu swego ponadtrzydziestoletniego panowania Herod zabił pięciu własnych synów, nie licząc całej rzeszy innych bezbronnych ludzi.

Szymon, brat Józefa, przeważnie milczał, jak zawsze, podobnie jego synowie i córki. Nie interesowały ich te sprawy, podobnie jak nie zajmowały mojej matki.

Kiedy odłączył się od nas Zebedeusz, a z nim ukochana kuzynka mojej matki, Miriam Aleksandra, było wiele płaczu, ponieważ „trzy Miriam” miały się spotkać znowu dopiero na Święto Paschy w przyszłym roku w Jerozolimie, ale zważywszy na to, co działo się wokół, czy ktokolwiek mógł być pewien, że pielgrzymka do Miasta Świętego będzie bezpieczna?

— A Elżbieta? Co z Elżbietą? — szlochały. — Sama na świecie, kiedy Mały Jan pójdzie do esseńczyków? — I chociaż rozstały się z nią dawno temu, za Jerychem, płakały z jej powodu. Wykrzykiwały głośno imiona ludzi, których nie znałem, a potem Zebedeusz i jego rodzina odjechali na osłach, kierując się w stronę Jeziora Galilejskiego, do Kafarnaum. Ja także miałem ochotę udać się nad Jezioro Galilejskie, ponieważ bardzo chciałem je zobaczyć.

Tęskniłem za morzem. Jeśli czasami pojawiała się we mnie jakaś myśl nie zrodzona z lęku, była to tęsknota za morzem. Aleksandria leżała na wąskim pasie lądu między Wielkim Morzem a jeziorem. W powietrzu zawsze unosił się tam zapach wody, czuć było chłodną, morską bryzę. Teraz jednak znajdowaliśmy się w głębi lądu, okolica była skalista, a drogi kamieniste, i co jakiś czas, niespodziewanie, padał deszcz.

Z tego, co mówili mężczyźni dobrze zaznajomieni z porami roku, były to już ostatnie deszcze, które i tak pojawiły się dość późno i w zwykłych okolicznościach byłyby bardzo pożyteczne, ale teraz nikt nie myślał o zbiorach, tylko o tym, by się wydostać z miejsc ogarniętych zamieszkami i buntem. Ilekroć padał deszcz, zbijaliśmy się w ciasną gromadkę, okrywaliśmy płaszczami i było nam bardzo zimno.

Z powodu deszczu kobiety na powrót zaczęły się martwić o Kleofasa, ale wuj miał się dobrze i wcale nie kasłał.



Ludzie mijający nas w drodze przynosili nam wieści o nowych zamieszkach w Jerozolimie. Mówiono, że armia rzymska wyruszyła już z Syrii. Mężczyźni, słysząc to, wznosili ręce w geście rozpacz i rezygnacji.

Razem z nami szło wielu ludzi; byli to pielgrzymi wracający do swoich miast w Galilei. Niebawem droga zaczęła się pięć pod górę i znaleźliśmy się w zielonej, wyżynnej okolicy. Bardzo mi się tutaj podobało.

Wszędzie, dokąd sięgał wzrok, ciągnęły się zielone gaje, na zboczach pały się owce i dopiero tutaj ujrzeliśmy rolników pracujących w polu, tak jakby wokół nie trwały żadne walki.

Na chwilę zapomniałem o bandach rabusiów, ale wtedy, jakby znikąd, wypadła zza wzgórza gromada jeźdźców, a ludzie rozpiezchali się na boki z przeraźliwym krzykiem. Czasami tłum pielgrzymów na drodze sprawiał, że jeźdźcy zbaczały w pole i mijali nas z boku, zostawiając w spokoju. Innym razem znęcali się nad mężczyznami, którzy pokornie odpowiadali na ich pytania, jakby byli nierozgarnięci, chociaż nie było to prawdą.

Każdej kolejnej nocy przy wieczornym posiłku dosiadali się do nas nowi ludzie. Czasami byli to Galilejczycy, którzy udawali się na północ do innych wiosek; inni byli naszymi krewnymi, których tak naprawdę nie znaleźliśmy, jeszcze inni uciekli z palonych i grabionych wiosek. Mężczyźni siedzieli wokół ogniska i podając sobie bukłak z winem, rozprawiali zawzięcie, wymyślając sobie i krzycząc na siebie, a Małej Salome i mnie ogromną radość sprawiało przysłuchiwanie się wszystkiemu, o czym mówili.

— Wszędzie powstali buntownicy — mówili nam przybysze. — Athronges razem z braćmi zaczyna zbierać siły. Napada na wioski i przyłącza się do niego coraz więcej ludzi. A na północy to samo robi Judasz bar Ezechiasz, Galilejczyk.

W stronę Ziemi Świętej maszerowali nie tylko Rzymianie, ale także ludzie z Arabii Skalistej. Palili wioski, bo nienawidzili Heroda, a teraz już go nie było i nie mógł odeprzeć ataku. Rzymianie próbowali zaprowadzić porządek.

Wszystko to zachęcało nas i naszych towarzyszy, by jeszcze szybciej zmierzać ku Galilei, nawet jeśli nie wiedzieliśmy, gdzie i kiedy możemy natknąć się na wszystkich tych napelniających nas grozą zbrojnych ludzi, o których wciąż słyszeliśmy.

Mężczyźni cały czas dyskutowali zawzięcie.

— Tak, to prawda, wszyscy opowiadali o zbrodniach Heroda i jakim był tyranem i potworem — powiedział jeden z nich. — Ale popatrzcie tylko, co się stało w mgnieniu oka z tym narodem! Czy naprawdę musimy mieć tyrana, by nami rządził?

— Mogliśmy sobie żyć dobrze i spokojnie pod rzymskim gubernatorem Syrii — powiedział Kleofas. — Niepotrzebny nam król żydowski, który nie jest Żydem.

— Ale kto miałby być tutaj? I sprawować władzę tu, w Judei, w Samarii, w Perei i w Galilei?  
— spytał z przejęciem Alfeusz. — Chcesz, żeby to byli rzymscy urzędnicy?

— Lepsi niż Herod — odparł krótko Kleofas, a wielu mu przytaknęło.

— A co będzie, jak rzymski prefekt wmaszeruje do Judei z posągiem Cezara Augusta jako Syna Bożego?

— Nigdy tego nie zrobią! Nigdy! — zawołał Kleofas. — Jesteśmy szanowani w każdym mieście imperium. Przestrzegamy szabatu, nie musimy wstępować do wojska. Szanują prawa, jakie odziedziczyliśmy po przodkach. Mówię wam: lepsi oni niż ta rodzina szaleńców, którzy wciąż spiskują przeciw sobie i przelewają własną krew!

Rozprawiali tak bez końca. Lubiłem zasypiać, przysłuchując się tym rozmowom. Czułem się wtedy bezpieczny.

— Powiem wam, co widziałem — włączył się wuj Alfeusz. — Kiedy Rzymianie tłumią bunt, zabijają niewinnych na równi ze złoczyńcami.

— Dlaczego cierpią niewinni? — spytał mój brat Jakub, który był już teraz jednym z mężczyzn i zachowywał się tak, jakby zawsze nim był.

— A jak żołnierze mają odróżnić niewinnego od winnego, kiedy rozpędzają tłum w mieście lub wiosce? — odezwał się jakiś obcy mężczyzna, Żyd z Galilei. — Kiedy idą przed siebie, zmiatają wszystko na swej drodze. Mówię wam, kiedy się tu zjawią, usuńcie się im jak najdalej z oczu. Nie mają czasu na to, by wysłuchiwać waszych tłumaczeń, że nie zrobiliście nic złego. To jak szarańcza. Najpierw rabusie, potem rzymscy żołnierze.

— A wszyscy ci wojownicy z dawnych czasów — powiedział Kleofas — albo ci nowi królowie Izraela, którzy teraz wszędzie wokół zrzucają kajdany, ci wszyscy nagle namaszczeni przywódcy, przecież oni doprowadzą ten kraj do jeszcze większej ruiny.

W tej chwili ciotka Miriam, Egipcjanka, nie wytrzymała i krzyknęła na cały głos. Otworzyłem oczy i zerwałem się z posłania.

Ciotka Miriam, siedząca z kobietami, poderwała się i podeszła do mężczyzn, wymachując rękoma, a w jej oczach szklily się łzy wyraźnie widoczne w blasku ogniska.

— Przestań, natychmiast przestań, słyszysz! Czy po to wyszliśmy z Egiptu, żeby słuchać takich rzeczy? Opuściliśmy Aleksandrię, przeszliśmy całą dolinę Jordanu, bez przerwy drżąc ze strachu przed tymi głupcami, a teraz, kiedy wokół wreszcie jest trochę spokoju i jesteśmy niedaleko domu, straszysz dzieci swoimi okrzykami, tymi swoimi proroctwami, chociaż i tak nie znasz woli Pana i nic nie wiesz! Gdy jutro dotrzemy wreszcie do domu, może się okazać, że Nazaret został spalony do zgliszczy!

Jutro. Nazaret? Tu, w tej pięknej krainie?

Dwie inne kobiety wzięły ją pod ręce i odciągnęły od kręgu, w którym siedzieli mężczyźni. Kleofas tylko wzruszył ramionami. Inni mówili dalej, teraz już przyciszonymi głosami. Kleofas pokręcił głową z rezygnacją i napił się wina.

Podszedłem do Jakuba, który siedział, wpatrując się w ogień.

— To prawda, że już jutro będziemy w Nazarecie? — spytałem.

— Możliwe — odrzekł. — Jesteśmy niedaleko.

— A jeśli tam wszystko jest spalone?

— Nie bój się — odparł Jakub cichym głosem. — Nazaret nie będzie spalony. Wiem to na pewno. Idź, śpij spokojnie.

Alfeusz i Kleofas spojrzeli bez słowa na Jakuba. Część mężczyzn, odmówiwszy wieczorne modlitwy, kierowała się ku swoim posłaniom pod gołym niebem.

— W jaki sposób mamy poznać wolę Pana? — zamruczał do siebie pod nosem Kleofas, patrząc gdzieś w bok. — Pan chciał, żebyśmy opuścili Aleksandrię i przyszli tutaj do tego... — przerwał, bo Józef odwrócił się i spojrzał na niego znacząco.

— Powiedz sam, co złego zdarzyło się nam do tej pory? — spytał Alfeusz Kleofasa.

Wszyscy spojrzeli pytająco na wuja. Kleofas milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

— No powiedz mi, Kleofasie — naciskał Alfeusz. — Czy przytrafiło się nam coś złego?

— Nic nam się nie stało — powiedział wreszcie cichym głosem Kleofas. — Jesteśmy cali i zdrowi.

Wszyscy przyjęli jego słowa z zadowoleniem. To była odpowiedź, na którą czekali.

Kiedy się położyłem, Józef przykrył mnie po szyję derką. Czułem chłód idący od ziemi i zapach trawy. Czułem też słodki aromat płynący od rosnących nieopodal drzew. Wszyscy rozłożyliśmy się na wzgórzu, niektórzy pod drzewami, niektórzy wprost pod niebem, jak ja.

Mały Juda i Symeon wtulili się znowu we mnie i żaden z nich nawet na chwilę się nie obudził.

Spojrzałem w górę, na gwiazdy. W Aleksandrii nigdy nie widziałem gwiazd tak jasnych i w takiej ilości, jak srebrny pył, jak piasek, jak wszystkie słowa, które znałem na pamięć i wyśpiewywałem w pieśniach.

Mężczyźni odeszli od ogniska i ogień zgasł. Teraz mogłem jeszcze wyraźniej widzieć gwiazdy i wcale nie chciałem zasnąć. Nigdy nie chciałem zasypiać.

Gdzieś w oddali nawoływali się ludzie. Słyszałem ich krzyki. Gdzieś u stóp wzgórza. Nie słyszałem wyraźnie, co do siebie krzyczeli, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem dość daleko od nas płomienie pochodni. Poczułem do nich nienawiść, nie podobało mi się, jak się poruszają, szybko, pospiesznie. Mężczyźni leżący obok mnie też pewnie je widzieli, lecz żaden z nich się

nie podniósł. Żaden się nie poruszył. Leżeliśmy w ciemnościach. W naszym obozowisku nikt nie zareagował na pochodnie i krzyki, podobnie zachowywali się ci, którzy rozłożyli się obok nas. Z wąwozu pod nami dobiegło rzenie i parskanie koni.

Obok mnie położył się Kleofas.

— Zawsze to samo — powiedział.

— Jak możesz tak mówić! — zaprotestowałem. — Wszędzie, dokąd idziemy, same zmiany.

Bardzo chciałem, żeby krzyki ucichły. I rzeczywiście prawie tak się stało. Ale pochodni było coraz więcej. Bałem się ich.

Przeróżliwe, przeciągłe krzyki słyhać było coraz bliżej. Krzyczała jakaś kobieta. Myślałem, że wszystko zaraz ucichnie, ale nie. A potem usłyszałem, jak ktoś biegnie; najpierw był to niewyraźny odgłos, a potem ciężki tupot stóp.

W ciemności dał się słyszeć męski głos. Mężczyzna wykrzykiwał straszne słowa, z których biła nienawiść, wyrzucał je z siebie ze złością, przekrzykując lament kobiety.

Wyzywał ją po grecku od ladacznic i wygrażał, że zabije, kiedy ją dopadnie, a z jego ust padały straszne przekleństwa, których nigdy przedtem nie słyszałem.

Mężczyźni z naszej rodziny podnieśli się z ziemi. Ja także.

Po chwili kroki kobiety dobiegały nas z bardzo bliska i słyhać było, jak z wysiłkiem wspina się na wzgórze. Dyszała ciężko i nie miała już siły krzyczeć. Migoczące w dali pochodnie nie odsłaniały jeszcze żadnych sylwetek ani twarzy.

Najpierw Kleofas, a potem Józef i inni mężczyźni skoczyli w stronę kobiety. Spozrzegłem w ciemnościach, jak chwycili ją pod ramiona, gdy tylko wspięła się ku nam, wymachując rozpaczliwie rękami na tle rozgwieżdżonego nieba. Popchnęli ją na ziemię, za siebie, między derki. Potem stanęli nieruchomo, patrząc przed siebie. Słyszałem jej krótki, urywany oddech, słyszałem, jak kaszle i szlocha. Kobiety pocieszały ją jak dziecko i odciągnęły dalej.

Stałem teraz jak mężczyźni, a Jakub tuż za mną.

W świetle zbliżającej się pochodni ujrzałem, jak w górę zbrocza wspina się, a potem przystaje z wahaniem mężczyzna. Jego ciemna sylwetka niewiele się różniła od skał wokół nas. Był pijany i cuchnął winem. Widziałem, jak się chwieje.

Nienawistnym głosem wykrzykiwał w stronę kobiety obelżywe słowa. Czasami zdarzało mi się słyszeć takie na targu i wiedziałem, że nigdy nie wolno ich wypowiadać.

Potem umilkł. Zapadła cisza. Słyhać było tylko jego oddech i chrzęst kamieni pod jego stopami, gdy próbował utrzymać równowagę.

W tej chwili kobieta wydała z siebie mimowolnie krótki, urywany okrzyk strachu.

Mężczyzna roześmiał się triumfalnie i skierował prosto w stronę Józefa i wujów, którzy zagrodzili mu drogę. Przez chwilę widać było kotłujące się sylwetki, ale poza tym dobiegały nas tylko zwyczajne odgłosy nocy.

Potem sylwetki oddaliły się w stronę wzgórza i wydawało się, że jest tam teraz więcej mężczyzn. Być może dołączyli do nich dwaj synowie Alfeusza, ale trudno było cokolwiek powiedzieć, bo wszystko działo się bardzo szybko. Wiedziałem, co oznaczały dochodzące mnie odgłosy. Bili go.

Mężczyzna nie miotał już przekleństw i dla odmiany było teraz słyszeć głosy kobiet uspokajających tę, która przed chwilą wbiegła na wzgórze.

Nagle mężczyźni oddalili się i zniknęli w ciemnościach. Stałem przez chwilę jak skamieniały, nie wiedząc dlaczego. Potem chciałem pobiec za nimi. Usłyszałem zdecydowany głos Jakuba.

— Zostań.

Kobieta szlochała cicho.

— Jestem wdową, mam tylko dziewczynę, służącą, mąż zmarł nie dalej jak dwa tygodnie temu. Nachodzą mnie jak szarańcza. Co mam robić? Dokąd pójść? Spalili mi dom, wzięli wszystko. Resztki tego, co zostało, zniszczyli. To najgorsze szumowiny. A mój syn jest przekonany, że tacy ludzie walczą o naszą wolność. A ja wam mówię, że teraz podnoszą się wszystkie szumowiny, teraz, kiedy Archelaos jest w Rzymie, niewolnicy zabijają swoich panów i wszędzie ogień i zgliszcza — mówiła coś jeszcze, a jej słowa tłumił urywany szloch.

Nic nie widziałem. Nasłuchiwałem, ciekaw, czy usłyszę mężczyzn. Czulem, że cierpnie mi skóra.

— Co z nim zrobią? — spytałem Jakuba.

Ledwie go widziałem w ciemnościach. Ujrzałem delikatny błysk światła odbijającego się w jego oczach. W dole dopalały się ogniska.

— Nic nie mów — powiedział. — Idź, połóż się spać.

— Mój dom! — biadała dalej kobieta zbolalym głosem. — Moje gospodarstwo, moja biedna dziewczyna, Riba! Jeśli ją złapią, zabijają! Było ich wielu. Zabijają, zabijają, zabijają!

Kobiety pocieszały ją, tak samo jak pocieszały nas, dzieci, gdy byliśmy smutne. Przemawiały łagodnie, lecz były to bardziej kojące dźwięki niż słowa.

— Idź, połóż się — zwrócił się do mnie ponownie Jakub. Był moim starszym bratem. Musiałem być mu posłuszny.

Mała Salome płakała przez sen.

Podszedłem do niej, przytuliłem ją i pocałowałem. Chwyliła moją rękę i po chwili spała na powrót spokojnym snem.

Leżałem, nie śpiąc, aż do powrotu mężczyzn.

Kleofas położył się obok mnie, tak jak przedtem. Mały Symeon i Judasz spali cały czas, nieświadomi tego, co się stało. Kiedy małe dzieci zasną, nic nie jest w stanie ich obudzić. Było cicho i nawet kobiety umilkły.

Kleofas zaczął szeptać coś po hebrajsku, ale nie byłem w stanie zrozumieć, co mówi. Inni mężczyźni także mówili coś szeptem.

Kobiety odzywały się półgłosem, wypowiadając, jak mi się zdaje, słowa modlitwy.

Nie potrafiłem myśleć o dziewczynie ze spalonego przez rabusiów domu. Modliłem się za nią, nie myśląc o niej, i jakoś udało mi się zasnąć.

## XI

Kiedy się obudziłem i otworzyłem oczy, nim jeszcze wypowiedziałem jakiegokolwiek słowa, ujrzałem nad sobą błękitne niebo i drzewa.

A więc w tej krainie leży Nazaret — pośród drzew i pól.

Podniosłem się z posłania i wyciągnąwszy w górę ręce, odmówiłem poranną modlitwę.

— „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Panem jedynym. Będziesz miłował Pana, Boga twojego, z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił”.

Byłem szczęśliwy.

Jednak widok wspinających się w górę zbocza mężczyzn i kobiet przywrócił wspomnienie nocnych wydarzeń.

Cała gromada wracała z domu wdowy, która schroniła się u nas przed pościgiem; tak przynajmniej mówiły kobiety. Wdowa była teraz z nami i dołączyła też do nas jej służąca, cała i zdrowa, a jej strój nie wskazywał na to, by ktoś ją napastował. Mimo to płakała, podtrzymywana przez Kleofasa, który ją prowadził.

Jej pani, gdy ją zobaczyła, krzyknęła i pobiegła ku niej.

Mężczyźni dźwigali tobołki, w które zawinięto rzeczy ze spalonego domu.

Prowadzili także na powrozie jałówkę. Stąpała powoli i wyglądała na bardzo przestraszoną.

Wdowa i służąca rozmawiały po grecku, ściskając się długo i serdecznie. Potem wdowa zwróciła się do naszych kobiet, już po aramejsku. Kobiety z naszej rodziny otoczyły obie ciasnym kręgiem, przytulały, wypowiadały słowa pociechy i całowały.

Wdowa miała na imię Bruria, a jej służąca, Riba, była dla niej jak córka. Natychmiast też Bruria zaczęła w modlitwie dziękować Bogu za to, że Riba ocalała i nic się jej nie stało.

Po tym wszystkim dołączyliśmy do tłumu na drodze i skierowaliśmy się w stronę Nazaretu.

Z rozmów dorosłych dowiedziałem się, że rabusie zabrali wszystko, co posiadała Bruria — jedwab, patery, ziarno, bukłaki na wino, wszystko, cokolwiek mogli zabrać ze sobą, dom i obejście zaś spalili. Ogień nie oszczędził także gaju oliwnego. Nie znaleźli jednak tego, co było ukryte w tunelu wykopanym pod domem. I dlatego Bruria miała teraz złoto, które zostawił jej mąż. Właśnie w tym tunelu, którego nie znaleźli rabusie, ukryła się Riba.

Dorośli powiedzieli, że Riba i Bruria zostaną z nami.

Ludzie idący drogą przekazywali sobie także inne wieści.

Spalono pałac Heroda nie tylko w Jerychu, ale także w Amathos. Rzymianie nie byli w stanie powstrzymać rabusiów przybywających z Arabii, którzy palili wieś za wsią.

Na dom Brurii napadli, jak mówiły Bruria i Riba, zwykli pijacy. Ribie w ostatniej chwili udało się schować w tunelu. Obie cały czas płakały, przypominając sobie te straszne chwile.

Tunel pod domem. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Nie ma króla, nie ma pokoju — powiedziała Bruria, która była córką Ezechiasza, syna Kaleba, i wymieniła nam przy okazji imiona swoich przodków i przodków w rodzinie męża.

Kiedy wymieniała imiona swoich przodków, słuchali jej nawet mężczyźni. Kiwali głowami, mruczając coś pod nosem, usłyszawszy to czy tamto imię. Nie spoglądali na nią ani na jej służącą, lecz szli obok kobiet w milczeniu, słuchając.

— Bunt podniósł Judasz bar Ezechiasz — mówiła Bruria. — Stary król Herod wtrącił go do więzienia, zachowując przy życiu, a powinien był skazać na śmierć. To Judasz podburza teraz młodych mężczyzn. Za swą siedzibę obrał Seforis. Tam napadł na skład broni. Kieruje stamtąd wszystkim, lecz Rzymianie już maszerują z Syrii. Boleję nad tym miastem. Kto nie chce zginąć, powinien jak najszybciej stamtąd uciekać.

Teraz już wiedziałem, jak nazywa się to miasto. Seforis. Wiedziałem, że to tam urodziła się moja matka, że jej ojciec Joachim był uczonym w Piśmie i że jego żona Anna, moja babka, także urodziła się w Seforis. Matka przeniosła się do Nazaretu, dopiero kiedy została poślubiona Józefowi, który razem z braćmi mieszkał w domu Starej Sary i Starego Justusa, krewnych matki oraz Joachima i Anny, a także Józefa. Część domu została przekazana Joachimowi i Annie oraz mojej matce, a był to duży dom i było w nim wiele izb dla wielu rodzin, a także duży dziedziniec dla wszystkich. Tam mieszkali przed wyruszeniem do Betlejem, w którym się urodziłem.

Kiedy zacząłem o tym myśleć, stało się dla mnie jasne, że nie znam całej historii. Wiedziałem, że Józef i matka zostali poślubieni w Betanii, w domu Elżbiety i Zachariasza, niedaleko Jerozolimy. Lecz Elżbieta i jej syn Jan nie mieszkali już w Betanii.

Nie, teraz musieli się ukrywać, jak nam opowiadała kuzynka Elżbieta.

I kiedy o tym pomyślałem, znowu powróciły do mnie wszystkie pytania.

Zbyt pilno było mi jednak ujrzeć Nazaret, by myśleć o tym wszystkim. Poza tym to było dla mnie bolesne. A otaczający mnie krajobraz był taki piękny. Znałem słowo „piękny” z Psalmów i kiedy spoglądałem na tę krainę, wiedziałem już, co ono oznacza.

Stara Sara i Stary Justus czekali w Nazarecie. Napisaliśmy do nich wcześniej list z wiadomością, że wracamy do domu. Stara Sara była ciotką mojej babki Anny, a także ciotką jednego z krewnych Józefa, ale nie pamiętałem imion wszystkich przodków.

W miarę wędrówki okolica stawała się coraz zieleńsza. Zaczął padać drobny deszcz, lecz nie przerywaliśmy marszu.



Wiele razy słuchaliśmy listów, jakie pisała do nas Sara, która zawsze pamiętała, by wymienić po imieniu wszystkie dzieci, a teraz wiedziała, że jesteśmy w drodze do domu.

Mężczyźni nie mówili zbyt wiele, za to Bruria i Riba opowiadały bez przerwy, mężczyźni zaś ich słuchali lub przynajmniej tak mi się wydawało. Wreszcie Bruria powiedziała, że zrzuci teraz z serca swe największe zmartwienie, bo już dłużej nie umie tego nosić w sobie. Otóż jej syn uciekł z domu i dołączył do buntowników w Seforis! Ma na imię Kaleb i możliwe, że już nie żyje. Nie miała nadziei, że jeszcze kiedykolwiek go ujrzy.

Mężczyźni nic nie mówili, tylko kiwali głowami.

— Kogo obchodzi Nazaret? — wymruczał pod nosem Kleofas.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział Józef. — Wiem to. Słońce stało już wysoko na niebie, chmury były białe jak żagle statków, a na polach pracowały kobiety.

Szliśmy cały czas pod górę drogą prowadzącą wśród wzgórz, aż wreszcie dotarliśmy do małej opuszczonej wioski. Wszędzie rosła wysoka trawa, a dachy domów się zapadły. Widać było, że mieszkańcy odeszli stąd dawno temu. Nie było żadnych śladów pożaru.

Większość ludzi mijala obojętnie to miejsce. Nasza rodzina się zatrzymała. Kleofas i Józef poprowadzili nas między walące się domy.

Znaleźliśmy źródło bijące ze skały. Woda wypełniała ogromny zbiornik, wokół którego rosły drzewa o ciężkich konarach, bogate w liście. Był to piękny widok.

Rozbiliśmy w tym miejscu obóz, a matka powiedziała, że spędzimy tu noc i ruszymy do Nazaretu jutro rano.

Mężczyźni poszli sami do źródła, by się wykapać, a kobiety przyniosły im czystą odzież. My w tym czasie czekaliśmy. Potem kobiety zabrały ze sobą dzieci i wykapaliśmy się, i przebrali w świeżą odzież, tak samo jak mężczyźni. Kobiety zadbały też o czyste ubrania dla Brurii i Riby.

Woda była zimna, ale nikomu to nie przeszkadzało i było dużo śmiechu i radości, a świeże ubrania wspaniale pachniały. Wydawało mi się nawet, że był to zapach Egiptu.

— Dlaczego nie idziemy dalej? — spytałem. — Przecież do zmroku jeszcze dużo czasu.

— Mężczyźni chcą odpocząć — odparła moja matka. — Poza tym wygląda na to, że będzie padać. Jeśli tak, schronimy się w domach. Jeśli nie będzie padać, zostaniemy na zewnątrz.

Nasi mężczyźni zachowywali się dziwnie. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi, ale teraz uderzyło mnie, że prawie przez cały dzień nie odezwali się ani słowem.

Wszystkie trudności, z jakimi musieliśmy się borykać, zmieniały nas każdego dnia. Musieliśmy sobie jakoś radzić. Ale tym razem Józef i wujowie zachowywali się inaczej. Nawet Kleofas milczał. Siedział oparty plecami o pień drzewa, spoglądając na wzgórza i obojętnie przyglądając się ludziom idącym drogą w stronę Galilei. Kiedy jednak spojrzałem na Józefa,

jak zawsze w takich sytuacjach, na jego twarzy ujrzałem spokój. Wyjął niewielką oprawioną książeczkę, z rozciętymi kartami, i zaczął coś szeptać do siebie. Rozpoznałem greckie litery.

— Co to jest? — spytałem.

— Samuel — odparł. — O Dawidzie.

Czytał, a ja słuchałem. Dawid walczył w bitwie i chciał się napić wody ze studni swych wrogów. Lecz kiedy przyniesiono mu wodę, Dawid nie mógł jej wypić, ponieważ jego ludzie narazili się na niebezpieczeństwo, by ją zdobyć. Mogli ponieść przy tym śmierć.

Skończywszy czytać, Józef podniósł się i powiedział Kleofasowi, by poszedł za nim.

Kobiety i dzieci siedziały wokół Brurii i Riby wciąż opowiadających o wielu rzeczach, które wydarzyły się w kraju.

W pewnej chwili Józef, Kleofas, Alfeusz, obaj synowie Alfeusza, Jakub, wszyscy poprosili Brurię, by podeszła do nich na chwilę rozmowy.

Potem oddalili się razem z nią w stronę kępy drzew, których gałęzie łagodnie kołysały się na wietrze, co zawsze bardzo mi się podobało.

Mówili cicho, lecz dobiegały mnie niektóre słowa.

— To prawda, ale straciłaś swój dom i gospodarstwo. I wszystko, co miałaś.

— Powiadam wam, macie prawo...

— To odplata. Odplata.

Kobieta, podnosząc ręce i potrząsając zdecydowanie głową, wstała i odeszła od mężczyzn, mówiąc głośno:

— Tego nie zrobię!

Mężczyźni wrócili na swoje miejsca i usiedli z powrotem na ziemi. Józef, cały czas pograżony w myślach, był wyraźnie zmartwiony. Po dłuższej chwili na jego twarzy pojawiły się znowu spokój i zdecydowanie.

Przechodzący drogą ludzie nie dostrzegali nas. Przejeżdżali obok jeźdźcy.

Po posiłku, kiedy wszyscy już spali, wróciłem myślami do pijanego mężczyzny w ciemnościach.

Wiedziałem, że Józef i pozostali mężczyźni go zabili, lecz nie przyznałem się sam przed sobą do tej wiedzy. Po prostu wiedziałem. Wiedziałem też, dlaczego go zabili. Wiedziałem, co chciał zrobić tej kobiecie. I wiedziałem, że mężczyźni umyli się i przebrali w nową odzież zgodnie z Prawem i że pozostaną nieczyści aż do zachodu słońca. To dlatego nie chcieli iść tego dnia do Nazaretu. Chcieli być czysti, kiedy przybędą do domu.

Ale czy można stać się kiedykolwiek na powrót czystym po popełnieniu takiego czynu? Jak zmyć z siebie krew człowieka i co zrobić z pieniędzmi, które miał przy sobie, splamionymi krwią pieniędzmi, które ukradł?

## XII

Wreszcie dotarliśmy na szczyt wzgórza.

Przed naszymi oczyma rozciągała się rozległa dolina, a widok gajów oliwnych i falujących pól zapierał dech w piersiach. Patrzącemu nasuwała się myśl, że to radosny i szczęśliwy kraj.

Wszędzie jednak znaczył swój ślad okrutny diabeł, ogień, i znowu w oddali widać było płomienie, a dym bił w niebo, ku białym chmurom. Zacząłem szczerkać zębami. Czułem, jak narasta we mnie lęk, i starałem się odepchnąć go od siebie.

— To Seforis! — krzyknęła matka, a razem z nią pozostałe kobiety.

Mężczyźni też zakrzyknęli. Zaczęliśmy się modlić, stojąc bez ruchu i przyglądając się płonącemu miasteczku.

— A gdzie Nazaret? — zawołała Mała Salome. — Czy też się pali?

— Nie — odparła matka i schyliwszy się, wskazała palcem w inną stronę.

— Tam jest Nazaret — powiedziała.

Podążyłem za jej wzrokiem i ujrzałem miasteczko położone na wzgórzu. Białe domy, niektóre jedne na drugich, i gęste drzewa, a po obu stronach łagodne zbocza i przyjemne doliny, a jeszcze dalej ledwie widoczne w oślepiającym blasku słońca wioski. A za nimi łuna pożarów.

— No i co robimy? — spytał Kleofas. — Kryjemy się dalej po wzgórzach, bo w Seforis pożar i zamieszki, czy idziemy do domu? Ja mówię, żebyśmy ruszali do domu!

— Nie spiesz się tak — powiedział Józef. — Może powinniśmy tu zostać? Sam nie wiem.

— Ty nie wiesz? — wtrącił się jego brat, Alfeusz. — Myślałem, że wiesz, że Pan zatroszczy się o nas, a teraz, kiedy do domu została godzina drogi, ty nie wiesz! Jeśli bandy ruszą w tę stronę, wolę schować się w tunelu pod domem w Nazarecie, niż kryć się tu, na wzgórzach.

— To też mamy tunele? — wyrwało mi się, chociaż wiedziałem, że nie przerywa się dorosłym mężczyznom, kiedy rozmawiają.

— Tak, mamy tunele. Każdy w Nazarecie ma pod domem tunel. Są stare i pewnie wymagają naprawy, ale są. A mordercy i rabusie są wszędzie tam, dokąd idziemy.

— To Judasz bar Ezechiasz — powiedział wuj Alfeusz. — Spalił Seforis i ruszył dalej.

Bruria zaczęła płakać i zawodzić z powodu swojego syna, a Riba jej wtórowała. Matka zaczęła je uspokajać.

Widać było, że Józef myśli nad całą sprawą. Wreszcie powiedział:

— Tak, Pan zatroszczy się o nas. Macie rację. Idziemy. Nie widać, żeby coś złego działo się teraz w Nazarecie ani na drodze do niego.

Zaczęliśmy schodzić w dolinę. Mijaliśmy sady, gaje oliwne i najbardziej urodzajne pola, jakie widziałem w życiu. Szliśmy wolno, jak zawsze, a dzieciom nie wolno było wybiegać przed dorosłych.

Byłem tak podekscytowany tym, że niedługo zobaczę Nazaret, i tak przepełniony szczęściem z powodu tego, że dotarłem do tej cudownej krainy, że chciałem śpiewać, ale nikt nie śpiewał. Dlatego śpiewałem w swoim sercu: „Chwalcie Pana, który niebo okrywa chmurami i deszcz przygotowuje dla ziemi, który sprawia, że góry wypuszczają trawę”.

Droga była kamienista, nierówna, i wiał lekki wietrzyk. Widziałem kwitnące drzewa i niewielkie wieże, stojące na wzniesieniach, lecz na polach nie było nikogo.

Nigdzie nie było widać ludzi.

Nie było także pasących się owiec ani bydła.

Józef kazał nam przyspieszyć kroku i staraliśmy się iść szybciej, ale nie było to łatwe z powodu ciotki Miriam, po której widać było wyraźnie, że bardzo źle się czuje, tak jakby cała choroba Kleofasa przeszła na nią. Ciągnęliśmy odporne osły i nieśliśmy na zmianę Małego Symeona, który cały czas płakał za matką, chociaż próbowaliśmy go uspokoić.

I wreszcie zaczęliśmy się wspinać w górę zbocza, na którym leżał Nazaret! Błagałem, żebyśmy mogli pobiec w stronę domu, i tak samo błagalnym tonem prosił o to ojca Jakub, lecz Józef nam zabronił.

Kiedy weszliśmy do Nazaretu, miasteczko było wyludnione.

Ulica prowadziła w górę wzgórza i rozgałęziała się po obu stronach na wiele małych uliczek, przy których stały białe domy. Niektóre miały jedno, inne dwa piętra, wiele z nich otwarte dziedzińce, lecz wszystkie były ciche i opustoszałe, jakby nikt w nich nie mieszkał.

— Pospieszmy się — powiedział Józef i widziałem, że pociemniał na twarzy.

— Czemu wszyscy się kryją? — spytał półgłosem Kleofas.

— Nic nie mów. Chodź — rzucił w jego stronę Alfeusz.

— Gdzie oni się pochowali? — spytała Mała Salome.

— W tunelach, pewnie siedzą w tunelach — odparł Syłas podekscytowanym głosem. Jego ojciec kazał mu zamilknąć.

— Pozwólcie mi wejść na dach, to się rozejrzę — powiedział Jakub.

— Dobrze — zgodził się Józef. — Ale nie stawaj wyprostowany, żeby nikt cię nie zobaczył, i zaraz schodź do nas.

— Mogę iść z nim? — zacząłem błagać. Ale Józef się nie zgodził.

Syłas i Lewi wydęli wargi, smutni, że nie mogą pójść z Jakubem.

Józef tymczasem prowadził nas coraz szybciej w górę zbocza.

Wreszcie kazał nam się zatrzymać przy głównej uliczce, mniej więcej w połowie drogi na szczyt. Wiedziałem, że jesteśmy w domu.

Przed nami wznosił się ogromny dom, znacznie większy, niż sobie to wyobrażałem, bardzo stary i zniszczony. Ze ścian w wielu miejscach odpadła zaprawa, krata podtrzymująca winorośl była zbutwiała i nawet dziedziniec prosił się o to, by go pozamiatać. A przecież, jak nam opowiadano, mieszkało tu wiele rodzin. Na wielkim dziedzińcu znajdowała się stajnia, a sam dom miał dwa piętra. Izby wychodziły na obie strony dziedzińca, a szerokie okapy dachu zapewniały cień. Wejścia do różnych pomieszczeń zamykały stare i zakurzone drewniane drzwi, a na dziedzińcu rosło największe drzewo figowe, jakie widziałem kiedykolwiek w życiu.

Było pochylone ku ziemi i miało powyginane gałęzie rozpościerające się nad wytartymi kamieniami dziedzińca, tworzące nad nim intensywnie zielony dach z wiosennych liści.

Pod drzewem stały ławy. Gałęzie winorośli oplatające zbutwiałe belki wystające ponad niższą ścianę domu tworzyły naturalną bramę wychodzącą na uliczkę.

Był to najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałem.

Po latach spędzonych w Zaułku Cieśli, po wszystkich nocach w izbach, gdzie kobiety i mężczyźni spali razem pod przeciwległymi ścianami, przy ciągłym wtórze płaczących dzieci, ten dom wydał mi się pałacem.

Miał dach z gliny, lecz w niektórych miejscach glina się wykruszyła i widać było rusztowanie z gałęzi. Na zewnętrznych ścianach widniały zacieki i wgłębienia, w których gnieździły się i gruchały gołębie, jedyne żywe istoty w tym mieście, a kamienie na dziedzińcu były gładkie i wytarte. Przypuszczałem, że wewnątrz w każdej izbie będzie klepisko. W Aleksandrii też mieliśmy klepiska. Była to dla mnie rzecz oczywista.

Zamiast tego myślałem o całej rodzinie mieszkającej w tym domu. Pomyślałem o drzewie figowym i wspaniałej winorośli obsypanej białymi kwiatami. Zaśpiewałem w głębi serca pieśń dziękczynienia dla Pana.

Gdzie jest izba, w której przebywała matka, kiedy przyszedł do niej anioł? Która to? Musiałem to wiedzieć.

Wszystkie te radosne myśli kłębiły mi się w głowie.

Wówczas do moich uszu dobiegł złowrogi dźwięk, tak przerażający, że usunął z mej świadomości wszystko inne. Konie galopujące uliczkami miasteczka. Tętent i parskanie wierzchowców i krzyki mężczyzn wołających coś po grecku.

Józef spojrzał w jedną stronę, potem w drugą.

Kleofas zaczął szeptać modlitwę i rozkazał Miriam wprowadzić natychmiast wszystkich do środka.

Nim jednak ciotka Miriam zdążyła zrobić krok, głosy odezwały się znowu i tym razem usłyszeliśmy wyraźnie wykrzykiwany po grecku rozkaz, by wszyscy wyszli natychmiast z domów. Ciotka stała nieruchomo jak głaz i nawet najmniejsze dzieci nie wydały żadnego dźwięku.

Z dołu i z góry nadciągali jeźdźcy. Weszliśmy na dziedziniec. Musieliśmy jak najszybciej zniknąć im z oczu, ale było już za późno.

Ujrzeliśmy rzymskich żołnierzy w pełnych zbrojach, na koniach, twarze ocieniały im hełmy, a w rękach trzymali włócznie.

Widowałem oczywiście rzymskich żołnierzy w Aleksandrii, i to nie raz, wchodzących lub wychodzących z dzielnicy Żydów, w procesji lub z żonami. Ba, nawet ciotka Miriam, Egipcjanka, żona Kleofasa, była córką rzymskiego żołnierza, a jej wujowie też byli rzymskimi żołnierzami.

Ci jednak byli zupełnie inni od tych, których znałem. Przepoceni, oblepieni kurzem i pyłem, rozglądali się na wszystkie strony zaciętym wzrokiem.

Było ich czterech. Dwóch już czekało na towarzyszy jadących od szczytu wzgórza. Cała czwórka zatrzymała się na wprost naszego dziedzińca, a jeden z nich krzyknął do nas, rozkazując, żebyśmy stali i się nie ruszali.

Ściągnęli ostro wodze koniom, które zatańczyły w miejscu, mokre, ze spienionymi bokami, biły kopytami ziemię i wzbijały tumany pyłu. Z trudem mieściły się w ciasnej uliczce.

— Popatrzcie tylko — powiedział jeden z żołnierzy po grecku. — Wygląda na to, że jesteście jedynymi mieszkańcami Nazaretu. Macie całe miasto dla siebie. A my mamy dla siebie wszystkich jego mieszkańców na jednym podwórzu. No co za szczęście!

Nikt z nas nie powiedział ani słowa. Józef zacisnął rękę na moim ramieniu tak mocno, że poczułem ból. Nikt się nie poruszył.

Drugi żołnierz machnięciem ręki uciszył swego towarzysza i podjechał do nas, ściągając wodze narowistego konia.

— No co, nic nie mówicie? Ten pierwszy znów zawołał:

— No właśnie, dlaczego nie mielibyśmy was ukrzyżować z całą tą hałastrą na dole?

Nadal wszyscy milczeliśmy, wreszcie Józef odezwał się łagodnym głosem.

— Panie — zaczął po grecku. — Dopiero co przybyliśmy z Aleksandrii do naszego starego domu. Nie wiemy nic o tym, co się tutaj dzieje. Kiedy przybyliśmy, zastaliśmy miasteczko opustoszałe, tak jak i wy. — Wskazał na osły i przytroczone toboły, kosze i derki. — Jeszcze mamy na sobie kurz i pył wędrowni, panie, ale jesteśmy posłuszni twoim rozkazom.

Ta długa odpowiedź zaskoczyła żołnierzy i dowódca, ten, który zwrócił się do nas, podjechał jeszcze bliżej, prawie stając na dziedzińcu, tak że nasze osły cofnęły się przestraszone. Żołnierz spojrzał na nas, na nasze tobołki, na kobiety, zbite w ciasną gromadę, i na dzieci.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego towarzysz rzucił:

— Weźmy dwóch i zostawmy resztę! Nie mamy czasu sprawdzać każdego domu. Bierzymy dwóch i jedziemy!

Ciotka i matka wydały stłumiony okrzyk. Mała Salome natychmiast zaczęła głośno płakać, a zaraz po niej zaczął się drzeć Mały Symeon, sam pewnie nie wiedząc dlaczego. Słyszałem, jak ciotka Estera mruczy coś po grecku, lecz nic nie rozumiałem.

Byłem tak przestraszony, że nie mogłem oddychać. Z ich ust padło słowo „ukrzyżować”, a ja wiedziałem, co znaczy ukrzyżowanie. Widziałem to kiedyś, poza murami Aleksandrii, tylko przez chwilę, ponieważ nigdy, przenigdy nie chcieliśmy patrzeć na krzyżowanego człowieka. Przybity do krzyża, odarty z szat, żałośnie nagi, umierający ukrzyżowany człowiek przedstawiał sobą haniebną widok.

Odczuwałem paniczny strach również dlatego, że widać było, iż żołnierze także lękali się nie na żarty.

Dowódca nic nie odpowiedział.

Tamten mówił dalej:

— To będzie nauczka dla całego miasteczka, a wtedy inni się uspokoją.

— Panie — zaczął wolno Józef — czy mogę w jakiś sposób ci udowodnić, że jesteśmy niewinni i że dopiero co wróciliśmy z Egiptu? Jesteśmy ludzie prości, panie. Trzymamy się naszego i waszego prawa. Zawsze tak postępowaliśmy. — W jego zachowaniu i w postawie pozostałych mężczyzn nie było widać lęku, ale wiedziałem, że bardzo się boją. Czulem to, tak samo jak powietrze wokół mnie. Czulem, jak dzwonię zębami ze strachu. Wiedziałem, że jeśli zacznę płakać, wpadnę w spazmy. Nie mogę się rozplakać. Nie teraz.

Kobiety jęczały cicho ze strachu, niemal niedosłyszalnie.

— Ci ludzie nie mają z tym nic wspólnego — powiedział wreszcie dowódca. — Jedziemy dalej.

— Czekaj, przecież musimy wrócić z kimś z miasteczka — zaproponował drugi żołnierz. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że oni tutaj nie wspierają buntowników? Nie przeszukaliśmy jeszcze wszystkich domów.

— Jak mamy to zrobić? — spytał dowódca. Spojrzał na nas z wierzchowca. — Sam przecież powiedziałeś, że nie mamy na to czasu. Jedziemy.



— Bierzymy chociaż jednego. Dla przykładu. — Żołnierz wyjechał przed dowódcę i zaczął przyglądać się mężczyznom.

Dowódca milczał.

Wtedy odezwał się Kleofas.

— Skoro tak, to ja pójdę — powiedział. — Weźcie mnie. Wszystkie kobiety krzyknęły przeraźliwie jakby jednym głosem, ciotka Miriam osunęła się bezwładnie na moją matkę, a Bruria upadła na ziemię i zaczęła szlochać.

— To dla tej chwili zostałem zachowany — dodał Kleofas. — Weźcie mnie. Umrę za rodzinę.

— Nie, jeśli ktokolwiek ma pójść, weźcie mnie — powiedział Józef. — Ja pójdę z wami. Jeśli ma pójść jeden, niech to będę ja. Nie wiem, o co jestem oskarżony, ale pójdę.

— Nie, nie, ja pójdę — zaproponował Alfeusz. — Jeśli ktoś musi pójść, ja to zrobię. Tylko powiedzcie mi, dlaczego mam zginąć.

— Ty nie pójdiesz — przerwał mu Kleofas. — Nie rozumiesz, dlaczego zostało mi oszczędzone życie tam, w Jerozolimie? To najlepszy moment. Jestem gotów teraz ofiarować życie za moją rodzinę.

— Mnie weźcie — powiedział Szymon i wyszedł przed pozostałych. — Pan nie oszczędza życia człowieka, by ten miał potem umrzeć na krzyżu. Weźcie mnie. Zawsze byłem na końcu, zawsze ostatni. Wszyscy dobrze to wiecie. Nie jestem w niczym dobry. Przynajmniej teraz na coś się przydam. Pozwólcie mi ofiarować życie za braci i całą rodzinę.

— Nie, przecież powiedziałem: to ja idę! — rzucił stanowczo Kleofas. — Mnie mają zabrać!

W tej chwili wszyscy bracia zaczęli na siebie krzyczeć a nawet przepychać się nawzajem, próbując wystąpić jeden przed drugiego i tłumacząc, dlaczego to właśnie on, a nie kto inny powinien ponieść śmierć, ale w tym rozgardiaszu trudno było usłyszeć, co kto mówił. Kleofas tłumaczył, że powinien iść, bo i tak jest chory; Józef powoływał się na to, że jest głową rodziny; Alfeusz twierdził, że zostawi dwóch silnych i zdrowych synów, i tak kłócili się bez końca.

Żołnierze, którzy przypatrywali się całej scenie w niemym zdumieniu, nagle wybuchnęli śmiechem.

Wtedy z dachu zeskoczył mój brat Jakub, który miał dwanaście lat, upadł na dziedziniec, pzbierał się szybko i stanął przed dowódcą.

— Ja pójdę z wami — odezwał się. — Wróciłem do domu mojego ojca i ojca jego ojca, i ojca jego ojca, by za niego umrzeć.

Na to żołnierze roześmiali się jeszcze głośniej.

Józef natychmiast odciągnął Jakuba. Zaczęli się szarpać i szamotać, aż w końcu jeden z żołnierzy wskazał ręką na dom. Wszyscy odwróciliśmy głowy.

Z naszego domu wyszła stara kobieta, tak stara, że jej skóra była pomarszczona jak kora drzewa. W rękach trzymała tacę z ciasteczkami, a przez ramię miała przewieszony bukłak z winem. Wiedzieliśmy, że to musi być Stara Sara.

Podczas gdy dzieci całą uwagę skupiły na starej kobiecie, żołnierze kątem oka obserwowali klóących się mężczyzn, a kiedy ci wciąż się spierali, który ma zostać ukrzyżowany, Sara zaczęła mówić, lecz jej słowa ginęły w ich krzykach.

— Uciszyć się natychmiast, wszyscy! — krzyknął dowódca. — Nie widzicie, że ta stara kobieta chce coś powiedzieć?

Zapadła cisza jak nożem uciał.

Staruszka podeszła drobnymi, szybkimi kroczkami ku żołnierzom, wychodząc niemal na uliczkę.

— Skłoniłabym się, panowie — powiedziała po grecku — ale dźwigam na plecach zbyt wiele lat, by móc to uczynić. Wy jednak jesteście młodzi. Mam tu słodkie ciasteczka, którymi chcę was poczęstować, i najlepsze wino z winnic naszych krewniaków z północy. Wiem, że jesteście utrudzeni i na obcej ziemi. — Jej greka była równie płynna jak grecki Józefa i mówiła jak ktoś, kto opowiedział już w życiu wiele historii i legend.

— Gotowaś karmić armię, która krzyżuje synów twojego ludu? — spytał dowódca.

— Panie, przygotowałabym ambrosję dla bogów na Olimpie — odparła staruszka — i wezwałabym tancerki i dziewczęta grające na fletach, i napełniłabym złote puchary nektarem, gdybyś tylko zechciał oszczędzić dzieci z domu mego ojca.

Żołnierze znowu wybuchnęli śmiechem. Nie był to jednak śmiech złośliwy i nieprzyjazny. Rysy twarzy Rzymian złagodniały i widać było teraz, że są bardzo zmęczeni.

Staruszka podeszła do nich i wyciągnęła tacę z ciasteczkami. Każdy wziął po jednym, a najbardziej nieprzyjazny z nich, ten, który chciał zabrać jednego z nas, przyjął od niej bukłak i napił się wina.

— Lepsze niż nektar i ambrozja — powiedział dowódca. — A z ciebie dobra kobieta. Przypominasz mi moją babkę. Jeśli dasz mi słowo, że żaden z tych ludzi nie jest bandytą, i zapewnisz, że nie mają nic wspólnego z buntem w Seforis, uwierzę ci. Ale musisz mi jeszcze powiedzieć, dlaczego w miasteczku nikogo nie ma.

— Ci ludzie są tymi, za których się podają — odparła staruszka. Gdy żołnierze skończyli jeść ciasteczka, Jakub podszedł do niej i odebrał z jej rąk pustą tacę. — Przez siedem lat mieszkali w Aleksandrii. To rzemieślnicy, którzy pracują w srebrze, drewnie i kamieniu.

Otrzymałam od nich list, że wracają do domu. To dziecko zaś, moja siostrzenica Miriam, jest żydowską córką rzymskiego żołnierza stacjonującego w Aleksandrii, a jej ojciec brał udział w bitwach na północy.

Ciotka Miriam, podtrzymywana przez inne kobiety, gdyż nie była w stanie stać o własnych siłach, skinęła głową na potwierdzenie.

— Proszę, cały czas noszę przy sobie ich listy, które przyszły do mnie z Egiptu nie dalej jak miesiąc temu z rzymską pocztą. Pokażę je wam. Przeczytajcie. Pisane po grecku przez skrybę z Zaułka Cieśli. Sami możecie zobaczyć.

Wydobyła złożony we czworo kawałek pergaminu, ten sam, który moja matka wysłała z Aleksandrii, kiedy razem byliśmy u skryby.

— Nie trzeba, wierzę ci — odparł żołnierz. — Dobrze wiesz, że naszym zadaniem jest stłumić bunt, wszyscy to wiecie. Ponad połowa miasteczka spłonęła. Nikomu, kto tu mieszka, to nie służy. Sami nie chcecie, żeby tak było. Spójrzcie na to miasteczko. Spójrzcie na pola, tam w dole. To żyzna i bogata kraina. Po co ten głupi bunt? Połowa miasta płonie, a handlarze niewolników porywają kobiety i dzieci.

Jeden z żołnierzy przysłuchiwał się temu z kpiącym wyrazem twarzy, lecz ten, który chciał zabrać jednego z mężczyzn na ukrzyżowanie, milczał. Dowódca natomiast mówił dalej:

— Buntownicy chcą zjednoczyć kraj, ale nie mają szans. Mimo to wkładają sobie na głowy korony i ogłaszają się królami. A wieści dochodzące z Jerozolimy mówią, że tam jest jeszcze gorzej. Wiecie przecież, że główna część armii maszeruje na południe, w stronę Jerozolimy, prawda?

— Módlmy się, aby w chwili, gdy przyjdzie do nas śmierć — odparła staruszka — nasze dusze były razem przeznaczone do życia w światłości naszego Pana...

Żołnierze spojrzeli na nią.

— ...a nie pośród tych przeznaczonych do wyrzucenia precz, jak dusze tych, którzy dopuszczają się zła.

— Dobra modlitwa — rzekł dowódca.

— Poczekaj, aż skosztujesz wina — powiedział jeden z żołnierzy, podając mu bukłak.

Dowódca upił spory łyk.

— Mmm, bardzo dobre — powiedział. — Doskonałe wino.

— Czy dałabym ci złe wino, skoro chcę uratować życie mojej rodziny? — spytała staruszka.

Żołnierze znowu się roześmiali. Kobieta wzbudziła ich sympatię.

Dowódca chciał jej oddać bukłak, lecz ona powstrzymała go gestem ręki.

— Zabierzcie go ze sobą — odparła. — Macie przed sobą ciężkie zadanie.

— Rzeczywiście — przyznał żołnierz. — Co innego bitwa, co innego egzekucja.

W tej chwili zapadła cisza. Dowódca spojrział na nas, a potem na staruszkę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale milczał. Wreszcie po dłuższej chwili rzekł:

— Dziękuję ci, kobieto, za twą dobroć. Co zaś do twojego miasteczka, zostawimy je w spokoju. — Ściągnął wodze i skierował konia w uliczkę.

Wszyscy pochyliliśmy się nisko.

Wtedy Sara odezwała się znowu, a dowódca zatrzymał konia.

— Niech cię Pan błogosławi i strzeże — mówiła. — Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku tobie oblicze swoje i niech obdarzy cię pokojem.

Dowódca długo spoglądał na pomarszczoną twarz kobiety, powstrzymując narowistego konia wzbijającego kopytami tumany kurzu, wreszcie skinął ku niej przyjaźnie głową i uśmiechnął się.

Żołnierze odjechali.

Słychać było oddalający się tętent kopyt i rżenie koni, podobnie jak wtedy, gdy się zjawili. A potem w Nazarecie zapadła cisza, taka sama jak przedtem.

Wszystko wokół pozostawało w bezruchu, tylko kwiatki i liście na winorośli drżały na lekkim wietrze. Wiatr poruszał także młodymi, soczyste zielonymi listkami figowca.

W panującej dokoła ciszy słychać było jedynie gruchanie gołębi i delikatny śpiew innych ptaków.

Józef zwrócił się półgłosem do Jakuba:

— Co widziałeś z dachu?

— Wszędzie krzyże, po obu stronach drogi z Seforis. Ludzi nie widziałem, tylko krzyże. Nie wiem ile. Ukrzyżowali może z pięćdziesięciu mężczyzn.

— W takim razie już po buncie — orzekł Józef i wówczas wszyscy nagle odzyskali mowę i zdolność poruszania się i zaczęli mówić jeden przez drugiego.

Kobiety stłoczyły się wokół staruszki, ścisnęły jej rękę, obsypywały ją pocałunkami i machały w naszą stronę, byśmy przyszli i także ucałowali jej rękę na znak szacunku.

— To właśnie Stara Sara — zwróciła się do nas moja matka. — Siostra matki mojej matki. Podejdźcie tu wszyscy — zwróciła się do dzieci. — Przyjdźcie, żebym mogła każde z was przedstawić.

Kobieta miała zakurzone, lecz miękkie szaty, a jej drobne dłonie pokryte były gęstą siateczką zmarszczek, podobnie jak twarz. Oczy, schowane w zmarszczkach, płonęły żywym blaskiem.

— To Jezus bar Józef — powiedziała matka. — To Jakub, atu...

— Chodźcie tutaj, pod drzewo, na ławkę, moje dzieci, niech was wszystkie zobaczę... o, to najmniejsze dajcie mi na ręce...

Przez całe życie matka opowiadała mi o Starej Sarze. Całe życie czytaliśmy listy od niej. Dom Starej Sary był miejscem, w którym połączyły się rodziny mojego ojca i mojej matki. Nie pamiętałem wszystkich linii pokrewieństwa, chociaż powtarzano mi je wiele razy. Rozumiałem jednak to, co było w nich najważniejsze.

Siedzieliśmy teraz pod figowcem, a ja zająłem miejsce u stóp staruszki. Przez cień, jaki tworzyły gęste liście, przedzierały się pojedyncze promienie słońca. Ciepłe powietrze tchnęło świeżością.

Ogromne kamienie dziedzińca były tak wytarte, że prawie wcale nie widać było śladów narzędzi kamieniarzy. Podobały mi się pędy winorośli obsypane białymi kwiatkami delikatnie kołyszącymi się na wietrze. Wokół nas było tyle przestrzeni i wszystko wydawało się jakby miękkie, tak jak nigdy w Aleksandrii.

Mężczyźni poszli oporządzić osły. Starsi chłopcy wnosili do domu tobołki i kosze. Chciałem być z mężczyznami i pomagać im, ale chciałem także słuchać Starej Sary.

Matka trzymała na kolanach Małego Judasza i opowiadała Sarze historię Brurii i jej niewolnicy Riby, obie uciekinierki zaś zapewniały, że będą naszymi służebnicami do końca życia, że same przygotują dzisiaj dla nas posiłek i że będą usługiwać każdemu z nas, tylko mamy im powiedzieć, gdzie jest jedzenie i czego mogą użyć. Wszyscy mówili jeden przez drugiego.

— Reszta mieszkańców Nazaretu pochowała się w tunelach pod domami, a niektórzy uciekli do grot na wzgórzach — powiedziała nam Sara. — Jestem za stara, żeby wczołgiwać się do tunelu — dodała. — A poza tym oni nigdy nie zabijają starych ludzi. Módlmy się, żeby nie wrócili.

— Są ich tysiące — powiedział Jakub, który widział wszystko z dachu.

— Idźcie, przywitajcie się ze Starym Justusem — powiedziała Sara. — Leży w łóżku, jest zbyt słaby, by chodzić.

Natychmiast Mała Salome, Jakub, ja i dwóch naszych kuzynów, synów Alfeusza, udaliśmy się do domu. Przeszliśmy najpierw kolejno cztery izby, nim znaleźliśmy w końcu Starego Justusa. Nie leżał na macie na klepisku, lecz na łóżku, i palił się przy nim kaganek, roztaczając przyjemny zapach. Kiedy weszliśmy, był już przy nim Józef, który siedział na drewnianym zydłu obok łóżka.

Stary Justus podniósł rękę, próbując unieść się i usiąść, ale nie miał siły, by to uczynić. Józef wymienił po kolei wszystkie nasze imiona, lecz Justus spoglądał tylko na mnie. Potem oparł z powrotem głowę na posłaniu i widziałem, że chociaż chciał przemówić, nie mógł powiedzieć ani słowa. Na koniec przymknął oczy.

Wiele słyszeliśmy o Starym Justusie, ale on sam nigdy nie pisał. Był nawet starszy niż Sara, bo był jej wujem, a także krewnym Józefa i mojej matki, podobnie jak Stara Sara. Gdy chodziło o niego, też nie umiałem wymienić po kolei imion wspólnych przodków, tak jak robiła to moja matka, która recytowała je płynnie jak psalm.

W pewnej chwili w całym domu zapachniało jedzeniem i poczułem zapach świeżo upieczonego chleba i gotowanej w kociołku gęstej polewki. Wszystko to już wcześniej przygotowała Stara Sara.

Chociaż na zewnątrz było jeszcze jasno, mężczyźni kazali wszystkim wejść do domu. Zamknęli drzwi, nawet wrota stajni, tam gdzie stały nasze osły, poza którymi nie było tam innych zwierząt, polecieli zapalić lampy i usiedliśmy w półmroku. W izbie było gorąco, lecz nie przeszkadzało mi to. Na klepisku leżały miękkie, grube kobierce i myślałem tylko o wieczornym posiłku.

Och, jak bardzo chciałem wyjść, przyjrzeć się rozciągającym się dokoła polom i drzewom, pobiec uliczką w górę i w dół, zobaczyć mieszkańców miasteczka, lecz wszystko to musiało zaczekać, aż skończy się ten straszny czas.

Tu byliśmy bezpieczni. Kobiety zajęły się podawaniem posiłku, mężczyźni zabawiali najmłodsze dzieci, a ogień pod kociołkiem żarzył się przyjemnie.

Kobiety wniosły suszone figi, rodzynki maczane w miodzie, słodkie daktyle, pikantne oliwki i inne smakołyki, które wieźliśmy w naszych tobołkach aż z Egiptu. Prócz tego mieliśmy gęstą, pyszną polewkę z soczewicą i mięsem jagnięcia — prawdziwego jagnięcia! — i świeży chleb, jednym słowem prawdziwa uczta.

Józef pobłogosławił kielichy z winem i odmówił modlitwę:

— O Panie wszechświata, stwórcu winnego krzewu, z którego pijemy, i pszenicy, z której ziaren jest chleb, który spożywamy, dziękujemy Ci za to, że jesteśmy w domu, bezpieczni, i prosimy, byś nas ustrzegł od wszelkiego zła. Amen.

Nie wiedzieliśmy, czy w miasteczku jest jeszcze ktoś poza nami, Stara Sara powiedziała jednak, że mamy być cierpliwi i nie tracić wiary w Pana.

Po posiłku wuj Kleofas podszedł do niej, wziął ją w ramiona i ucałował jej dłonie, a ona pocałowała go w czoło.

— A co ty w ogóle wiesz o bogach i boginiach, którzy piją nektar i jedzą ambrozję? — spytał.

Inni mężczyźni, słysząc to, roześmiali się.

— Jak będziesz miał trochę czasu, poszperaj w tych skrzyniach ze zwojami, jeśliś taki ciekawy — odparła. — Czy myślisz, że mój ojciec nie znalazł miejsca na Homera? Albo Platona? Myślisz, że nigdy wieczorami nie czytał nam, dzieciom? Ty mnie jeszcze nie znasz.

Kolejni mężczyźni podchodzili do Sary i całowali jej ręce, a ona witała się z nimi.

Uderzyło mnie, że przywitali się z nią dopiero teraz i że żaden z nich nie podziękował jej za to, co zrobiła.

Kiedy matka ułożyła mnie do snu w izbie razem z mężczyznami, spytałem ją, dlaczego nie podziękowali Sarze za to, że ich wybawiła. Zmarszczyła brwi, potrząsnęła głową i powiedziała szepsem, że nie wolno mi mówić o takich rzeczach i o tym, że kobieta uratowała mężczyzn.

— Ale przecież ma już tyle siwych włosów na głowie — zaproponowałem.

— Wciąż jednak jest kobietą — odparła matka. — A oni są mężczyznami.

W nocy obudziłem się z płaczem.

Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Nic wokół nie widziałem. Po chwili spostrzegłem, że jest obok mnie matka i ciotka Miriam, a także Bruria, która mówiła coś do mnie. Zrozumiałem, że jesteśmy w domu. Szczękałem zębami, chociaż w izbie nie było zimno. Jakub podszedł do mnie i powiedział, że Rzymianie ruszyli na południe. Zostawili trochę żołnierzy, żeby pilnowali ukrzyżowanych, i stłumili resztki rebelii, gdy zajdzie potrzeba, lecz większość armii poszła dalej.

Z głosu Jakuba przebijały pewnośc siebie i odwaga. Leżał teraz obok, obejmując mnie ramieniem.

Chciałem, żeby już nastał dzień. Czuję, że gdyby było jasno, lęk by mnie opuścił. Znowu zacząłem płakać.

Matka zaśpiewała mi łagodnym głosem:

— „Ty królom dajesz zwycięstwo, Ty wyzwoliłeś sługę Twego, Dawida, od miecza złego. Daj pomyślność synom naszym, jak rośliny rozrastającym się w czasie swej młodości, niech będą córki nasze na wzór narożnych kolumn, rzeźbione jak kolumny świątyni... szczęśliwy lud, którego Bogiem jest Pan...”

Pogrzażyłem się na powrót we śnie. Gdy się obudziłem, światło wpadające przez szparę pod drzwiami powiedziało mi, że nastał dzień. Kobiety już wstały. Wyszedłem szybko na zewnątrz, nie pytając nikogo o zgodę. Powietrze było słodkie i orzeźwiające.

Jakub wybiegł z domu zaraz po mnie i wspięliśmy się po drabinach najpierw na jeden dach, a potem na drugi. Położyliśmy się razem na skraju i spoglądaliśmy w stronę Seforis.

Miasto leżało dość daleko i wyraźnie widać było jedynie krzyże, o których mówił Jakub poprzedniego dnia. Nie byłem w stanie ich policzyć. Wokół krzyży poruszali się ludzie. Inni przechodzili drogą i widziałem wozy i osły. Ugaszono pożary, lecz ku niebu nadal unosił się dym. Wydawało mi się, że większą część miasta udało się ochronić przed ogniem, ale nie byłem pewien, bo trudno było zobaczyć cokolwiek wyraźnie.

Po mojej prawej stronie domy pięły się stromo w górę, stojąc jeden naprzeciw drugiego, po lewej stronie zaś schodziły w dół. Na dachach nie było nikogo, gdziekolwiek tylko leżały maty i derki, a wokół miasteczka rozciągały się zielone pola i kępy pokrytych gęsto liśćmi drzew. Tak, drzew roślo tu bardzo dużo.

Kiedy zeszliliśmy, czekał już tam Józef, który spojrzał na nas surowo, ujął za ramiona i powiedział:

— Kto wam pozwolił to zrobić? Nie wściecie mi się więcej wchodzić na dach!

Skinęliśmy posłusznie głowami. Jakub się zarumienił i spojrzał na Józefa, a ten odwzajemnił spojrzenie. Wstyd syna i wybaczenie ojca.

— To moja wina — przyznałem. — Ja pierwszy wdrapałem się na dach.

— Nie rób tego nigdy więcej — powiedział Józef. — Przecież nie wiemy, czy tu nie wrócą. Przytaknąłem posłusznie głową.

— Co widzieliście? — spytał Józef.

— Jest spokojnie — odparł Jakub. — Już skończyli egzekucje. Ludzie zabierają ciała skazańców. Wszędzie widać spalone wioski.

— Ja nie widziałem wiosek — powiedziałem.

— Takie ciemne plamy dokoła miasta.

Józef pokręcił głową, po czym wziął ze sobą Jakuba, dla którego miał jakąś pracę.

Spojrzałem na dziedziniec. Stara Sara siedziała w kucki pod rozłożystymi konarami figowca o dużych, zielonych liściach. Zajęta była szyciem, a właściwie wyciąganiem nici pozostałych po zszyciu materiału.

Przechodzący uliczką starszy mężczyzna skinął głową w jej stronę i poszedł dalej. Uliczką przechodziły także kobiety z dziećmi i słychać było ich krzyki i śmiechy.

Stałem zaszuchany, do moich uszu dochodziło gruchanie gołębi i miałem wrażenie, że słyszę poruszające się na wietrze liście i kobiecy śpiew.

— O czym tak marzysz? — spytała Stara Sara.



W Aleksandrii zawsze roiło się od ludzi, byli wszędzie, zawsze przebywało się w czyjejs obecności, zawsze jedliśmy, bawiliśmy się i spaliśmy stłoczeni i nigdy, nigdy nie było tak... tak cicho.

Chciałem śpiewać. Pomyślałem o wuju Kleofasie i o tym, że miał zwyczaj całkiem niespodziewanie intonować śpiew. Ja też pragnąłem teraz zaśpiewać.

U wejścia na dziedziniec pojawił się jakiś mały chłopiec, a zaraz za nim następny.

— Wejdźcie — zaprosiłem ich.

— Tak, wejdź, Toda, i ty, Mattai, też! — zawołała Sara. — To mój siostrzeniec, Jezus bar Józef.

Natychmiast zza zasłony wyszedł Mały Symeon, a chwilę później Mały Judasz.

— Umiem wbiec na samą górę do końca uliczki najszybciej z was wszystkich — pochwalił się Mattai.

Toda powiedział mu, że muszą wracać do pracy.

— Zaraz otwierają targ. Widzieliście już targ? — spytał.

— Nie, a gdzie to jest?

— Idźcie z nimi, to wam pokażą — powiedziała Sara. Miasteczko zaczynało wracać do życia.

## XIII

Targ w Nazarecie, u stóp wzgórza, był raczej miejscem spotkań mieszkańców niż prawdziwego handlu. Niektórzy z przybyłych rozciągnęli nad głową płótna mające ich chronić przed słońcem i rozłożyli na derkach towary. Kobiety sprzedawały nadmiar warzyw z ogrodów. Owszem, był też wędrowny handlarz, który sprzedawał między innymi srebrne talerze. Inny znowu miał na sprzedaż lniane płótno i mnóstwo farbowanej przędzy, a poza tym różnego rodzaju ozdoby i błyskotki, a także kielichy z alabastru, a nawet dwie książeczki.

Poznałem kilku chłopców, ale matki trzymały ich blisko siebie. Poza tym zaraz przyszedł po mnie Jakub.

W miasteczku pojawiała się coraz więcej oznak życia. Kobiety zmierzały na targ, starszycy wychodzili na dziedzińce, a niektórzy mężczyźni szli na pola lub z nich wracali.

Jednak na twarzach wszystkich malowały się smutek i troska. Ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami o nieszczęściach, które spadły na Seforis. Wszyscy byli przybici, może z wyjątkiem dzieci, ponieważ my umiałyśmy zapomnieć na krótką chwilę o wszystkim wokół.

Kiedy wróciłem do domu, ujrzałem kolejne dzieci, które przyszły na dziedziniec bawić się z Małą Salome i innymi, gdy tymczasem dorośli i starsze dzieci już od dłuższego czasu pracowali bez wytchnienia.

Naszym zadaniem było ustalić, co w domu wymaga naprawy. Dlatego najpierw wspięliśmy się na gliniany dach położony na rusztowaniu z gałęzi, by przyjrzeć się dokładnie, gdzie są w nim dziury, a potem musieliśmy przejść każdą izbę i upewnić się, czy w niektórych miejscach nie trzeba obłożyć ścian gliną, na górze zaś musieliśmy sprawdzić stan podłogi. Wszędzie, gdzie glina poczerniała lub zszarzała, należało ją pomalować. W jednej z izb na dole, w smudze światła wpadającego przez otwarte drzwi, zobaczyliśmy ślady pasów w trzech kolorach, namalowanych wzdłuż powały, i resztki wzorów zdobiących kiedyś ściany. Wszystko to bez wątplenia musiało być niegdyś bardzo piękne.

Józef i Kleofas stwierdzili, że wszystko trzeba będzie odmalować, a w Aleksandrii widziałem, jak szybko potrafią się z tym uporać. Ja byłem zbyt mały, by móc namalować zielony pas biegnący równo wzdłuż ściany.

Mogłem za to robić wiele innych rzeczy.

Na przykład trzeba było naprawić żłoby w stajni i zbić nową kratkę dla winorośli z przodu dziedzińca, bo stara zbutwiała, co zauważyłem od razu, gdy stanęliśmy przed domem.

Najbardziej jednak zaskoczyły mnie ogromne cysterny na wodę, w jakie był wyposażony nasz dom, mogące pomieścić ogromną ilość deszczówki. One też wymagały naprawy. Na samym końcu odkryłem znajdującą się poniżej domu ogromną mykwę wykutą w kamieniu przed wielu, wielu laty.

Mykwa to zbiornik z wodą służący do obmyć i nie widziałem takich w Egipcie. Miała stopnie prowadzące do środka i była tak głęboka, że nawet stojąc, można się było w niej zanurzyć w całości. Teraz była tylko do połowy wypełniona wodą, a w wielu miejscach ściany łuszczyły się lub pociemniały i też wymagała naprawy. Józef powiedział, że wybierzemy całą wodę i wyłożymy ściany mykwy na nowo. Woda płynęła do środka z jednej z cystern, które dzięki obfitym deszczom były teraz napelnione.

Dowiedzieliśmy się, że tę mykwę zbudował dziadek Starej Sary, kiedy osiadł w Nazarecie. W domu tym mieszkał najpierw on, a potem jego siedmiu synów. Józef znał imiona każdego z nich, ja jednak nie potrafiłem zapamiętać ani ich imion, ani imion ich dzieci. Wiedziałem tylko, że to od nich pochodził ojciec mojej matki, a także ojciec matki Józefa. W opowieściach o przodkach pojawiały się wciąż nowe i nowe imiona. Nie mogłem się doczekać, kiedy zabierzemy się do pracy.

Nim nadeszło popołudnie, w ruch poszły miotły. Część kobiet trzepała kobierce, pozostałe poszły z Kleofasem na targ kupić świeżą żywność na wieczorny posiłek, w piecu na dziedzińcu cały dzień wypiekano chleb.

Bruria siedziała, płacząc za synem, który razem z buntownikami wyruszył do Seforis. Była przekonana, że nie żyje. Wszyscy wiedzieliśmy, że może to oznaczać, że wisi na jednym z krzyży stojących przy drodze, lecz nie rozmawialiśmy o tym. Żadne z nas nie chciało się jeszcze wybierać do Seforis. Pracowaliśmy w ciszy.

Przed zapadnięciem nocy nasze rodziny podzieliły między siebie dom. Kilka izb dostali Alfeusz, jego żona i dwaj synowie, swoje izby dostali także Kleofas, ciotka Miriam i ich małe dzieci, jak również Józef, moja matka, Jakub i ja, z tym że nasze izby łączyły się z izbami ciotki Miriam i mieliśmy u siebie także Starą Sarę i Starego Justusa. Wuj Szymon, ciotka Estera i mała Esterka dostali izby niedaleko stajni, w środku domu. Bruria i Riba także miały własną izbę.

W domu mieszkała jeszcze stara służąca o imieniu Ide, chuda i milcząca, której nie widziałem poprzedniego dnia. Opiekowała się Starym Justusem i Starą Sarą i spała na klepisku w ich izbie. Nie wiedziałem, czy w ogóle potrafi mówić.

Na obfity wieczorny posiłek składało się mięso od poprzedniego dnia, gorący chleb, który upiekliśmy w piecu, i mnóstwo słodkich fig i daktyli. Wszyscy jeden przez drugiego mówili, co

należy jeszcze naprawić w domu i wokół niego, a dzieci bardzo chciały pójść do ogrodu poza miasteczkiem i zobaczyć, jak on wygląda, a także spotkać innych ludzi, których jeszcze nie poznaliśmy.

Kiedy po posiłku leżeliśmy sobie beztrosko, niewiele mówiąc i nie robiąc nic szczególnego, do izby od strony dziedzińca wszedł jakiś mężczyzna. Józef natychmiast zerwał się na równe nogi. Gdy wrócił do nas, zamykając za sobą drzwi, ponieważ na zewnątrz zrobiło się już chłodno, powiedział do wszystkich:

— Legiony rzymskie opuściły Galileę. Zostało tylko trochę żołnierzy, żeby pomóc ludziom utrzymać porządek do powrotu Archelaosa.

— Niech będą dzięki Panu na Wysokościach — powiedział Kleofas, a potem wszyscy zaczęli pytać:

— A co z ukrzyżowanymi? Czy wszystkich zdjęli? Każdy wiedział, że człowiek na krzyżu umiera dwa dni, a nawet dłużej.

— Nie wiem — odparł Józef.

Stara Sara, siedząca na zydlu, pochyliła głowę i zaczęła śpiewać po hebrajsku.

— Ostatni żołnierze przemaszerowali głównym traktem godzinę temu — powiedział Józef.

— Oby już nigdy tu nie wrócili — rzekła moja matka.

— Ukrzyżowanego człowieka należy zdjąć przed zachodem słońca! — zawołał Kleofas. — To rzecz haniebna! Mijają już dwa dni, odkąd ci ludzie...

— Daj spokój, Kleofasie — przerwał mu Ałfeusz. — My jesteśmy tutaj i jesteśmy żywi.

Kleofas znów chciał coś powiedzieć, lecz matka wyciągnęła rękę i położyła mu na kolanie.

— Proszę cię, bracie. W Seforis także są Żydzi, którzy wiedzą, co robić. Zostaw to im.

Potem już nikt nic nie mówił. Chciałem powstrzymać nadchodzący sen, lecz na próżno.

Kiedy udaliśmy się tej nocy na spoczynek, po raz pierwszy znalazłem się w izbie mężczyzn, bez Symeona, Małego Józefa i najmłodszych dzieci.

Zawsze spałem razem z kobietami i maluchami. Ale teraz dzieciaki spały razem ze swoimi mamami. Moja matka zaś spała ze Starą Sarą i Starym Justusem, a także Brurią i jej niewolnicą, chociaż obie miały osobną izbę. Brakowało mi Małej Salome. Tęskniłem nawet za małą Esterką, która budziła się w nocy z płaczem i uspokajała dopiero, kiedy na powrót zasypiała.

Czułem się bardzo dorosły, mogąc spać razem z Józefem i Jakubem, ale mimo to spytałem Józefa, czy mogę przytulić się do niego w nocy, a on się zgodził.

— Jeśli się obudzę i będę płakał, mogę pójść spać z matką? — spytałem.

— Chcesz, żebym cię położył spać razem z matką? Jesteś tu najmłodszy, ale masz już siedem lat i wiele rozumiesz. Czemu pytasz mnie o takie rzeczy? Jeśli chcesz, możesz spać z matką.

Nie odpowiedziałem. Odwróciłem się na drugi bok i zamknąłem oczy.

Przespałem spokojnie całą noc.

## XIV

Dopiero trzeciego dnia pobytu w Nazarecie pozwolono nam chodzić i biegać swobodnie. Wcześniej Kleofas przeszedł kawałek traktem wiodącym ku Seforis i po powrocie powiedział nam, że wszystkie ciała zostały zdjęte z krzyży, w całym mieście znowu panuje porządek i odbywa się targ, a na koniec dodał ze śmiechem, że potrzebują cieśli, żeby odbudowali to, co zostało spalone.

— Mamy dosyć roboty tutaj — powiedział Józef. — Będą odbudowywać Seforis jeszcze wtedy, kiedy my będziemy już w grobie.

Rzeczywiście, mieliśmy mnóstwo pracy w domu i musieliśmy najpierw przywrócić do użytku mykwę, co oznaczało, że my, małe dzieci, musiałyśmy zejść na dół i brodząc w zimnej wodzie, podawać napełnione dzbany dorosłym, tak by opróżnić mykwę. A po uporaniu się z tym mieliśmy się wziąć do naprawy ścian domu.

Byłem bardzo szczęśliwy, ponieważ mogliśmy wychodzić poza miasteczko i już przy pierwszej okazji powędrowałem ku gajom oliwnym. Widziałem dużo dzieci i chciałem z nimi porozmawiać, ale najpierw pragnąłem nacieszyć się otwartą przestrzenią i pochodzić po okolicznych wzgórzach, w cieniu drzew.

Aleksandria była pięknym miastem słynącym z wielu cudów, jak zawsze opowiadali ludzie, i miała swoje święta i procesje, wspaniałe świątynie, pałace i domy, takie jak willa Filona z marmurową posadzką. Ale za to tutaj była zielona trawa.

Pachniała pięknie, ładniej niż różne pachnidła, a kiedy przechodziłem pod gałęziami drzew, czułem pod stopami miękką ziemię. Z dołu, od doliny, wiał lekki wietrzyk i wyglądało to tak, jakby poruszał po kolei każdym drzewem. Nad głową słyszałem przyjemny szum liści. Wspinałem się dalej w górę zbocza, aż znalazłem się w miejscu porośniętym gęstą, wysoką trawą i położyłem się w niej. Trawa była bardzo miękka i wilgotna, ponieważ w nocy padało. Spojrzałem w dół, ku miasteczku. Widziałem mężczyzn i kobiety pracujących w ogrodach, a jeszcze dalej rolników na polach. Ludzie oczyszczali ziemię z chwastów. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Jednak moją uwagę bardziej przyciągały rosnące tu, tam i hen w oddali, kępy drzew, a także błękit nieba.

Dałem się pochłonać tej chwili i temu miejscu. Czułem się wolny i nieskrępowany. Czułem wyraźnie każdy por mojej skóry. Ciche brzęczenie wypełniało mi uszy i było tak, jakbym sam brzęczał, ale przecież to nie ja wydawałem ten dźwięk. Błogość. Czułem się tak jak czasami

przed zaśnięciem. Jednak nie byłem senny, nie chciało mi się spać. Leżałem nieruchomo na trawie i słyszałem różne poruszające się w niej stworzonka. Spostrzegłem nawet trzepoczące w powietrzu przezroczyste skrzydełka. Spojrzałem w dół i zobaczyłem mnóstwo drobnych owadów, tak małych, że prawie niewidocznych, potykających się o źdźbła trawy.

Potem powiodłem powoli wzrokiem ku drzewom. Znowu poruszał nimi lekki wiatr, a gałęzie kołysały się tanecznie. Liście srebrzyły się w blasku słońca i nie przestawały się poruszać nawet wtedy, kiedy wietrzyk ustał.

Spojrzałem na powrót na to, co znajdowało się na wprost moich oczu: małe stworzonka biegające szybko po grudkach ziemi. Uświadomiłem sobie, że kładąc się na trawie, musiałem pewnie zgnieść niektóre z nich, może nawet mnóstwo, i im dłużej się przypatrywałem, tym więcej ich widziałem. Ta trawa była całym ich światem. To wszystko, co znały. A kim byłem ja, który przyszedłem tu, by na chwilę się położyć, czując miękkość trawy, wciągając w nozdrza jej przyjemny zapach i pozbawiając życia wiele małych stworzeń?

Nie, nie czułem żalu ani smutku z tego powodu. Położyłem dłoń na źdźbłach trawy, a drobne stworzonka wędrowały pod nią coraz szybciej, aż cały ich świat wypełnił się trzepotem ich skrzydełek, czego oczywiście nie mogłem usłyszeć.

Ziemia pode mną była jak posłanie, a świergot ptaków niczym pieśń. Śmigały nad moją głową tak szybko, że z trudem śledziłem ich lot. Wróble. Tuż obok, przede mną, rosły w trawie małe kwiatki, tak drobne, że wcześniej ich nie zauważyłem, o białych płatkach i żółtym wnętrzu.

Wietrzyk stał się mocniejszy i poruszał zwawiej gałęziami nad moją głową. Posypał się na mnie bezgłośnie deszcz liści.

W moją stronę zmierzał jakiś mężczyzna. Wyszedł z gaju oliwnego poniżej i kierował się wprost ku mnie.

Był to Józef. Piął się pod górę, pochylony. Frędzle jego płaszcza powiewały na wietrze i wydawał się chudszy niż wtedy, kiedy opuściliśmy Aleksandrię. Możliwe, że wszyscy schudliśmy.

Wiedziałem, że przez szacunek dla niego powinienem się podnieść, ale było mi tak dobrze w trawie; brzęczenie było tak przyjemne i przenikało mnie całego, i dlatego podniosłem tylko wzrok.

Wtedy nie byłem jeszcze tego świadom, ale wówczas na trawie, pod tamtym drzewem, pierwszy raz w życiu byłem zupełnie sam.

Wiedziałem jedynie, że spokój tej chwili został właśnie przerwany i że musiało się tak stać. Jaki był ten czas, który mogłem spędzić właśnie tutaj, spoglądając przed siebie, aż świat zaczął tracić kontury? Wreszcie wstałem, czując się tak, jakbym budził się z głębokiego snu.

— Wiem — zwrócił się do mnie Józef smutnym głosem. — To tylko małe miasteczko, nieznane w świecie, i w ogóle nie może się równać ze wspaniałą Aleksandrią. Zupełna dziura i pewnie już setki razy myślałeś o twoim przyjacielu Filonie i dawnych kolegach, i o wszystkim, co musiałeś zostawić. Wiem to bardzo dobrze.

Nie umiałem mu odpowiedzieć. Próbowałem. Staralem się wyjaśnić mu, jak ja to widzę, jak wszystko tu wydaje mi się miękkie i błogie, takie dobre w moich oczach. Szukałem właściwych słów, lecz nie znajdowałem; nie mówiłem dość szybko.

— Musisz jednak zrozumieć — ciągnął Józef — że tutaj nikt nie będzie cię szukał. Jesteś w ukryciu i w ukryciu pozostaniesz.

W ukryciu.

— Ale dlaczego muszę...

— Żadnych pytań — powiedział. — Przyjdzie na to czas.

Teraz posłuchaj. Nigdy nie możesz mówić o tym ludziom. — Przerwał i spojrzał na mnie, by się upewnić, czy go dobrze zrozumiałem. — Nie wolno ci mówić o tym, co słyszałeś przy ognisku. Nie możesz rozmawiać z nikim obcym. Nie możesz mówić, gdzie byłeś ani dlaczego, a najlepiej jeśli na razie zachowasz wszystkie pytania w swoim sercu, a kiedy będziesz już dość duży, powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć.

Nie odpowiedziałem ani słowem.

Wziął mnie za rękę i zaczęliśmy iść z powrotem w stronę miasteczka. Doszliśmy do niewielkiego ogrodu, którego granice wyznaczały ułożone kamienie, a obok rosła kępa drzew. Grządki porastały chwasty, ale drzewa były duże i zdrowe. Obok rosło pojedyncze drzewo, ogromne, o pokrzywionym i powykręcany pniu.

— Dziadek mojego dziadka zasadził tę oliwkę — powiedział Józef. — A tamto drzewo, o to, widzisz? To granatowiec, i tylko poczekaj, aż cały zakwitnie na czerwono.

Podszedł do zarośniętej chwastami grządki. Rabatki w sąsiednich ogródkach były starannie wypielone i obsadzone roślinami.

— Wypielimy ją jutro, żeby kobiety mogły tu coś posadzić. Jeszcze nie jest za późno, żeby posadzić trochę winorośli, winogron, ogórków i innych warzyw. Zobaczymy, co powie Stara Sara.

Spojrzał na mnie.

— Jest ci smutno?



— Nie — odparłem szybko. — Tutaj jest wspaniale! — Bardzo chciałem znaleźć właściwe słowa, takie jak w Psalmach.

Chwycił mnie pod ramiona, uniósł i pocałował w oba policzki, a potem ruszyliśmy razem do domu. Nie wierzył mi. Myślał, że mówię tak, żeby nie sprawić mu przykrości. A ja chciałem biec przez gaje oliwne i wspinać się po wzgórzach. Chciałem robić wszystkie te rzeczy, których nigdy nie robiłem w Aleksandrii. Kiedy jednak dotarliśmy na dziedziniec, czekała na nas praca i coraz więcej ludzi przychodziło, by się z nami przywitać.

## XV

Stara Sara powiedziała, że robota pali się nam w rękach. Alfeusz razem z synami błyskawicznie naprawili dach, który był teraz tak solidny, że mogliśmy po nim skakać. Ludzie z sąsiedniego domu, położonego nad naszym, byli radzi z tego powodu, bo od nich prowadziło wyjście na nasz dach. Powiedzieliśmy im, by korzystali z niego, kiedy przyjdzie im ochota, tak jak robili to dawniej, i by latem rozłożyli sobie na nim derki. Dla nas było dość miejsca na dachu nad główną częścią domu i z lewej strony, która wychodziła na dom stojący niżej od naszego, a także na niższe domy z tyłu.

Na dachach siedziały kobiety zajęte szyciem, obok nich bawiły się dzieci, a każdy dach otoczony był murkiem, tak jak w Jerozolimie, zabezpieczającym przed przypadkowym upadkiem. Niektórzy ludzie mieli nawet na dachach donice z niewielkimi drzewkami owocowymi i innymi roślinami, których nazw nie znałem. Uwielbiałem siedzieć na dachu i spoglądać w dół, w dolinę.

Chłodne dni pory deszczowej dobiegały końca. Co prawda jeszcze było zimno i wcale mi się to nie podobało, ale wiedziałem, że niedługo zrobi się cieplej.

Kleofas i jego najstarszy syn, Mały Józef, a także Mały Justus, bardzo bystry i starszy od niego, młodszy syn Szymona, wyłożyli od wewnątrz ściany mykwy odporną na wodę zaprawą zmieszaną ze składników, jakie można było dostać w Nazarecie, i wkrótce mykwa była biała i można było do niej nalać wody z cystern. Na dnie znajdowało się niewielkie ujście, którym cały czas wyciekała woda, dzięki czemu była to „woda żywa”, jaka zgodnie z Prawem była wymagana do oczyszczeń.

— Czy ta woda jest żywa, bo tam jest ten mały otwór? — spytała Mała Salome. — I przez to jest jak strumyk?

— Tak — odparł jej ojciec Kleofas. — Woda płynie. To znaczy, że jest żywa. To wystarczy.

Gdy późnym popołudniem skończyliśmy napełniać mykwę, zgromadziliśmy się wszyscy wokół niej. Dzień był pogodny, ale chłodny. W świetle lamp mykwa prezentowała się jak należy.

Razem z Józefem zrobiliśmy nowe podpórki dla winorośli rosnącej przy domu i wzdłuż dziedzińca, ostrożnie umieszczając na nich zielone odnogi, tak by ich nie połamać. Niestety, niektórych nie dało się uratować, większość jednak umocowaliśmy na nowych podpórkach i przywiązaliśmy do nich grube pędy.

Jakub zabrał się do reperowania łąw. Wybrał dobre elementy każdej z nich i połączył je na nowo i chociaż łąw było teraz mniej, można było na nich bezpiecznie usiąść.

Przy murze oddzielającym dziedziniec od uliczki przystawali mieszkańcy Nazaretu: mężczyźni idący na pole, mówiący zazwyczaj niewiele, i kobiety z koszami, które zatrzymywały się na dłuższą pogawędkę w drodze na targ. Najczęściej były to przyjaciółki Starej Sary, chociaż zazwyczaj młodsze od niej; przychodzili także chłopcy, by nam pomóc. Jakub wkrótce znalazł sobie przyjaciela. Miał on na imię Lewi i był naszym krewniakiem, synem naszych kuzynów, którzy mieli pole i gaj pełen dorodnych oliwek. Nie minęło kilka dni od naszego przybycia do miasteczka, a i Salome przyprowadziła gromadkę dziewczynek w swoim wieku i odtąd trzymały się cały czas razem, szeptały do siebie i śmiały się głośno.

Kobiety miały teraz więcej pracy niż w Aleksandrii, gdzie mogły codziennie kupić świeży chleb, polewkę i warzywa. Tu wstawały wcześniej, gdyż musiały same upiec chleb i przynieść wodę. Chodziły po nią do źródła za miasteczkiem. Jakby tego było mało, musiały jeszcze posprzątać izby na górze, których na razie nie używaliśmy, a kiedy Jakub skończył naprawiać łąwy, musiały je wyszorować, a także posprzątać dziedziniec i pozamiatać wewnątrz cały dom.

Mieliśmy w domu klepisko, tak jak w Aleksandrii, ale lepiej ubite i dlatego nie podnosiło się z niego tyle pyłu. A leżące na nim dywany były lepsze, grubsze i bardziej miękkie. Kiedy zasiadaliśmy do wieczornego posiłku, wsparci na poduszkach, było nam bardzo wygodnie.

Wreszcie nadszedł szabat, nawet się nie zorientowaliśmy, że tak szybko minął czas. Kobiety jednak pamiętały o wszystkim i przygotowały na zapas jedzenie: suszoną rybę moczoną w winie, a potem smażoną, do tego daktyle, orzechy, takie, jakich nigdy wcześniej nie jadłem, i świeże owoce pochodzące z tutejszych sadów, a także dużo oliwek i innych smakowitości.

Wszystko to zostało przygotowane wcześniej, a potem zapalono lampę szabatową. Zapalenie lampy należało do obowiązków mojej matki, która przykładając płomień, odmówiła po cichu modlitwę.

Potem wszyscy pomodliliśmy się, dziękując za bezpieczny powrót do domu, i zaczęliśmy razem czytać Torę. Śpiewaliśmy i rozmawialiśmy, szczęśliwi, że możemy spędzić nasz pierwszy szabat w domu.

Kiedy pochylałem się nad zwojem, myślałem o tym, co Józef powiedział Filonowi w Aleksandrii. „W szabat wszyscy Żydzi są uczonymi. Wszyscy są filozofami”. Nie wiedziałem dokładnie, kto to filozof, ale słyszałem to słowo już przedtem i wydawało mi się, że to ktoś taki jak uczony albo studiujący Prawo. Nauczyciel w Aleksandrii powiedział kiedyś, że Filon jest filozofem. To by się zgadzało.

A teraz wszyscy byliśmy uczonymi i filozofami, wszyscy, którzy siedzieliśmy w tej dużej izbie, pozamiatanej i wysprzątanej, umyć i oczyszczeni w mykwie, w świeżej i czystej odzieży — wszystko to zrobiliśmy jeszcze przed zachodem słońca. Józef siedział i czytał w świetle lampy, a płonąca oliwa słodko pachniała.

Ba, mieliśmy nawet zwoje, tak jak Filon, chociaż nie aż tak wiele. Było ich jednak całkiem sporo. Nie wiedziałem dokładnie ile, ponieważ trzymano je zamknięte w skrzyniach, do których mieli klucze Józef i Stara Sara.

Jeszcze inne zwoje były ukryte w tunelu, do którego dzieciom na razie nie wolno było wchodzić. Gdyby na nasz dom napadli rabusie, gdyby wybuchł pożar (już na samą myśl o tym ogarniało mnie drżenie), wówczas zwoje będą bezpieczne.

To oczywiste, że bardzo chciałem zobaczyć, jak jest w tunelu. Ale mężczyźni powiedzieli, że wymaga on naprawy i że dzieciom nie wolno tam schodzić.

Nim zaczął się szabat, Józef wyjął ze skrzyni i rozwinął niektóre zwoje. Kilka było bardzo starych i miało poszarpane brzegi, ale wszystkie były dobrze zachowane.

— Od teraz — rzekł Józef, powiódłszy po nas wzrokiem i przygarbawszy ku sobie — nie czytamy już po grecku! Jesteśmy tutaj, w Ziemi Świętej, i będziemy czytać tylko po hebrajsku. Czy muszę wyjaśniać dlaczego?

Wszyscy się roześmialiśmy.

— Ale powiedzcie mi, co mam zrobić z tą księgą pisaną po grecku, którą wszyscy tak kochamy? — Podniósł zwój.

Wiedzieliśmy, że to Księga Jonasza. Zaczęliśmy klaskać z radości, prosząc, by nam ją przeczytał.

Józef się roześmiał. Najbardziej lubił mieć nas obok siebie, zasłuchanych, a już od dawna nie było ku temu sposobności.

— Powiedzcie mi, co mam zrobić — zagadnął nas znowu. — Czy mam ją przeczytać po grecku, czy raczej opowiedzieć w naszym języku?

Znowu zaklaskaliśmy, uszczęśliwieni. Uwielbialiśmy, jak Józef opowiadał nam o Jonaszu. Ilekroć zabierał się do czytania księgi po grecku, zawsze po chwili ją odkładał i opowiadał sam całą historię, bo także bardzo ją lubił.

I po chwili zaczął opowiadać, wkładając w opowieść całego siebie: Pan wezwał proroka Jonasza, kazał mu iść i głosić Słowo do Niniwy — „wielkiego miasta!” — powiedział Józef, akcentując te słowa, a my wszyscy powtórzyliśmy je za nim. — A co zrobił Jonasz? Próbował uciec przed Panem. Czy ktokolwiek może uciec przed Panem?

Gdy dotarł nad morze, wsiadł na statek płynący do obcego kraju. A wtedy straszny sztorm zaczął miotać małym stateczkiem jak łupinką. Wszyscy poganie zaczęli się modlić do swych bogów o ratunek, lecz deszcz tylko się wzmagił, były pioruny, a niebo wciąż zasnuwały czarne chmury.

Kiedy burza szalała coraz bardziej, mężczyźni zaczęli rzucać losy, by się dowiedzieć, kto jest przyczyną tego nieszczęścia, i los padł na Jonasza. A gdzie on był? Spał sobie smacznie w głębi statku. „Cóż ty robisz, cudzoziemcze, chrapiąc sobie pod pokładem?” — Wypowiadając te słowa, Józef przybrał minę groźnego kapitana. Śmialiśmy się i klaskaliśmy, a on ciągnął dalej opowieść.

— Co zrobił Jonasz? Powiedział, że lęka się Pana wszelkiego stworzenia, i dodał, że powinni go wrzucić do morza, ponieważ uciekł przed Panem i dlatego Pan się na niego rozgniewał. A czy żeglarze go posłuchali? Nie. Zaczęli wiosłować szybko w stronę brzegu i co się dalej działo?

— Burza nie ustawała! — zawołaliśmy wszyscy razem.

— Potem żeglarze modlili się do Pana, pełni bojaźni, i co zrobili?

— Wrzucili Jonasza do morza!

W tym momencie Józef spoważniał i ściągnął brwi.

— Żeglarze bali się Pana i złożyli w ofierze Jonasza. Wrzucili go w głębinę morza i wówczas Pan sprawił, że ogromna ryba...

— Połknęła Jonasza! — zawołaliśmy.

— Właśnie! Przez trzy dni i trzy noce Jonasz przebywał w brzuchu wieloryba!

Ucichliśmy, a potem wszyscy razem, za Józefem, powtórzyliśmy modlitwę Jonasza do Pana, z prośbą o wybawienie, tak jak ją znaleźliśmy w naszym języku, równie dobrze jak po grecku, pozostali mężczyźni i kobiety zaś przyłączyli się do nas.

— Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi zostały poza mną na zawsze. Ale Ty wyprowadziłeś życie moje z przepaści, Panie, mój Boże!

Przymknąłem oczy.

— Gdy gasło we mnie życie, wspomniałem na Pana, a modlitwa moja dotarła do Ciebie, do Twej Świątyni...

Pomyślałem o Świątyni. Nie o tłumach na dziedzińcu ani nie o człowieku przebitym włócznią, ale o murach z wapienia lśniących w słońcu, pokrytych złotem, i o pieśniach pielgrzymów wznoszących się i uderzających o mury niczym fale, takie same jak te, które uderzały o nasz statek, gdy stał na kotwicy, fale bez końca...

Tak bardzo pograżyłem się w myślach o falach uderzających o burty statku i pieśniach pielgrzymów, też wznoszących się i opadających niczym fale, że kiedy otworzyłem oczy, okazało się, że Józef już od dłuższej chwili opowiada, co się działo dalej.

Jonasz zrobił tak, jak mu kazał Pan. Poszedł do „wielkiego miasta Niniwy” i zaczął wykrzykiwać na ulicach: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zostanie zburzona!”

— A wszyscy mieszkańcy Niniwy uwierzyli w Boga — powiedział Józef, unosząc znacząco brwi. — Wszyscy, od największego do najmniejszego, pościli i nałożyli wory pokutne. Nawet król wstał z tronu, włożył wór i usiadł w popiele.

Potem Józef wyciągnął rękę, jakby chciał powiedzieć: „Słuchajcie uważnie!”

— Sam król! — powtórzył, a my kiwnęliśmy potakująco głowami. — I ogłoszono rozkaz króla, że nikt, żaden człowiek ani zwierzę, stado ani trzoda niech nie tykają jedzenia ani nie piją kropli wody. I wszyscy, ludzie i zwierzęta, mieli włożyć wory i wołać do Pana.

Przerwał i wyprostował się.

— Kto wie, może Pan się odwróci i odstąpi od swego gniewu?

Potem dał nam znak ręką, a my chórem zawołaliśmy:

— „A Pan odwrócił się od swego gniewu i Niniwa znalazła łaskę u Pana!”

Józef odczekał chwilę, a następnie spytał:

— A powiedzcie mi teraz, kto był niezadowolony? Kto był zły z powodu tego, co się stało? Kto wyszedł oburzony z miasta, głośno tupiąc?

— Jonasz! — zakrzyknęliśmy.

— Czy nie to miałem na myśli, kiedy przebywałem jeszcze w moim własnym kraju? — mówił Józef, naśladując Jonasz. — Czy nie dlatego uciekłem na statku do Tarszisz?

Śmiałyśmy się głośno, a wtedy Józef podniósł palec, jak robił to zawsze, nakazując, byśmy się uciszyli, po czym mówił, dalej naśladując proroka:

— Wiedziałem, że Tyś jest Bóg łagodny i miłosierny, cierpliwy i pełen łaskowości.

Wszyscy skinęliśmy głowami na potwierdzenie tych słów.

— W takim razie teraz — Józef wyprostował się z dumą, tak jak pewnie uczyniłby to Jonasz — weź moje życie, weź je sobie! — Wyrzucił w górę ręce. — Lepiej bowiem jest dla mnie umrzeć, niż żyć!

Rozległy się salwy śmiechu.

— I usiadł Jonasz u bram Niniwy. Był tak zmęczony i zły, że usiadł tam, nie gdzie indziej. Zrobił sobie szalas z tego, co miał pod ręką, i siedział w cieniu, rozmyślając, co jeszcze się może zdarzyć, co może się zdarzyć, a tymczasem...

— ...tymczasem Bóg miał pewien plan. Sprawił, że z ziemi wyrósł wielki krzew, dając cień Jonaszowi, który siedział pod tym krzewem z nadętą miną, rad, że cień chroni go przed słońcem.

— I tak minęła noc. Prorok przespał się pod krzewem i kto wie, może chłodny, pustynny wiatr nie doskwierał mu tam tak bardzo, jak wam się zdaje?

Nim jednak wstał ranek, Pan stworzył robaczka, tak, złego robaczka, który nadgryzł krzew, aż ten usechł.

Przerwał na chwilę i znów uniósł palec.

— A potem wstało słońce i Bóg sprawił, że zerwał się mocny wiatr, tak, wszyscy to wiemy, mocny wiatr smagał Jonasa, a słońce prażyło go w głowę. Aż bardzo osłabł! — Józef uderzył dłońmi o uda i pokiwał głową. — Prorok Jonasz osłabł z powodu upału i wiatru! I co wówczas powiedział?

Znowu się roześmialiśmy, ale nie odpowiedzieliśmy, tylko czekaliśmy, aż Józef wyrzuci w górę rękę i zawoła głosem proroka Jonasa:

— Chcę umrzeć, Panie! Lepiej jest dla mnie umrzeć, niż żyć!

Śmialiśmy się wszyscy serdecznie, a Józef odczekał chwilę, a potem przemówił z uśmiechem, lecz poważnym, łagodnym głosem Pana:

— Czy dobrze czynisz, że się gniewasz dlatego, że usechł krzew?

— Tak, Panie, dobrze czynię, że się gniewam, i to śmiertelnie!

— Wówczas Pan powiedział: „A więc żal ci krzewu, tak? Krzewu, którego nie zasadziłeś, krzewu, przy którym się nie natrudziłeś, krzewu, który wyrósł w nocy i w nocy usechł. A czyja nie powinienem oszczędzić Niniwy, tego wielkiego miasta, w którym mieszka sto dwadzieścia tysięcy ludzi i niezliczona ilość bydła i wszyscy ci ludzie nie odróżniają nawet swojej lewej ręki od prawej?”

Wszyscy uśmiechnęliśmy się i skinęliśmy głowami.

I poczuliśmy radość, jak zawsze w takiej chwili, a śmiech nappełnił ciepłem nasze serca.

A potem Kleofas odczytał nam z Księgi Samuela historię Dawida, której też zawsze słuchaliśmy z zainteresowaniem.

A później, kiedy mężczyźni rozmawiali i rozprawiali o Prawie i prorokach, spierając się o to czy tamto miejsce, czego za bardzo nie rozumiałem, usnąłem. Wszyscy spaliśmy, nie przebierając się do snu, przy palącej się całej czas lampie.

Kiedy wstał ranek, wciąż był szabat, który miał trwać aż do zachodu słońca.

A kiedy już wszyscy posilili się wcześniej przygotowanym chlebem, głos zabrała Stara Sara.

Wczoraj siedziała pod ścianą cały dzień, oparta o poduszki, i nie odezwała się ani słowem.

Teraz przemówiła.

— Czy w tym mieście została jeszcze jakaś synagoga, czy wszystkie spłonęły, a ja o tym nie wiem?

Wszyscy milczeli.

— A więc to znaczy, że już się zawaliła, tak?

Nikt nie odpowiedział. Nie widziałem w Nazarecie synagogi. Wiedziałem, że jest, ale nie wiedziałem gdzie.

— Odpowiedz mi, siostrzeńcze! — powiedziała nagle Sara. — A może straciłam rozum, tak jak teraz tracę cierpliwość?

— Jest synagoga — odparł wreszcie Józef.

— W takim razie zabierz dzieci do synagogi — poleciła. — Ja też pójdę z tobą.

Józef nic na to nie odpowiedział.

Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby kobieta przemawiała w ten sposób do mężczyzny, lecz ta miała już głowę przyprószoną siwizną. To była Stara Sara.

Józef spojrzał na nią, a ona odwzajemniła spojrzenie. Wysunęła władczo podbródek.

Józef podniósł się z miejsca i gestem dłoni nakazał nam uczynić to samo.

Cała rodzina, z wyjątkiem mojej matki i Riby oraz najmłodszych dzieci, które by tylko przeszkadzały w domu modlitwy, ruszyła w górę wzgórza, ku nie znanej mi jeszcze części miasteczka.

Byłem co prawda na jego obrzeżach, poszedłem zajrzeć do źródła — i tam bardzo mi się podobało — lecz nie szedłem jeszcze ani w górę, ani w dół zbocza, na którym rozłożył się Nazaret.

Domy na szczycie wzgórza wyglądały z zewnątrz tak samo jak nasz dom. Były białe i obłożone gliną, lecz miały większe dziedzińce, a rosnące na nich drzewa oliwne i figowce były bardzo stare. W drzwiach jednego z domów stały dwie piękne kobiety i uśmiechały się do nas. Miały na sobie suknie z najdelikatniejszego śnieżnobiałego lnu, jaki kiedykolwiek widziałem w Nazarecie, a zasłony na ich twarzach były haftowane złotą nicią. Bardzo mi się podobały. Widziałem konia uwiązanego w stajni — pierwszego, jakiego zobaczyłem w miasteczku, nie licząc wierzchowców Rzymian — i przeszliśmy obok mężczyzny, który siedział przed domem na zydlu o skrzyżowanych nogach, przy stoliku o skrzyżowanych nogach, i czytał zwój. Ujrzawszy nas, wyciągnął w stronę Józefa dłoń w geście pozdrowienia.

Uliczką szli ludzie i także pozdrawiali nas skinieniem głowy. Niektórzy nas wyprzedzali, ponieważ szliśmy dość wolno, inni posuwali się za nami. Nie było widać, by ktokolwiek pracował. Wszyscy przestrzegaliśmy szabat i poruszaliśmy się bardzo wolno.



Kiedy dotarliśmy na sam szczyt wzgórza, ujrzałem wychodzących ku nam kuzyna Lewiego i jego ojca Jehiela i wówczas pierwszy raz zobaczyłem ich ogromny dom, z należycie zamocowanymi oknami i drzwiami oraz ze świeżo pomalowanymi podpórkami na winorośl, i przypomniałem sobie, że do nich właśnie należy ogromne pole leżące nieopodal.

Lewi i jego ojciec dołączyli do nas i szliśmy razem w dół uliczką, która stała się teraz bardziej kręta niż wtedy, gdy prowadziła pod górę, i widzieliśmy coraz więcej ludzi zmierzających w tym samym kierunku co my.

Wreszcie ujrzałem przed sobą rozłożystą kępę drzew. Potem szliśmy ścieżką między nimi i biło tam źródło, a woda wypełniała dwa wykute w skale zbiorniki, jej nadmiar zaś spływał w dół stromego zbocza.

Ludzie podchodzili do większego ze zbiorników i myli ręce w wyciekającej wodzie.

Zrobiliśmy to samo: obmyliśmy ręce i dłonie, starając się nie zamoczyć ubrań. Woda była zimna. Bardzo zimna. Ale to mi się podobało. Rozejrzałem się. Strumyk wił się, podobnie jak uliczka, którą tu przyszlismy, i widać było spory jego odcinek.

Podniosłem się. Zacząłem szczypać i masować skórę na dłoniach, by je rozgrzać.

Na lewo od strumienia, w pewnej odległości od uliczki, stał rozpoznawalny dla każdego dom modlitwy, czyli synagoga. Był to duży budynek z szeroko otwartymi drzwiami i pomieszczeniami na górze, do których prowadziły z jednej strony schody. Całość była zadbana, a wokół rosła krótka trawa.

Ruszyliśmy ku synagodze, lecz u wejścia musieliśmy poczekać na swoją kolej.

Ustawiliśmy się teraz inaczej, niż szliśmy. Kleofas, Alfeusz, Józef, Szymon i Stara Sara stanęli za mną. Pozostali ruszyli przodem, kobiety na początku, z wyjątkiem Starej Sary. Gdy Sylas i Lewi wchodzili do środka, Kleofas ujął Sarę pod ramię. Jakub też stanął za mną, razem z moimi wujami i Józefem.

Wreszcie Józef popchnął mnie delikatnie w stronę otwartych drzwi.

Z obu stron mijali mnie wchodzący do synagogi mężczyźni.

Stałem na drewnianym progu. Synagoga była o wiele większa od tej, do której chodziliśmy w Aleksandrii. Tamta mieściła tylko nas i naszych sąsiadów z ulicy, a to dlatego, że w Aleksandrii było bardzo wiele synagog. Zobaczyłem wzdłuż ścian ławy ustawione rzędami, coraz wyżej, tak że ludzie mogli siedzieć i oglądać wszystko jak w teatrze lub jak w Wielkiej Synagodze w Aleksandrii, w której kiedyś byłem.

Na ławach po lewej stronie siedziały kobiety. Widziałem, jak zajęły tam miejsca moje ciotki, a także pozostająca teraz bez domu Bruria. Całą podłogę, łącznie z prawą stroną, przeznaczoną dla mężczyzn, zajęły dzieci, mnóstwo dzieci.

Na końcu rzędu kolumn znajdowało się podwyższenie, z którego czytano Pismo.

Podniosłem głowę i przekroczyłem próg. Za mną tłoczyli się ludzie. Przedem mną nie było nikogo.

Tylko po lewej stronie stał jakiś mężczyzna. Miał długą, aksamitną, czarną brodę, przyprószoną siwizną i tak obfitą, że prawie zakrywała mu usta. Oczy miał ciemne, a przykryte tarasem włosy, przetykane siwymi nitkami, sięgały ramion.

Wyciągnął rękę w moją stronę, zagradzając mi drogę, po czym spoglądając na mnie, zwrócił się cichym głosem do stojących za mną mężczyzn:

— Znam Jakuba, Sylasa i Lewiego, bardzo dobrze ich pamiętam. Ale ten? Kim jest ten?

Zapadła cisza.

Zauważyłem, że wszyscy w synagodze spoglądają na nas. Bardzo mi się to nie podobało. Ogarnął mnie lęk. Wówczas odezwał się Józef.

— To mój syn — powiedział. — Jezus bar Józef bar Jakub.

Gdy tylko Józef wypowiedział ostatnie słowo, poczułem, że mężczyźni za mną się zbliżyli. Kleofas położył mi rękę na ramieniu i podobnie uczynił wuj Alfeusz. Wuj Szymon, który stał obok mnie, także położył rękę na moim ramieniu.

Chociaż twarz starszego mężczyzny nie zdradzała niechęci ani wrogości, nie cofnął on ręki. Nadal przyglądał mi się uważnie, a potem podniósł głowę i spojrzał na pozostałych.

W tej chwili rozległ się głos Starej Sary, równie mocny i pewny jak w domu. Stała zaraz za mną.

— Dobrze wiesz, kto to jest, Szerabiachu synu Janneusza — powiedziała. — Czy muszę ci przypominać, że dzisiaj jest szabat? Wpuść go.

Rabbi podniósł głowę, spoglądając na starą kobietę. Nie miałem zamiaru się odwracać i ze spuszczoną głową patrzyłem tępo w podłogę, nie widząc nic szczególnego. Może brudną posadzkę. Może światło wpadające przez kratowane okna. A może zwrócone w moją stronę twarze.

Nieistotne, co widziałem. Wiedziałem na pewno, że rabbi się odwrócił, a dwóch innych rabbich, siedzących na ławie, zaczęło mu szeptać coś do ucha.

A potem weszliśmy do synagogi.

Moi wujowie usiedli na końcu ławy. Kleofas zaś usiadł na podłodze i gestem dłoni zachęcił mnie, bym uczynił to samo. Jakub, który był już w środku, podszedł i usiadł obok Kleofasa. Dwaj pozostali chłopcy z naszej rodziny podnieśli się, podeszli do nas i usiedli obok. Siedzieliśmy w rogu.

Stara Sara z pomocą ciotek Salome i Miriam dreptała powoli w stronę miejsca przeznaczonego dla kobiet. Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że nie ma z nami mojej matki. Mogła przyjść. Mogła zostawić dzieci z Ribą. Ale nie przyszła.

Rabbi wciąż pozdrawiał wchodzących ludzi, aż wreszcie synagoga była pełna po brzegi.

Rabbi zaczął modlitwę, a ja siedziałem, nie podnosząc głowy. Wiedziałem, że śpiewnie recytuje z pamięci hebrajskie słowa:

— Oto słowa Salomona — zaczął — wielkiego króla. — Boże przodków i Panie miłosierdzia, któryś wszystko uczynił swoim słowem i w Mądrości swojej stworzyłeś człowieka, by panował nad stworzeniami, co przez Ciebie się stały, by władał światem w świętości i sprawiedliwości i w prawości serca sądy sprawował — dajże mi Mądrość, co dzieli tron z Tobą, i nie wyłączaj mnie z liczby swych dzieci!

Kiedy wypowiadał te słowa, mężczyźni i chłopcy zaczęli powoli powtarzać za nim, a rabbi zwolnił, byśmy nadążali, zdanie po zdaniu.

Opuścił mnie strach. Ludzie już o nas zapomnieli. Ja jednak nie mogłem zapomnieć tego, że rabbi wypytywał nas przy wszystkich. Przypomniały mi się słowa matki w Jerozolimie, których nie rozumiałem. Przypomniałem sobie jej ostrzeżenia. Wiedziałem, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

Przebywaliśmy w synagodze przez długie godziny. Było czytanie, potem komentarz. Niektóre dzieci zasnęły. Po jakimś czasie część ludzi wyszła, a inni przyszli. W środku było bardzo ciepło.

Rabbi podchodził do ław, zadawał pytania i zachęcał do odpowiedzi. Czasami się śmialiśmy, śpiewaliśmy. Potem znowu rabbi pouczał zebranych, mówił o Prawie i nawet spierał się z mężczyznami, którzy mieli inne zdanie i wypowiadali je podniesionymi głosami. Stawałem się coraz bardziej senny i w końcu zasnąłem, oparty o kolano Józefa.

Gdy się obudziłem, wszyscy śpiewali. Śpiew był równy i melodyjny i nikt nie fałszował tak jak śpiewający nad Jordanem.

Znowu zasnąłem.

Obudziłem się dopiero, kiedy Józef powiedział, że idziemy do domu.

— Nie mogę cię nieść w szabat! — wyszeptał mi do ucha. — Wstań!

Zrobiłem, jak mi kazał, i wyszedłem ze spuszczoną głową. Nikomu w synagodze nie spojrzałem w oczy.

Weszliśmy do domu. Matka, siedząca przy ścianie obok paleniska, na którym gotowaliśmy posiłek, podniosła głowę i spojrzała na Józefa z niemym pytaniem w oczach.

Podszedłem do niej, położyłem się na jej kolanach i zasnąłem.

Przed zachodem słońca budziłem się jeszcze kilka razy. Nigdy nie mieliśmy okazji, by być tylko we dwoje.

Wujowie szeptali w świetle lampy, że już nigdy nie wyjdą z domu w szabat.

Nawet gdybym miał sposobność porozmawiać z Józefem, o co mógłbym go zapytać? O rzeczach, o których chciałem wiedzieć więcej, nie chciał mi powiedzieć, o niektóre zabronił pytać. Nie chciałem, żeby matka wiedziała, że rabbi zatrzymał nas na progu synagogi.

Przez głowę zaczęły mi przepływać wspomnienia, łącząc się ze sobą. Eleazar leżący martwy na piasku uliczki w Aleksandrii i wszystko, co nastąpiło potem, jedno po drugim, jak ogniwa łańcucha. Co wówczas mówili dorośli o tamtej nocy w Betlejem? Co się zdarzyło w Betlejem? Tam się urodziłem, ale co oni takiego mówili?

Jeszcze raz oczyma wyobraźni ujrzałem mężczyznę umierającego w Świątyni, przerażony i uciekający tłum, długą podróż, łuny pożarów barwiące niebo. Słyszałem krzyki rabusiów. Przebiegł mnie dreszcz. Odczuwałem rzeczy, których nie chciałem nazywać żadnymi słowami.

Pomyślałem o Kleofasie i jego obawach, że umrze w Jerozolimie, i o tym, co mówiła mi matka na dachu tamtejszej świątyni. „Chociażby nie wiadomo co mówili ci w Nazarecie... i przyszedł anioł... nie było żadnego mężczyzny... dziewczynka, tkająca zasłonę dla Świątyni, a potem wyrosła z wieku dziecięcego... i przyszedł anioł”.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Józefa.

— Dość już, Jezua, jak długo jeszcze będę oglądał tę smutną minę? Jutro idziemy do Seforis.

## XVI

Drogą prowadzącą z Nazaretu i okolicznych wiosek do Seforis płynął w obie strony strumień ludzi. Przechodząc obok krzyży, schylaliśmy głowy, chociaż na belkach nie wisały już ciała skazańców. Została jednak przelana ludzka krew i to napełniało nas smutkiem. Mijaliśmy spalone domy, obok których sterczały zwęglone kikuty drzew, mijaliśmy zebranych ludzi, skarżących się, że zostali ograbieni ze wszystkiego przez rabusiów lub żołnierzy plądrujących wioski.

Przystawaliśmy co chwilę i Józef dawał im pieniądze z naszej rodzinnej sakiewki, a matka obdarzała ich słowami pociechy.

Cały czas szczękałem zębami i matka uznała, że jestem przeziębiony, ale to nie była prawda. Moją reakcję spowodował widok zgliszczy Seforis i nie pocieszało mnie wcale to, że pożar oszczędził większość miasteczka, a ludzie na targu jak zawsze kupowali i sprzedawali.

Ciotki od razu sprzedawały przetykany złotą nicią len, który kupiły w Egipcie po to, by go tu sprzedać, i dostały za niego więcej pieniędzy, niż się spodziewały. Tak samo było z bransoletami i pięknymi kubkami, które niosły na sprzedaż aż z Egiptu. Sakwa pęczniała od monet.

Podeszliśmy do ludzi siedzących na zwęglonych belkach, wśród popiołów oplakujących swych zmarłych albo zwracających się do przechodzących z błagalnym pytaniem:

— Czy widzieliście tego? A tego?

Daliśmy wdowom monety z naszej sakiewki i przez chwilę także płakaliśmy — to znaczy ja, Mała Salome i kobiety. Mężczyźni poszli załatwić swoje sprawy, zostawiając nas samych.

Ludzie mówili, że spłonęło centrum miasta: pałac Heroda, skład broni i znajdujące się w pobliżu domy, gdzie przebywali buntownicy i ich siły.

Na szczycie wzgórza krzatali się ludzie, uprzatali zgliszcza, oczyszczając miejsce i przygotowując je do odbudowy. Wszędzie kręcili się żołnierze Heroda, którzy przyglądali się uważnie ludziom, lustrując ich od stóp do głów, lecz ci oplakiwali stratę najbliższych, nie zwracając na nich uwagi.

Dziwny był to widok: szloch i zwyczajna praca, oplakiwanie zmarłych i handel. Już się uspokoiłem i nie szczękałem zębami. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki, a powietrze chłodne i czyste.

Na progu jednego z pobliskich domów ujrzałem kilku rzymskich żołnierzy, po których zachowaniu widać było wyraźnie, że chcieliby jak najszybciej opuścić to miejsce. Stali oparci o ścianę, spoglądając tępo przed siebie. Słońce odbijało się od ich hełmów.

— Tak, teraz stoją — zwróciła się do mnie jakaś kobieta, spostrzegłszy, że przyglądam się żołnierzom. Miała zaczerwienione oczy, a jej odzież była szara od popiołu. — Jeszcze niedawno wyrzynali nas jak bydło, powiadam ci, chłopcze, a każdego, kto się im nawinął pod rękę, sprzedawali tym parszywym handlarzom niewolników, którzy spadli na nas niczym sępy i zakuli naszych bliskich w kajdany. Wzięli mojego jedyne go syna, i teraz już go nie ma! A co on takiego uczynił? Wyszedł jedynie szukać swej siostry, a ona co zawiniła? Ze chciała przejść z mojego domu do domu teściowej? W tej chwili Bruria zaczęła płakać za swym zaginionym synem. Potem poszły z Ribą napisać na ścianie jednego ze spalonych domów wiadomość dla niego, obok wiadomości dla innych zagubionych, pozostawianych przez ludzi. Nie miała jednak wielkiej nadziei na to, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

— Uważaj, co piszesz — przestrzegła ją ciotka Salome, a inne kobiety skinęły potakująco głowami.

Spomiędzy ruin wyszli mężczyźni i zwrócili się do przyglądających się zgliszczom ludzi.

— Chcecie tu stać i płakać cały dzień? Zapłacę wam, jeśli pomożecie mi to uprzątnąć — powiedział jeden z nich, a drugi dodał:

— A ja potrzebuję kogoś, kto będzie wynosił wiadra z popiołem. Jest ktoś chętny? — Wyciągnął monety, które zaśniły w blasku słońca.

Ludzie płakali i przeklinali. Przeklinali króla, rabusiów i rzymskich żołnierzy. Część zgodziła się pracować, inni nie chcieli.

Przepychając się przez tłum, podeszli do nas nasi mężczyźni. Mieli wózek pełen drewna i worki z gwoździami, a nawet dachówki, jak powiedział mi Józef.

Okazało się, że posprzeczali się o te dachówki. Kleofas mówił, że są doskonałe i bardzo tanie, Józef z kolei twierdził, że zwykły dach z gliny i belek wystarczy, a Alfeusz się z nim zgodził i powiedział, że nasz dom jest za duży, by w całości kryć go dachówką.

— A poza tym teraz, kiedy wszyscy zaczęli odbudowywać domy, nie minie dzień, a zabraknie dachówek.

Podeszli do nich jacyś mężczyźni, proponując im pracę.

— Jesteście cieślami? Zapłacę wam dwa razy więcej niż ten, kto będzie chciał was nająć! Tylko mi powiedzcie, czy się zgadzacie. Możecie zaczynać od razu.

Józef skłonił z szacunkiem głowę, ale odmówił.

— Dopiero co przybyliśmy z Aleksandrii — powiedział. — Poza tym wykonujemy tylko prace wymagające kunsztu i umiejętności.

— Ależ ja mam dla was pracę wymagającą kunsztu i umiejętności! — przerwał mu ubrany w kosztowny strój, potężnej postury mężczyzna. — Muszę wykończyć cały dom dla mojego pana! Wszystko spłonęło. Zostały tylko fundamenty.

— Mamy bardzo dużo pracy u siebie w Nazarecie — powiedział Józef, próbując zakończyć rozmowę i odejść. Jednak otoczyli nas inni i cały czas naciskali, chcieli nawet kupić od nas drewno, które mieliśmy w wózku, i nająć nas wszystkich. Józef obiecał, że wrócimy tak szybko, jak damy radę. Bogaty rządca miał na imię Janneusz.

— Zapamiętam was — powiedział. — Jesteście ci z Egiptu. Roześmialiśmy się na te słowa i ruszyliśmy z powrotem ku naszemu spokojnemu miasteczku.

Tak właśnie — jako „ci z Egiptu” — byliśmy znani od tej pory w Seforis.

Odwróciłem się, spojrzałem z drogi na miasto i ujrzałem w zachodzącym słońcu sylwetki pracujących ludzi. Wuj Kleofas, widząc, jak się przyglądam Seforis, spytał:

— Oglądałeś kiedyś mrowisko?

— Tak.

— A wszedłeś przypadkiem na mrowisko?

— Ja nie, ale widziałem, jak inny chłopiec wszedł.

— Wiesz, co robią mrówki? Biegają dokoła zniszczonego mrowiska i nie opuszczają go, lecz je odbudowują. Tak samo jest po wojnie u ludzi; dużej i małej. Ludzie żyją dalej i dalej robią, co do nich należy. Wstają i biorą się do pracy, ponieważ trzeba przynieść wody, kupić chleb, naprawić dach; znów zaczynają od nowa, chociażby nie wiadomo co działo się wokół nich. Jednego dnia żołnierze chwytają cię i sprzedają jako niewolnika, a następnego nawet nie zauważą, jak przechodzisz obok nich. Dlatego że już po wojnie. Ktoś im powiedział, że już po wojnie, i koniec.

— Czemu ty zawsze musisz być mędrcom dla mojego syna? — przerwał mu Józef.

Szliśmy wolnym krokiem za wózkiem ciągnionym z mozołem przez drepczącego wytrwale osła. Kleofas się roześmiał.

— Gdyby nie sidła, które zastawiła na mnie kobieta — odrzekł — byłbym teraz prorokiem.

Cała rodzina roześmiała się, słysząc słowa Kleofasa. Ja parsnąłem śmiechem jeszcze przed innymi i nie umiałem się powstrzymać. Moja ciotka, a jego żona, powiedziała:

— Niech gada, to lepsze od jego śpiewu. Bo jeśli istnieje jakiś psalm o mrówce, to go zaraz zaśpiewa.

Wówczas wuj zaczął śpiewać, a ciotka jęknęła z rozpaczy, lecz wkrótce śpiewaliśmy razem z nim. Nie znaleźliśmy co prawda żadnego psalmu, w którym byłaby mowa o mrówce.

Kiedy Kleofas wyśpiewał już wszystko, co potrafił, powtórzył raz jeszcze:

— Powinienem być zostać prorokiem. Teraz nawet Józef się zaśmiał.

Natomiast żona Kleofasa zaproponowała:

— No to zaczynaj, powiedz nam, czy zdążymy do domu przed deszczem?

Kleofas chwycił mnie za ramię.

— Ty jesteś jedynym, który mnie słucha — powiedział, zaglądając mi głęboko w oczy. — To ja ci powiem: nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

— W Egipcie też cię nie słuchałam — przerwała mu żona.

Potem śmialiśmy się przez dłuższą chwilę i nawet Kleofas śmiał się z nami, moja matka zaś powiedziała cicho i łagodnie:

— Zawsze cię słucham, mój bracie. I słuchałam.

— To prawda, siostró — odparł Kleofas. — I chyba nie masz nic przeciwko temu, że nauczę twojego syna tego lub owego, ponieważ nie ma dziadka, a przecież w młodości o mało nie zostałem uczonym w Piśmie.

— Zostałbyś uczonym w Piśmie? Nigdy o tym nie słyszałem — powiedziałem.

Józef skierował znacząco palec w moją stronę, chcąc zwrócić na siebie moją uwagę i kręcąc zdecydowanie głową, powiedział:

— Żadnych pytań.

— A ty skąd miałbyś o tym wiedzieć, bracie? — spytał Kleofas Józefa z nutką przekory w głosie. — Kiedy zabraliśmy Miriam do Jerozolimy, by ją przedstawić w domu, w którym tka się zasłony dla Świątyni, wówczas przebywałem w Świątyni całe miesiące i uczyłem się od faryzeuszy, u największego z nich, i siedziałem u jego stóp. — Poklepał mnie po ramieniu, by się upewnić, że go słucham. — Wielu nauczycieli siedzi i naucza w portykach Świątyni. To są najlepsi nauczyciele w Jerozolimie, chociaż nie wszyscy.

— Tak samo nie wszyscy ich uczniowie zasługują na uznanie — wtrącił Alfeusz półgłosem, ale na tyle wyraźnie, by każdy mógł usłyszeć.

— Och, kimże mógłbym zostać, gdybym nie wybrał się do Egiptu — ciągnął Kleofas.

— To dlaczego poszedłeś? — naciskałem.

Wuj spojrzał na mnie. Zapadła cisza i wszyscy szliśmy w milczeniu. Potem uśmiechnął się łagodnie.

— Poszedłem, ponieważ wyruszyła tam moja rodzina: ty i moja siostra, jej mąż i jego bracia, wszyscy.



Wuj nie odpowiedział na moje pytanie — a przynajmniej nie tak, jak chciałem. Wiedziałem jednak, i to od pewnego czasu, że łatwiej będzie mi uzyskać odpowiedź od wuja Kleofasa niż od kogokolwiek innego.

Nad naszymi głowami przetoczył się niski dźwięk grzmotu.

Przyspieszyliśmy kroku, ale deszcz nas dogonił i musieliśmy zejść z drogi, i schronić się pod drzewami. Ziemia pod naszymi stopami pokryta była grubą warstwą zbutwiałych Mści.

— No dobrze, proroku — powiedziała ciotka Miriam — to teraz wstrzymaj deszcz, żebyśmy mogli bez przeszkód dotrzeć do domu.

Roześmialiśmy się, lecz Józef powiedział:

— Nie zapominajcie, że święty człowiek rzeczywiście potrafi przywołać deszcz i go powstrzymać. Naprawdę. Żył w czasach mego pradziada pewien święty mąż pochodzący z Galilei, Choni, zaklinacz deszczu. Umiał przywołać modłami deszcz i umiał go zatrzymać.

— Lepiej powiedz dzieciom, co się z nim stało — wtrąciła ciotka Salome. — Najważniejsze opuściłeś.

— Co się z nim stało? — spytał Jakub.

— Żydzi ukamienowali go w Świątyni — odparł Kleofas, wzruszając ramionami. — Nie podobała im się jego modlitwa! — Zaśmiał się. Potem roześmiał się jeszcze raz, głośniej, tak jakby to, z czego się śmiał, było zabawniejsze, niż mu się na początku wydawało.

Ja jednak nie wiedziałem, z czego tu się śmiać.

Deszcz padał coraz rzęsiściej, przeciekając przez gałęzie, i zaczynaliśmy moknąć.

W głowie pojawiła mi się nieśmiało myśl, tak drobna, że wydawała się niewiele większa od małego palca. Chcę, żeby deszcz przestał padać. Co za głupiec ze mnie, że przychodzą mi do głowy takie myśli. Ale potem przypomniałem sobie, co zdarzyło się wcześniej: wróble z gliny, Eleazara i... zadarłem głowę.

Deszcz ustał.

Byłem tym tak zdumiony, że gapiałem się w chmury, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa.

Wszyscy się ucieszyli, wyszliśmy z powrotem na drogę i skierowaliśmy się w stronę domu.

Nie mówiłem nic nikomu, ale w środku byłem tym wszystkim bardzo zmartwiony. I wiedziałem, że nigdy nikomu nie powiem, co zrobiłem.

Kiedy dotarliśmy do Nazaretu, wszystko było świeże i czyste. Z radością przywitałem naszą małą uliczkę, białe domy i winorośl, która rozłożona na nowych podpórkach radziła sobie z wiosennym chłodem. Miałem nawet wrażenie, że w czasie tych kilku dni figowiec na naszym dziedzińcu wypuścił kilka nowych listków.

W domu czekała na nas Stara Sara. Mały Jakub czytał  
Staremu Justusowi. Najmłodsze dzieci bawiły się na dziedzińcu i biegały po domu.  
Smutek i żałoba Seforis zostały daleko za nami.  
Tak samo jak deszcz.

## XVII

Tego wieczoru postanowiono, że zostaną z Józefem i będziemy pracować przy domu, a Alfeusz z synami, Lewim i Sylasem, a z nimi Kleofas i może Szymon, pójdą do Seforis. Tam najmą jakichś robotników zawsze szukających pracy na rynku i będą stawiać dom dla człowieka, który chciał nas zatrudnić. Zarobki były obiecujące, pogoda także.

Postanowiono też, że niezależnie od tego, gdzie kto będzie pracować, chłopcy będą chodzić do synagogi, przy której mieściła się szkoła, i będą tam studiować Torę pod okiem trzech rabbich. Dopiero po nauce mieliśmy dołączyć do pracujących mężczyzn, czyli około południa.

Nie chciałem iść do szkoły aż na sam szczyt wzgórza. I kiedy zdałem sobie sprawę, że wszyscy mężczyźni i chłopcy z naszej rodziny maszerują ponownie pod górę, w stronę synagogi, zacząłem się bać.

Zobaczyłem jednak, że Kleofas trzyma za rękę Małego Szymona, wuj Alfeusz Małego Józefa, a wuj Szymon Sylasa i Lewiego. Może to był sposób.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, czekali już na nas trzech mężczyźni, których widziałem wcześniej. Stanęliśmy przed najstarszym z nich, który skinieniem ręki dał nam znak, byśmy weszli do środka. Ten mężczyzna nic nie mówił ani nie nauczał, gdy byliśmy w synagodze w szabat.

Widać było teraz, że naprawdę jest bardzo stary. Wcześniej nie przyjrzałem mu się dokładnie, bo byłem zbyt załęczony, by spojrzeć w jego stronę. To on był tutaj nauczycielem.

Głos zabrał Józef.

— To nasi synowie, rabbi. Jak możemy ci się odwdziaczyć?

Wyciągnął do rabbiego dłoń z sakiewką, lecz ten nie przyjął pieniędzy.

Kiedy to ujrzałem, zrobiło mi się niedobrze.

Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś odmówił przyjęcia pieniędzy. Podniosłem głowę i spostrzegłem, że rabbi patrzy prosto na mnie. Natychmiast spuściłem wzrok. Chciało mi się płakać. Nie potrafiłem przypomnieć sobie ani słowa z tego, co powiedziała mi matka w Jerozolimie. Miałem jedynie przed oczami jej twarz, a w uszach jej szept. I Kleofasa, kiedy leżał złożony chorobą i mówił od rzeczy, a wszyscy myśleliśmy, że niechybnie umrze.

Mężczyzna miał włosy i brodę białe jak śnieg. Chociaż widziałem tylko rąbek jego szaty, domyśliłem się, że była utkana z najdelikatniejszej wełny, a frędzle przyszyto tak jak należy — niebieską nicią.

Przemówił łagodnym i miękkim głosem.

— Tak, Józefie — zaczął. — Jakuba, Sylasa i Lewiego znam, lecz Jezus bar Józef?

Mężczyźni stojący za nim milczeli.

— Rabbi, widziałeś mojego syna w szabat — odparł Józef. — Wiesz, że to mój syn.

Nie musiałem podnosić głowy, by wiedzieć, że Józef, wypowiadając te słowa, całkowicie stracił pewność siebie.

Zebrałem w sobie wszystkie siły. Spojrzałem na rabina, który ciągle wpatrywał się w Józefa.

Rozplakałem się bezgłośnie. Nic nie mogłem na to poradzić. Chociaż starałem się nie zaciskać powiek, łzy same popłynęły. Z trudem przełykałem ślinę.

Stary rabin nie powiedział ani słowa. Zresztą wszyscy milczeli.

Wtedy znowu odezwał się Józef, jakby odmawiał jakąś modlitwę.

— Jezus bar Józef bar Jakub bar Matthan bar Eleazar bar Eliud z pokolenia Dawida, który przybył do Nazaretu, otrzymawszy tam ziemię z nadania króla, pragnącego zasiedlić Galileę pogan. Syn Miriam, córki Anny, córki Matatiasza, córki Joachima bar Samuel bar Zakkai bar Eleazar bar Eliud z pokolenia Dawida, Miriam, córka Anny i Joachima, posłana do Jerozolimy jako jedna z wybranych osiemdziesięciu czterech dziewcząt, które nie ukończyły jeszcze dwunastu lat i jednego miesiąca, by tkać co roku dwie zasłony dla Świątyni, co robiła, aż doszła do pełnoletności i wróciła do domu. Wszystko to zapisane w dokumentach świątynnych, lata służby i rodowód, wszystko to zapisano w dniu obrzezania dziecka.

Zamknąłem oczy i po chwili ponownie otworzyłem. Rabbi wyglądał na zadowolonego i udobruchanego, a kiedy ujrzał, że patrzę na niego, nawet uśmiechnął się do mnie. Potem znowu spojrzał nad moją głową na Józefa.

— Wszyscy bez wyjątku pamiętają tutaj twoje zaślubiny — rzekł. — Pamiętają także inne rzeczy. Myślę, że jesteś tego świadom.

Znowu zapadła cisza.

— Pamiętam ów ranek — zaczął rabbi głosem tak samo łagodnym jak przedtem — kiedy poślubiona tobie młoda żona wybiegła z domu i narobiła krzyku w całym miasteczku.

— Rabbi, tutaj są małe dzieci — przerwał mu Józef. — Czy to nie przywilej ojców mówić dzieciom o tych rzeczach, kiedy przyjdzie na to czas?

— Ojców? — spytał rabbi.

— Jestem ojcem tego dziecka, tak jak chce Prawo — odparł Józef.

— Gdzie odbyły się zaślubiny i gdzie urodził się twój syn?

— W Judei.

— W którym mieście?

— Niedaleko Jerozolimy.

— Ale nie w Jerozolimie?

— Zaślubiny odbyły się w Betanii, w domu krewnych mojej żony, kapłanów Świątyni, jej kuzynki Elżbiety i męża Elżbiety, Zachariasza.

— Tak, dobrze, a czy tam także urodziło się dziecko? Józef nie chciał odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego?

— Nie — powiedział wreszcie. — Nie tam.

— Gdzie zatem?

— W Betlejem judzkim.

Starzec z siwą brodą spojrział znacząco na rabbich po swej lewej i prawej stronie, a ci zwrócili głowy ku niemu. Nikt jednak nie powiedział ani słowa.

— Betlejem — rzekł wreszcie starzec. — Miasto Dawida. Józef milczał.

— Dlaczego opuściłeś Nazaret i udałeś się tam — spytał rabbi — skoro rodzice twojej małżonki, Joachim i Anna, byli już starzy?

— Z powodu spisu — odparł Józef. — Musiałem się tam udać. Miałem kawałek ziemi pozostawiony mi w dziedzictwie w Betlejem, do którego nasz lud powrócił z wygnania, i musiałem zgłosić moje prawo do ziemi, bo inaczej bym ją utracił. Poszedłem zapisać się tam, gdzie urodzili się moi przodkowie.

— Taak... — przytaknął rabbi. — A zatem zgłosiłeś swoje prawo do tej ziemi?

— Tak, zrobiłem to, a potem ją sprzedałem. Dziecko zostało obrzezane, a jego imię zapisano w dokumentach świątynnych, tak jak powiedziałem, i one tam są.

— One tam są, istotnie — powiedział z przekąsem rabbi — dopóki kolejny król żydowski nie postanowi ich spalić, by ukryć swe pochodzenie.

Pozostali dwaj mężczyźni, usłyszawszy to, zaśmiali się cicho, kiwając głowami, a niektórzy starsi chłopcy, których widziałem po raz pierwszy, także się wtedy roześmiali.

Nie wiedziałem, co to wszystko ma znaczyć. Chodziło chyba o złe postęпки starego Heroda, którym nie było końca.

— A potem udałeś się do Egiptu? — dopytywał się dalej rabbi.

— Pracowaliśmy w Aleksandrii, moi bracia, bracia mojej żony i ja — odparł Józef.

— A ty, Kleofasie, zostawiłeś swą matkę i ojca i zabrałeś siostrę do Betanii?

— Nasza matka i ojciec mieli sługi — odparł Kleofas. — Była z nimi Stara Sara, córka' Eliasza, a Stary Justus nie był jeszcze zniedołężniały i przykuty do łoża.

— To pamiętam — rzekł starzec. — Oczywiście masz rację. Ale pamiętam także, jak twoi rodzice płakali za swymi dziećmi.

— My także płakaliśmy za nimi — odparł Kleofas.

— I tam poślubiłeś Egipcjanke?

— Żydówkę — poprawił go Kleofas. — Urodzoną i wychowaną w żydowskiej wspólnocie w Aleksandrii. Pochodzącą z dobrej rodziny, która przesyła ci w darze to...

Nadeszła pora na niespodziankę. Kleofas podał starcowi dwa niewielkie zwoje, każdy zamknięty w ozdobnej szkatule z krawędziami z brązu.

— Co to jest? — spytał starzec.

— Boisz się ich dotknąć, rabbi? — odparł pytaniem na pytanie Kleofas, nadal trzymając dar w wyciągniętej ręce. — Dwa krótkie traktaty Filona z Aleksandrii, uczonego lub, jeśli wolisz, filozofa, bardzo podziwianego przez rabinów w Aleksandrii. Traktaty kupiliśmy na rynku, gdzie sprzedają zwoje, i przynieśliśmy ci w darze.

Rabbi wyciągnął rękę. Gdy dotykał zwojów, wstrzymałem oddech.

Nie wiedziałem, że wuj je ma. Zwoje samego Filona! Nie przyszłoby mi to do głowy nawet w najśmielszych marzeniach. A kiedy ujrzałem, jak rabbi przyjmuje zwoje, poczułem się taki szczęśliwy, że łzy napłynęły mi do oczu, ale — jak przedtem — płakałem bezgłośnie.

— A ile siwych włosów ma Filon z Aleksandrii? — spytał nasz rabbi.

Wszyscy zaśmiali się ukradkiem. Poczułem się lepiej, ponieważ przestali rozmawiać o mnie.

— Gdybyś był jego przeciwnikiem w dyskusji, miałby mnóstwo siwych włosów! — odparł Kleofas.

Usłyszałem głośny szept strofującego go Józefa, ale już wszyscy chłopcy się śmiali, a i twarz starca rozjaśniła się w uśmiechu.

Kleofas natomiast mówił dalej.

— Powinniśmy zebrać całą kolekcję pism stąd — zaczął, zwracając się do wszystkich zgromadzonych mężczyzn — i wysłać je rabbiemu w Aleksandrii. Potrzeba im pilnie faryzeuszy, którzy wyprostowaliby ich poglądy.

Jeszcze większy śmiech.

Śmiał się stary rabin. Potem zaczęli się śmiać dwaj pozostali rabini. Wkrótce śmiali się już wszyscy.

— Dziękuję ci za twój dar — odparł w końcu starzec. — Nic się nie zmieniłeś. A teraz skoro mamy tu was z powrotem, zręczni rzemieślnicy, to zobaczcie sami, że jest trochę pracy w naszej synagodze, której nasz dawny cieśla, niech Bóg da mu odpoczynek, nie był w stanie wykonać podczas waszej nieobecności.

— Na pewno się tym zajmę — odparł Józef. — Jesteśmy twoimi sługami i naprawimy wszystko tak, jak sobie życzysz. Trzeba to odmalować i wstawić nowe odrzwia, tyle widzę. Odnowimy też ściany z zewnątrz i ławy, jeśli pozwolisz.

Znowu zapadło milczenie.

Podniosłem głowę. Trzej starcy spoglądali wprost na mnie.

Dlaczego? O co jeszcze można pytać? Co jeszcze można powiedzieć? Czuję znowu, jak płonie mi twarz. Wiedziałem, że się rumienię, ale nie wiedziałem dlaczego. Czerwieniałem się, bo oczy wszystkich były utkwione we mnie. Poczułem wilgoć na policzkach.

— Spójrz na mnie, Jezusie bar Józefie — zwrócił się do mnie rabin.

Zrobiłem, jak kazał.

Rabin zaczął pytać mnie po hebrajsku.

— Dlaczego Fenicjanie obcięli włosy Samsonowi? — spytał.

— Niech rabin wybaczy — odparłem po hebrajsku — lecz to nie byli Fenicjanie, lecz Filistyni. Obcięli mu włosy po to, by utracił swą siłę.

Następne pytanie padło po aramejsku.

— Gdzie przebywa Elizeusz, który został wzięty w górę w rydwanie?

— Niech rabin wybaczy — odparłem także po aramejsku — to Eliasza został wzięty w górę i Eliasza jest z Panem.

Wówczas rabin zwrócił się do mnie po grecku.

— Kim jest ten, który przebywa w ogrodzie Eden i zapisuje wszystko, co się dzieje na ziemi?

Przez chwilę milczałem, wreszcie odrzekłem po grecku:

— Nikt. W Edenie nie ma nikogo.

Rabin cofnął się na siedzeniu i spojrzał najpierw na prawo, potem na lewo. Dwaj pozostali rabini popatrzyli najpierw na niego, a potem na mnie.

— Czy nie ma w Edenie nikogo, kto by spisywał dzieje świata? — spytał jeszcze raz.

Pomyślałem przez chwilę. Byłem świadom, że muszę powiedzieć to, co wiem. Skąd to jednak wiedziałem, nie umiałem powiedzieć. Czy sobie to po prostu przypomniałem? Odezwałem się znowu po grecku.

— Ludzie mówią, że to Henoah, lecz Eden jest pusty, dopóki Pan nie powie, że cały świat po raz drugi ma się stać Edenem.

Rabin zwrócił się do mnie po aramejsku.

— Dlaczego Pan złamał swoje przymierze z królem Dawidem?

— Pan nigdy nie złamał swego przymierza — odrzekłem. Wiedziałem to zawsze, odkąd pamiętałem. Nawet nie musiałem o tym myśleć. — Pan nie łamie swego przymierza. Tron Dawida wciąż trwa i...

Starzec przyglądał mi się w milczeniu. Rabini przestali wymieniać spojrzenia i utkwili wzrok we mnie. To samo uczynili wszyscy pozostali.

— Dlaczego w takim razie nie ma żadnego króla z domu Dawida na tym tronie? — spytał rabin, a jego głos wzmagał się z każdym słowem. — Gdzie jest król?

— Król przyjdzie — odrzekłem. — A jego dom będzie trwał na wieki.

Twarz starego rabina rozjaśniła się jeszcze bardziej, po czym spytał łagodnym głosem:

— A czy zbuduje go cieśla?

Śmiech. Najpierw zaśmiali się starsi mężczyźni, a potem siedzący na podłodze chłopcy. Jednak stary rabin się nie śmiał. Przez krótką chwilę ujrzałem w jego twarzy smutek, który zaraz zniknął, i rabin, spoglądając na mnie łagodnymi, pełnymi ciekawości oczyma, czekał na moją odpowiedź.

Twarz płonęła mi rumieńcem.

— Tak, rabbi — odparłem. — Cieśla zbuduje dom króla. Zawsze potrzebny jest cieśla. Nawet sam Pan czasami bywa cieślą.

Stary rabin cofnął się zaskoczony. Słyszałem dochodzące z każdej strony szmery i pomruki. Moja odpowiedź nie spodobała się zebranym.

— Powiedz mi, w jaki sposób Pan jest cieślą — zwrócił się do mnie stary rabin po aramejsku.

Pomyślałem o tym, co wiele razy mówił mi Józef.

— Czy to nie Pan powiedział Noemu, ile łokci ma mierzyć arka i z jakiego drewna ją zbudować? I czy nie powiedział, że drewno należy powlec smołą od wewnątrz i z zewnątrz, i jak ma być wysoka? I czy nie powiedział, że ma być w niej okno na łokieć, i czy nie powiedział Pan Noemu, gdzie umieścić wejście do arki? — Umilkłem.

Na twarz starego rabina powoli wypłynął uśmiech. Nie śmiałem spojrzeć na kogokolwiek innego poza nim. Znowu zapadła cisza.

— A czy nie było tak — mówiłem dalej w naszym języku — że sam Pan poprowadził proroka Ezechiela, ukazując mu nową Świątynię, ustalając długość przedsionków, filarów, bram i ołtarza i mówiąc, jak wszystko winno być zrobione?

— Istotnie, tak było — odparł stary rabin z uśmiechem.



— A powiedz mi, panie — ciągnąłem dalej — czy to nie Mądrość powiedziała, że kiedy Pan stworzył świat, Mądrość była niczym zręczny rzemieślnik, a skoro Mądrość nie jest Panem, kimże zatem jest?

Przerwałem. Nie miałem pojęcia, skąd to wszystko wiem, ale szybko zacząłem mówić dalej.

— Panie i nauczycielu, Nabuchodonozor nie zabił cieśli, lecz zabrał ich z sobą do Babilonu, ponieważ wiedzieli, jak się buduje domy i pałace, a kiedy Cyrus, władca Persów, wydał dekret pozwalający im na powrót, cieśle wrócili do domu, by odbudować Świątynię w taki sposób, jak nakazał Pan.

Znowu cisza.

Rabin aż oparł się o ławę, ale z jego twarzy nie byłem w stanie niczego wyczytać. Spuściłem wzrok. Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

Znowu podniosłem głowę.

— Panie i nauczycielu — zacząłem. — Od czasów Synaju, odkąd istnieje Izrael, istnieje też cieśla. To cieśla buduje przybytek i to sam Pan podał wymiary przybytku i...

Starzec przerwał mi gestem dłoni. Zakrył dłonią usta, powstrzymując śmiech.

— To dobre dziecko — powiedział, spoglądając na Józefa ponad moją głowę. — Podoba mi się.

Pozostali mężczyźni skinęli potakująco głowami. Przez pomieszczenie przeszedł śmiech, nie głośny i złośliwy, lecz raczej szmer wesołości.

Stary rabin pokazał palcem na podłogę wprost przed sobą.

Usiadłem posłusznie na macie we wskazanym miejscu.

Rabin rozmawiał jeszcze beztrzesko i przyjaźnie z Jakubem i innymi chłopcami, ale nie słyszałem z tego zbyt wiele. Wiedziałem tylko, że najgorsze mam za sobą. Miałem wrażenie, że serce bije mi tak mocno, że słyszą to wszyscy w synagodze. Łzy jeszcze mi nie obeschły, ale przestały płynąć.

Wreszcie mężczyźni sobie poszli i zaczęła się nauka.

Stary rabin recytował pytania i odpowiedzi, a chłopcy je powtarzali. Ponieważ drzwi były zamknięte, w pomieszczeniu niebawem zrobiło się ciepło.

Nikt nie odezwał się do mnie tego dnia ani słowem, ja też nie zabierałem głosu, a jedynie powtarzałem i śpiewałem z innymi i spoglądałem na rabina, a on na mnie.

Kiedy wreszcie wróciliśmy do domu, nadeszła pora posiłku i nie miałem możliwości spytać o cokolwiek, lecz mimo to z twarzy wszystkich wyczytałem, że nigdy mi nie powiedzą, dlaczego stary rabin tak wypytywał Józefa i mnie. Ich spojrzenia, którymi starali się pokazać mi, że nic się nie stało, mówiły same za siebie.

Matka była bardzo szczęśliwa i domyślałem się, że nie wie o wszystkim, o czym była mowa w synagodze. Wyglądała jak młoda dziewczyna, podawała naczynia i wciąż zachęcała nas do jedzenia.

Byłem tak zmęczony, jakbym cały dzień pracował przy układaniu marmurowej posadzki. Poszedłem do izby kobiet, zupełnie tego nieświadom, położyłem się na macie matki i natychmiast zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, usłyszałem rozmowy i poczułem w nozdrzach zapach gotowanej soczewicy i świeżo upieczonego chleba. Minęło całe popołudnie, które przespałem jak niemowlę, i znowu nadeszła pora posiłku.

Poszedłem umyć twarz i ręce w zimnej wodzie, a potem uklęknąłem i umyłem dłonie w mykwie. Po powrocie usiadłem obok pozostałych, by zabrać się do jedzenia.

Podano mi miseczkę. W środku były pyszne, grube kawałki gęstej śmietany z miodem.

— Jedz — zachęcił mnie wuj Kleofas. — Nie wiesz co to?

Józef roześmiał się cicho, a potem pozostali wujowie przyłączyli się do niego i szmer wesołości przeszedł wśród nich niczym lekki wiatr w gałązkach drzew. Matka zajrzała do miseczki.

— Powinieneś zjeść, jeśli podał ci to twój wuj — powiedziała.

Wówczas Kleofas powiedział pod nosem, ale tak, by wszyscy słyszeli:

— Śmietanę i miód spożywać będzie, aż nauczy się odrzucać zło, a wybierać dobro.

— Wiesz, kto powiedział te słowa? — spytała matka. Jadłem kawałki śmietany z miodem. Kiedy już się najadłem, podałem miseczkę Jakubowi, ale on nie miał na to ochoty, więc dałem ją Józefowi, który przekazał ją dalej.

— Wiem, że Izajasz — odparłem, ocierając usta — ale nic więcej nie pamiętam.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja razem z nimi.

Rzeczywiście nie pamiętałem. Potem nie myślałem już o tym więcej.

Przez krótką chwilę chciałem zadać Kleofasowi na osobności jedno pytanie, ale ta chwila tego dnia nie nadeszła. Przyszedł wieczór, za długo spałem. Nie zrobiłem po szkole tego, co do mnie należało. Nie mogłem pozwolić, by coś takiego zdarzyło się po raz drugi.

## XVIII

W miarę upływu dni poranne godziny nauki zaczęły przynosić mi coraz więcej radości. O trzech rabinach mówiliśmy „Starsi”, a najstarszy z nich był wielkim nauczycielem. Pełnił niegdyś funkcję kapłana, lecz był już zbyt stary, by chodzić do Jerozolimy, i właśnie on opowiadał nam najcudowniejsze historie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nazywał się rabbi Berechiasz bar Fineasz i jeśli którykolwiek z nas, chłopców, chciał go odwiedzić, zawsze czekał na nas wczesnym wieczorem w swoim położonym na samym szczycie wzgórza domu, bardzo dużym i przestronnym, ponieważ jego żona była bogatą kobietą.

Każdego dnia przed południem powtarzaliśmy i uczyliśmy się na pamięć tekstów świętych ksiąg, tak samo jak robiliśmy to w Aleksandrii, tylko że tutaj po hebrajsku, a często rozmawialiśmy też w naszym języku i niejedną raz rabbi Berechiasz, kiedy go o to poprosiliśmy, opowiadał nam o tym, co przeżył.

Wieczorami siadał w swej bibliotece, zostawiając otwarte drzwi na dziedziniec. Mówił o niej z uśmiechem, że jest „skromna”, i rzeczywiście taka była, jeśli porównać ją z ogromną biblioteką Filona, lecz mnie i tak wydawała się ciepłym i zachęcającym miejscem. Czekał tam zawsze na nas, gdybyśmy chcieli przyjść i zadać mu jakieś pytanie, a ja, nawet jeśli byłem bardzo zmęczony po pracy, szedłem do niego, by chociaż przez chwilę posiedzieć u jego stóp. Jego słudzy byli mili, podawali nam do picia chłodną wodę i mogłem tak siedzieć całymi godzinami, słuchając jego opowieści, ale w końcu musiałem wracać do domu.

Najmłodszy z nauczycieli, który nie odzywał się zbyt często, miał na imię Szerebiasz i też był kapłanem. On również nie mógł chodzić do Świątyni, a to z powodu nieszczęścia, jakie przytrafiło mu się któregoś dnia na drodze z Jerycha. Kiedy szedł do Jerozolimy, do Świątyni, by spełnić swój kapłański obowiązek, napadli go rabusie, pobili go i jego braci, a potem zepchnęli ze wznesienia, tak że upadając, złamał sobie poważnie nogę, którą odjęli mu lekarze z Jerozolimy.

Miał teraz od kolana w dół nogę z drewna, ale nie było tego zbyt widać, ponieważ zakrywała ją szata. Poza tym wyglądał na w pełni zdrowego człowieka. Lecz ponieważ przed Panem nie może stanąć nikt okaleczony, dlatego został rabinem w naszym domu nauki i był wysoko ceniony przez każdego ze względu na swe nauczanie. Mówiono, że został rabinem, dopiero kiedy nie mógł już dłużej służyć Bogu w Świątyni. Jego bracia także byli kapłanami i mieszkali w leżącym nieopodal Nazaretu Kafarnaum.

Trzeci ze Starszych, ten, który przyjmował nas w synagodze, nazywał się Alkimos i był wielkim i słynnym faryzeuszem, chociaż trzeba od razu powiedzieć, że każdy z nich miał błękitne frędzle przy szacie, rabbi Alkimos zaś był bardzo surowy we wszystkich swych zasadach, które starał się nam wpoić.

Wszyscy w rodzinie rabiego Ałkimosy byli faryzeuszami; a było tam wielu braci i wujów, siostry i ich mężowie, i dzieci. Jadali zawsze osobno, nigdy w towarzystwie innych rodzin, bo taki jest zwyczaj u faryzeuszy, jednak w Nazarecie zwyczaje nie zawsze były takie, jakie powinny. Za to wszyscy chodzili do faryzeuszów wysłuchać ich rady lub prosić o rozstrzygnięcie sporu. Natomiast dwaj bracia rabiego Ałkimosy byli pisarzami, pisali listy dla wszystkich mieszkańców Nazaretu i czytali je starcom, którzy nie mogli już sami tego robić. Spisywali także dokumenty dotyczące tego, co ma być zrobione, i często widywano ich zajętych pisaniem na dziedzińcach swych domów, a nad nimi stał ktoś, kto mówił im, co mają pisać. Czasami zaś na dziedzińcu rozlegały się krzyki i płacz z powodu tego, co usłyszeli ci, którzy przyszli wysłuchać listu.

Właśnie ci trzej rabini zajmowali się rozsądzaniem sporów, lecz prócz nich byli także w Nazarecie inni, posunięci w latach mężczyźni, którzy rzadko opuszczali domy ze względu na podeszły wiek i którzy zbierali się razem z rabinami, gdy trzeba było postanowić, co robić, lub podjąć decyzję.

To prawda, czasami nawet do naszego domu przychodzili ludzie zasięgnąć rady Starego Justusa. I chociaż nie mógł on mówić i widziałem wyraźnie, tak jak pozostali domownicy, że nie rozumie ani słowa z tego, co się do niego mówi, mimo to ludzie przychodzili, wylewali przed nim swe żale, a on potakiwał głową, spoglądał w pustkę rozszerzonymi oczyma i uśmiechał się. Lubił, kiedy do niego mówiono, ci zaś, którzy go odwiedzali, wychodzili od nas bardzo szczęśliwi i dziękowali i nam, i jemu.

Moja matka i Stara Sara kręciły tylko z niedowierzaniem głowami.

Powinienem powiedzieć także, że bardzo dużo ludzi przychodziło do Starej Sary. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Czasami wydawało mi się, że szacunek, jakim otaczano Starą Sarę ze względu na jej wiek i bystrość odpowiedzi, był — jak mówili ludzie — tak wielki, że dla nikogo nie była już ważna jej płeć.

Słuchając niektórych wynurzeń, wiele się dowiedziałem o naszym miasteczku. Wiele tego, co chciałem wiedzieć, i wiele tego, czego wolałbym nie wiedzieć.

Sporo dowiedziałem się od innych dzieci, od niewidomej Miriam, która zawsze bawiła się na dziedzińcu domu swego ojca i zawsze była roześmiana i gotowa do rozmowy, i od chłopców, którzy przychodzili się bawić: Głupiego Szymona, który wcale nie był głupi, tylko

śmiał się cały czas i miał bardzo dobre serce, i od Grubego Jazona, który był naprawdę gruby, i od Jakuba Beczki, i od Jakuba Tyczki, i od Dzielnego Michała, i Gorliwego Daniela, którego tak nazywaliśmy, bo do wszystkiego zabierał się z niebywałym zapałem.

Od nikogo jednak nie uzyskałem odpowiedzi na pytania, które wówczas nurtowały me serce. Starłem się przypomnieć sobie to wszystko, o czym mówiła mi matka. Próbowałem to wydobyć z pamięci zajęty pracą, na przykład kiedy bez pośpiechu polerowałem nogę od stołu, lub w drodze do szkoły albo z powrotem. Ale nawet kiedy wszyscy rozmawialiśmy i śpiewaliśmy, nie potrafiłem skupić myśli. Pamiętałem, co mówiła, ale w obrazach. Anioł przyszedł do mojej matki, anioł, a moim ojcem nie był żaden mężczyzna, lecz co to wszystko miało znaczyć?

Starłem się o tym myśleć, kiedy tylko nadarzała się okazja, ale cały czas byłem czymś zajęty.

Kiedy nie pracowałem, odwiedzałem rabinów. Najchętniej spędzałbym z nimi cały czas. Rabbi Berechiasz chciał wiedzieć jak najwięcej o Aleksandrii i zadawał mi mnóstwo pytań. Lubił mnie słuchać, podobnie jak jego żona Miriamne, która była bogata i wcale nie taka stara, a jej posiwały ojciec często także siadywał w izbie i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

Rabbi Berechiasz przeczytał zwoje Filona, podarowane mu przez naszą rodzinę, i zadawał wiele pytań dotyczących jego osoby, na które odpowiadałem, zawsze powtarzając, że Filon jest człowiekiem o bardzo dobrym sercu i że zabrał mnie pewnego razu do Wielkiej Synagogi, bym ją sobie obejrzał, i o tym, że studiował Prawo i Proroków i że mówił o nich tak samo jak rabbi, chociaż był chyba na to trochę za młody, tak przynajmniej twierdzą niektórzy. Opowiedziałem też wszystko o domu Filona, o tym, jaki jest piękny, oczywiście na tyle, na ile godziło się o tym mówić.

Cieśla musi być bardzo ostrożny, kiedy mówi o domach, w których pracował. Dom to miejsce prywatne. Zawsze mi to powtarzano. Ale ponieważ do domu Filona stale przychodziło wielu młodych uczniów i ciągle zjawiali się tam rabini z Aleksandrii, uznałem, że mogę bez przeszkód opisać wzory na marmurowej posadzce i stojaki ze zwojami pnące się w górę pod sufit.

Rozmawialiśmy także o porcie w Aleksandrii i o wielkiej latarni morskiej, którą widziałem najwyraźniej jak tylko można, kiedy wypływaliśmy z portu. Opowiadałem o pogańskich świątyniach, których widoku nawet porządny żydowski chłopiec nie jest w stanie uniknąć, ponieważ są wszędzie i są bardzo piękne; i o rynku, gdzie można kupić prawie wszystko, co jest na świecie, i gdzie człowiek słyszy ludzi mówiących nie tylko po grecku, ale i po łacinie, a także w wielu innych językach.

Ja też umiałem powiedzieć coś niecoś po łacinie, ale niewiele.

Bardzo im się także podobało, kiedy opowiadałem o statkach, przecież widzieliśmy ich tak wiele w Aleksandrii, ponieważ były tam nie tylko statki morskie pływające do Grecji, Rzymu, Antiochii czy Ziemi Świętej, lecz także barki pływające po Nilu.

Czasami miałem wrażenie, że widziałem wówczas Aleksandrię wyraźniej niż wtedy, kiedy tam przebywałem, ponieważ odpowiadając na pytania Miriamne i starego rabiego, teścia Berechiasza, musiałem sobie wszystko dokładnie przypomnieć. Mówiłem o bibliotece odbudowanej po pożarze, do którego w tak głupi sposób przyczynił się Juliusz Cezar. Mówiłem także o specjalnym tamtejszym święcie Żydów, kiedy to świętujemy przetłumaczenie Prawa i Proroków, i wszystkich innych ksiąg na grecki.

Tu, w Nazarecie, nikt nie miał zamiaru uczyć nas po grecku, chociaż wiele osób mówiło swobodnie tym językiem, zwłaszcza w Seforis, gdzie grecki znali wszyscy żołnierze króla i większość rzemieślników; także nasi rabini mówili i pisali po grecku. Znali Pisma w języku greckim, mieli też kopię tych tekstów, tak przynajmniej twierdzili. Tu językiem naszej nauki był hebrajski, naszym językiem zaś, aramejskim, posługiwaliśmy się na co dzień. W synagodze Pismo czytano po hebrajsku, a potem rabbi objaśniał je w znanym wszystkim języku. W ten sposób jeśli ktoś nie znał świętego języka, rozumiał, o co chodzi.

Najchętniej spędzałbym całe dni z rabim Berechiaszem. Ale nie tak miało być.

Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy prace przy domu, musieliśmy razem z Józefem też pójść do Seforis, ponieważ było tam dla nas mnóstwo pracy, gdyż ludzie potrzebowali dachu nad głową po zniszczeniach spowodowanych zamieszkami i mieli dość pieniędzy, by nam zapłacić. Józef nie chciał brać podwójnej stawki, jaką mu proponowali kolejno różni ludzie, lecz zadowolił się taką samą dniówką, jaką dostawaliśmy w Aleksandrii, i brał te prace, które jego zdaniem były najbardziej użyteczne.

Józef, jego bracia i wuj Kleofas oglądali najpierw zgliszcza, potem rozmawiali z właścicielem, a następnie odbudowywali dom, przywracając mu pierwotną postać, a także sami sprowadzali malarzy i murarzy, organizując całość prac, tak jak zawsze, sprawnie i bez trudu, robili to w Egipcie. Jakub i ja wiedzieliśmy, jak szukać i wybierać najlepszych robotników spośród mężczyzn czekających na rynku na pracę.

Sprzątając rumowiska, a także dźwigając i przenosząc belki, cały czas pracowaliśmy w tumanach kurzu i popiołu i wszyscy kasłaliśmy. Bałem się, słuchając tego, co mówili mężczyźni, że w Świątyni wybuchło prawdziwe powstanie, że walki toczą się w Judei i że wielu rabusiów ukryło się na wzgórzach Galilei.

Niektórzy młodzi mężczyźni, nie bacząc na to, co się stało w Galilei, mówili, że pójdą do Jerozolimy, by brać udział w wojnie, bo jest to walka w słusznej sprawie.

Rzymianie tymczasem starali się stłumić wszystkie ogniska rebelii w Judei i wspierali ich w tym ludzie z Arabii, którzy maszerowali z nimi i palili judejskie wioski. Rodzina króla Heroda zaś przebywała w Rzymie i przed Cezarem Augustem spierała się o to, kto powinien zostać królem.

Już nie szczękałem zębami ze strachu, nawet gdy mówiono o najbardziej przerażających rzeczach; zresztą nasza rodzina nie rozmawiała o tym zbyt często. Wszędzie wokół wyrastały budynki przeznaczone dla nowego króla z rodziny Heroda, bez względu na to, kto miał nim być. Zewsząd nadciągali do pracy mężczyźni: reperowali dachy, przynosili do picia świeżą wodę pracującym, kładli zaprawę, mieszały farbę i malowali ściany. Nasza rodzina znalazła wielu przyjaciół pośród wszystkich, którzy mieli teraz tyle pracy, że nie mogli sprostać wszystkim zamówieniom.

Wuj Kleofas któregoś dnia się rozejrzał i powiedział:

— Teraz Seforis będzie jeszcze większe niż przedtem.

— Ale kto będzie królem? — spytałem.

Kleofas prychnął pogardliwie, wyrażając w ten sposób to, co myśli o rodzinie Heroda, lecz wówczas Józef spojrział na niego i wuj nie powiedział głośno tego, co zamierzał powiedzieć.

W mieście ciągle przebywali Rzymianie, którzy chodzili po uliczkach, dbając o spokój i wypatrując buntowników, jacy mogliby przybyć do miasta ze wzgórz, a także wysłuchując bezustannych żalów i uskarżania się mieszkańców — tej kobiecie zginął syn, dom tamtej spalono nie wiadomo za co. Zniecierpliwieni krzykami i biadaniem, wyrzucali w górę ręce w geście bezradności i wołali o spokój, ponieważ nie wiedzieli, jak mają temu wszystkiemu zaradzić.

Przesiadali też przed tawernami, pijąc wino, lub stali na ulicy, gdzie kupowali jedzenie i przyglądali się, jak pracujemy. Skrybowie pisali dla nich listy do ich kobiet i dzieci.

Znajdowaliśmy się w żydowskim mieście. Uświadamiałem to sobie stopniowo z każdym mijającym dniem. Nie było tu pogańskich świątyń. Nie było widać nierządnic włóczących się z żołnierzami, chyba że starsze kobiety, właścicielki tawern, a i one miały najczęściej mężów. Żołnierze ziewali i rzucali spojrzenia w stronę mijających ich naszych kobiet, ale cóż mogli zobaczyć? Nasze kobiety zawsze nosiły takie stroje, jakie nakazywała religia, i zawsze miały zakryte głowy.

Zupełnie inaczej niż w Aleksandrii, gdzie w tłumie pełno było Greczynek i Rzymianek. Wiele z nich także miało zakryte głowy i ubranych było skromnie, ale były tam także inne

kobiety, które wystawały przed domami publicznymi. Nigdy nie wolno nam było patrzeć w ich stronę, ale czasami nie dało się tego uniknąć.

Tutaj było zupełnie inaczej.

Kiedy dotarli do nas złe wieści o walkach w Jerozolimie, ludzie przystawali w grupkach, by dzielić się wiadomościami i zastanawiać, co będzie dalej. Wpatrywali się niechętnym wzrokiem w żołnierzy, którzy wówczas stawali się surowi, nie odnosili się już do nas przyjaźnie i pojawiali na uliczkach zawsze w większej grupie. Ale nic złego się nie działo.

Jeśli chodzi o naszą rodzinę i wiele innych rodzin, cały czas byliśmy bez reszty pochłonięci pracą, niezależnie od tego, jakie wieści napływały z Jerozolimy. Pracując, modliliśmy się półgłosem. Kiedy przerywaliśmy pracę na południowy posiłek, najpierw dziękowaliśmy za niego Bogu, a potem błogosławiliśmy jedzenie i picie. Po posiłku wracaliśmy do pracy.

Nie były to złe chwile, ale nauka w Nazarecie była lepsza.

Poza nauką najbardziej podobała mi się nasza wędrowka z Nazaretu do Seforis i z powrotem. Było ciepło i przyjemnie, zebrano już prawie wszystko z pól, a gałęzie drzew — gdziekolwiek spojrzeć — uginały się pod ciężarem owoców. Drzewa migdałowe przestały już kwitnąć, ale za to inne miały mnóstwo pięknych liści. Za każdym razem w drodze do Nazaretu lub do Seforis zauważałem coś nowego.

Miałem ochotę zejść z drogi, by wędrować po gajach, wśród drzew, ale nie mogliśmy tego robić. Dlatego czasami wyprzedzałem innych i spacerowałem trochę między drzewami. Któregoś dnia, pomyślałem sobie, wybiorę się na wędrowkę i dotrę do wszystkich tych wiosek, pochowanych w niewielkich dolinach. Na razie jednak miałem w życiu wszystko, co chciałem.

Któż mógłby prosić o więcej ponad to, co mieliśmy?



## XIX

Nie wiem, kiedy poczułem, że jestem chory.

Gorączka przyszła po południu. Kleofas wiedział to wcześniej niż ja sam, a potem Jakub powiedział, że też źle się czuje. Wtedy Kleofas przyłożył mi rękę do czoła i powiedział, że musimy zaraz wracać do Nazaretu.

Ostatnią godzinę drogi Józef niósł mnie na rękach. Kiedy się obudziłem, chciało mi się pić i bolało mnie gardło, a matka, przestraszona, natychmiast ułożyła mnie na posłaniu. Mała Salome także była chora, potem zachorowało kolejne dziecko i jeszcze jedno, a w końcu w jednej izbie leżało pięcioro chorych dzieci.

Ze wszystkich stron rozlegał się kaszel, a matka co chwilę podtykała mi kubek z wodą do ust. Słyszałem także, jak mówi do Jakuba:

— Musisz to wypić! Obudź się!

Mała Salome cicho jęczała, a kiedy jej dotknąłem, była rozpalona.

Matka mówiła z niepokojem:

— Kto wie, co to może być. Może to od Rzymian. Może oni to przynieśli. A może dlatego, że mieszkaliśmy długo w Egipcie, a potem przybyliśmy tutaj. Nikt w wiosce nie zachorował, tylko nasze dzieci.

Ciotka Miriam także była chora. Kleofas wniósł ją do izby i położył obok nas. Mówił do niej głośno, wypowiadając jej imię tak, jakby się na nią złościł, chociaż nie był rozżłoszczony. Ciotka nie odpowiadała. Widziałem to wszystko, ale byłem wówczas w półśnie. Stara Sara śpiewała nam kołysanki. Nie widziałem jej wyraźnie w półmroku izby, ale słyszałem jej głos.

Bolało mnie całe ciało: ramiona, biodra, kolana, nie mogłem spać. Mogłem za to pozwolić myśлом swobodnie wędrować.

Pierwszy raz w życiu miałem wrażenie, że sen to jakby miejsce.

Kiedy teraz przypominam sobie te chwile, wiem, że aż do tamtej pory w moim życiu zawsze ze wszystkich sił broniłem się przed snem. Nigdy nie chciałem naprawdę zapaść w sen. Nawet wtedy, na wzgórzach, kiedy bardzo się bałem i kiedy wokół szalały pożary, chciałem tylko, żeby ogień zniknął, żeby rabusie sobie poszli, ale nie pragnąłem wcale uciec w sen. Uciec w ramiona matki, tak. Uciec i schronić się we własnym, bezpiecznym domu, tak. Ale nie w sen.

Jednak wówczas, w czasie choroby, kiedy czułem, jak bolą mnie nogi i ramiona, dobrze było zapaść w sen.

Śniłem na jawie. Był to najpiękniejszy sen, jaki miałem kiedykolwiek w życiu. Wiedziałem, że jestem w Nazarecie. Wiedziałem, że jest tu matka i że ciotka Miriam leży obok mnie. Wiedziałem, że jestem bezpieczny.

Równocześnie jednak spacerowałem po pałacu. Był znacznie większy niż dom Filona w Aleksandrii, a kiedy podszedłem na skraj tarasu, ujrzałem w oddali błękitne morze. Z obu stron widać było skały, linia brzegu wiała się nierówno, a niżej, w ogrodzie, zobaczyłem pochodnie. Mnóstwo pochodni. Dach nad moją głową podtrzymywały kolumny. Rozpoznałem liście akantu wyrzeźbione na ich głowicach. Na marmurowej ławie siedział ktoś, kto miał skrzydła. Wyglądał jak mężczyzna, i to wielkiej urody. Pomyślałem o Absalomie, synu Dawida, który także był urodziwym mężem, i wtedy wydarzyła się najdziwniejsza rzecz: włosy siedzącego mężczyzny zaczęły rosnać, stawały się coraz gęstsze i było ich coraz więcej.

— Starasz się upodobnić do Absaloma — powiedziałem.

— Oho, jesteś bardzo mądry jak na swój wiek — odparł tajemniczy mężczyzna. — Jesteś ulubieńcem rabina. — Mówił miękkim i melodyjnym głosem. Jego oczy były błękitne jak morze i miały w sobie dziwny blask. Skraj jego tuniki zdobiła zielono-czerwona nić, którą wyhaftowano pędy winorośli obsypane drobnymi kwiatkami. Uśmiechnął się do mnie. — Wiedziałem, że to ci się spodoba — powiedział. — Przede wszystkim jednak chcę wiedzieć, co, twoim zdaniem, robisz w tym miejscu?

— Tutaj? W tym pałacu? — spytałem. — Śnię oczywiście. — Zaśmiałem się, odpowiadając tajemniczemu mężczyźnie, i równocześnie słyszałem we śnie własny śmiech. Spojrzałem w stronę morza i zobaczyłem chmury piętrzące się wysoko na niebie, a daleko, na horyzoncie, płynące statki. Wydawało mi się, że widzę zanurzające się w wodę wiosła i człowieka za sterem. Niesamowite, jak wyraźne było to wszystko w świetle księżyca.

Wszystko wokół mnie było bardzo piękne.

— Tak, to pałac godny cesarza — stwierdził tajemniczy mężczyzna. — Dlaczego w takim nie mieszkasz?

— A dlaczego miałbym mieszkać w pałacu? — odpowiedziałem pytaniem.

— Chociażby dlatego, że to lepsze miejsce niż brudny Nazaret — odparł z pobłażliwym uśmiechem.

— Na pewno? — spytałem.

— Mieszkałem tu i tam — rzucił, a jego twarz pociemniała. Teraz spoglądał na mnie z pogardą.

Skierowałem wzrok ku statkom sunącym szybko i gładko po morzu w świetle księżyca. Płynęły nocą, chociaż to niebezpieczne, i były bardzo piękne.

— Tak, te piękne galery płyną z Ostii — zauważył tajemniczy mężczyzna. — Twój Archelaos pragnie już wrócić do domu. Podobnie jak jego bracia i siostra.

— Wiem — odparłem.

— Kim jesteś? — spytał stanowczym głosem. Na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie. Jednak ten sen przecież wkrótce się skończy. Wszystkie sny się kiedyś kończą.

Spojrzałem na niego. Widać było, że kipi w nim złość i stara się to ukryć. Lecz mu się to nie udawało. Pomyślałem o moich młodszych braciach zachowujących się podobnie. Ale on nie był dzieckiem.

— I ty także nie jesteś dzieckiem! — powiedział nagle.

— A, teraz rozumiem — odparłem, czując ogromną satysfakcję. — Jeszcze do niedawna nie pojmowałem. Kiedy jesteś ze mną, tak jak teraz, nie wiesz, co się wydarzy, prawda? Nie wiesz, co będzie, mam rację? — Zacząłem się śmiać i śmiałem się, śmiałem bez przerwy. — Na tym polega twoje przekleństwo, że nie wiesz, jak to się skończy!

Rozzłościł się tak bardzo, że nie był w stanie utrzymać uśmiechu na twarzy.

A gdy tylko z jego twarzy znikł uśmiech, rozplakał się. Nie mógł się powstrzymać. Był to urywany szloch dorosłego człowieka, widok, jaki do tej pory rzadko widywałem w moim życiu.

— Wiesz, że jestem tym, kim jestem, z miłości — powiedziałem. — To, kim jestem, wynika z miłości.

Czułem smutek z jego powodu. Ale musiałem zachować ostrożność. Ukrył twarz w dłoniach i spoglądał na mnie przez palce. Płakał, a równocześnie mnie obserwował. Jego Widok nappełnił mnie żalnością i smutkiem. Nie chciałem na niego patrzeć. Nic nie mogłem dla niego zrobić.

— Kim jesteś? — zapytał znowu. Złość i gniew buzowały w nim, tak że przestał płakać i wyciągając ręce w moją stronę, powiedział z żądaniem w głosie: — Domagam się, byś mi powiedział!

Cofnąłem się szybko.

— Nie dotykaj mnie — rzuciłem. Nie byłem poirytowany ani podekscytowany z powodu tego, co chciał zrobić, po prostu chciałem mu uświadomić, że postępuje niewłaściwie. — Nigdy, przenigdy nie wolno ci mnie dotknąć.

— Czy wiesz, co się dzieje w Jerozolimie? — spytał. Teraz poczerwieniał na twarzy i spoglądał na mnie oczyma, które z każdą chwilą robiły się większe.

Nie odpowiedziałem.

— To ja ci pokażę, anielskie dziecko! — rzekł.

— Nie musisz zadawać sobie tyle trudu — rzuciłem. Rozciągające się przed nami błękitne morze zniknęło i naszym oczom ukazał się dziedziniec pogan w Świątyni. Nie chciałem na niego patrzeć i nie chciałem myśleć o ludziach, którzy starli się ze sobą, kiedy tam byłem. Lecz to, co ujrzałem teraz, było jeszcze bardziej przerażające. Na dachach portyków Świątyni stali łucznicy i zasypywali strzałami znajdujących się na dziedzińcu rzymskich żołnierzy. Inni rzucali kamienie, a w dole ludzie walczyli zaciekle, dopóki spod kolumn w portykach nie buchnęły w górę płomienie, straszne, bezlitosne. Portyki wypełniły się ogniem, odcinając drogę ucieczki zaskoczonym Żydom, topiło się złoto na kolumnach, ciała zaczęły spadać w płomienie, a ludzie krzyczeli przeraźliwie, wołając Pana, by ich ocalił.

Cały dziedziniec otoczony był ogniem i niektórzy Żydzi, porzucając broń, skakali w płomienie z krzykiem i zwierzęcym rykiem, próbując się przez nie przedrzeć. Podobnie czynili rzymscy żołnierze, gdy tymczasem inni wychodzili z budynku Świątyni objuczeni skarbami. Skarbami Świątyni, świętymi skarbami, skarbami Pana. Krzyki umierających w straszliwych męczarniach ludzi były nie do wytrzymania.

— Panie w niebiosach, ulituj się nad nimi! — zawołałem. — Strasznie się bałem. Drżałem i dygotałem ze strachu. Wrócił cały mój lęk, jeszcze większy i bardziej dotkliwy niż wcześniej. W moim umyśle rozpałały się, jeden po drugim, kolejne pożary, tak jakby każdy następny zapalał się od poprzedniego, aż luna sięgnęła gwiazd. *Z głębokości wołam do Ciebie, Panie.*

— To wszystko, co możesz zrobić? — spytał dziwny przybysz. Stał teraz obok mnie, urodziwy, w bogatym stroju, i chociaż się uśmiechał, jego oczy były pełne gniewu.

Zakryłem dłońmi twarz. Nie chciałem patrzeć. Do moich uszu dochodziły jego słowa:

— Patrzę na ciebie, anielskie dziecko! — powiedział. — Czekam, by zobaczyć, co zamierzasz zrobić! Więc rób dalej to, co teraz: chodź jak dziecko, jedz jak dziecko, baw się jak dziecko, pracuj jak dziecko. Ale ja nie spuszczam z ciebie oka. Nie znam przyszłości, to prawda, ale wiem jedno: twoja matka to dziwka, twój ojciec to kłamca, śpisz i chodzisz po klepisku. Twoja sprawa jest przegrana, wiem o tym. Przegrywasz ją w każdym dniu i w każdej godzinie, i dobrze o tym wiesz. Czy sądzisz, że twoje cudeńka pomogą tym głupcom? Powiadam ci, wszystkim rządzi chaos, a ja jestem jego Księciem.

Spojrzałem na niego. Wiedziałem, że gdybym chciał, odpowiedziałbym na jego pytania. Słowa przyszłyby mi bez trudu i wypowiedziałbym rzeczy, o których jeszcze nie wiedziałem. Słowa wydobyłyby wiedzę z mojego umysłu równie łatwo, jak z moich ust wydobywa się dźwięk. Wszystko byłoby w moim zasięgu, każda odpowiedź, Czas — od swego początku aż po chwilę obecną. Lecz nie, nie tak miało być. Nie w ten czy inny sposób. Dlatego milczałem.

Bolało mnie jego żalosne położenie. Bolała mnie jego pociemniała ze złości twarz. Bolała mnie jego wściekłość.

Obudziłem się bez jęku i krzyku. Leżałem w ciemnej izbie, zlany potem, i chciało mi się pić.

W ciemnościach płonął oliwny kaganek. Z każdej strony dochodziły mnie pojękiwania. Nie wiedziałem, gdzie jestem, nie wiedziałem, co to za izba, co to za miejsce, i strasznie bolała mnie głowa. Myślałem, że już dłużej nie wytrzymam tego bólu. W pobliżu znajdowała się moja matka, ale teraz zajmowała się kimś innym.

Usłyszałem głośny szept modlącego się Kleofasa, a potem obcy, kobiecy głos:

— Jeśli dalej będzie tak źle, lepiej żeby umarła.

Zamknąłem oczy. Znowu odbiegłem myślami gdzie indziej. Widziałem pszeniczne pola wokół Nazaretu. Kwitnące drzewa migdałowe, które mijaliśmy, gdy weszliśmy do Galilei. Widziałem wioski z białymi domami uczepionymi wzgórz. Suche liście unoszone delikatnymi podmuchami wiatru. Śniłem o wodzie. Ów mężczyzna chciał przyjść raz jeszcze, lecz nie chciałem mu na to pozwolić. Nie, żadnych pałaców i statków, w żadnym razie.

— Dość — powiedziałem. — Nie pozwalam. Usłyszałem głos matki.

— Coś ci się śni. Nie bój się, jestem przy tobie i trzymam cię za rękę. Jesteś bezpieczny. Bezpieczny.

Minęło jeszcze wiele dni, nim wróciłem w pełni do zdrowia. Przekonałem się o tym dopiero później.

Jednak nawet wówczas większą część dnia przesypiałem. Budziły mnie tylko jęki i krzyki i wiedziałem, że znowu ktoś umarł.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem matkę karmiącą Małego Symeona, który leżał z głową na zwiniętej derce, przykryty po szyję. Obok spała Mała Salome. Miała spoconą twarz, ale już wracała do zdrowia.

Matka spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, ale po jej pobladłej i smutnej twarzy było widać, że płakała, i nawet wiedziałem dlaczego. Tak samo jak wiedziałem, że jedną z osób zawodzących i jęczących głośno w sąsiedniej izbie jest Kleofas. Słyszałem to, ów urywany szloch dorosłego człowieka, jaki widziałem w moim śnie.

— Powiedz mi... — wyszeptałem. Znowu poczułem strach, który ścisnął mnie za gardło.

— Dzieci czują się już lepiej — odrzekła. — Mówiłam ci wszystko wczoraj wieczorem, nie pamiętasz?

— Nie. Chcę wiedzieć kto.

Nie chciała mi odpowiedzieć.

— Czy to ciotka Miriam? — spytałem i spojrzałem na posłanie obok. Przedtem leżała na nim ciotka Miriam. Teraz jej nie było.

Matka zamknęła oczy i głośno jęknęła. Wyciągnąłem rękę w jej stronę i położyłem jej na kolanie, ale nie sędzę, by poczuła to przez grube sukno. Skulona, kołysała się w przód i w tył.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, byłem pewien, że trwa stypa. Na pewno. Słyszałem dźwięki fletów, rozcinające powietrze niczym drewniane noże.

Obok mnie siedział Józef, który przymusił mnie, bym wypił odrobinę rosółu.

Z drugiej strony siedziała, wyprostowana jak struna, Mała Salome i spoglądając na mnie szeroko otwartymi oczami, powiedziała:

— Wiesz, że moja mama nie żyje?

— Bardzo mi żal, że umarła — odparłem.

— I dziecko też nie żyje, bo ono było w niej.

— Bardzo mi żal — powtórzyłem.

— Już ją pogrzebali. Położyli ją w grocie.

Nic nie odpowiedziałem.

Weszły ciotki Salome i Estera, kazały Małej Salome wypić rosół i położyły ją. Mała Salome cały czas wypytywała o mamę.

— Czy ją przykryli? Czy była blada?

Ciotki powiedziały jej, żeby już była cicho.

— Czy płakała, kiedy umierała?

Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, w izbie pełno było śpiących dzieci. Dołączyli do nas jeszcze dwaj starsi kuzyni, którzy także zachorowali.

Dopiero następnego ranka miałem dość siły na to, by wstać z posłania.

Najpierw myślałem, że wszyscy jeszcze śpią.

Wyszedłem przed dom, na dziedziniec.

Było ciepło, a figowiec miał duże i zielone liście. Pędy winorośli obsypane były białymi kwiatkami, a po czystym, błękitnym niebie płynęły wysoko białe chmury, które z pewnością nie zwiastowały deszczu.

Byłem tak głodny, że gotów byłem zjeść cokolwiek. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem takiego głodu.

Z izby po drugiej stronie dziedzińca, którą zajmował Kleofas i jego rodzina, dochodziły jakieś głosy. Wszedłem tam i zobaczyłem matkę i wuja siedzących na klepisku, zajętych

rozmową i posiłkiem, na który składały się chleb i polewka. W oknie wisiała cienka zasłona i snop światła padał na ich ramiona.

Usiadłem obok matki.

— ...dlatego ja zajmę się nimi teraz, wezmę je do siebie i zachowam przy mnie, bo teraz ja jestem ich matką, a one są moimi dziećmi — mówiła moja matka Kleofasowi. — Rozumiesz, co mówię? Teraz są to moje dzieci. To bracia i siostry Jezusa i Jakuba. Mogę się nimi zaopiekować. Chcę, żebyś mi zaufał. Dotąd każdy traktował mnie, jakbym nie była jeszcze kobietą. A ja już jestem kobietą. Zatrószczę się o nie wszystkie. Jesteśmy jedną rodziną.

Kleofas potakiwał bezwiednie głową, ale widać było, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

Podał mi chleb, szepcząc słowa błogosławieństwa. Też odmówiłem szepcem modlitwę i zacząłem łączywie jeść.

— Nie jedz tak szybko — zwróciła się do mnie matka. — Jeszcze ci nie wolno. Przede wszystkim się napij. — Podała mi wodę.

Ale ja chciałem chleba.

Matka pogładziła mnie po włosach i pocałowała.

— Słyszałeś, co mówiłam do wuja?

— Są moimi braćmi i siostrami — powiedziałem. — Zawsze byli. — Zjadłem jeszcze trochę chleba, a potem wziąłem sobie polewki.

— Wystarczy — uznała matka. Zabrała jedzenie, podniosła się i wyszła z izby.

Zostałem z wujem sam. Przysunąłem się do niego. Wuj miał spokojną twarz, jakby płacz, opuszczając go, ogołocił go z wszelkich emocji.

Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

— Sądzisz, że Pan w niebie musiał zabrać jedno z nas? — spytał. — A ponieważ oszczędził mnie, musiał zabrać ją?

Tak zaskoczyło mnie to pytanie, że wstrzymałem oddech. Przypomniałem sobie nagle, jak modliłem się o życie dla niego, kiedy wznosił ręce, stojąc w Jordanie. Przypomniałem sobie wychodzącą ze mnie moc, gdy położyłem na nim dłoń, a on, śpiewając wówczas ile tchu w piersiach, wcale tego nie zauważył.

Próbowałem coś powiedzieć, lecz żadne słowa nie chciały wyjść z moich ust.

Mogłem tylko płakać, bo co innego mógłbym zrobić?

Przytulił mnie i zaczął kołysać.

— No, już dobrze, skarbie — powiedział cicho. — O Panie wszelkiego stworzenia — zaczął — uzdrowiłeś mnie i na zdrowie zamieniłeś moją gorycz... żywy Cię tylko wysławia, tak jak ja dzisiaj. Ojciec dzieciom będzie rozgłaszać twoją wierność.

Przez całe tygodnie wuj Kleofas nie wychodził z domu dalej niż na dziedziniec.

Ostre światło słońca raziło mnie w oczy. Razem z Kleofasem wybieliliśmy niektóre izby. Ci, którzy musieli pracować w Seforis, już tam poszli.

Wreszcie wszyscy wrócili do sił, nawet mała Esterka, o którą baliśmy się najbardziej. Ale wiedziałem, że jest już zdrowa, bo darła się, ile sił w płucach.

Rabbi Szerebiasz, ten z drewnianą nogą, przyszedł do naszego domu z wodą oczyszczenia, by pokropić nią każdego z nas, a potem przychodził codziennie przez kilka następnych dni. Przygotowując tę wodę, wziął popiół z czerwonej krowy, którą zabito i spalono w Świątyni, tak jak nakazuje Prawo, i zmieszał go z wodą ze strumienia płynącego za synagogą na skraju wioski.

Rabbi pokropił wodą oczyszczenia nie tylko nas, lecz także cały dom, wszystkie naczynia, z których jedliśmy lub w których przechowywaliśmy jedzenie, wodę i wino. Wszystko zostało pokropione wodą oczyszczenia. Także mykwa.

Po każdym pokropieniu kąpaliśmy się w mykwie, a po zachodzie słońca ostatniego dnia oczyszczenia my wszyscy i nasz dom byliśmy czysti.

Musieliśmy zostać oczyszczeni dlatego, że staliśmy się nieczysti, kiedy pod naszym dachem zmarła ciotka Miriam. Było to dla nas bardzo ważne, zwłaszcza dla Kleofasa, który recytował odpowiedni fragment z Księgi Liczb, gdzie jest mowa o tego rodzaju oczyszczeniu i jak powinno się ono dokonać.

Zafascynował mnie ten rytuał i postanowiłem, że któregoś dnia obejrzę na własne oczy, jak zabijają czerwoną krowę w Jerozolimie.

Oczywiście nie teraz, kiedy toczą się tam walki. Lecz kiedyś, w przyszłości, gdy zapanuje pokój i będziemy mogli znowu pójść do Jerozolimy. Zabijanie czerwonej krowy, a następnie palenie jej, razem ze skórą, mięsem, krwią i zawartością jelit, żeby sporządzić potem popiół oczyszczenia, cóż to musi być za widok — myślałem. Tyle wspaniałych rzeczy można było ujrzeć w Świątyni, lecz teraz toczyły się tam walki.

Tylko tak ją zapamiętałem, pełną martwych ciał i krzyczących z przerażenia ludzi, jeszcze ten człowiek, który zginął na moich oczach, i ów żołnierz na koniu, który w mej pamięci zlał się w całość z wierzchowcem, i jego włócznia, czerwona od krwi. I ta zaciekła bitwa, którą widziałem w moim bardzo dziwnym śnie. Jak to możliwe, że mogłem śnić coś takiego?

Wszystko to było jednak bardzo odległe.

Teraz, kiedy kapłan nas oczyszczał, było cicho i spokojnie.

Nigdy nie zapamiętałem takiego oczyszczania z Aleksandrii i tylko jak przez mgłę przypominałem sobie, jak umarł jeden z moich kuzynów, niemowlę, syn wuja Alfeusza. Jednak



tutaj, w Ziemi Świętej, w zwyczaju było dokonywać oczyszczenia, tak jak nakazywało Prawo. I każdy z nas był rad z tego powodu.

Wiedziałem jednak także, że moi wujowie nie czekali na oczyszczenie i poszli pracować do Seforis. Nie mogli czekać. Niektórzy pracowali cały czas, gdy dzieci chorowały. Kobiety także wychodziły do ogrodu po warzywa, kiedy musiały. Nie pytałem nikogo z dorosłych o te sprawy. Wiedzieliśmy, że robiliśmy, co w naszej mocy. Ufałem także temu, co kazali nam zrobić wujowie i Józef. Ludzie robili to, co byli w stanie zrobić.

Jakiś czas po tym, a właściwie dość szybko, jeszcze zanim zacząłem wychodzić z domu po chorobie, wujowie wdali się w spór.

W Seforis było tyle do zrobienia, że mogli wybierać między pracami najcięższymi, tymi, które lubili wykonywać najbardziej, i pracami, które wymagały umiejętności wszystkich mężczyzn w rodzinie. Jednak Józef, na którego decyzję wszyscy się zdawali, nie żądał wyższej lub niższej stawki w zależności od pracy, jaką wykonywali on i wujowie. Ci natomiast uważali, że tak być nie powinno, i podobnie sądzili niektórzy inni cieśle w Seforis. Wujowie i inni cieśle chcieli podwójnej stawki za prace wymagające większych umiejętności, ale Józef się na to nie zgadzał.

Wreszcie postanowili udać się do domu rabiego Berechiasza, chociaż wpierw zdecydowali pójść do rabiego Alkimosza, skrupulatnego w przestrzeganiu Prawa faryzeusza.

— Najlepiej niech to rozstrzygnie faryzeusz — powiedział wuj Kleofas, a wszyscy się zgodzili, nawet Józef. Nikt jednak nie chciał prosić o pomoc młodszego rabiego, nie zapytawszy najpierw starszego.

Rabbi Berechiasz odesłał ich od razu do rabiego Alkimosza, faryzeusza, polecając uczynić to, co im każe.

My, najmniejsi chłopcy, nie mogliśmy wejść za mężczyznami do domu Alkimosza, a ponieważ robiło się coraz bardziej gorąco, wróciliśmy do siebie.

Mężczyzn nie było długi czas, a kiedy w końcu wrócili, wszyscy byli w doskonałych nastrojach. Wyglądało na to, że rabbiemu Alkimosowi udało się rozwiązać spór następującym argumentem: skoro będą pobierać podwójną opłatę za prace wymagające większych umiejętności, powinni posyłać chłopców do szkoły na pół dnia, a nie tylko na godzinę lub dwie rano. Co najważniejsze, Józef także się zgodził na to rozwiązanie!

Klasnęliśmy z radości! To była wspaniała nowina! Spojrzeliśmy z Jakubem na siebie. Nawet nasi kuzyni, Sylas i Lewi, byli bardzo szczęśliwi z tego powodu. Cieszył się także Mały Szymon, chociaż na dobrą sprawę nie wiedział z czego.

A przecież mieliśmy więcej się nauczyć. Mężczyźni zaś mieli przynieść do domu więcej pieniędzy.

Matka była bardzo uradowana.

Tego wieczoru wypiliśmy do posiłku dobre wino, a Józef przy świetle lampy czytał nam jedną z naszych ulubionych greckich opowieści ze zwojów, które przynieśliśmy z Aleksandrii, czyli Opowieść Tobita.

Wszyscy, łącznie z kobietami, zgromadzili się przy Józefie, ponieważ każdy z nas lubił słuchać o tym, jak anioł przyszedł do Tobiasza, syna Tobita, i o tym, jak ów anioł „w ludzkiej postaci” opowiadał Tobiaszowi o lekarstwach, jakie może sporządzić z wnętrzości ryby, która chciała odgryźć chłopcu nogę, i o tym, że Tobiasz musi poślubić dziewczynę o imieniu Sara, córkę Raguela, i o tym, jak się dopytywał Tobiasz, czy prawdą jest, że Sara miała już siedmiu mężów i każdego z nich w noc poślubną zabił demon?

Ryczeliśmy ze śmiechu, kiedy Józef czytał tę część opowieści, naśladując niewinny głos nieświadomego Tobiasza. A potem znów stał się aniołem Rafałem i mówił: „Posłuchaj mnie, bracie, nie martw się o tego demona”. I Józef czytał dalej głosem Rafała, że Tobiasz ma zostać poślubiony Sarze jeszcze tej nocy i że wystarczy, iż położy wątrobę i serce ryby na rozżarzone węgle w izbie małżeńskiej, a zapach przepędzi demona precz na zawsze!

— To zrozumiałe — wtrącił wuj Kleofas — kto by wytrzymał taki smród!

Nawet matka się śmiała.

A potem Józef czytał dalej, wypowiadając pospiesznie słowa, tak jak anioł Rafał: „A gdy już będziesz miał się z nią złączyć, powstańcie najpierw oboje i módlcie się, i proście Pana nieba, aby okazał wam miłosierdzie i was ocalił. Nie bój się, ponieważ od wieków jest ona przeznaczona dla ciebie. W ten sposób ją ocalisz i ona pójdzie z tobą. Sądzę też, że urodzi ci dzieci, i będą dla ciebie jak bracia. Nie martw się!” I znowu śmialiśmy się niemal do łez.

— No bo tak to właśnie jest — powiedziała ciotka Estera i nagle wszyscy dorośli wybuchnęli śmiechem, spoglądając na siebie nawzajem.

— Przestańcie już! — zawołała wówczas ciotka Salome i znowu wszyscy śmiali się tak, jakby kobiety wiedziały o wiele lepiej, jakie to śmieszne.

— W końcu anioł wie lepiej! — zawołała ciotka Estera. W tej chwili wszyscy zamilkli, a śmiech zamarł jak nożem uciął.

Zauważyłem, że wszyscy spoglądają na moją matkę, a potem popatrują po sobie.

Matka zaś najpierw spoglądała przez chwilę w przestrzeń, potem się uśmiechnęła, a w końcu roześmiała. Pokręciła głową i śmiała się, śmiała, a wówczas wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem.

W całej opowieści było wiele zabawnych fragmentów i znaleźliśmy je doskonale. Demon uciekł, kiedy poczuł swąd palonych wnętrzności ryby, anioł go związał, Tobiasz pokochał Sarę, jego teść nie chciał pozwolić mu odejść, bo tak go pokochał, a wesele trwało czternaście dni. A kiedy wreszcie Tobiasz powrócił do domu, uzdrowił swego ojca ze ślepoty lekarstwem z ryby, która chciała odgryźć mu nogę, a później było kolejne wesele, które trwało jeszcze dłużej, i wszyscy byli szczęśliwi. Potem następowała bardziej poważna część opowieści, czyli długa i piękna modlitwa Tobita, którą wszyscy znaleźliśmy i recytowaliśmy po grecku.

Kiedy już prawie skończyliśmy, Józef, który jej przewodniczył, zaczął jeszcze wolniej wypowiadać słowa, gdyż nabrały one teraz dla nas takiego znaczenia, jakiego nie miały w Egipcie.

— „Jerozolimo — Miasto Święte! Pan zesłał karę na ciebie za czyny twych synów, lecz znowu zmiłuje się nad dziećmi sprawiedliwych. Wysławiaj Pana godnie i chwal Króla wieków, aby znów odbudował twój namiot z radością”.

Kiedy pomyśleliśmy o toczących się tam walkach, zrobiło się nam smutno. A gdy odmawialiśmy kolejne słowa modlitwy, odpędziłem od siebie straszne wspomnienia i ujrzałem Świątynię taką, jaka była przedtem, zanim na jej dziedzińcach zaczęli walczyć ludzie.

Ujrzałem wysokie mury i tłumy zgromadzone, by się modlić, ludzi tłoczących się przy miejscach przeznaczonych do obmycia się, przechodzących sklepionym przejściem na dziedzińiec pogan. Słyszałem modlących się głośno słowami Psalmów.

My zaś modliliśmy się teraz, powtarzając za Józefem:

— „Wspaniałe światło promieniować będzie na wszystkie krańce ziemi. Liczne narody przyjdą do Ciebie z daleka i mieszkańcy wszystkich krańców ziemi do świętego Twego imienia. Dary mają w swych rękach dla Króla niebios. Z pokolenia na pokolenie oddawać Ci będą chwałę”.

Ujrzałem w mym umyśle jasne światło, ogarnęła mnie senność i zapadłem w delikatny, piękny sen, Wsparty na łokciu pólleżałem na macie i słyszałem słowa modlitwy: „...a imię «Wybranej» przejdzie na przyszłe pokolenia”.

Wszystko wskazywało na to, że zaraza opuściła nasz dom na dobre. Śmierć odeszła. A razem z nią nieczystość. A także łzy. I chociaż wciąż nie dawał mi spokoju mój sen, w którym spotkałem dziwną istotę ze skrzydłami i pięknymi oczami, i chociaż ów sen niepokoił mnie bardziej niż — jak mi się zdawało — byłbym to w stanie komukolwiek wyjaśnić, to przecież wkrótce wyrzuciłem go z pamięci, podobnie jak wyrzuciłem obraz Świątyni pełnej krwi. Życie zaczęło się na nowo. Byłem szczęśliwy, że mogłem je poznać i go doświadczyć, bo wiedziałem już, co to nieszczęście, strach, choroba i smutek, ale wszystkie te rzeczy już minęły.



## XX

Kiedy tylko matka uznała, że jestem na tyle zdrowy, by korzystać z mykwy, natychmiast udałem się do kąpieli. Woda była bardzo zimna i zakrywała mnie całego. Potem włożyłem świeżo wyprane ubranie i ruszyłem do domu wielkiego rabiego Berechiasza. Słudzy powiedzieli mi, że jest w synagodze, więc poszedłem tam i umyłem starannie ręce w strumieniu, tak by nikt, kto nie wiedział, że wcześniej się kąpałem, nie sądził, że wchodzę do synagogi nieczysty.

Wszedłem do środka i usiadłem z boku, zdziwiony widokiem tylu ludzi, chociaż nie był to szabat. Lecz po chwili zorientowałem się, że przyszli nie po to, by słuchać rabbich, lecz jakiegoś mężczyzny, który przybył opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło w Jerozolimie. Był to faryzeusz ubrany w piękne szaty, a spod szala widać było jego gęste, siwe włosy.

W synagodze przebywał mój brat Jakub, a także Józef i Kleofas. Byli również wszyscy moi starsi kuzyni.

Rabbi Berechiasz uśmiechnął się, ujrawszy mnie, i gestem dłoni kazał mi usiąść i nie przeszkadzać, a tymczasem przybysz cały czas mówił.

Przemawiał po grecku, od czasu do czasu wtrącając parę zdań w naszym języku.

Był właśnie w środku swej opowieści i mówił tak:

— Tenże Sabinus, podskarbi Rzymian, kazał swym ludziom otoczyć Świątynię, a wówczas Żydzi zajęli pozycje na dachach portyków. Rzucali kamieniami w Rzymian. W powietrzu było gęsto od strzał. Ale strzały Rzymian nie mogły osiągnąć Żydów, bo znajdowali się wysoko. Jednak ów bezbożny człowiek, którego jedynym celem było zdobycie skarbu króla pod jego nieobecność, ten chciwiec podpalił w tajemnicy portyki, których kolumny pokryte są złotem, i Żydzi zostali uwięzieni w płomieniach. Ogień buchnął niczym z czeluści góry. Smoła na dachu Świątyni się zajęła i płonęły kolumny. Złoto się stopiło, a wszyscy ludzie na dachu zginęli. Nawet nie da się zliczyć tych, którzy polegli...

Czułem, jak wraca do mnie lęk. W synagodze było ciepło, ale w miarę rozwijania się opowieści mężczyzny zaczął ogarniać mnie chłód.

— ...i wówczas Rzymianie, nie bacząc na płomienie, rzucili się, by grabić skarby Pana na oczach tych, którzy przyglądali się temu i nic nie mogli zrobić. Przebiegli przez dziedziniec pogan wprost do skarbców, by kraść z nich co popadnie, powodowani chciwością, i tak kradli z domu Pana.

Zobaczyłem to wszystko raz jeszcze, tak jak widziałem przedtem w moim śnie. Pochyliłem głowę i zamknąłem oczy. Mężczyzna mówił dalej, a ja widziałem wyraźnie wszystko, o czym opowiadał.

Bitwa za bitwą, rzymskie legiony wchodzące do Galilei i Judei i krzyże stawiane wzdłuż drogi.

— Dwa tysiące ukrzyżowanych — powiedział mężczyzna. — Gonili tych, którzy uciekali. Przyprawdzali podejrzewanych o bunt i skazywali na śmierć. A skąd wiadomo, że oni wszyscy byli winni? Nie mogą przecież odróżnić dobrych od złych pośród nas! Przecież tego nie wiedzą! A ludzie z Arabii, ile spalili wiosek, nim generał Warus wreszcie odesłał ich do domów i nim się przekonał, że nie może im ufać jako tym, którzy mają strzec pokoju i zapobiegać dalszym zamieszkom?

A potem nazwy i imiona: spalone wioski i osady, rodziny, które straciły dach nad głową...

Nie mogłem otworzyć oczu. Widziałem płomienie na tle nocnego nieba. Widziałem rozbiegających się we wszystkie strony ludzi. Wreszcie poczułem na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszałem szept rabiego Berechiasza:

— Słuchaj uważnie.

— Tak, rabbi — wyszeptałem.

Spoglądałem na mężczyznę, który chodził tam i z powrotem przed zgromadzonymi w synagodze, opowiadając o kolejnych buntownikach: o Szymonie, który spalił pałac w Jerychu i którego ścigał Gratus, dawny generał Heroda, który przeszedł na stronę Rzymian. Panowanie Szymona już się skończyło. Ale na jego miejsce pojawiło się wielu innych...

— Chronią się w grotach na północy! — zawołał mężczyzna, wskazując ten kierunek. — Nigdy się ich nie pozbędziemy!

Ludzie szeptali coś do siebie, kiwając głowami.

— To całe rodziny, całe bandyckie plemiona. A teraz dowiadujemy się, że Cezar podzielił nas między dzieci Heroda, i jego synowie, czyli książęta — jeśli Cezar rzeczywiście dał im władzę — płyną tu z Rzymu.

Ujrzałem morze nocą pod światłem księżyca. Poczułem się na powrót tak jak w moim śnie.

Posłaniec przerwał, jakby miał jeszcze wiele do powiedzenia, lecz nie umiał ubrać tego w słowa.

— Czekamy na władcę, którego nam narzucono — wyrzucił wreszcie.

Gdzieś z tyłu spośród zebranych odezwał się jakiś głos.

— Niech rządzą kapłani ze Świątyni!

— Tak, niech rządzą kapłani! — dodał inny. — Znają Prawo, a my żyjemy według Prawa. Dlaczego nie mamy kapłanów z rodu Sadoka, jak nakazuje Prawo? Powiadam wam, oczyścicie Świątynię z jej zbrukania, a znowu będą rządzić kapłani!

Mężczyźni zaczęli wstawać i przekrzykiwać się nawzajem. Pojedyncze głosy tonęły w ogólnej wrzawie.

Rabbi Alkimos zerwał się z miejsca, chcąc nad wszystkim zapanować, ale dopiero kiedy wstał stary rabbi Berechiasz, mężczyźni się uspokoili.

— Nasi przedstawiciele przekazali nasze prośby Cezarowi — powiedział rabbi Berechiasz. — Cezar podjął decyzję i wkrótce ją poznamy. Aż do tej chwili musimy czekać. — Powiódł wzrokiem po zgromadzeniu, spoglądając uważnie wszystkim w oczy.

— Kto zna rodowód kapłanów służących dzisiaj w Świątyni? — spytał zebranych. — Kto wie, czy w ogóle jest między nimi jakiś arcykapłan?

Przez tłum przebiegł szmer aprobaty i ludzie zaczęli kiwać głowami. Potem zaczęli powoli zajmować na powrót swoje miejsca.

Przybyły z Jerozolimy posłaniec odpowiadał teraz na pytania mężczyzn. Wkrótce jednak znowu zaczęły się krzyki i klótnie. Wstałem i wysliznąłem się niepostrzeżenie z synagogi.

Było ciepło i nie odczuwałem już dreszczy. Przeszedłem przez miasteczko, wydostałem się za jego obrzeża i zacząłem wspinać na wzgórze.

Kobiety krząły się w ogródkach. Rolnicy razem z najętymi robotnikami pracowali na polach. Nad moją głową rozciągał się ogrom nieba, po którym sunęły chmury niczym olbrzymie statki. W trawie kwitły drobne kwiatki, a drzewa ugięły się od zielonych oliwek.

Położyłem się na trawie i gładziłem dłonią kwiatki. Spojrzałem w górę przez gałęzie oliwki. Chciałem, żeby tak właśnie było, żebym zawsze widział niebo w drobnych kawałkach. Byłem szczęśliwy. W oddali słyszałem dobiegające z wioski gruchanie gołębi i synogarlic. Miałem wrażenie, że jest tak cicho, iż słyszę nawet pszczoły w ulach. Wydawało mi się, że słyszę, jak rośnie trawa, lecz wiedziałem, że to niemożliwe. Po prostu wszystkie dźwięki zlewały się w jeden, miękki szum, tak różny od zgiełku miasta.

Pomyślałem o Aleksandrii. Pomyślałem o wielkiej, otwartej świątyni wzniesionej na cześć Cezara Augusta w pobliżu portu i o znajdujących się obok niej ogrodach i bibliotekach. Widziałem ją wiele razy po drodze ze składów w porcie, gdzie kupowaliśmy potrzebne nam rzeczy.

Tak, widziałem wszystko. I naszą procesję, kiedy my, Żydzi z Aleksandrii, stanowiący najliczniejszą grupę jednego narodu i religii w tym mieście, świętowaliśmy dzień, w którym

Pismo zostało przełożone na grecki. Mieli na co patrzeć poganie, nieprawdaż? Tak przynajmniej mówili mężczyźni, kiedy śpiewaliśmy Psalmy.

I widziałem morze.

Myślałem o wszystkich tych rzeczach, lecz doszedłem do wniosku, że mimo to kocham Nazaret. Poznałem smak miłości do tego miejsca, miłości do gęstych zagajników pnących się w górę zbocza, składających się z cyprysów, sykomor i mirtu. Józef nauczył mnie nazw tych drzew i krzewów.

Modliłem się w sercu: „Ojciec w niebie, dziękuję Ci za to”.

Ale nie dane mi było długo cieszyć się samotnością.

Po jakimś czasie zjawił się Kleofas.

— Nie smuć się — powiedział.

— Ależ ja jestem szczęśliwy — odparłem, podnosząc się z trawy. — Wcale się nie smucę. Nie martwię się niczym.

— Aha, rozumiem — rzekł swoim zwyczajnym tonem. — Myślałem, że to, o czym była mowa w synagodze, tak cię zasmuciło, że płakałeś.

— Wcale nie — powiedziałem, kręcąc przecząco głową. — Tu wszystko napędza człowieka szczęściem — dodałem, obracając się i wskazując miejsce pod oliwką. — Przychodzę tutaj, rozmyślam sobie, a moje myśli zmieniają się w modlitwę.

Moje słowa go ucieszyły.

Zaczęliśmy razem schodzić ze wzgórza.

— To bardzo dobrze — powiedział. — Nie wolno ci się martwić z powodu tych wszystkich walk, klęsk. Rzymianie wybiją wszystkich buntowników w Judei co do jednego. Ten głupiec, Szymon, to po prostu jeden z nich. Dopadną też Athrongesa, króla-pasterza i jego braci. Złodziei i łotrów w Galilei też dostaną w swoje ręce. Chowają się po grotach przy źródłach Jordanu, to prawda, ale wyjdą, kiedy będą potrzebować żywności, i usłyszysz ich znowu, jak będą galopować z dzikim rykiem przez wioski. Ale nie tutaj, w Nazarecie. Tu nic się nigdy nie dzieje. Niezależnie od tego, kto jest królem tu czy w Judei, czy będzie to Archelaos czy Antypas, naszym sędzią jest Cezar i zawsze możemy się do niego odwołać. A Herodzi będą rządzić dopóty, dopóki nie zaczną się nowe kłopoty. Zawsze mamy Cezara. Przystanąłem i spojrzałem na niego.

— I chcesz, żeby zawsze tak było? Żebyśmy zawsze mieli Cezara?

— A dlaczego nie? — spytał. — Kto inny jest w stanie zapewnić nam pokój?

Poczułem nagle lęk tak dojmujący, że aż zakłuło mnie w środku. Nie odpowiedziałem na jego pytanie.



— Czy nigdy nie będziemy mieć innego króla na tronie Dawida? — spytałem zamiast tego. Przyglądał mi się przez długą chwilę, wreszcie rzekł:

— Ja chcę pokoju. Chcę budować i malować domy, móc nakarmić dzieci i być razem z rodziną. Tego chcę. I tego też chcą wszyscy Rzymianie. Wiesz dobrze, że Rzymianie nie są złymi ludźmi. Oddają cześć swoim bogom. Ich kobiety ubierają się i zachowują w sposób, jaki przystoi ich płci. Oni mają swoje zwyczaje, my swoje. A coś ty myślał, że wszyscy poganie to żyjące w bezprawiu diabły, które palą swoje dzieci w ofierze dla Molocha, a w ich domach co wieczór dokonują się najbardziej obrzydliwe rzeczy?

Roześmiałem się.

— To jest Galilea — dodał. — Ale kto raz był w Aleksandrii, kto był w Rzymie, ten wie, że to wszystko złudzenia. Wiesz, co znaczy to słowo?

— Tak — odparłem. — Fantazje, marzenia.

— Właśnie — powiedział. — Jesteś jedyną osobą, która mnie rozumie.

Zaśmiałem się znowu i skinąłem głową.

— Jestem twoim prorokiem — powiedział.

— Naprawdę?

— Tak. Powiedz mi, co mam zrobić.

— Odpowiedz na moje pytania. Powiedz mi, dlaczego rabbi zatrzymał mnie w drzwiach synagogi. Dlaczego Józef nie chciał powiedzieć, że...

— Nie — przerwał mi Kleofas i potrząsnął głową. Potem przyłożył ręce do czoła i wbił wzrok w ziemię. — Tego nie mogę zrobić, ponieważ Józef tego nie chce.

— Józef zabronił mi zadawać jakiegokolwiek pytania. Zabronił w ogóle pytać.

— Wiesz dlaczego? — spytał Kleofas.

— Bo sam nie chce wiedzieć. — Wzruszyłem ramionami. — Bo z jakiego innego powodu? Kleofas przykląkł, ujął mnie za ramiona i spojrzał mi głęboko w oczy.

— On sam nie rozumie wielu rzeczy — powiedział. — A kiedy człowiek czegoś nie rozumie, nie umie tego wyjaśnić.

— Józef nie rozumie?

— Tak. Ale mówię to tylko tobie.

— A ty rozumiesz?

— Próbuję — odparł. Uniósł znacząco brwi i uśmiechnął się. — Przecież mnie znasz. Wiesz, że się staram. Ale Józef ma inny sposób. On czeka, czeka na samego Pana. Józef nie musi rozumieć, bo Józef ufa Panu bez reszty. Jest coś, co mogę ci powiedzieć, i musisz to

zapamiętać. Do twojej matki przyszedł anioł i rozmawiał z nią. Anioły przyszły też do Józefa. Ale mnie nie ukazał się żaden anioł.

— Mnie też nie, ale... — przerwałem w pół słowa. Nie chciałem wujowi opowiadać ani o Eleazarze w Egipcie, ani o deszczu w drodze z Seforis, a już najmniej o nim samym, kiedy stał w Jordanie, a ja położyłem mu rękę na ramieniu.

Albo o tej nocy nad brzegami rzeki, kiedy miałem wrażenie, że wokół mnie, w ciemnościach, jest tylu ludzi.

Kleofas trwał przez chwilę pogrążony w myślach. Potem wyprostował się i skierował wzrok w stronę gór wznoszących się na wschodzie i zachodzie.

— Powiedz mi, proszę, co się tam stało! — prosiłem cicho, błagalnym tonem. — Powiedz mi wszystko, proszę!

— Lepiej porozmawiajmy o zamieszkach, o buncie, o królach z domu Heroda. To łatwiejszy temat — odparł, spoglądając ciągle w stronę gór.

Potem spojrzał na mnie.

— Nie mogę ci powiedzieć tego, co pragniesz wiedzieć. Sam także nie wiem wszystkiego. Jeśli będę próbował ci coś wyjaśniać, Józef wyrzuci mnie z domu. Wiesz dobrze, że tak zrobi. A ja nie mogę sprowadzać takiego nieszczęścia na nasz dom. Ile ty masz teraz lat. Osiem?

— Jeszcze nie, ale wkrótce będę miał! — rzuciłem z dumą.

Uśmiechnął się.

— Mężczyzna z ciebie! Rozumiem. Jak mogłem nie zauważyć, że stałeś się mężczyzną? Posłuchaj, któregoś dnia, nim umrę, powiem ci wszystko, co wiem, obiecuję. — Znowu pogrążył się w myślach.

— Co się stało? Czemu zamilkłeś?

Na jego twarzy malowały się powaga i smutek

— Powiem ci, obiecuję. Pamiętaj. Przyjdzie taki dzień. — Pokręcił głową, unikając mego wzroku.

— Mów, przecież cię słucham.

Kiedy odwrócił się w moją stronę, znowu kpiąco się uśmiechał, jak zwykle.

— A wracając do Cezara Augusta — zaczął jak gdyby nigdy nic — to co za różnica, kto zbiera podatki lub łapie złodziei? Co za różnica, kto strzeże bezpieczeństwa u bram miasta? Widziałeś Świątynię. Jak można ją teraz odbudować i oczyścić, jeśli sami Rzymianie nie zaprowadzą porządku w mieście? Herod Archelaos wydaje rozkazy, by dokonać rzezi nie gdzie indziej, lecz właśnie w Świątyni. Złodzieje i buntownicy stają w portykach i strzelają do Rzymian w Świątyni. Już wołę pokój rzymski, taki jak w Aleksandrii. Coś ci powiem o

Rzymianach. Oni mają dość bogactw, a dobrze jest być rządzonym przez kogoś, kto jest już wystarczająco bogaty.

Nic nie powiedziałem, lecz zapamiętałem dokładnie każde jego słowo.

— Co zrobili z Szymonem, tym buntownikiem, którego złapali?

— Ścięli go — odparł Kleofas. — Moim zdaniem i tak mu się udało. Ale z drugiej strony, mało mnie obchodzi, że spalił dwa pałace Heroda. Nie to jest najgorsze, ale cała reszta. Bezprawie, kraj w ruinie...

Spojrzał na mnie.

— Chyba jesteś za mały, aby to zrozumieć.

— Stale mi to powtarzasz — odparłem.

Roześmiał się.

— Właśnie, że rozumiem — dodałem. — Nie mamy żydowskiego króla, który by nami rządził i którego ludzie by kochali.

Skinął głową. Potem spojrzał w niebo, na przepływające nad naszymi głowami chmury.

— Dla nas nic się nie zmieni — powiedział wreszcie.

— Słyszałem to już wiele razy, wuju.

— I usłyszysz jeszcze nieraz. Jutro pójdziesz ze mną do Seforis i pomożesz malować ściany domu, który kończymy. To łatwa praca. Zaznaczę ci linie i wymieszam kolory. Ty tylko pomalujesz, gdzie trzeba. Będziesz robił to samo, co w Aleksandrii. Bo tego przecież chcemy, mam rację? Tego, a także kochać Pana całym naszym sercem i umysłem i znać Jego Prawo.

Ruszyliśmy razem w stronę domu.

Nie wyjawilem mu, co leżało mi na sercu. Nie umiałem. Chciałem mu opowiedzieć o moim dziwnym śnie, ale nie potrafiłem. A jeśli nie potrafiłem opowiedzieć tego wujowi Kleofasowi właśnie w tamtej chwili, oznaczało to, że nie mogę nikomu opowiedzieć o tym, co mi się śniło. Nigdy nie zdobędę się na to, by zapytać starego rabina o mężczyznę ze skrzydłami ani o to, co widziałem, ani opowiedzieć mu, że widziałem portyki Świątyni w płomieniach.

A kto zrozumie tamtą noc nad Jordanem i wszystkie te istoty tłoczące się wokół mnie w ciemnościach?

Dotarliśmy prawie do stóp wzgórza. W jednym z ogródków siedziała kobieta, nucać coś do siebie, a obok niej bawiły się małe dzieci.

Przystanąłem na chwilę.

— Co się stało? — spytał wuj i skinął na mnie ręką. — Idziemy.

— Wuju, co takiego chciałeś mi powiedzieć tam, na górze? Powiedz to teraz.

Nasze spojrzenia się spotkały, a ja powtórzyłem cichym głosem:

— Chcę wiedzieć.

Wuj milczał przez chwilę, zmienił się na twarzy, jego rysy złagodniały i odparł także cichym głosem:

— Zachowaj w swoim sercu wszystko, co ci powiedziałem. Przyjdzie dzień, że to ty będziesz musiał nam odpowiedzieć.

Spojrzał na mnie, a ja na niego, i tak patrzyliśmy sobie w oczy przez dłuższą chwilę, aż w końcu odwróciłem wzrok. *Ja będę musiał odpowiedzieć!*

Wtedy przypomniał mi się Jordan i zachodzące słońce, które odbijało się w wodzie niczym ogień, a był to piękny ogień, i obecność całej tej niezliczonej rzeszy wokół mnie.

I nagle w przeblysku świadomości doświadczyłem zrozumienia wszystkiego, w s z y s t k i e g o !

Uczucie to przeminęło natychmiast. Wiedziałem, że nie mogę go zatrzymać. Ze nie może ze mną pozostać.

Wuj ciągle spoglądał na mnie uważnie.

Potem nachylił się nade mną, odgarnął mi włosy i pocałował w czoło.

— Do mnie się uśmiechasz? — spytał.

— Tak — odparłem. — Powiedziałeś prawdę.

— Jaką prawdę?

— Że jestem za mały, żeby to zrozumieć.

Roześmiał się.

— Nie oszukuj mnie — powiedział, wyprostował się i ruszyliśmy razem w stronę wioski.

## XXI

Lato było bardzo urodzajne.

Nasz stary figowiec na dziedzińcu uginał się pod ciężarem drugich już tego roku owoców, w gajach oliwnych robotnicy otrząsali gałęzie, a ja doświadczałem szczęścia, którego wcześniej nie znałem, i byłem go świadomy.

Czułem się tak, jakby czas zaczął się dla mnie niedawno: od ostatnich dni w Aleksandrii aż do chwili, gdy dotarliśmy tutaj.

Z upływem miesięcy zreperowaliśmy wszystko, co wymagało naprawy w naszym domu, który stał się teraz niemal doskonałym miejscem do zamieszkania dla wszystkich naszych rodzin: wujów Szymona, Alfeusza, Kleofasa oraz dla Józefa, mojej matki i dla mnie.

Grecka niewolnica Riba, którą przygarnęliśmy razem z Brurią, urodziła dziecko.

Wszyscy szeptali o tym i rozprawiali półgłosem, nawet dzieci, a Mała Salome powiedziała mi któregoś dnia na ucho:

— Pewnie nie schowała się dość głęboko w tunelu przed rabusiami.

Tej nocy, kiedy urodziło się dziecko, usłyszałem jego głośny płacz i jak Riba, a także Bruria śpiewają mu po grecku. Słyszałem, jak moje ciotki śmieją się głośno i śpiewają razem przy zapalonych lampach. Była to bardzo szczęśliwa noc. Kiedy Józef się obudził, wziął dziecko w ramiona.

— To wcale nie jest dziecko człowieka z Arabii — powiedziała ciotka Salome. — To żydowski chłopiec i dobrze o tym wiesz.

— Kto powiedział, że to dziecko człowieka z Arabii? — zawołała Riba. — Przecież mówiłam wam...

— Już dobrze, dobrze — uspokajał ją Józef, przemawiając do niej cichym głosem, jak zawsze. — Nazwiemy go Izmael. Czy wszyscy są zadowoleni?

Natychmiast polubiłem małego Izmaela.

Miał malutki podbródek i duże, czarne oczy. Nie płakał bez przerwy, jak niemowlę ciotki Salome, które gdy tylko usłyszało jakiś dziwny dźwięk, zaraz zaczynało kwilić niespokojnie i nie chciało przestać. Mała Salome z radością nosiła go na rękach, gdy jego mama była zajęta pracą. A zatem był z nami mały Izmael. Z kolei Mały Jan ciotki Salome i wuja Alfeusza był jednym z piętnastu Janów w miasteczku, gdzie mieszkało także siedemnastu Szymonów i trzynastu chłopców o imieniu Judasz, i więcej Miriam, niż miałem palców u obu rąk, a to wszystko tylko spośród naszych krewnych po tej stronie wzgórza.

Ale za bardzo wybiegam naprzód w mojej opowieści, ponieważ dzieci urodziły się dopiero w zimie.

Lato było upalne i nie chłodziła nas już bryza wiejąca od morza. Kąpiele w strumieniu każdego wieczoru po powrocie z Seforis były wielką frajdą i chłopcy urządzali sobie zapasy w wodzie, a w pewnym oddaleniu, tam gdzie strumień skręcał, spotykały się dziewczynki i słyszeliśmy, jak się śmieją i rozmawiają. W górze strumienia, gdzie w skale wykuto cysterne i kobiety chodziły napełniać dzbany, także było dużo śmiechu i cały czas toczyły się rozmowy. Matka też zachodziła tam czasami wieczorem, tylko po to, by spotkać się z innymi kobietami i razem z nimi wracać do miasteczka.

Kiedy lato dobiegło końca, nadeszła pora wesel. Każde trwało całą noc i wydawało się, że wszyscy w Nazarecie piją i tańczą. Mężczyźni tańczyli jak szaleni w kręgu z mężczyznami, a kobiety z kobietami, i dołączały do nich nawet niezamężne dziewczęta, chociaż zwykle były przelęknięte i stały razem zbite w gromadkę blisko baldachimu, pod którym siedziała panna młoda, z twarzą zakrytą welonem i ze złotymi bransoletami na rękach.

Wielu mężczyzn w wiosce grało na flecie, a kilku na lirze. Kobiety uderzały w tamburyny trzymane nad głowami, a starsi mężczyźni grali na cymbałach, wybijając rytm do tańca. Wynoszono nawet Starego Justusa, sadzano pod ścianą, oparłszy o poduszki, a on kiwał głową i uśmiechał się, chociaż po podbródku ściekała mu strużka śliny, którą co chwilę wycierała Stara Sara.

Czasami ojciec panny młodej wykonywał najbardziej szalony taniec radości, wyrzucając w górę ramiona i wirując dokoła, aż furkotały wykończone barwną lamówką szaty. A niektórzy mężczyźni upijali się do nieprzytomności i wówczas bracia lub synowie zabierali ich do domu bez słowa, jak należało.

Było mnóstwo dobrego jedzenia, pieczone jagnię i gęsta polewka z mięsem i soczewicą, i wylewano mnóstwo łez, a my, dzieci, biegaliśmy po polach i bawiliśmy się do upadłego, skacząc, krzycząc, pohukując w ciemnościach, bo nikt nas nie pilnował. Ja pobiegłem wysoko, w głąb zagajnika, na ile starczyło mi odwagi, a potem na szczyt wzgórza. Tam patrzyłem na gwiazdy i tańczyłem, jak mężczyźni, których widziałem na weselu.

Tego roku zdarzyło się tyle rzeczy, że nie jestem w stanie o wszystkich opowiedzieć.

Odbyło się na przykład wesele córki bogatego rolnika. Miała na imię Aleksandra, „skończona piękność”, mówili o niej wszyscy, i wyglądała prześlicznie w przetykanym złotem welonie. Kiedy zjawili się pod jej drzwiami ludzie z baldachimem i pochodniami, wszyscy zaśpiewali na jej widok.

Na wesele przyszli mieszkańcy z innych wiosek, a także faryzeusze, by życzyć każdemu wszystkiego najlepszego. Nie chcieli jednak niczego jeść, a wówczas matka Aleksandry, skończonej piękności, pokłoniła się aż do ziemi rabbiemu Szerebiaszowi i powiedziała, że zwierzęta zostały zabite i oporządzone zgodnie z Prawem, mięso jest czyste i jeśli on nie skosztuje przygotowanego jedzenia, to i ona nie weźmie niczego do ust, chociaż to wesele jej jedynej córki.

A wtedy rabbi Szerebiasz wezwał swego sługę, by ten przyniósł mu wodę do obmycia rąk, jak to czynią zawsze faryzeusze, którzy obmywają palce przed każdym posiłkiem, nawet jeśli mają czyste ręce, a następnie skosztował jedzenia i podniósł wysoko kawałek, nim włożył go do ust, tak by wszyscy widzieli. Goście przyjęli to okrzykami radości, a wówczas faryzeusze uczynili to samo, nawet rabbi Alkimos, chociaż faryzeusze nigdy nie spożywają posiłków z innymi, tylko we własnym gronie.

A potem rabbi Szerebiasz tańczył mimo swej drewnianej nogi, podobnie jak wszyscy mężczyźni.

Na środek wyszedł też nasz ukochany rabbi Berechiasz i zatańczył bardzo wolny i piękny taniec, który zachwycił wszystkich chłopców, jego uczniów. Potem jego teść także musiał zatańczyć, żeby nie być gorszym, i nie tylko on, ale także wszyscy starsi mężczyźni z miasteczka.

A matka panny młodej usiadła obok niej i pozostałych kobiet i piły razem, szczęśliwe, że faryzeusze przyszli na wesele.

Poza tym nadal pracowaliśmy w Seforis.

Domy w mieście rosły szybko niczym rośliny na bagnie. Pogorzelniska zostały przywrócone do poprzedniego stanu, niczym gojące się rany na ludzkim ciele. Targ rozrastał się z każdym dniem i co ranka handlowało na nim więcej kupców sprzedających sprzęty tym, którzy na nowo wyposażali swoje domy. Można też było wybierać spośród wielu robotników stojących tam i gotowych nająć się do pracy. My zaś byliśmy dla wszystkich „cieślami z Egiptu”.

Nikt nie narzekał na nasze stawki, a praca szła sprawnie, bo Alfeusz i Szymon kierowali budową fundamentów, podłóg i murów, a Kleofas i Józef robili stoły, przy których spożywano posiłek, i stojaki na zwoje, i rzymskie krzesła, takie same, jakie robiliśmy w Aleksandrii.

Nauczyłem się malować pasy jeszcze lepiej niż przedtem. A nawet kwiaty i liście, chociaż najczęściej wypełniałem farbą wzór przygotowany dla nas przez wprawionych w tym malarzy.

Kiedy robiliśmy coś w kamieniu, zawsze były to prace wymagające dużego kunsztu, takie, przy których potrzeba było dużo cierpliwości, by dopasować marmurowe bloki, i należało

wszystko starannie zaplanować. Raz poszliśmy do Kany i robiliśmy tam posadzkę dla pewnego człowieka, który wrócił z greckich wysp i umyślił sobie piękną bibliotekę.

Przychodzili najmować nas do pracy także ludzie z innych miejscowości. Przyszedł pewien kupiec z Kafarnaum, chcąc, byśmy pracowali u niego. Bardzo chciałem pójść, bo wtedy zobaczyłbym Jezioro Galilejskie, ale Józef powiedział, że te prace mogą poczekać do chwili, kiedy skończy się odbudowa domów w Seforis.

Braliśmy także dużo zleceń do Nazaretu, żeby je dokończyć, na przykład łoża czy intarsjowane stoły. Odszukaliśmy najlepszych złotników i emalierów w Seforis i zanosiliśmy im niektóre rzeczy do wykończenia.

Jedynie, co mi się nie podobało, jeśli nie liczyć wysłuchiwania ciągłych rozmów dorosłych o żołnierzach ścigających buntowników, było to, że prawie wcale nie widywałem się z Małą Salome.

Była teraz cały czas zajęta, pomagała mamie i ciotkom, i to o wiele bardziej niż w Aleksandrii. Wydawało mi się także, że chociaż jako mężczyźni mieliśmy dużo pracy i nie narzekaliśmy na małe zarobki, to kobiety musiały się trudzić bardziej niż my.

W Aleksandrii mogły kupić na targu tyle jedzenia, ile chciały, tutaj musiały same uprawiać warzywa, zbierać je i przynosić z ogrodu; w Aleksandrii można było kupić ciepły chleb o każdej porze na ulicy piekarzy, tu musiały piec go same, a wczesnym rankiem zemleć na żarnach pszenicę.

Ilekróć próbowałem porozmawiać z Małą Salome, zbywała mnie i coraz częściej, rozmawiając ze mną, zwracała się do mnie w taki sposób, w jaki kobiety przemawiają do dzieci. Bardzo wydorosła i cały czas opiekowała się którymś niemowlęciem. Albo małą Esterką, która teraz już tyle nie płakała, albo dzieckiem którejs z kobiet przychodzących do Starej Sary. Już nie była dzieckiem, które w Aleksandrii szeptało mi do ucha tajemnice i śmiało się ze mną radośnie, ani nawet małą dziewczynką, płaczącą, gdyśmy szli z Jerozolimy do Nazaretu. Od czasu do czasu chodziła z nami do szkoły — uczęszczało do niej kilka dziewczynek, które siadały daleko od chłopców — jednak bardzo ją nudziło siedzenie z rabbim i wołała wracać do domu, do pracy, jak sama mówiła. Kleofas powtarzał jej, że musi nauczyć się czytać i pisać po hebrajsku, ale niewiele ją to obchodziło.

Tęskniłem za nią.

Kobiety najbardziej lubiły tkać i kiedy w ciepłe miesiące wystawiały na dziedzińcach krosna, w całym Nazarecie, od krańca do krańca, cały czas słyhać było gwar wesołych rozmów.



Tutejsze kobiety używały krosien, przy których trzeba było stać. My natomiast przywieźliśmy z Aleksandrii warsztat tkacki, przy którym można było siedzieć, i wszystkie kobiety z Nazaretu przychodziły do nas go obejrzeć.

Przy naszym warsztacie kobieta mogła pracować szybciej i utkać tkaninę, którą sprzedawano na targu, tak właśnie często robiła moja matka, kiedy miała czas, to znaczy kiedy Mała Salome opiekowała się Małym Symeonem i Małym Judaszem.

Matka bardzo lubiła tkać. Kiedy razem z osiemdziesięcioma czterema innymi wybranymi dziewczętami tkala w Jerozolimie zasłony do Świątyni, nabrała w tym wielkiej wprawy i dlatego jej płótno zawsze było najlepsze na targu w Nazarecie. Poza tym umiała także je farbować, i to nawet purpurą.

Wyjaśniono nam, że właśnie ją i pozostałe dziewczęta wybrano do tkania zasłon, ponieważ wszystkie rzeczy dla Świątyni mogły wykonywać tylko osoby będące w stanie czystości. A jedynie dziewczęta poniżej dwunastego roku życia były na pewno czyste, te zaś, które wybierano, pochodziły z rodzin, w których od pokoleń tkano zasłony dla Świątyni, i rodzina mojej matki była jedną z nich. Jednak matka nie opowiadała mi zbyt wiele o dniach, kiedy mieszkała w Jerozolimie. Mówiła tylko, że zasłona była bardzo duża i bogato zdobiona i że trzeba było utkać w ciągu roku dwie takie zasłony.

Zasłaniała ona wejście do Świętego Świętych, czyli do miejsca, gdzie był obecny sam Pan.

Żadna kobieta nigdy nie weszła do Świętego Świętych, wchodził tam tylko arcykapłan. Dlatego matka bardzo lubiła pracę nad zasłoną i to, że owoc trudu jej rąk wędrował właśnie tam.

Wiele kobiet z miasteczka przychodziło porozmawiać z moją matką i przyjrzeć się, jak pracuje przy warsztacie. Kiedy wyszła z nim na dziedziniec, wszystko się zmieniło. Od razu miała więcej przyjaciółek, a nasi dalsi krewni, którzy dawniej wcale nie przychodzili w odwiedziny, teraz zjawiali się bardzo często.

Co więcej, nie zaprzestali odwiedzin także później, kiedy lato się skończyło, a dziewczęta, które nie miały młodszego rodzeństwa, przychodziły potrzymać na kolanach nasze maluchy. Wszystko to było dla niej wielką pociechą, bo cały czas żyła w ogromnym lęku.

W małych miasteczkach, takich jak Nazaret, kobiety wiedzą o sobie wszystko. W jaki sposób, tego nikt nie wie, ale tak jest i zawsze tak było. Matka prawie na pewno wiedziała więc o bolesnych pytaniach, jakie zadawał Józefowi rabin, gdy ten przyprowadził mnie pierwszy raz do szkoły. Musiało ją to bardzo boleć.

Wiedziałem to, ponieważ dostrzegałem każde najdrobniejsze drgnienie jej twarzy, każdy ruch oczu i warg. Widziałem to wyraźnie. Widziałem jej strach przed innymi kobietami.

Przed mężczyznami nie odczuwała lęku, ponieważ żaden porządny mężczyzna nigdy nie spoglądał w jej stronę ani z nią nie rozmawiał czy też nie niepokoił w żaden inny sposób. Takie panowały zwyczaje w miasteczku. Mężczyzna nigdy nie rozmawiał z zamężną kobietą, chyba że była jego bardzo bliską krewną, a nawet wtedy, jeśli nie był jej bratem, unikał sytuacji, w których mieliby pozostawać sam na sam. Dlatego matka nie bała się mężczyzn. A kobiet? Tak, obawiała się ich aż do dnia, w którym zobaczyły ją przy warsztacie tkackim i zaczęły do niej przychodzić, by je uczyła.

Strach mojej matki i wszystko, co z nim związane, ułożyły mi się w jedną całość dopiero wówczas, kiedy nastąpiła ta zmiana. Zachowaniu mojej matki zawsze towarzyszyły lękliwość i nieśmiałość. Teraz jednak, gdy to się zmieniło, byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

I przyszła mi do głowy jeszcze jedna sekretna myśl, jedna z wielu, którymi nie mogłem podzielić się z innymi. Moja matka była niewinna. Z całą pewnością. Gdyby nie była niewinna, wówczas na pewno bałaby się mężczyzn, prawda? A wcale się ich nie obawiała. Wcale nie bała się chodzić do strumienia po wodę ani od czasu do czasu do Seforis, by sprzedać płótno, które utkała. Jej oczy miały bardziej niewinny wyraz niż oczy Małej Salome. Tak, to była sekretna myśl.

Stara Sara miała już zbyt słaby wzrok i dłonie, by móc wziąć do ręki igłę lub zasiąść przy krosnach, uczyła jednak młode dziewczęta wyszywać. Zawsze gromadziły się wianuszkami wokół niej i było wtedy dużo rozmów i śmiechu, i opowiadania sobie różnych historii, a matka często siadała lub krzątała się w pobliżu.

Mężczyźni i chłopcy polerowali drewno i stukali młotkami, kobiety i dziewczęta szyły i tkwały, a wszystko to sprawiało, że na dziedzińcu przed domem cały czas coś się działo. Jeśli dodać do tego krzyczące, płaczące lub śmiejące się dzieci, niemowlęta raczkujące na kamieniach, otwartą stajnię, gdzie mężczyźni doglądali osłów, które nosiły dla nas wszystko do Seforis i z powrotem, starszych chłopców z porcjami siana, nas wcierających złoto w zdobne łoże do sali, gdzie miały odbywać się uczty, jedno z ośmiu, dla tego samego bogatego człowieka, a do tego gotujący się nad ogniem posiłek, maty rozłożone wokół, na których siadaliśmy i jadali, dziękując Bogu w modlitwie za wszystkie błogosławieństwa i próbując chociaż na chwilę uciszyć najmłodszych, otrzymamy wówczas obraz tego, jak wyglądały nasze dni w pierwszym roku naszego życia w Nazarecie po powrocie z Egiptu, roku, który najmocniej odcisnął się w mojej pamięci i pozostał w niej przez wszystkie lata, które spędziłem w tym miejscu.

„Będziesz żył w ukryciu” — powiedział kiedyś Józef. Żyłem zatem „w ukryciu”. Przed czym, tego nie chciał mi powiedzieć. A ja nie mogłem zapytać. Było to jednak szczęśliwe życie

w ukryciu. A kiedy o tym myślałem i przypominały mi się dziwne słowa Kleofasa, że pewnego dnia to ja będę musiał odpowiadać na pytania, miałem wrażenie, jakbym był kimś innym. Wówczas czułem gęsią skórę i uciekałem od tych myśli.

Nauka w szkole szła mi bardzo dobrze.

Nauczyłem się nowych słów, które zawsze słyszałem i powtarzałem, ale nie znałem ich znaczenia. Były to najczęściej słowa z Psalmów: „Niech się weselą pola i wszystko, co jest na nich, niech się także radują wszystkie drzewa leśne przed obliczem Pana, bo nadchodzi”.

Były już za nami ciemność i śmierć, skończyły się pożary. I chociaż ludzie mówili jeszcze o młodych mężczyznach, którzy uciekli, by dołączyć do buntowników, i czasami widywaliśmy płaczące kobiety, które dowiedziały się o śmierci synów, nasze życie było pełne pięknych rzeczy.

W długie, jasne noce biegłem przez gaje oliwne w górę wzgórza, a potem w dół, daleko, daleko, aż zupełnie nie było widać Nazaretu. Znajdowałem kwiaty tak pięknie pachnące, że chciałem je zabrać ze sobą, by rosły w domu. A w samym domu unosił się przyjemny zapach wiórów i wcieranego w drewno pokostu. Zawsze też pachniało świeżo upieczonym chlebem i kiedy tylko wracaliśmy, wiedzieliśmy od razu, czy tego dnia będzie znowu najsmakowitsza polewka.

Piliśmy dobre wino, które kupowaliśmy na rynku w Seforis. Jedliśmy najsmaczniejsze pod słońcem melony i ogórki z naszego ogrodu.

W synagodze, ucząc się Pisma, klaskaliśmy, tańczyliśmy i śpiewaliśmy. W szkole było trudniej, bo nauczyciele kazali nam pisać na woskowanych tabliczkach i powtarzać to, czego nie wykonaliśmy, jak należało. Ale nawet to nie było złe i czas szybko mijał.

Wkrótce zaczął się zbiór oliwek i mężczyźni otrząsali gałęzie, posługując się długimi tyczkami, i zbierali z ziemi oliwki. Prasa do tłoczenia oliwy pracowała bezustannie. Lubiłem przechodzić obok niej, przyglądać się obsługującym ją mężczyznom i wciągać w nozdrza unoszący się wokół słodki zapach.

Kobiety w naszym domu tłoczyły oliwki w mniejszych prasach, by w ten sposób uzyskać najczystsą oliwę.

Winogrona w naszym ogrodzie też były już gotowe do zbioru, tak samo jak figi, których było mnóstwo i mogliśmy ususzyć tyle, ile chcieliśmy, dodawać je do ciastek albo jeść zerwane z drzewa. Fig było tyle, że część zabraliśmy na sprzedaż na targ w Nazarecie, u stóp wzgórza.

Winogrona, których nie zjedliśmy, suszyliśmy na rodzynki; nie robiliśmy wina, bo w okolicach Nazaretu nie ma winnic. Na polach sieje się pszenicę i jęczmień i wypasa się owce. Są tam też zagajniki, które tak kochałem.

Kiedy dni stały się chłodniejsze, razem z nimi przyszedł pierwszy deszcz, który uderzył z wielką siłą. Nad wzgórzami przetaczały się grzmoty i wszyscy składali dziękczynienie Bogu. Cysterny przy domach napełniły się i mieliśmy dzięki temu świeżą wodę w mykwie.

W synagodze rabbi Alkimos, który najbardziej skrupulatnie ze wszystkich naszych faryzeuszy przestrzegał Prawa, powiedział nam, że woda spływająca z rynien do mykwy jest teraz „żywą wodą” i dokonując w niej oczyszczenia, spełniamy nakaz Pana. Musimy się modlić o to, by było dość deszczu, nie tylko dla pól i strumieni, ale także po to, by nasze cysterny były pełne, a woda w naszych mykwach żywa.

Rabbi Szerebiasz nie zgadzał się do końca w tej sprawie z rabbin Alkimosem i zaczęli sobie cytować nawzajem, co na ten temat mówili mędrcy, i zaczęli dysputę, aż wreszcie rabbi Berechiasz wezwał nas, byśmy zanieśli modły i dziękczynienia za to, że otworzyły się wrota niebios, a pola będą wkrótce gotowe do siewu.

Wieczorem, przy posiłku, gdy deszcz bębnił o dach, wysoko nad naszymi głowami, rozmawialiśmy o rabbin Alkimosie i o tym, co mówił na temat „żywej wody”. Jakub i ja nie bardzo rozumieliśmy, o co mu chodziło.

Przybyliśmy do Nazaretu po deszczach. Kiedy się zjawiliśmy, mykwa była pusta. Odnowiliśmy ją i napełniliśmy wodą z cysterny, stojącą w niej przez długi czas, nie była to więc świeża deszczówka. Czy w takim razie, kiedy napełnialiśmy mykwę, była to „żywa woda”?

— Czy to była żywa woda? — spytałem.

— Bo jeśli nie, to nie zostaliśmy oczyszczeni po kąpieli w mykwie — dodał Jakub.

— Przecież kąpiemy się w strumieniu — odparł Kleofas, a potem dodał. — A jeśli chodzi o mykwę, ma małą dziurkę w dnie, więc woda wypływa z niej cały czas. W takim razie to żywa woda, i tyle.

— Ale rabbi Alkimos powiedział, że to nie wystarczy — rzekł Jakub. — Dlaczego tak mówi?

— Wystarczy — rzucił Józef. — Alkimos jest faryzeuszem, a oni są bardzo ostrożni. Musisz zrozumieć jedno: faryzeusze uważają, że jeśli starannie podchodzą do wszystkich codziennych spraw i czynności, wówczas zmniejsza się niebezpieczeństwo, że przekroczą Prawo.

— Ale nie mogą powiedzieć, że nasza mykwa nie jest czysta — wtrącił się wuj Alfeusz. — Nasze kobiety też jej używają i...

— Posłuchajcie — ciągnął dalej Józef. — Wyobraźcie sobie dwie ścieżki biegnące górską granią. Jedna znajduje się tuż przy krawędzi, druga dalej od niej. Ta druga jest ścieżką

faryzeuszy — lepiej iść dalej od grani i od niebezpieczeństwa upadku w grzech. Dlatego rabbi Alkimos wierzy w swoje zasady i sposób postępowania.

— Ale to nie Prawo — wtrącił znowu wuj Alfeusz. — Faryzeusze mówią, że wszystkie ich przepisy to Prawo.

— Rabbi Szerebiasz powiedział, że to Prawo — zauważył nieśmiało Jakub. — Ze Mojżesz otrzymał także Prawa, które nie zostały spisane, lecz były przekazywane z pokolenia na pokolenie przez mędrców.

Józef wzruszył ramionami.

— Robimy, co w naszej mocy. Spadły deszcze, i dobrze. A mykwa? Pełna po brzegi świeżej wody.

Powiedziawszy to, wyrzucił w górę ramiona, uśmiechając się, a my roześmialiśmy się, lecz wcale nie z powodu rabiego. Śmialiśmy się, tak jak zdarzało nam się to zawsze, ilekroć w naszych rozmowach pojawiały się pytania, na które nie było jednej odpowiedzi.

Ja tymczasem zaczynałem stopniowo pojmować rzecz największej wagi: że wszystkie historie i opowiadania są częścią jednej wielkiej historii, historii tego, kim jesteśmy. Nie rozumiałem tego dobrze wcześniej, teraz jednak stanęło mi to przed oczyma z taką oczywistością, że przeszedł mnie dreszcz.

Często w szkole, a czasami w synagodze, rabbi Berechiasz podnosił się z ławy na drżących nogach, wznosił ramiona i z głową pochyloną w naszą stronę i uniesionym wzrokiem, mówił donośnym głosem:

— Powiedzcie mi, dzieci, kim jesteście? A my śpiewaliśmy, powtarzając za nim:

— Jesteśmy ludem Abrahama i Izaaka. Zeszliśmy do Egiptu w czasach Józefa. Tam zostaliśmy niewolnikami. Egipt był dla nas niczym tygiel złotnika i cierpielśmy. Lecz Pan nas odkupił, Pan wzbudził Mojżesza, by nas poprowadził, i Pan przeprowadził nas przez wody Morza Sitowia, które rozstało się przed nami, i weszliśmy do Ziemi Obiecanej.

Na Synaju Pan dał Mojżeszowi Prawo. Jesteśmy ludem świętym, ludem kapłańskim, ludem Prawa. Jesteśmy ludem wielkich królów: Saula, Dawida, Salomona i Jozjasza.

Lecz Izrael zgrzeszył w oczach Pana. I Pan posłał Nabuchodonozora z Babilonu, by zburzył Jerozolimę, nie wyłączając Domu Pana.

Jednak nasz Pan jest nieskory do gniewu, niezachwiany w swej miłości i pełen miłosierdzia, posłał wybawcę, by położyć kres naszej niewoli w Babilonie, a był nim Cyrus, król Persów. Wówczas wróciliśmy do Ziemi Obiecanej i odbudowaliśmy Świątynię. Obróćcie się i spójrzcie ku Świątyni, bo tam każdego dnia arcykapłan składa ofiarę za lud Izraela Panu na

Wysokościach. I na całej ziemi są Żydzi, którzy spoglądają ku Świątyni i nie znają żadnego innego Boga poza Panem.

„Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem — Panem jedynym.

Będziesz miłował Pana, Boga twojego, z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił. Niech pozostaną w twym sercu te słowa, które ja ci dziś nakazuję.

Wpóisz je twoim synom, będziesz o nich mówił, przebywając w domu, w czasie podróży, kładąc się spać i wstając ze snu”.

Nie musieliśmy przebywać w Świątyni, by przestrzegać nakazanych świąt. Żydzi na całej ziemi ich przestrzegali.

Podróż do Jerozolimy wciąż była niebezpieczna. Docierały jednak do nas wieści, że walki ustały i Świątynia została oczyszczona. Przesyłane ogniem sygnały z Jerozolimy także mówiły, że do miasta powrócił spokój.

W przeddzień Dnia Przebłagania wyszliśmy z domu nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, by czekać świtu, ponieważ wiedzieliśmy, że z pierwszym brzaskiem wstaje arcykapłan i zaczyna odprawiać obrzędy w Świątyni, dokonując w ciągu dnia pięciu rytualnych obmyć.

Mieliśmy nadzieję i modliliśmy się gorąco o to, by nie doszło do żadnych zamieszek, a w mieście panował spokój.

A to dlatego, że arcykapłan dokonywał w tym dniu przebłagania za wszystkie grzechy Izraela. Wkładał najwspanialsze święte szaty. Rabbi Alkimos, który sam został namaszczonej na kapłana, opisywał nam je wcześniej i czytaliśmy w Piśmie, jak powinny one wyglądać.

Długa tunika arcykapłana była niebieska, przewiązana pasem, a jej skraj był ozdobiony frędzlami i małymi złotymi dzwoneczkami. Kiedy arcykapłan szedł, słyhać było ich dzwonenie. Na tunikę wkładał drugą część uroczystego stroju, czyli efod, wyszywany złotem i pięknie zdobiony, a na piersi miał pektorał wysadzany dwunastoma szlachetnymi kamieniami, z których każdy symbolizował jedno pokolenie Izraela, tak że kiedy udawał się przed oblicze Pana, było z nim owych Dwanaście Pokoleń. Na głowie zaś miał zawój, a na nim złoty diadem, i wszystko to razem stanowiło „cudowny widok”.

Nim jednak włożył piękne szaty, dorównujące wspaniałością szatom kapłanów pogańskich w każdej świątyni na ziemi, wkładał prostą lnianą tunikę, lniane spodnie i pas, białe i czyste, by złożyć ofiarę.

W tym dniu arcykapłan kładł ręce na cielcu, który miał zostać poświęcony za niego i jego dom. A potem na dwóch kozłach.

Jeden z kozłów zostanie złożony w ofierze, drugi natomiast poniesie wszystkie grzechy Izraela na pustynię. To kozioł dla Azazela.

A kim jest Azazel? Wszyscy mali chłopcy bardzo chcieli to wiedzieć, ale my, trochę starsi, już wiedzieliśmy. Azazel to było zło, demony, to był świat na zewnątrz, bez Prawa, na pustyni. I wszyscy dobrze wiedzieli, co znaczy słowo „pustynia”, ponieważ cały lud Izraela wędrował kiedyś przez pustynię, nim wszedł do Ziemi Obiecanej. Dlatego kozioł poniesie grzechy z powrotem do Azazela, by pokazać, że Pan przebaczył grzechy Izraelowi, i zło może wziąć z powrotem to, co jest złem i czego my więcej nie chcemy.

Jednak najważniejszą rzeczą, jaką czynił w tym dniu arcykapłan, było wejście do Świętego Świętych, gdzie obecny był sam Pan; do tego miejsca mógł wejść tylko arcykapłan.

Cały Izrael modlił się wówczas, by moc Pana nie zabiła arcykapłana, by jego modlitwy prześlania, które składał w swoim imieniu i imieniu nas wszystkich, zostały wysłuchane i aby wyszedł bezpiecznie do ludzi po przebywaniu w obecności Pana.

Późnym popołudniem zgromadziliśmy się w synagodze, gdzie rabbi odczytał ze zwoju słowa, które arcykapłan czytał tego dnia na dziedzińcu kobiet: „Dziesiątego dnia siódmego miesiąca jest Dzień Prześlania i(...) będziecie pości ć”.

Rabbi powiedział nam, co arcykapłan mówił tego dnia tłumom zebranych na dziedzińcu Izraelitów: „Napisane tu jest jeszcze więcej, niż wam przeczytałem”.

Wreszcie zaczął zapadać zmrok. Staliśmy boso na dachu i czekaliśmy. Stojący najwyżej wołali do pozostałych, kiedy dostrzegali ogień z najbliższych wiosek na południu, a wtedy także rozniecali płomień, by wiadomość niosła się na północ, wschód i zachód.

Wszyscy krzyczeli z radości. Tańczyliśmy, szczęśliwi. Post dobiegł końca. Nalewano do kubków wino, kładziono jedzenie na rozżarzone węgle.

W oczyszczonej i odnowionej Świątyni arcykapłan spełnił swój obowiązek. Wszedł bezpiecznie ze Świętego Świętych. Dopełnił modłów za Izrael. Złożył wszystkie ofiary prześlalne. Zakończył wszystkie czytania. I tak samo jak my, udawał się teraz na ucztę do swojej rodziny w swym domu.

Wczesne deszcze nawodniły obficie ziemię. Można było siać i sadzić.

Pięć dni po Dniu Prześlania przypadało Święto Namiotów, w czasie którego wszyscy Izraelici musieli przez siedem dni mieszkać w szałasach zbudowanych z gałęzi, aby nie zapomnieli o swej wędrówce z Egiptu do ziemi Kanaan, dla dzieci była to zawsze frajda.

Zbieraliśmy najlepsze gałęzie, jakie mogliśmy znaleźć w zagajnikach, zwłaszcza gałęzie wierzby rosnących nad strumieniem, i mieszkaliśmy wszyscy w zbudowanych szałasach: mężczyźni, kobiety i dzieci, tak jakby były to nasze domy, i śpiewaliśmy Psalmi, które mówią o radości i weselu.

Wreszcie dotarli do nas wieści, że królowie Herod Archelaos i Herod Antypas wrócili do domu razem z tymi, którzy odbyli z nimi podróż do Cezara Augusta. Zgromadziliśmy się w synagodze, żeby wysłuchać, jak opowiada o tym młody kapłan, który właśnie przybył z Jerozolimy i którego zadaniem było poinformowanie nas o tym wydarzeniu. Bardzo dobrze mówił po grecku.

Herod Antypas, syn Heroda Wielkiego, przed którym wszyscy drżeli ze strachu, miał odtąd rządzić Galileą i Pereą. Herod Archelaos zaś, którego wszyscy wciąż nienawidzili, miał być etnarchą Judei, inne dzieci Heroda miały rządzić innymi regionami. Jedna z księżniczek z rodziny Heroda otrzymała pałac w greckim mieście Aszkelonie. Bardzo mi się podobała ta nazwa.

Kiedy poprosiłem Józefa, żeby opowiedział mi o nim coś więcej, ten odparł, że w Izraelu, w Perei, a nawet w Galilei znajdują się greckie miasta ze świątyniami poświęconymi bożkom wyrzeźbionym z marmuru i złota. Wokół Jeziora Galilejskiego leżało dziesięć greckich miast, które łącznie zwano Dekapolis.

Byłem tym zaskoczony. Myślałem, że w Ziemi Świętej są tylko miasta żydowskie, takie jak Seforis. Oczywiście wiedziałem, że istnieje Samaria, ale nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów z Samarytanami, chociaż ich ziemie graniczyły z Galileą. Ale pogańskie miasta... Aszkelon. Uznałem, że musi być bardzo piękny. Wyobraziłem sobie księżniczkę Salome, córkę Heroda, spacerującą po swoim pałacu w Aszkelonie. Co dla mnie znaczyło słowo „pałac”? Wiedziałem, czym jest pałac, podobnie jak wiedziałem, czym jest pogańska świątynia.

— Tak właśnie jest w imperium — powiedział wuj Kleofas. — Niech cię nie dziwi, że mamy tutaj, pośród nas, pogan. Herod, król Żydów — dodał zgryźliwym tonem — zbudował mnóstwo świątyń cesarzowi i pogańskim bogom. Taki jest ten nasz król żydowski.

Józef podniósł dłoń, dając Kleofasowi znak, żeby zamilkł.

— W tym domu jesteśmy na ziemi Izraela — powiedział.

Wszyscy się roześmialiśmy.

— Tak — dodał Alfeusz. — A za drzwiami jest już imperium.

Nie wiedzieliśmy, czy mamy się z tego śmiać, ale ujrzeliśmy, jak Kleofas skinął potakująco głową.

— W takim razie gdzie zaczyna się i kończy ziemia Izraela? — spytał siedzący z nami Jakub.

— Tu! — powiedział Józef. — I tam! — Zatoczył ręką krąg. — Wszędzie tam, gdzie Żydzi gromadzą się, by przestrzegać Prawa.

— Odwiedzimy kiedyś te greckie miasta? — spytałem.



— Przecież widzieliście Aleksandrię, największe i najpiękniejsze z nich — powiedział Kleofas. — Widzieliście drugie po Rzymie miasto imperium.

Skinęliśmy głowami.

— Zapamiętajcie Aleksandrię i wszystko, co tam widzieliście — ciągnął dalej Kleofas — bo w dziejach naszej rodziny streszcza się cała historia Izraela. Żyliśmy w Egipcie, jak nasi przodkowie, dawno, dawno temu, i tak samo jak oni wróciliśmy do domu. Ujrzelśmy bitwę w Świątyni, podobnie jak nasi przodkowie w niewoli babilońskiej, chociaż teraz to odnowiona Świątynia. Znosiliśmy trudy i cierpienia podróży do tego miejsca, podobnie jak nasi przodkowie cierpieli na pustyni, nękani przez wrogów, ale dotarliśmy szczęśliwie do domu.

Matka podniosła głowę znad szycia.

— Ach więc to dlatego odbyło się to w ten sposób — powiedziała zdziwionym głosem jak dziecko. Pokręciła z niedowierzaniem głową i wróciła do wyszywania. — Wcześniej tego nie rozumiałam.

— Czego? — spytał Kleofas.

— Właśnie tego, dlaczego anioł przyszedł do Józefa i kazał mu wracać do domu, kiedy trwały walki i bunt. Jednak teraz twoje słowa wszystko wyjaśniły.

Uśmiechnęła się do Józefa.

On także się uśmiechał, ale wydawało mi się, że przede wszystkim dlatego, iż wcześniej sobie tego nie uświadamiał. Matka zaś, kiedy to mówiła, miała oczy dziecka, pełne dziecięcej ufności.

— Właśnie — potwierdził Józef. — Teraz wydaje się, że tak to właśnie było. To była nasza wędrówka przez pustynię.

Wuj Szymon, który drzemał na macie, z głową opartą na łokciu, podniósł się z posłania i sennym głosem powiedział:

— A ja myślę, że Żydzi potrafią doszukać się sensu we wszystkim.

Sylas, usłyszawszy to, roześmiał się głośno.

— Nie — zaoponowała matka. — To wszystko prawda. Trzeba umieć to zobaczyć. Pamiętam w Betlejem, kiedy pytałam Pana: „Ale jak?”... i wtedy...

Spojrzała na mnie i pogładziła mnie po włosach, jak to często robiła. Zawsze bardzo to lubiłem, ale tym razem już nie przytuliłem się do jej dłoni. Byłem na to stanowczo za duży.

— Co się zdarzyło w Betlejem? — spytałem i natychmiast się zarumieniłem. Zapomniałem o nakazie Józefa, by nigdy o to nie pytać. Poczulem mocne ukłucie w sercu. — Przepraszam, że zapytałem — wyszeptałem.

Matka spojrzała na mnie, a z jej wzroku wyczytałem, iż wie, że bardzo żałowałem tych słów. Spojrzała na Józefa, a potem jeszcze raz na mnie.

Nikt nic nie powiedział. Mój brat Jakub wbił we mnie zacięty wzrok.

— Urodziłeś się w Betlejem, to przecież wiesz — powiedziała matka. — W miasteczku było strasznie dużo przybyszów. — Mówiła z wahaniem w głosie, co chwilę przerywając i popatrując to na mnie, to na Józefa. — Było tam pełno ludzi owej nocy i nie mogliśmy znaleźć miejsca na nocleg. Byli z nami Kleofas i Jakub i wtedy... wtedy gospodarz umieścił nas w stajni. Stajnia znajdowała się w grocie, niedaleko gospody. Było nam tam dobrze, ciepło, i Bóg zesłał śnieg.

— Śnieg! — zawołałem. — Chcę zobaczyć śnieg!

— Może któregoś dnia zobaczysz — powiedziała. Nikt się nie odzywał. Spojrzałem na matkę. Chciała mówić dalej. Widziałem to wyraźnie. I wiedziała też, jak bardzo chcę, by mówiła.

Po chwili podjęła swą opowieść.

— Urodziłeś się w stajni — powiedziała spokojnie. — A ja owinęłam cię w pieluszki i położyłam w żłobie.

Wszyscy się roześmiali ciepło i serdecznie.

— W żłobie? Tam gdzie kładzie się siano dla osłów? I to jest ta tajemnica Betlejem?

— Tak — odparła matka. — I tam sobie leżałeś i pewnie było ci bardziej miękko niż jakimukolwiek nowo narodzonemu dziecku w Betlejem. Zwierzęta zapewniały nam ciepło, a ci na górze, w gospodzie, pewnie strasznie marzli.

Znowu rozległ się śmiech.

Wszyscy uśmiechnęli się na te wspomnienia, z wyjątkiem Jakuba, który spoglądał przed siebie chmurnym wzrokiem. Myślam był gdzieś daleko. Kiedy się urodziłem, mógł mieć siedem lat, czyli tyle samo, co teraz ja. O czym teraz myślał?

Spojrzał na mnie i nasze oczy na chwilę się spotkały. Coś nieokreślonego przepłynęło między nami i Jakub natychmiast odwrócił wzrok.

Chciałem, żeby matka opowiedziała więcej o moich narodzinach.

Oni jednak zaczęli rozmawiać o innych rzeczach — o wczesnych deszczach, o tym, że z Judei dochodzą wieści, że zapanował już pokój, o tym, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to jest nadzieja, że wybierzemy się do Jerozolimy na następne Święto Paschy.

Podniosłem się z maty i wyszedłem.

Na zewnątrz było ciemno i chłodno, ale nocne powietrze działało orzeźwiająco, zwłaszcza gdy się przebywało przez dłuższy czas w dusznej izbie.

To pewnie nie koniec tej historii! Coś jeszcze musiało się wydarzyć w Betlejem! Mój umysł nie umiał poskładać w całość pytań, wątpliwości, zapamiętanych chwil i tego, co usłyszałem.

Przypomniałem sobie swój straszny sen. Mężczyznę ze skrzydłami i straszne rzeczy, które mi mówił. We śnie mnie nie raniły. Ale teraz odczuwałem ich bolesne ukłucia.

Och, gdybym tylko mógł z kimś porozmawiać! Nie było jednak nikogo, komu mógłbym się zwierzyć i opowiedzieć o wszystkim, co leżało mi na sercu. Nie było nikogo takiego i nie będzie!

Usłyszałem za sobą kroki. Ktoś stąpał powoli, powłócząc nogami. Wreszcie poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Usłyszałem oddech i wiedziałem, że to Stara Sara.

— Wejdz do środka, Jezusie synu Józefa — powiedziała. — Jest za zimno, żeby stać na dworze i patrzeć na gwiazdy.

Odwrociłem się i zrobiłem, co kazała, chociaż wcale nie chciałem wracać. Weszliśmy razem do ciepłej izby, gdzie zgromadziła się cała rodzina. Położyłem się, wsparłszy się na łokciu, jak wujowie, i wpatrywałem się w rozżarzone węgle.

Najmłodsze dzieci zaczynały już marudzić i matka wstała, żeby się nimi zająć, a potem poprosiła o pomoc Józefa.

Wujowie udali się do swoich izb. Ciotka Estera była w drugiej części domu z małą Esterką, która jak zwykle płakała.

Została tylko Sara, która siedziała na ławeczce, ponieważ była za stara, żeby siedzieć na klepisku. Został też Jakub, który teraz spoglądał na mnie, a w jego oczach odbijał się ogień paleniska.

— Powiedz wreszcie — zwróciłem się do niego cichym głosem. — Co chciałeś mi powiedzieć?

— Co to było? — odezwała się Stara Sara, podnosząc się z ławeczki. — Czy to aby nie Justus? — Poszła do drugiej izby, ale nie było powodu do niepokoju. Justus kasłał, ponieważ był tak osłabiony, że nawet przełykanie śliny sprawiało mu trudność. Jakub i ja zostaliśmy sami.

— Powiedz mi — nalegałem.

— Mężczyźni mówili, że widzieli dziwne rzeczy — powiedział wreszcie Jakub. — Wtedy, kiedy się urodziłeś.

— Jakie rzeczy?

Jakub odwrócił wzrok. Miał zawziętą minę. Kiedy chłopiec ma dwanaście lat, może wziąć na siebie brzemię Prawa. Jakub był już starszy.

— Mężczyźni mówili, że widzieli dziwne rzeczy — powtórzył. — Ale ja mogę ci powiedzieć tylko to, co sam widziałem.

Czekałem.

Spojrzał na mnie znowu zaciętym wzrokiem.

— Przyszli ci trzej. Do domu w Betlejem. Bo zostaliśmy tam jakiś czas. Znaleźliśmy dobre miejsce do mieszkania. Ojciec poszedł w swoich sprawach, szukać krewnych i takie rzeczy. A wtedy, w nocy, przyszli oni. To byli magowie ze Wschodu, może z Persji. Tacy, co czytają w gwiazdach, wierzą w magię i na podstawie znaków doradzają królom Persji, co powinni, a czego nie powinni czynić. I mieli ze sobą sługi. Byli bardzo bogaci i mieli piękne szaty. Przyszli zapytać o ciebie. Uklękli przed tobą. Przynieśli dary. Nazwali cię królem.

Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem wykrztusić ani słowa.

— Powiedzieli, że widzieli wielką gwiazdę na niebie — ciągnął dalej Jakub — i że szli za nią aż do tego domu, gdzie przebywaliśmy. Leżałeś w kołysce. A oni położyli przed tobą dary.

Nie miałem odwagi, aby mu przerywać i o cokolwiek pytać.

— Każdy w Betlejem widział magów i ich sługi. Przybyli z całym orszakiem, na wielbłądach. Mówili jak ci, którym należy się posłuch. A przed tobą się pokłonili. Potem ruszyli w powrotną drogę. Widać było, że dotarli do celu swej podróży i byli z tego radzi.

Wiedziałem, że Jakub mówi prawdę. Żadne kłamstwo nie wyszłoby z ust mego brata.

Wiedziałem też, że on wie, iż to ja sprawiłem, że umarł ten chłopiec w Egipcie. Widział także, jak ożywiłem wróble z gliny, chociaż ja sam pamiętałem to jak przez mgłę.

Król. *Syn Dawida, Syn Dawida, Syn Dawida.*

Kobiety wracały do izby. Zjawili się także, nie wiadomo skąd, moi starsi kuzyni.

Ciotka Salome wzięła ostatni kawałek chleba i wygarnęła nim resztki gęstej polewki.

Stara Sara zajęła swoje miejsce na ławeczce.

— Oby to dziecko przespało dzisiaj spokojnie noc — powiedziała.

— Nie martw się — odparła ciotka Salome. — Riba śpi czujnie i jak któreś się poruszy lub zapłacze, zaraz się budzi.

— Ta dziewczyna to prawdziwe błogosławieństwo — powiedziała matka.

— To prawda. Biedna Bruria dawno by umarła, gdyby nie ona. Opiekuje się nią, jakby była dzieckiem. Biedna Bruria.

I tak rozmawiały cicho jeszcze jakiś czas.

Wreszcie matka kazała mi iść spać.

Następnego ranka Jakub unikał mojego wzroku. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. Prawie ani razu nie spojrzał w moją stronę. Mijały kolejne dni i wciąż zachowywał się tak samo.

Zimowe miesiące stawały się coraz chłodniejsze.

Kiedy nadeszło święto Chanuka, w naszym domu paliło się wiele lamp, z dachów można było podziwiać ogromne ogniska płonące w okolicznych wioskach, a na uliczkach Nazaretu mężczyźni tańczyli z pochodniami, tak samo jak gdyby wybrali się do Jerozolimy.

Ósmego dnia rano, gdy święto dobiegało końca, usłyszałem przez sen dochodzące z zewnątrz krzyki.

Wszyscy w izbie zerwali się na równe nogi i wybiegli z domu.

Nie zdążyłem nawet zapytać, co się stało, i wybiegłem za nimi.

Światło poranka było szare. A Pan zesłał śnieg!

Cały Nazaret był pokryty śniegiem, który padał dużymi płatkami, a dzieci biegały i wyciągały dłonie, lecz spadające płatki natychmiast się topiły.

Józef spojrział na mnie z tajemniczym uśmiechem. Byliśmy tylko my dwaj, bo wszyscy inni pobiegli podziwiać, jak w ciszy pada z nieba biały puch.

— Modliłeś się o śnieg? — spytał mnie. — W takim razie masz śnieg.

— Nie! — zaprzeczyłem. — To nie ja to zrobiłem, prawda?

— Bądź ostrożny, gdy się o coś modlisz — powiedział do mnie szeptem. — Zapamiętasz? — Uśmiechnął się do mnie szeroko i wyprowadził na uliczkę, żebym sam dotknął śniegu i poczuł na twarzy i dłoniach padające płatki. Jego uśmiech i szczęście na twarzy sprawiły, że opuścił mnie niepokój.

Jakub, który stał samotnie pod niewielkim okapem, osłaniającym część dziedzińca, wpatrywał się we mnie badawczo, a kiedy Józef odszedł, zbliżył się do mnie i spytał:

— Dlaczego nie pomodlisz się o to, by z nieba zaczęło padać złoto?

Poczułem, że się rumienię.

Lecz Jakuba już nie było, pobiegł do innych. I nie było później chwili, w której dane by nam było przebywać ze sobą sam na sam.

Później tego samego dnia, ósmego dnia święta Chanuka — gdyż święto kończyło się dopiero o świcie — wybrałem się do zagajnika, jedyne miejsce, gdzie mogłem być zupełnie sam. Śnieg grubą warstwą pokrywał ziemię. Miałem stopy owinięte grubą wełną i sandały na solidnej podeszwie, ale nim dotarłem do zagajnika, wełna nasiąkła wilgocią i było mi zimno w nogi. I chociaż z tego powodu nie mogłem stać długo pod drzewami, zostałem tam przez jakiś czas, zajęty swoimi myślami, podziwiając cud śniegu pokrywającego pola i przemieniającego je tak, że wyglądały niczym kobieta ubrana w swe najpiękniejsze szaty.

Wszystko wyglądało tak świeżo i czysto.

Modliłem się: „Ojcze w Niebie, powiedz mi, czego chcesz ode mnie. Powiedz mi, co znaczą te wszystkie rzeczy. *Wszystko opowiada jakąś historię.* A co opowiadają mi moje doświadczenia?”

Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, ujrzałem, że z nieba pada jeszcze gęstszy śnieg, który białym welonem spowija Nazaret. Obserwowałem powoli, jak całe miasteczko znika za białą zasłoną. Ale wiedziałem, że tam jest.

„Ojcze w Niebie, nie będę się modlił o śnieg. Ojcze w Niebie, nie będę się modlił o to, co nie jest Twoją wolą. Ojcze w Niebie, nie będę się modlił o to, by żył ten lub umarł tamten, o nie, a już na pewno nie o to, by umarł ktokolwiek, i nigdy, przenigdy nie będę nawet próbował sprowadzać na ziemię deszczu lub go zatrzymać, ani śniegu, nigdy, dopóki nie zrozumie, co to wszystko znaczy...” I wówczas moja modlitwa zmieniła się w ciąg wspomnień, krótkie przebłyski pamięci, i poczułem płatki śniegu na powiekach. Spojrzałem w górę, ku drzewom, a śnieg padał na mnie delikatnie, jakby obsypywał mnie pocałunkami.

Byłem teraz ukryty pod śniegiem. Ukryty i bezpieczny, nawet przed samym sobą.

Ktoś z oddali mnie wołał.

Przebudziłem się z modlitewnego skupienia, przebudziłem się z ciszy i miękkości śniegu i pobiegłem w dół wzgórza, machając rękoma i odkrzykując wołającym mnie. Biegłem do ciepła ognia i do mojej rodziny zgromadzonej wokół jego blasku.

## XXII

Mój pierwszy rok w Ziemi Obiecanej zakończył się w taki sam sposób, w jaki się zaczął: początkiem Nowego Roku dla Izraela.

Herod Archelaos i rzymscy żołnierze z Syrii zaprowadzili częściowo pokój w Judei i zrobiło się na tyle bezpiecznie, że można było przejść przez ziemie Heroda Archelaosa, dolinę Jordanu i wzgórze Judei do Jerozolimy na Święto Paschy.

Czułem, że wydorostałem od czasu tej pierwszej przerażającej podróży, którą odbyliśmy tą samą drogą do Nazaretu. Poznałem wiele nowych słów, dzięki którym mogłem myśleć o tym, co widziałem. Najbardziej lubiłem przebywać wśród przyrody. Lubiłem się śmiać i na mojej twarzy często gościł uśmiech. No i cieszyłem się na myśl o ponownej kąpieli w Jordanie.

Dołączyło do nas wielu mężczyzn z naszej rodziny, szły z nimi także ich żony i dużo młodych dziewcząt, pod bacznym okiem ojca i matki, i wszyscy moi przyjaciele z miasteczka, niektórzy byli moimi krewnymi, a inni nie.

Wszyscy mówili, że nie nazbyt obfite deszcze w tym roku były bardzo dobre, i przez długi czas wszystko wokół bujnie się zieleniło.

W podróż do Jerozolimy wybrała się także Stara Sara, która jechała na ośle, a my cieszyliśmy się, że jest z nami. Wszyscy chcieliśmy iść obok niej. Matka także poszła z nami, lecz ciotki Estera i Salome zostały, żeby opiekować się najmłodszymi dziećmi, a Mała Salome została z nimi.

Szła z nami także Bruria, uciekinierka, która schroniła się pod opiekę naszej rodziny tamtej pamiętnej nocy, i jej służąca Riba, niosąca w zawiniątku niemowlę, gotowa służyć i pomagać każdemu.

Muszę powiedzieć, że Józef zabrał Brurię między innymi dlatego, że miał nadzieję, iż kiedy będziemy przechodzić obok jej gospodarstwa, ona zechce je odzyskać. Bruria posiadała wiele dokumentów ze spalonego domu i, jak twierdził Józef, bez wątpienia znajdowali się tam ludzie, którzy wiedzieli, że to gospodarstwo jest jej własnością.

Bruria jednak wcale nie chciała odzyskać gospodarstwa. Nie chciała niczego. Cały czas zachowywała się, jakby była pogrążona w letargu, pomagając innym, lecz nie pragnąc niczego dla siebie. A Józef, kiedy nie było jej w pobliżu, przypominał nam, że nie wolno nam ani jej osądzać, ani być dla niej niedobrymi. Jeśli będzie chciała z nami pozostać, może to zrobić. My wszyscy też byliśmy kiedyś obcy w ziemi egipskiej.

Matka powiedziała Józefowi, że nikt z nas nie ma nic przeciwko temu, by obie kobiety pozostały z nami. „Riba to prawdziwy skarb” — powtarzała ciotka Salome. Była skromna, tak jak kobiety żydowskie, a poza tym schludna i pomocna i robiła wszystko tak jak my.

Pokochaliśmy Brurię i Ribę całym sercem. I kiedy Bruria przeszła obojętnie obok swojego gospodarstwa, zrobiło nam się jej bardzo żal. To była jej ziemia i powinna postarać się o jej zwrot.

Szli z nami również w osobnej grupie faryzeusze z rodzinami, prowadząc osły, na których jechały ich kobiety i starsi mężczyźni. Wędrowały także inne rodziny z Nazaretu oraz z pobliskich wiosek i miasteczek i dołączały stopniowo do rzeszy ludzi zmierzających w stronę Jerozolimy.

Po jakimś czasie spotkaliśmy się z naszymi krewnymi z Kafarnaum, którzy byli rybakami, a także z ich żonami i synami. Byli to Zebedeusz, ukochany kuzyn mojej matki, i jego żona, Maria Aleksandra, która także była jego kuzynką, oboje zaś byli dalekimi kuzynami Józefa, i wiele, wiele innych osób, imiona niektórych pamiętałem, a innych nie.

Wkrótce strumień ludzi na drodze do Jerozolimy nie miał końca i szliśmy, śpiewając Psalmy, jak robiliśmy to pierwszego dnia w Jerozolimie, tak dawno temu. Śpiewaliśmy te najmilsze sercu, zwane Psalmami Chwały. Kiedy po opuszczeniu doliny Jordanu droga zaczęła prowadzić pod górę, ku Miastu Świętemu, zacząłem odczuwać dziwny lęk. Pragnąłem bliskości matki i nie chciałem, by ktokolwiek o tym wiedział. Minęło dużo czasu, odkąd miewałem złe sny, ale teraz powróciły. Kiedy tylko mogłem, spałem obok Starej Sary i kiedy budziłem się z krzykiem, jej głos sprawiał, że koszmar odchodził. Wiedziałem, że Jakub też się wtedy budził, a nie chciałem, żeby był tego świadkiem. Chciałem być silny i chciałem przebywać z mężczyznami.

Nasza wędrówka nie była trudna i przyjemnie było widzieć, jak we wszystkich wioskach, które ucierpiały wskutek pożarów, powstają nowe domy. Odbudowywano także Jerycho, a wojna oszczędziła rosnące wokół miasta palmy daktylowe i drzewa balsamowe. Rosły one tylko w okolicy Jerycha i w żadnym innym miejscu na ziemi. Balsam z nich był bardzo drogi, a najwięcej kupowali go Rzymianie.

Kiedy mijaliśmy Jerycho, nad miastem i okolicą świeciło jasne słońce. Gdyśmy byli tu rok wcześniej, panowała noc, miasto stało w płomieniach, a ja krzychałem ze strachu. Rzecz jasna, musieliśmy zobaczyć, jak kładą fundamenty pod nowy pałac i jak radzą sobie cieśle. Wujowie obejrzeliby wszystko dokładnie, poczawszy od stojących już kolumn, po wytyczoną pustą przestrzeń, gdzie miały znajdować się nowe komnaty dla Archelaosa.



Po wyjściu z Jerycha dotarliśmy do wioski, w której pozostawiliśmy naszą kuzynkę Elżbietę razem z Janem.

Gdy się tam zbliżaliśmy, rósł niepokój mojej matki, a także Zebedeusza i jego żony. Od ostatniego listu Elżbiety upłynęło bardzo dużo czasu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy, że mały domek, w którym zatrzymaliśmy się przed rokiem, stoi opuszczony. Podejrzewałem, że dla matki może to być straszny cios, i rzeczywiście bardzo to przeżyła, lecz nie aż tak, jak się obawiałem.

Zaraz zjawili się nasi dalecy krewni i powiedzieli, że Elżbieta, żona Zachariasza, kapłana, upadła nieszczęśliwie nie dalej jak przed miesiącem i zabrano ją do Betanii, w pobliżu Jerozolimy. Powiedzieli nam także, że po upadku nie mogła mówić ani się poruszać i że jej syn, Mały Jan, poszedł do esseńczyków i zamieszkał z nimi na pustyni. Kilku z nich przyszło po niego i zabrali go do swej siedziby u podnóża gór, nad Morzem Martwym.

Wreszcie długim, wijącym się wśród gór Judei traktem dotarliśmy na Górę Oliwną, skąd ujrzelśmy za doliną Cedronu rozciągające się przed nami Miasto Święte. Majestatycznie wznosiły się zdobione złotem białe mury Świątyni, wokół której usadowiły się tysiące małych domów rozsypanych po sąsiednich wzgórzach.

Wszyscy krzyčili z radości i dziękowali Bogu, ujrawszy ten widok. Mnie jednak zaczął dławić lęk, chociaż nikomu o tym nie mówiłem. Józef podniósł mnie na chwilę, ale byłem za duży, by mógł posadzić mnie sobie na ramionach. Niektóre dzieci próbowały przecisnąć się przed dorosłych, by lepiej widzieć. Ja nie chciałem.

Lęk coraz bardziej ścisnął mnie za gardło i nie mogłem się od niego uwolnić. Nie miało dla mnie znaczenia to, że nad nami świeci jasne słońce. Ja nie widziałem słońca. Widziałem jedynie ciemność. Stara Sara chyba domyślała się, co czuję, bo przytuliła mnie do siebie. Bardzo lubiłem zapach jej wełnianej szaty i miękkiego dotyku dłoni.

Po odprawieniu modlitw ludzie zaczęli pokazywać sobie nawzajem spalone portyki, które teraz odbudowywano, i co chwilę wskazywali palcami Świątynię, próbując określić dokładniej to, co widzą.

— Jednego można być pewnym: cieśle i murarze nie mogą narzekać — zauważył kwaśno wuj Kleofas. — Oni burzą, my odbudowujemy.

Roześmialiśmy się, lecz Jakub posłał wujowi surowe spojrzenie, tak jakby nie spodobały mu się jego słowa. Wuj Alfeusz powiedział:

— Cieśle i murarze w Jerozolimie nigdy nie mają powodów do niezadowolenia. Pracują przy Świątyni, odkąd się urodzili, przynajmniej większość z nich!

— Nigdy jej nie skończą — odparł Kleofas. — Niby dlaczego ma być im dane ją ukończyć? Nasi królowie mają na rękach krew i budują ogromną Świątynię z poczucia winy, tak jakby to miało ich uczynić sprawiedliwymi w oczach Pana. Niech sobie budują. Niech sobie składają swoje ofiary. Już prorocy mówili o tych ofiarach, że...

— Dość gadania przeciwko królom — przerwał mu Alfeusz. — Schodzimy do miasta.

— Tak właśnie powiedzieli prorocy — dodał cicho Józef z uśmiechem.

A Kleofas zacytował pod nosem słowa proroka:

— Ja, Pan, nie odmieniam się.

Potem mówili cały czas o tym, że to największa świątynia na świecie, jednak ich słowa docierały do mnie zniekształcone przez lęk, który odczuwałem, przypominając sobie leżące wszędzie ciała, a przede wszystkim ogrom bóleści, która zdawała się mówić, że przetrwa jedynie ona sama. Nigdy się nie skończy.

Teraz podniósł mnie na chwilę wuj Alfeusz.

Przyglądałem się Świątyni, podziwiając jej wielkość i próbując stłumić lęk. Przyglądałem się miastu, które zdawało się obrastać ją i trwać przyczepione do niej. Miasto było częścią Świątyni. Bez niej było niczym. W Jerozolimie nie było żadnych innych świątyń poza tą jedną. A chwała Świątyni porażała swym pięknem; białe i lśniące od złota mury — wszystko pozbawione jakichkolwiek śladów zniszczeń — przynajmniej z tej odległości.

Oczywiście w morzu zabudowań wyróżniały się także inne, wielkie budowle. Wuj Kleofas wskazał palcem wspaniały pałac Heroda i twierdzę o nazwie Antonia, znajdującą się tuż przy Świątyni, zawsze pełną żołnierzy. Ale wszystkie one nie miały znaczenia. To Świątynia była Jerozolimą. Widziałem to. Słońce świeciło jasno, a strach, wspomnienia i ciemność odeszły.

Matka chciała zejść do pobliskiej Betanii, by zobaczyć się ze swą kuzynką Elżbietą. Jednak nasi krewni chcieli najpierw zejść do Jerozolimy i znaleźć jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Dlatego ruszyliśmy do Miasta Świętego.

Szliśmy w ciasnej gromadce, poruszając się w coraz większym ścisku, a czasami wszyscy musieli się zatrzymać, nikt nie mógł postąpić nawet kroku i cały czas śpiewaliśmy dla podtrzymania ducha.

Kiedy dotarliśmy do bram miasta, bardzo trudno było nam dostać się w obręb murów, tak gęsty był tłum, a ja i wszystkie dzieci byliśmy już bardzo zmęczeni. Niektóre maluchy płakały, inne spały w ramionach matek. Pomyślałem, że jestem już za duży na to, by prosić, aby ktoś z dorosłych wziął mnie na ręce. Dlatego nie widziałem, ani dokąd idziemy, ani co się dzieje wokół nas.

Nim jeszcze dostaliśmy się w głąb miasta, dotarła do nas przekazywana z ust do ust wiadomość, że wszystkie synagogi są już pełne i że pielgrzymów przyjmują w miarę swoich możliwości mieszkańcy Jerozolimy. Dlatego Józef zdecydował, że wrócimy do Betanii, gdzie mieliśmy krewnych, i obok ich domu rozłożymy się na noc.

Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy się w mieście, nim zjawią się największe tłumy. Mieliśmy nadzieję, że oczyścimy się w Świątyni w taki sam sposób, w jaki zrobiliśmy to w naszym miasteczku, czyli żywą wodą z popiołem i poprzez dwa pokropienia, ale tu chcieliśmy jeszcze raz poddać się temu rytuałowi w Świątyni.

Teraz było już dla nas jasne, że wielu ludzi zjawiało się wcześniej z tego samego powodu i że Święto przyciągnęło do miasta cały świat.

W takim tłumie nieuniknione były kłótnie i niektórzy nawet krzyczeli na siebie, a ilekroć tak się działo, szczękałem zębami ze strachu. O ile jednak mogłem się zorientować, nie dochodziło do bójek. Wysoko, na murach, spacerowali żołnierze i starałem się nie spoglądać w ich stronę. Bolały mnie nogi i byłem głodny. Wiedziałem jednak, że każdemu z nas doskwiera głód i każdego bolą nogi.

Po długim wspinaniu się pod górę drogą prowadzącą do wioski byłem tak zmęczony, że chciałem zachować całą radość i dziękczynienie za to, że znajduję się w pobliżu Jerozolimy, na jutro.

Gdy dotarliśmy do Betanii, było jeszcze jasno, ale lada chwila miał zapaść zmierzch. Wszędzie rozłożyli się na noc ludzie. Matka i Józef wzięli mnie za rękę i poszliśmy od razu do Elżbiety.

Dom, w którym ją znaleźliśmy, był duży i bogaty, miał brukowany dziedziniec, pomalowane ozdobnie ściany i grubą zasłonę w drzwiach wejściowych. Przyjął nas tam młody człowiek o dobrych manierach, które od razu wskazywały, że jest bardzo bogaty. Miał na sobie szaty z białego lnu, a na nogach skórzane sandały z wytłoczonym wzorem. Jego czarne włosy i broda lśniły od nasączonej pachnidłem oliwy. Miał jasną i pogodną twarz i przywitał nas z otwartymi ramionami.

— To twój kuzyn Józef — powiedziała do mnie matka. — Jest kapłanem, podobnie jak jego ojciec Kajfasz i jak wcześniej kapłanem był jego ojciec. A to nasz syn, Jezus. — Położyła rękę na moim ramieniu. — Przyszliśmy zobaczyć się z naszą kuzynką, żoną Zachariasza. Powiedziano nam, że nie czuje się najlepiej i że w swej dobroci zaopiekowałaś się nią i wzięłaś ją do siebie, za co jesteśmy ci wdzięczni.

— Elżbieta to także moja kuzynka, tak jak i wasza — odparł młody mężczyzna spokojnym i łagodnym głosem. Miał żywe, czarne oczy i uśmiechał się do mnie szczerze, tak że od razu

opadło ze mnie wszelkie napięcie. — Proszę, wejdźcie do środka. Zaproponowałbym wam miejsce do spania, ale sami widzicie, że mamy tutaj pełno ludzi. Dom pęka w szwach...

— Och nie, nie przyszliśmy tutaj, by zanoć w domu — przerwał mu szybko Józef — tylko żeby zobaczyć się z naszą kuzynką Elżbietą. Jeśli to możliwe, chcielibyśmy rozłożyć się na zewnątrz. Bo widzisz, jest tu sporo naszych krewnych z Nazaretu, Kafarnaum i Kany.

— Ależ proszę! — zgodził się młody mężczyzna. Skinął dłonią, byśmy poszli za nim. — Tutaj znajdziecie Elżbietę. Czuje się dobrze, ale nic nie mówi. Nie wiem, czy was rozpozna. Raczej na to nie liczcie.

Wiedziałem, że roznosimy po całym domu kurz i pył z drogi, ale nie było na to rady. Wszędzie, w każdym pomieszczeniu rozłożyli się na derkach pielgrzymi, stale mijali nas przechodzący pospiesznie ludzie z dzbanami i wszędzie były widoczne ślady brudnych stóp. Dlatego bez ociągania poszliśmy za Józefem.

Wkrótce znaleźliśmy się w ogromnej izbie, tak samo zatłoczonej jak pozostałe, do której przez okno wlewało się światło zachodzącego słońca. Było tam ciepło i przyjemnie. Nasz kuzyn poprowadził nas ku stojącemu w rogu łożu, na którym leżała wsparta o poduszki Elżbieta, przykryta po szyję wełnianą derką. Patrzyła w stronę okna, przyglądając się — jak mi się zdawało — zielonym liściom poruszonym przez wiatr.

Wszyscy zgromadzeni w izbie chyba przez szacunek dla niej zachowywali się cicho, a nasz kuzyn podszedł do niej, nachylił się nad nią i dotknął delikatnie jej ramienia.

— Żono Zachariasza — powiedział łagodnym głosem — przyszli twoi krewni, by się z tobą zobaczyć.

Elżbieta nie odpowiedziała.

Matka pochyliła się nad nią, pocałowała ją i zaczęła do niej mówić, lecz Elżbieta wcale jej nie zauważała.

Leżała nieruchomo, spoglądając przez okno. Wyglądała znacznie starzej niż w zeszłym roku. Dłonie miała skurczone, wykręcone w nadgarstkach i skierowane ostro w dół. Wyglądała teraz równie staro jak nasza ukochana Sara. Niczym uschnięty kwiat czekający, aż oderwą go od winorośli.

Matka odwróciła się w stronę Józefa, oparła głowę na jego ramieniu i zapłakała. Nasz kuzyn Józef kręcił głową, zmartwiony, i powtarzał, że zrobiono wszystko, co można było zrobić.

— Ona wcale nie cierpi — powiedział. — Po prostu sobie marzy.

Ponieważ matka nie mogła powstrzymać łez, wyszedłem z nią na zewnątrz, a Józef wdał się z naszym kuzynem w zwyczajną między dalekimi krewnymi rozmowę o małżeństwach i

rodzinie. Kuzyn opowiadał mu o swoich przodkach i o tym, kto z kim był spokrewniony. Tymczasem my znaleźliśmy się na zewnątrz, gdzie świeciło jeszcze zachodzące słońce.

Odszukaliśmy wujów i Starą Sarę, rozłożonych na derkach, w dobrym miejscu, niedaleko studni, w pewnej odległości od pozostałych pielgrzymów.

Z domu wyszło ku nam kilkoro krewnych, a razem z nimi nasz kuzyn Józef, i przynieśli nam jedzenie i picie. Wszyscy mieli na sobie lniane szaty, mówili z wielką oglądą i traktowali nas bardzo serdecznie, być może nawet serdeczniej niż równych sobie.

Najstarszy z nich, ojciec Józefa, który miał na imię Kajfasz, rozmawiał z nami przez dłuższą chwilę i powiedział, że znajdujemy się na tyle blisko Jerozolimy, że możemy tutaj spożyć Paschę. Nie musimy się martwić tym, że nie znajdujemy się w obrębie murów miasta. Czymże są mury? Przyszliśmy do Jerozolimy i jesteśmy w Jerozolimie, a gdy tylko zapadnie zmrok, ujrzymy światła miasta.

Wyszły do nas kobiety, niosąc derki, ale podziękowaliśmy, ponieważ mieliśmy własne.

Następnie Stara Sara i wujowie poszli zobaczyć się z Elżbietą, nim będzie za późno. Poszedł z nimi i Jakub, który wkrótce wrócił.

Kiedy byliśmy już wszyscy razem, a nasi bogaci kuzyni udali się do Jerozolimy, bo następnego dnia rano mieli pełnić swoje obowiązki w Świątyni, Stara Sara powiedziała, że bardzo jej się podoba młody Józef bar Kajfasz i że jest to wspaniały człowiek.

— Są potomkami Sadoka i to najważniejsze — skwitował wuj Kleofas. — Reszta nie ma znaczenia.

— A dlaczego są bogaci? — spytałem. Wszyscy się roześmiali.

— Są bogaci dzięki skórom zwierząt składanych w ofierze, które należą do nich z mocy prawa — odparł Józef z powagą w głosie. — A poza tym pochodzą z bogatych rodzin.

— Akurat, i co jeszcze? — spytał Kleofas.

— Ludzie nigdy nie mówią dobrze o bogaczach — powiedziała Stara Sara.

— A czy ty masz o nich coś dobrego do powiedzenia, stara kobieto? — spytał zaczepnym tonem Kleofas.

— Aha, więc chcecie, bym zabierała głos w zgromadzeniu mędrców? — odparła Sara. Rozległo się jeszcze więcej śmiechów. — Tak, żebyście wiedzieli, że powiem coś jeszcze. Jak wam się zdaje, kto by ich słuchał, gdyby nie byli bogaci?

— Jest mnóstwo ubogich kapłanów — odparł Kleofas. — Wiesz to równie dobrze jak ja. Kapłani w naszej wiosce są ubodzy. Zachariasz był ubogi.

— Nieprawda, nie był ubogi — zaoponowała Sara. — Nie był bogaty, ale nie był też biedny. Zgadza się, wielu jest takich, którzy pracują na chleb własnymi rękoma, bo muszą to robić. I oni

też przychodzą przed oblicze Pana. Lecz ci na samej górze, którzy chronią Świątynię? Któż inny miałby to czynić, jeśli nie ludzie, przed którymi inni czują lęk?

— Czy to ważne, kim są? — spytał Alfeusz. — Ważne, że wypełniają swoje obowiązki, nie bezczeszczą sanktuarium i przyjmują z naszych rąk ofiary.

— Nie, nie o to chodzi — odparł Kleofas. — Stary Herod wybrał na arcykapłana Joazara, ponieważ jego właśnie potrzebował. Archelaos potrzebuje kogoś innego. Kiedy to ostatni raz arcykapłana wybierał Izrael?

Wyciągnąłem w górę rękę, tak jak w szkole, a wuj Kleofas spojrział na mnie.

— Skąd ludzie wiedzą — spytałem — że kapłani robią to, co do nich należy?

— Przyglądają się im — odparł Józef. — Przyglądają się im inni kapłani, a także lewici, uczeni w Piśmie, faryzeusze...

— Zwłaszcza faryzeusze! — wtrącił Kleofas.

Wszyscy się roześmialiśmy. Kochaliśmy naszego faryzeusza rabiego Alkimosą. Przestrzegaliśmy wszystkich najdrobniejszych przepisów.

— A ty, Jakubie — zwrócił się do mojego brata Kleofas — o nic nie pytasz?

Pierwszy raz widziałem, że Jakub głęboko się nad czymś zamyślił. Podniósł głowę i spojrział na nas chmurnym wzrokiem.

— Przecież stary Herod zamordował kiedyś arcykapłana, prawda? — powiedział cicho. Mówił teraz jak dorosły mężczyzna. — Zabił Aristobulosa, ponieważ był bardzo piękny, gdy stawał przed ludem, mam rację?

Mężczyźni skinęli głowami, a Kleofas dodał:

— Tak właśnie było. — A potem powiedział: — Kazał go z tego powodu utopić i wszyscy wiedzieli, kto za tym stoi. Wszystko dlatego, że Aristobulos wyszedł przed lud w swoich szatach i wszyscy go pokochali.

Jakub odwrócił wzrok.

— Co to za gadanie! — wtrącił się do rozmowy Józef. — Przyszliśmy do Domu Pana złożyć ofiarę. Przyszliśmy, by się oczyścić. Przyszliśmy spożyć Paschę. Nie myślmymy o takich sprawach.

— Tak — zgodziła się Stara Sara. — Powiedziałam tylko, że Józef Kajfasz to wspaniały młody człowiek, a kiedy poślubi córkę Annasza, będzie jeszcze bliżej tych, którzy mają władzę.

Moje ciotki i Aleksandra skinęły głowami na potwierdzenie tych słów.

Wuj Kleofas spoglądał na nie zdumiony.

— Jesteśmy tu niecałe dwie godziny, a wy, kobiety, już wiecie, kto będzie żoną Józefa Kajfasza! W jaki sposób dowiadujecie się o tych wszystkich sprawach?

— Każdy to wie — odparła ciotka Salome. — Gdybyś nie cytował bez przerwy proroków, też byś wiedział.

— Kto wie? — zastanawiała się głośno Stara Sara. — Może i Józef Kajfasz zostanie któregoś dnia arcykapłanem?

Wiedziałem, dlaczego tak przypuszcza, mimo że Józef Kajfasz był jeszcze bardzo młody. Bo mimo młodego wieku, z jego zachowania, sposobu bycia oraz zwracania się do wszystkich przebijały swoboda i pewność siebie, a także szlachetność. A kiedy nas witał, widać było, że troszczy się o nas, chociaż nie jesteśmy bogaci, a jego czarne, spoglądające żywo oczy zdradzały silnego ducha.

Teraz zaczęli o tym rozprawać wszyscy wujowie i ciotki, ale mężczyźni zaraz uciszyli kobiety, ponieważ nic o tym nie było wiadomo, a niektórzy podkreślali, że to jeszcze nie nastąpiło. To prawda, ale wszyscy wiedzieli, że Archelaos mógł zmienić arcykapłana w każdej dogodnej dla siebie chwili.

— Czy jesteś prorokinią, Saro — spytał Kleofas — skoro twierdzisz, że ten młodzieniec będzie arcykapłanem?

— Być może — odparła. — Wiem, że byłby dobry jako arcykapłan. Jest mądry i pobożny. To nasz krewniak. No i... no i ujął mnie swoją osobą.

— Poczekamy, zobaczymy — odparł Kleofas. — Przede wszystkim niech nasi kuzyni, którzy nas tu przyjęli, będą błogosławieni za swą szczodrość.

Kleofas spojrział na Józefa, który milczał od dłuższej chwili.

— A ty jak sądzisz? — spytał.

Józef spojrział na niego, uśmiechnął się, potem przewrócił oczami, udając, że intensywnie myśli, i wreszcie powiedział:

— Józef Kajfasz to wysoki mężczyzna. Bardzo wysoki. Stoi wysoko i ma długie ręce, które poruszają się jak lecące wolno ptaki. I jest mężem córki Annasza, naszego kuzyna, który jest także kuzynem domu Boetosa. Tak, na pewno zostanie arcykapłanem.

Wszyscy, nie wyłączając Sary, roześmialiśmy się.

Podniosłem się z ziemi. Lęk już mnie opuścił, chociaż nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy. Czekał na nas obfity i smaczny posiłek.

Słudzy domu Kajfasza przynieśli nam gęstą polewkę z soczewicy, pełną smakowitych przypraw. Były też wspaniałe roztarte słone oliwki w oliwie, a potem słodkie daktyle, które

rzadko jadalіśmy w domu, całe mnóstwo. I jak zawsze ciasteczka z suszonych fig, bardzo smaczne. Chleb był lekki i jeszcze ciepły, bo niedawno wyjęty z pieca.

Żona Kajfasza i matka Józefa Kajfasza stała w drzwiach domu, by osobiście doglądać, jak pielgrzymom nalewano wina, i miała zaslonę zakrywającą szczelnie włosy i prawie całą twarz. Widzieliśmy ją, jak stała w świetle pochodni, pomachała wszystkim na przywitanie, a potem weszła do środka.

Rozmawialiśmy o Świątyni, o naszym oczyszczeniu, o samym święcie, o gorzkich ziołach, niekwaszonym chlebie, pieczonym jagnięciu i o modlitwach, które będziemy odmawiać. Mężczyźni wyjaśniali nam wszystko po kolei, tak byśmy zrozumieli, ale ponieważ rabini robili to samo w szkole, wiedzieliśmy, jak będzie przebiegać Święto Paschy i co powinniśmy wówczas robić.

Bardzo chcieliśmy odprawić je jak należy, ponieważ w zeszłym roku musieliśmy opuścić miasto z powodu zamieszek i wcale nie obchodziliśmy Świąta. Dlatego teraz chcieliśmy stanąć przed Panem, tak jak nakazywało Prawo.

Muszę zaznaczyć, że Jakub już prawie ukończył szkołę. Miał trzynaście lat i był uważany przed Panem za mężczyznę. Syłas i Lewi, starsi od niego, w ogóle nie chodzili już do szkoły. Jednak obaj byli mało pojętni i dlatego nasz rabin chciał ich zatrzymać na dłużej, lecz oni błagali, żeby już nie kazał im więcej się uczyć, i tłumaczyli się tym, że chcą pracować. Dlatego wydaje mi się, że kiedy wujowie razem z Józefem powtarzali nam wszystkie przepisy związane ze Świętem Paschy, obaj byli z tego powodu radzi.

Kiedy kończyliśmy posiłek, przyszedli do nas chłopcy z sąsiednich obozowisk, by się z nami zapoznać. Byli dość mili i przyjaźnie nastawieni. Pomyślałem wówczas o moim kuzynie Janie synu Zachariasza, który poszedł zamieszkać wśród esseńczyków, i zastanawiałem się, czy jest mu tam dobrze.

Ludzie mówili, że mieszka na pustyni, i myślałem o tym, jak często widuje się z matką. Może rozpoznałaby własnego syna? Lecz skąd u mnie takie myśli? Wróciły do mnie dawne, intrygujące słowa, że jego narodziny zostały przepowiedziane. Moja matka poszła do Elżbiety, kiedy już wiedziała, że i ja się urodzę. Tak bardzo chciałem zobaczyć się z Janem. Kiedy będę mógł to zrobić?

Wszyscy wiedzieli, że esseńczycy nie przychodzili do Jerozolimy na Święto. Trzymali się osobno i wiedli jeszcze surowsze życie niż faryzeusze. Marzyli o odnowionej Świątyni. Widziałem kiedyś w Seforis grupę esseńczyków. Wszyscy byli ubrani w białe szaty. Żyli w oddzieleniu od innych i uważali się za prawdziwy lud Izraela.



Chociaż miałem ochotę na zabawę, zostawiłem chłopców i odszukałem Józefa. Robiło się już ciemno, a miasto pod nami było rozświetlone. Ognie Świątyni paliły się ogromne i piękne.

Józef spoglądał na miasto i być może wsłuchiwał się w dobiegającą stamtąd muzykę, a nieopodal ktoś grał na cymbałach. Sączył z kubka wino i przez chwilę stał sam.

Przystąpiłem od razu do mojego pytania.

— Czy jeszcze kiedyś zobaczymy naszego kuzyna Jana?

— Kto wie? — spytał sam siebie. — Esseńczycy mieszkają za Morzem Martwym, u podnóża gór.

— Uważasz, że to dobrzy ludzie?

— Są dziećmi Abrahama, tak samo jak my — powiedział. — Można robić gorsze rzeczy, niż być esseńczykiem. — Umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: — Tak to jest z Żydami. Wiesz, że w naszym miasteczku mieszkają ludzie, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie w dniu końca świata. Mieszkają też faryzeusze. A esseńczycy? Całym sercem wierzą w wiele rzeczy i ze wszystkich sił starają się przypodobać Panu.

Skinąłem potakująco głową.

Wiedziałem, że wszyscy mieszkańcy Nazaretu chcieli się udać do Świątyni i dla każdego ważne było właściwe przestrzeganie wszystkich świąt. Nie powiedziałem jednak tego głośno. Nie powiedziałem, ponieważ w słowach Józefa było sporo prawdy, a ja nie miałem więcej pytań.

Byłem smutny. Matka bardzo kochała swą kuzynkę. Przypomniałem sobie, jak długo się ścisnęły i obejmowały, gdy widzieliśmy się ostatnio. A ja tak bardzo chciałem porozmawiać z moim kuzynem. Była w nim ogromna powaga — no właśnie, to było słowo, którego szukałem — powaga, która mnie w nim pociągała.

Chłopcy z innych rodzin, które rozłożyły się na nocleg obok nas, byli bardzo sympatyczni, synowie arcykapłana byli dla nas mili i potrafili się pięknie wysławiać, ale ja nie chciałem z nimi przebywać.

Zostawiłem Józefa zajętego swoimi myślami. Nie wolno mi było spytać go o wszystkie sprawy, które leżały mi na sercu. Nie wolno.

Położyłem się na macie i próbowałem zasnąć, chociaż na niebie dopiero zapalały się gwiazdy.

Wszędzie wokół siedzieli w małych grupkach mężczyźni i zawzięcie dyskutowali. Jedni twierdzili, że arcykapłan nie jest odpowiednim człowiekiem, by piastować tę funkcję, i że Herod Archelaos popełnił błąd, obdarzając go taką godnością. Inni zaś upierali się przy tym, że arcykapłan jest do zaakceptowania i że trzeba nam pokoju, a nie kolejnych zamieszek.

Gniewne głosy i gwałtowne repliki napępniały mnie lękiem.

Podniosłem się z maty, opuściłem obozowisko i ruszyłem w górę zbocza, idąc w świetle gwiazd. Dobrze było tak iść samemu.

Na zboczach też rozłożyli się na noc ludzie, rozsiani w mniejszych grupkach, gromadząc się wokół niewielkich ognisk, słabo widocznych w blasku księżyca, który świecił mocno i ślicznie, zalewając wszystko srebrnym blaskiem. Widziałem także gwiazdy rozsypane po niebie w piękne wzory.

Pod nogami miałem pachnącą trawę. Noc nie była zbyt chłodna i zastanawiałem się, czy Jan tam, na pustyni, widzi te same gwiazdy co ja.

Wtedy nagle zjawił się przy mnie Jakub. Miał łzy w oczach.

— Co ci się stało? — spytałem. Wstałem i ująłem jego dłoń.

Nigdy jeszcze nie widziałem mojego brata w takim stanie.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczął. — Chcę cię przeprosić. Przeprosić za wszystkie złe rzeczy, które ci mówiłem. Przepraszam za to, że byłem dla ciebie niedobry.

— Niedobry dla mnie? Jakubie? Co ty mówisz? — Byliśmy sami, otaczała nas ciemność i nikt nas nie widział.

— Nie mogę iść jutro do Świątyni Pana, mając w sercu świadomość, że byłem dla ciebie niedobry.

— Ale przecież nic się nie stało — powiedziałem. Wyciągnąłem ręce w jego stronę, by go objąć, ale on się cofnął. — Posłuchaj, Jakubie, przecież nigdy nie zrobiłeś mi nic złego!

— Nie miałem prawa mówić ci o magach, którzy przyszli do Betlejem.

— Ale przecież ja sam chciałem, żebyś mi powiedział — odparłem. — To ja chciałem wiedzieć, co się wydarzyło przy moich narodzinach! Posłuchaj, Jakubie, chcę wiedzieć wszystko, więc gdybyś mógł mi jeszcze powiedzieć...

— Nie powiedziałem tego wszystkiego dlatego, że chciałeś! Zrobiłem to, żeby być nad tobą górą — wyszeptał. — Miałem świadomość, że wiem coś, czego ty nie wiedziałeś.

Zdawałem sobie sprawę, że to prawda. Twarda i bolesna prawda. Taka prawda, jaką zawsze mówił Jakub.

— Ale przecież powiedziałeś mi to, co chciałem wiedzieć — odparłem. — To przyniosło mi ulgę. Tego chciałem — dodałem.

Pokręcił zrezygnowany głową, a z jego oczu na nowo popłynęły łzy. Usłyszałem jego szloch.

— Jakubie, martwisz się bez powodu, mówię ci. Kocham cię, jesteś moim bratem. Nie zadręczaj się tym wszystkim.

— Muszę ci to powiedzieć — zaczął znowu szeptem, jakby chciał ukryć znaczenie swoich słów. Ale nie było powodu, ponieważ byliśmy zupełnie sami.

— Nienawidziłem cię, odkąd się urodziłeś — ciągnął. — Nienawidziłem cię, jeszcze zanim się narodziłeś. Nienawidziłem cię za to, że się zjawileś.

Czułem, jak twarz mi płonie i przechodzą mnie ciarki.

Nigdy jeszcze nie słyszałem, by ktoś mówił coś takiego. Dopiero po chwili otrząsnąłem się i powiedziałem:

— Twoje słowa wcale mnie nie ranią ani nie boją.

Nic na to nie odpowiedział.

— Nie wiedziałem o tym — dodałem. — Podejrzewałem coś takiego, ale myślałem, że to ci minie. Nawet gdybym wiedział, to nie myślałbym o tym.

— Posłuchaj tylko, co mówisz — skwitował moje słowa smutnym głosem.

— Co takiego mówię?

— Jesteś mądrzejszy, niż na to wskazuje twój wiek — powiedział mój brat, który miał już trzynaście lat i był o wiele wyższy ode mnie, który był już mężczyzną. — Masz teraz inną twarz niż wtedy, kiedy opuszczaliśmy Egipt. Wtedy miałeś twarz dziecka i oczy jak twoja matka.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Matka zawsze wyglądała bardzo dziewczęco, wręcz jak dziecko. Nie wiedziałem tylko, że jestem do niej podobny.

Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć.

— Przepraszam za to, że cię nienawidziłem — powiedział Jakub. — Naprawdę przepraszam. I mówię ci tu i teraz, że chcę cię kochać i być zawsze lojalny wobec ciebie.

Skinąłem głową.

— Ja też cię kocham, bracie — odparłem.

Zapadła długa chwila ciszy.

Jakub stał, ocierając dłonią łzy.

— Mogę cię objąć i przytulić? — spytałem.

Skinął głową i trwaliśmy przez chwilę w objęciu. Przyciskałem go mocno do siebie i czułem, jak cały drży. Strasznie to przeżywał.

Wpuściłem go powoli z objęć. Nie odwrócił się i trwał nieruchomo w tej samej pozycji.

— Jakubie, dlaczego mnie nienawidzisz? — spytałem.

Znowu pokręcił zrezygnowany głową.

— Za dużo trzeba by mówić — odparł. — I nie mogę ci o wszystkim opowiedzieć. Któregoś dnia się dowiesz.

— Nie, Jakubie, opowiedz mi teraz. Muszę wiedzieć. Błagam cię. Powiedz mi!

Zastanawiał się przez długą chwilę.

— To nie ja mam ci opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło.

— W takim razie kto? Jakubie, powiedz mi, z jakiego powodu mnie znenawidziłeś! Powiedz mi przynajmniej tyle. Co było przyczyną?

Spojrzał na mnie i miałem wrażenie, że również w tej chwili jego oczy są pełne nienawiści. A może tylko malował się w nich ogromny smutek? Zdawały się płonąć w ciemnościach.

— Lepiej powiem ci, dlaczego muszę cię kochać — powiedział wreszcie. — Kiedy się urodziłeś, zjawily się anioły. Dlatego muszę cię kochać!

Znowu się rozplakał.

— Chodzi ci o tego anioła, który przyszedł do mojej matki? — spytałem.

— Nie. — Potrząsnął głową. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech pełen gorzkości. — Aniołowie przybyli tej nocy, kiedy się urodziłeś. Przecież wiesz, jak to było, bo ci powiedzieli. Byliśmy w gospodzie w Betlejem, w stajni, zwierzęta leżały na sianie, my obok, to było jedyne wolne miejsce, jakie mógł znaleźć dla nas właściciel gospody, bo tamtej nocy w miasteczku było mnóstwo ludzi. Twoja matka rodziła cię w bólach w głębi stajni. Wcale nie krzyczała, nie. Pomagała jej ciotka Salome i kiedy cię uniosły, żeby pokazać Józefowi, wtedy cię zobaczyłem. Płakałeś, tak jak płaczą niemowlęta, ponieważ nie potrafia mówić. Zawinęli cię w pieluszki, tak samo jak zawija się niemowlęta, żeby nie zrobiły sobie krzywdy, i położyli cię w żłobie na miękkim sianie. A twoja mama leżała w ramionach ciotki Salome. Wówczas zapłakała po raz pierwszy i był to przerażający płacz.

Mój ojciec do niej podszedł. Była otulona derką i nie było już przy niej płócien z porodu. Wziął ją w ramiona. „Dlaczego tutaj? — pytała przez łzy. — Czy zrobiliśmy coś złego? Czy to jest dla nas jakaś kara? Dlaczego w tym miejscu? Czy to tak ma być?” Pytała go ciągle, a on nie znajdował żadnej odpowiedzi.

Nie rozumiesz? Przyszedł do niej anioł, żeby przepowiedzieć twoje narodziny, a ty się rodzisz w stajni.

— Rozumiem — odparłem.

— Przeróżające było słyszeć jej płacz — powtórzył Jakub. — A mój ojciec nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wtedy otworzyły się drzwi, do środka wpadł zimny podmuch i wszyscy natychmiast skulili się i zaczęli wołać, żeby zamknąć. A w drzwiach stali już ci ludzie, a z nimi chłopiec z latarnią. Mieli na sobie kubraki z owczej skóry i nogi owinięte wełną, chroniącą przed zimnem, i od razu było widać, że to pasterze.

A teraz posłuchaj. Wiesz przecież, że pasterze nigdy nie opuszczają swoich stad, ani za dnia, ani w nocy, ani w skwarze, ani gdy spadnie śnieg, tymczasem ci przyszedli do naszej stajni, a tak

patrzyli, że wszyscy natychmiast podnieśliśmy się z siana i wpatrywaliśmy się w nich bez słowa. Ja też.

Wyglądało to tak, jakby płomyk latarni trzymanej przez chłopca płonął w ich twarzach. Nigdy wcześniej nie widziałem u nikogo takiej twarzy!

Ruszyli wprost do żłobu, w którym cię położyliśmy, i pochylili się nad tobą. Potem uklękli i zaczęli bić pokłony, wyciągając ręce.

I jeszcze wołali: „Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

A my spoglądaliśmy na nich całkowicie zaskoczeni.

Twoja matka i mój ojciec nie mówili ani słowa i tylko patrzyli na pasterzy, a oni po chwili podnieśli się z kolan, spojrzeli na nas i zaczęli opowiadać, że na polu, w śniegu, tam gdzie pilnowali swoich owiec, przyszedł do nich anioł. Powtarzali to bez przerwy jeden przez drugiego i wszyscy w stajni zaczęli się tłoczyć wokół nich.

Wtedy jeden z pasterzy krzyknął, że anioł powiedział im: „Nie bójcie się, bo mam dla was dobre wieści oznaczające wielką radość. Albowiem dzisiaj urodził się w mieście Dawida Zbawiciel, Mesjasz, Pan”.

Jakub przerwał. Zmienił się na twarzy i znieruchomiał. Już nie było w nim gniewu ani złości. Jego rysy złagodniały, a oczy były utkwione w niewidzialny punkt.

— Mesjasz, Pan — powtórzył. Jego twarz była poważna. Znów był z powrotem w Betlejem, w tamtej chwili, razem z pasterzami, i mówił dalej cichym i spokojnym głosem. — Christos Kyrios — powiedział po grecku. I on, i ja od małego posługiwaliśmy się greką. Jakub mówił dalej w tym języku. — Było w nich tyle radości. Byli tacy szczęśliwi. Tacy pełni ufności i wiary. Nie sposób było wątpić w ich słowa. Nikt nie wątpił w ich słowa. — Zamilkł i widać było, że jego umysł powrócił do wspomnień tamtej nocy.

Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

A więc to jest ta tajemnica, której nie chcieli mi zdradzić! Wiedziałem już dlaczego. Teraz ją poznałem, a to znaczyło, że muszę poznać i całą resztę. Musiałem się dowiedzieć, co powiedział anioł, który przyszedł do matki. Musiałem poznać każde jego słowo. Musiałem wiedzieć, w jaki sposób i dlaczego posiadałem moc, by dawać i odbierać życie, moc, by sprowadzać śnieg i powstrzymywać deszcz, jeśli rzeczywiście ją miałem. A także co miałem robić, jeśli cokolwiek miałem robić. Nie mogłem już dłużej czekać. Musiałem wiedzieć.

Strasznym lękiem napełniała mnie myśl o tym, co powiedział Kleofas, że to ja muszę im wszystko wyjaśnić.

To było zbyt wiele jak na mój umysł. Zbyt wiele, bym umiał sformułować pytania, które pozostały bez odpowiedzi.

A Jakub, mój brat... zdawał się coraz mniejszy, jakby odpływał w dal, i chociaż cały czas stał obok mnie, wydawał się kruchy i nietrwały. Miałem przez chwilę wrażenie, jakbym w ogóle nie był częścią tego miejsca, tego zbocza, tego wzgórza wznoszącego się nad Jerozolimą, płynących ku nam strzępów muzyki, śmiechów dobiegających z oddali, a równocześnie wszystko to było dla mnie takie piękne, także Jakub, mój brat, którego kochałem. Kochałem go i rozumiałem jego smutek całym moim sercem.

Zaczął mówić dalej, wodząc oczyma, jak gdyby w tej chwili widział przed sobą wszystko, co opisywał.

— Pasterze opowiadali, że niebo wypełniło się aniołami. Całe zastępy aniołów na niebie! Wyrzucali w górę ramiona, mówiąc nam o tym, tak jakby widzieli je znowu. A anioły śpiewały: „Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!” — Pochylił głowę. Nie płakał już, ale wyglądał na zupełnie przybitego. — Wyobraź sobie — ciągnął dalej po grecku. — Całe niebo pełne aniołów. A pasterze, kiedy to zobaczyli, zeszli zaraz do Betlejem szukać dziecka w żłobie, jak im powiedzieli aniołowie. Milczałem, czekając na jego dalsze słowa.

— Jak to możliwe, że cię za to nienawidziłem? — wyrzucił wreszcie z siebie.

— Byłeś wtedy małym chłopcem. Byłeś młodszy niż ja teraz — odpowiedziałem.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie ofiarowuj mi swej dobroci — powiedział ledwie słyszalnym głosem. Miał głowę schyloną ku ziemi. — Nie zasługuję na twoją dobroć. Jestem dla ciebie zły.

— Przecież jesteś moim starszym bratem — odparłem. Podniósł do twarzy tunikę, by otrzeć łzy.

— Nie — rzucił stanowczo. — Nienawidziłem cię. To grzech.

— Dokąd poszli ci pasterze, którzy to wszystko opowiadali? — spytałem. — Gdzie teraz są? Co to za ludzie?

— Nie wiem — odparł. — Potem wyszli z powrotem na śnieg i ziąb. Opowiadali wszystkim wciąż od nowa tę samą historię. Nie wiem, dokąd poszli. Nigdy więcej ich nie widziałem. Wrócili do swoich trzód. Musieli przecież to zrobić. — Spojrzał na mnie. Widziałem teraz w świetle księżyca, że już doszedł do siebie. — Ale najważniejsze, rozumiesz, najważniejsze było to, że twoja matka była szczęśliwa. Otrzymała znak. Zasnęła, tuląc cię do swego boku.

— A Józef?

— Mów o nim „ojciec”.

— A ojciec?

— On jak zawsze słuchał i nic nie mówił. A kiedy ludzie, którzy byli w stajni, zasypywali go pytaniami, nie odpowiadał. Wszyscy podchodzili po kolei, jeden po drugim, i klękali, by na

ciebie spojrzeć, i modlili się, a potem odchodzili, w różne kąty stajni, pod swoje derki. Następnego dnia znaleźliśmy kwaterę. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, co się stało u nas minionej nocy. Ludzie przychodzili pod drzwi, pytając, czy mogą cię zobaczyć. Przychodzili starcy, opierając się niepewnie na lasce. Inni chłopcy w miasteczku też wiedzieli. Ale Józef powiedział, że nie zostaniemy w Betlejem. Tylko tak długo, jak trzeba, żeby cię obrzezać i złożyć za ciebie ofiarę w świątyni. I wtedy do tego domu przyszli magowie ze Wschodu. Gdyby nie poszli potem do Heroda...

Przerwał, odwrócił się i spojrzał w mrok.

— Magowie poszli do Heroda? I co się stało?

Jakub nie mógł mówić dalej, bo w naszą stronę zbliżał się wolnym krokiem Józef.

Rozpoznałem go w ciemnościach po charakterystycznym chodzie. Nie podszedł do nas, lecz zatrzymał się w odległości kilku kroków.

— Już długo tu jesteście — powiedział. — Wracajcie. Nie chcę, żebyście odchodzili tak daleko.

Powiedziawszy to, czekał.

— Kocham cię, bracie — powiedziałem po hebrajsku.

— Kocham cię, bracie — odparł Jakub. — Nigdy więcej nie będę czuł do ciebie nienawiści. Nigdy. Nigdy nie będę czuł wobec ciebie zawiści. Zawiść to straszna rzecz, straszny grzech. Zawsze będę cię kochał.

Józef ruszył z powrotem w stronę naszego obozowiska.

— Kocham cię, bracie — powtórzył jeszcze raz Jakub — i zawsze będę cię kochał, kimkolwiek jesteś.

*Kimkolwiek jestem! Mesjasz, Pan... i gdyby nie powiedzieli Herodowi!*

Objął mnie ramieniem, a ja jego.

Kiedy wracaliśmy razem, wiedziałem, że Józef nie może się dowiedzieć, że Jakub powiedział mi to wszystko. Józef nigdy by do tego nie dopuścił. On najchętniej milczałby i żył tylko danym mu dniem.

Ja jednak musiałem znać resztę tej historii! Bo skoro mój brat nienawidził mnie za to przez tyle lat, skoro rabbi zatrzymał mnie w drzwiach szkoły, wypytując, kim jestem, w takim razie musiałem to wiedzieć!

Czy to owe dziwne wydarzenia sprawiły, że musieliśmy udać się do Egiptu? Nie, niemożliwe, że to z tego powodu.

Bo nawet jeśli całe Betlejem huczało od pogłosek na temat tego, co się stało, to przecież mogliśmy się przenieść do innego miasta. Mogliśmy wrócić do Nazaretu. A co z aniołem, który ukazał się matce?

Tu, w Betanii, mieliśmy krewnych. Nie wszyscy pochodzili z rodzin kapłańskich i nie wszyscy byli bogaci. Tu mieszkała Elżbieta. Dlaczego nie udaliśmy się do niej? Chwileczkę! Przecież ludzie Heroda zabili Zachariasza! Czy Zachariasz zginął z powodu tego, co opowiadali ludzie po moich narodzinach? Z powodu tego, co mówiono o Mesjaszu, Panu? Jakże bardzo chciałem przypomnieć sobie w tej chwili wszystko, co Elżbieta mówiła nam tego strasznego dnia w zeszłym roku, po tym jak rabusie napadli na wioskę, o tym, jak zamordowano w Świątyni jej Zachariasza.

Och, ile jeszcze czasu upłynie, nim dowiem się wszystkiego!

Potem, późną nocą, przykryty derką, przymknąłem oczy i modliłem się.

Płynęły mi przez głowę wersy zapisane w księgach Proroków. Wiedziałem, że królowie Izraela byli pomazańcami Pana, ale ich narodzin nie obwieszczali aniołowie. No i nie rodzili się z kobiety, która nigdy nie obcowała z mężczyzną.

W końcu nie miałem już siły myśleć o tym dłużej. Te wewnętrzne zmagania były dla mnie nie do zniesienia.

Spojrzałem w niebo, na gwiazdy, i próbowałem dojrzeć śpiewające anielskie zastępy. Modliłem się, by anioły przysły do mnie, tak jak do każdego innego śmiertelnika.

Poczułem nagle ogromną słodycz i spokój w sercu. Pomyślałem sobie: cały ten świat jest Świątynią Pana. Całe stworzenie jest Jego Świątynią.

A to, co zbudowaliśmy tam, na wzgórzu, za murami, to tylko drobny zakątek, miejsce, dzięki któremu możemy zmanifestować naszą miłość do Pana, który stworzył wszystko. Ojciec w Niebie, pomóż mi. Gdy zasypiałem, rozległa się nade mną wspaniała pieśń, a kiedy się przebudziłem, przez krótką chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem, a mój sen był jak zdjęta ze mnie złota zasłona.

Nic mi nie groziło. Był wczesny ranek. Na niebie lśniły jeszcze gwiazdy.



## XXIII

Nie byłem już dzieckiem. Zgodnie z tradycją, chłopiec bierze na siebie obowiązek przestrzegania Prawa, gdy ukończy dwanaście lat, lecz w moim wypadku nie miało to znaczenia. Zrozumiałem to, kiedy przyglądałem się tego ranka innym dzieciom pochłoniętym zabawą.

Zrozumiałem to, kiedy dołączyliśmy do pielgrzymów zmierzających w stronę Świątyni.

Panował taki tłok i ścisk jak poprzedniego dnia, przez całe godziny śpiewaliśmy, posuwając się powoli, aż w końcu dotarliśmy do miejsca obmyć i zanurzyliśmy się nadzy w zimnej wodzie, a następnie włożyliśmy świeżą odzież, którą nieśliśmy z sobą w tobołkach.

Wreszcie znaleźliśmy się w sklepionym przejściu prowadzącym na dziedziniec pogan. Głosy sprzeczek i klótni odbijały się echem od ścian. Czasami były pełne zacierzwienia, ale już się nie bałem.

Stale myślałem o tym, co mi opowiedział — chociaż nie do końca — Jakub.

Wreszcie płynący strumieniem tłum śpiewających pielgrzymów, w którym mieszały się języki z całego świata, wylał się na dziedziniec pogan i wszystkich przywitało czyste niebo, które znowu ukazało się nad naszymi głowami. Zrobiło się trochę luźniej i można było swobodniej oddychać, lecz po chwili znowu znaleźliśmy się w ścisku, tłocząc się wraz z innymi obok miejsca, gdzie można było kupić synogarlice lub gołębice, które składano w ofierze. Jak sobie po chwili uświadomiłem, Jakub chciał złożyć ofiarę za swój grzech.

Za jaki właściwie grzech Jakub składał ofiarę, nie wiedziałem. A może wiedziałem. Ale czy to miało dla mnie jakieś znaczenie? Kleofas powiedział, że powinienem zobaczyć, jak wygląda składanie ofiary, i dlatego zabrał mnie ze sobą.

Oczyszczające nas pokropienie mieliśmy otrzymać dopiero następnego dnia.

Zastanowiło mnie to.

— Jak możemy iść do Świątyni, skoro nie zostaliśmy oczyszczeni? — spytałem wuja.

— Przecież wiesz, że jesteśmy czysti — odparł. — Oczyszciliśmy się jeszcze przed wyruszeniem w drogę w naszej mykwie w Nazarecie. Dzisiaj rano kąpaliśmy się w strumieniu koło domu Kajfasza. Teraz też dopiero co kąpaliśmy się w mykwie. Pokropienie wiąże się z Paschą. Ma na celu pełne oczyszczenie, gdybyśmy stali się nieczyści, nie będąc tego świadomi. — Wzruszył ramionami. — Po prostu taka tradycja. Ale Jakub wcale nie musi czekać. Jest czysty. Idziemy do ołtarza całopaleń.

— Greccy Żydzi powinni poddać się oczyszczeniu, nim wejdą na teren Świątyni — powiedział wuj Alfeusz. — Oni i wszyscy Żydzi z innych krain.

Józef nic nie powiedział. Trzymał rękę na ramieniu Jakuba, torując jemu i nam drogę w tłumie.

Zanim kupiliśmy ptaki, wszystkie bez skazy, bo tylko takie można było złożyć w ofierze Panu, musieliśmy wymienić nasze pieniądze na szekle przyjmowane w Świątyni. Nad stojącymi w portyku stołami wymieniających pieniądze ujrzałem zniszczone przez pożar sklepienie i zlanych potem ludzi, pracujących w spiekocie, którzy oczyszczali kamienie, które pozostały, a w lukach mocowali w zaprawie nowe. Dobrze znałem tę pracę.

Nigdy wcześniej nie widziałem tak ogromnej budowli i nie dostrzegłem końca portyku ciągnącego się hen w dal, na prawo i na lewo. Kapitele kolumn pyszniły się w słońcu i przywrócono złote zdobienia w miejsce tych, które zniszczył pożar.

W pewnej chwili dobiegły mnie odgłosy sprzeczki. To mężczyźni i kobiety przed nami kłócili się z wymieniającymi pieniądze. Kleofas się niecierpliwił.

— I po co się kłóć? — powiedział do mnie po grecku. — Posłuchaj ich tylko. Naprawdę nie wiesz, że to rabusie? — Użył tego samego greckiego słowa, jakim posługiwaliśmy się na określenie bandytów, którzy chowali się na wzgórzach, i buntowników, którzy przyszli spalić Seforis i przyciągnęli do nas Rzymian. Kiedy byliśmy tu po raz pierwszy, z powodu walk nie doszliśmy nawet do tego miejsca. A teraz, kiedy zbliżaliśmy się do stołów, gdzie wymieniano pieniądze, zewsząd dochodziły nas hałas i wrzawa.

— Jeśli chcesz kupić dwa ptaki, musisz wymienić tyle pieniędzy — mówił siedzący za stołem mężczyzna do stojącej nad nim kobiety, która zdawała się nie rozumieć ani słowa z jego przemowy po grecku. Zadała mu jakieś pytanie po aramejsku, ale mówiła inaczej niż my. Mimo to rozumiałem ją.

Kiedy Józef zaproponował, że da jej właściwe monety, odmówiła, podnosząc zdecydowanie dłoń.

Józef, Kleofas i pozostali mężczyźni wymienili pieniądze bez słowa i tylko na odchodnym Kleofas rzucił w stronę siedzących za stołami mężczyzn.

— Co, bando złodziei? Jesteście z siebie zadowoleni? Ci zaczęli wygrażać mi pięściami, posyłając groźne spojrzenia, lecz natychmiast włączył się Józef i uciszył Kleofasa.

— Nie w domu Pana — rzekł.

— A czemu nie? — spytał Kleofas. — Pan wie, że to złodzieje. Biorą za dużo za wymianę.

— Daj spokój — wtrącił się wuj Alfeusz. — Dzisiaj nie było jeszcze żadnych zamieszek. Chcesz je wywołać?

— Ale dlaczego oni liczą sobie tak dużo, ojczy? — spytał Jakub.

— Nie wiem, czy liczą sobie za dużo. Ja się zgadzam na ich cenę — odparł Józef. — Wzięliśmy dość pieniędzy, żeby kupić zwierzęta ofiarne. Nie żądano ode mnie więcej ponad to, co gotów byłem zapłacić.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie trzymano synogarlice. Było bardzo gorąco. Czułem pod stopami twarde, ale i piękne kamienie. Wciąż dochodziły mnie zaciętrzewione głosy i klótnie, przemieszane z gruchaniem gołębi. Wreszcie po długim czasie znaleźliśmy się przed stołami tych, którzy sprzedawali ptaki.

Odór bijący z klatek był gorszy niż zapach na jakimkolwiek podwórku w Nazarecie. Na ziemię kapwały ptasie odchody.

Teraz nawet Józef był zaskoczony ceną, jakiej zażądał sprzedawca, lecz ten tylko spojrzął na niego złym wzrokiem i niecierpliwym machnięciem ręki wskazał długą kolejkę za nami.

— Chciałbyś być na moim miejscu i obsługiwać te tłumy? — spytał natarczywym głosem. — Mogłeś sobie sam przynieść własne ptaki bez skazy z Galilei. Bo jesteś z Galilei, he? Poznają po mowie.

Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy klótni. Pewna rodzina wróciła z ptakami, których kapłani nie przyjęli. Sprzedawca zaczął wykrzykiwać, że kiedy sprzedawał im ptaki, oba były bez skazy. Józef i tym razem zaproponował, że zapłaci za nowe ptaki, ale ojciec tej rodziny podziękował mu i nie przyjął pieniędzy. Jego żona płakała.

— Szłam czternaście dni, żeby złożyć ofiarę — szlochała.

— Posłuchaj! Pozwól nam zapłacić za jeszcze jedną parę — zwrócił się do niej Kleofas. — Przecież nie daję pieniędzy tobie, tylko temu, co tu siedzi, a on ci da dwa nowe ptaki. W ten sposób to wciąż będzie twoja ofiara. Rozumiesz? Nic ode mnie nie bierzesz. Tylko on.

Kobieta przestała płakać. Spojrzała na męża. Ten skinął głową.

Kleofas zapłacił za nowe ptaki.

Sprzedawca podał kobiecie dwie trzepoczące skrzydłami synogarlice, a te, które przynieśli z powrotem, wepchnął do klatki.

— Ty bezczelny złodzieju! — syknął przez zaciśnięte zęby Kleofas.

— Tak, tak, tak — rzucił lekceważąco sprzedawca.

Jakub szybko kupił ptaki.

Przez głowę zaczęły przepływać mi myśli, które znów napełniły mnie przerażeniem. Nie były to wspomnienia walk sprzed roku ani obraz mężczyzny, który zginął na tym dziedzińcu, lecz inne myśli: o tym, że to miejsce nie jest miejscem modlitwy ani wspaniałym domem Jahwe, do którego przybywają wszyscy, by oddać Mu cześć. Kiedy recytowaliśmy przepisy

Prawa mówiące o ofiarach, wszystko wydawało się takie proste, tu tymczasem odbywał się gigantyczny targ i pełno było hałasu, złości i rozczarowania.

Wszędzie wokół nas, w kotłującym się tłumie, byli poganie i rumieniłem się z powodu tego, co widzieli i słyszeli. Zauważałem też, że wielu z nich wcale nie zwracało na to uwagi. Przyszli tutaj, by obejrzyć Świątynię, i wydawali się szczęśliwsi niż ci, którzy za chwilę wejdą na dziedziniec kobiet, gdzie nie miał wstępu żaden z pogan.

Oczywiście oni także mieli swoje świątynie, a w nich własnych handlarzy sprzedających zwierzęta przeznaczone na ofiarę. Widziałem ich mnóstwo w Aleksandrii. Pewnie i tam się sprzecali i wyzywali tak samo jak tutaj.

Jednak nasz Pan był Stwórcą wszystkich rzeczy, nasz Pan był niewidzialny, nasz Pan był Panem wszystkich miejsc i wszystkiego. Nasz Pan mieszkał tylko w tej Świątyni, a my wszyscy i każdy z osobna byliśmy Jego ludem.

Kiedy dotarliśmy na dziedziniec kobiet, Stara Sara, moja matka i pozostałe kobiety zatrzymały się tam, ponieważ dalej nie miały prawa pójść. Tutaj już nie było tak tłoczno. Poganie nie mieli tu prawa wstępu pod groźbą śmierci. Dopiero teraz znajdowaliśmy się na prawdziwym terenie Świątyni, wciąż jednak towarzyszyły nam odgłosy zwierząt, krów, owiec i ptaków, które prowadzili z sobą ludzie, by złożyć je w ofierze.

Požary nie uszkodziły tego miejsca. Wszędzie wokół lśniło srebro i złoto. Kolumny były w greckim stylu i równie piękne jak w Aleksandrii. Wiele kobiet wstępowało po schodach na galerię, skąd mogły obserwować, jak na dziedzińcu kapłanów składa się w ofierze zwierzęta, jednak Stara Sara nie była w stanie pokonać tylu stopni i nasze kobiety zostały z nią.

Gdy je opuszczaliśmy, umówiliśmy się, że spotkamy się znowu na dziedzińcu pogan, w jego południowo — wschodnim narożniku. Trochę się martwiłem, jak odnajdziemy się w tym tłumie.

Wstępowaliśmy w górę po schodach, a mnie już strasznie bolały nogi. Wypełniało mnie jednak świeżo zrodzone poczucie szczęścia i po raz pierwszy moje bolesne wspomnienia i cały panujący w moim wnętrzu zamęt i chaos opuściły mnie na dobre.

Byłem w Domu Pana. Słyszałem śpiewy lewitów.

Gdy znaleźliśmy się przy bramie, jeden z pełniących służbę lewitów nas zatrzymał.

— To jeszcze mały chłopiec — powiedział, wskazując na mnie. — Dlaczego nie został z kobietami?

— Jest starszy, niż na to wskazuje jego wygląd, i zna Prawo — odparł Józef. — Jest gotowy do tego, by wejść na dziedziniec.

Lewita skinął głową i przepuścił nas.

Tu znowu było tłoczno. Słyszeć było muczenie krów i beczenie owiec, a trzymane przez Jakuba synogarlice trzepotały skrzydłami.

Lecz nad tym wszystkim dominowała muzyka, otaczająca nas ze wszystkich stron. Słyszałem piszczałki i cymbały oraz niskie, harmonijne głosy śpiewaków. Nigdy jeszcze nie słyszałem tak bogatej, tak pełnej różnorodnych tonów muzyki jak ta, którą wykonywali teraz lewici. Nie były to radosne, fałszowane i śpiewane wysokimi głosami Psalmi, w naszym wykonaniu w drodze do Jerozolimy ani skoczne weselne piosenki. Była to smutna, można rzec mroczna melodia, która płynęła bezustannie z ogromną siłą. Hebrajskie słowa zlewały się ze sobą, bez początku i bez końca.

Melodia pochłonęła mnie do tego stopnia, że dopiero po pewnym czasie, powoli, zacząłem sobie uświadamiać, co się dzieje przede mną, po drugiej stronie balustrady.

Kapłani w lnianych szatach i białych zawojach na głowach krążyli tam i z powrotem, prowadząc do ołtarza zwierzęta odbierane od mężczyzn. Widziałem prowadzone na ofiarę baranki i kozły. Widziałem niesione ptaki.

Wokół ołtarza znajdowało się tylu kapłanów, że nie było dobrze widać tego, co robią, i tylko czasem można było zobaczyć tryskającą w górę lub na boki krew. Ręce kapłanów były od niej czerwone. Ich piękne, lniane szaty były zbryzgane krwią. Na ołtarzu płonął ogromny ogień, a swąd skwierczącego mięsa był nie do opisania. Wciągałem go w nozdrza z każdym oddechem i chociaż Józef wskazywał w stronę ołtarza, gdzie płonęło kadzidło, wcale nie czułem jego zapachu.

— Popatrz, tam stoją śpiewacy — powiedział Kleofas, nachylając się do mego ucha.

— Tak — odparłem i trąciłem Jakuba. — Jakubie, patrz!

Śpiewacy, przesłaniani przez przechodzących ciągle kapłanów, to pojawiali się, to znikali. Było ich bardzo dużo, stali na stopniach prowadzących do budynku Świątyni, mieli brody i długie włosy skręcone w loki, a w rękach trzymali zwoje. Widziałem także liry wydające delikatne dźwięki, których nie mogłem wyłowić z harmonijnej i pięknej muzyki.

Gdy ujrzałem śpiewaków, ich pieśń stała się dla mnie lepiej słyszalna. Była tak piękna, że miałem wrażenie, iż unosi mnie i płynie razem z nią. Zagłuszyła całkowicie hałas robiony przez tłumnie zebranych ludzi.

Gdy tak stałem, wszystkie moje troski i problemy nagle odpłynęły, a gdy się modliłem, moje słowa przestały być słowami i zamieniły się w cześć i uwielbienie dla Pana, Stwórcy wszystkiego. Słuchałem muzyki i przyglądałem się wszystkiemu, co się dzieje.

Panie, Panie, kimkolwiek jestem, czymkolwiek jestem, kimkolwiek mam być, jestem częścią tego świata, który cały jest nieustającym i wiecznym cudem — jak ta muzyka. A Ty

jesteś z nami. Jesteś tutaj. Rozbiłeś swój namiot między nami. Ta muzyka to Twoja pieśń. To jest Twój dom.

Poczułem cisnące mi się do oczu łzy i rozplakałem się cicho, czego nikt nie widział.

Jakub, trzymając w ręku dwa ptaki i czekając, aż kapłan odbierze je od niego, przymknął oczy i pogrążył się w modlitwie. Kapłanów było tylu, że nie sposób było ich policzyć. Odbierali beczące żałośnie baranki i kozy, które meczały boleśnie, aż do ostatniej chwili. Krew zbierano w ogromnych pojemnikach, tak jak nakazywało Prawo. Potem zabierano, by rozlać na stopniach ołtarza.

— Teraz już wiecie — powiedział do nas głośnym szeptem Kleofas — że to nie jest Ołtarz Obecności. Ołtarz Obecności jest tam, nad śpiewakami, w Świętym Świętych, za zasłoną. Tego ołtarza i innych rzeczy nigdy nie zobaczycie. Twoja matka — zwrócił się do mnie — była jedną z dziewcząt tkających te zasłony, dwie w ciągu roku. Ach, jakież to był wspaniały wzór! Tylko arcykapłan wchodzi do Świętego Świętych. A kiedy to robi, spowija go obłok kadzidła.

Pomyślałem o Józefie Kajfaszu. Wyobraziłem sobie, jak wchodzi do tego świętego miejsca. A potem pomyślałem o młodym Aristobulosie, którego kazał zamordować stary Herod. „Gdyby magowie nie powiedzieli Herodowi...”

Przypomniały mi się słowa matki: „Nie jesteś synem anioła”. Jakim małym chłopcem byłem, gdy mi to mówiła! Nie myślałem o tych słowach od tamtej nocy, gdy usłyszałem je z ust matki, wypowiedane tylko do mnie na dachu w Jerozolimie. Nie chciałem, by pojawiały się w mej świadomości. Teraz jednak pozwoliłem, by do mnie przyszły, a razem z nimi stanęły mi w oczach z całą ostrością wszystkie dziwne obrazy, które malował przede mną Jakub.

Nie chciałem jednak tych myśli, fragmentów, których nie mogłem połączyć, dopełnić i zebrać w całość.

Pragnąłem pokoju i szczęścia, które odczuwałem zaledwie przed chwilą. A szczęście i pokój wróciły do mnie.

Ogarnęły mnie do tego stopnia, że nie byłem już chłopcem stojącym pośród mężczyzn i innych chłopców. Byłem moją duszą, moim umysłem, tak jakby mój umysł mógł stać się większy niż ciało, jak gdyby mógł się wydostać ze mnie, niesiony na falach muzyki, jak gdyby nie miał wagi ani rozmiaru, i w taki właśnie sposób, w tej właśnie chwili mogłem wejść do Świętego Świętych. Zrobiłem to: przeszedłem sklepieniem przejściem, przez ścianę i zasłonę, i wyszedłem nawet poza to miejsce. „Mówili o tobie Christos Kyrios. Mesjasz, Pan”.

*Panie, powiedz mi, kim jestem. Powiedz, co mam czynić.*

Czyjś szloch sprawił, że się ocknąłem. Cichy szloch, ledwie słyszalny wśród muzyki i głośnego szeptu wypowiedanych po hebrajsku modlitw, dochodzącego ze wszystkich stron.

To Jakub płakał. Szlochał i cały się trząsał. Spojrzałem jeszcze raz na ogromny, kamienny ołtarz, na którym składano ofiary, i na kapłanów rozlewających krew na kamieniach. Krew należała do Pana. Należała do Pana, kiedy krążyła w zwierzęciu, i należała do Pana teraz. Krew była życiem zwierzęcia. Prawowierny Izraelita nigdy nie spożyłby krwi. Kamienie ołtarza były od niej lepkie.

Widok ten był mroczny i piękny zarazem, podobnie jak wznosząca się ku niebu muzyka i modlitwy odmawiane po hebrajsku. Nawet kapłani chodzący tam i z powrotem wyglądali, jakby wykonywali jakiś taniec.

Nie, już nie jestem dzieckiem. Już nie.

Pomyślałem o tych, którzy ponieśli tu śmierć w zeszłym roku. Pomyślałem o ludziach, którzy spłonęli żywcem w czasie rebelii właśnie tu, w Świątyni. Pomyślałem o krwi na kamieniach tej budowli. Krew. I jeszcze raz krew.

Jakub trzymał mocno w dłoniach, niczym w klatce, próbujące się wyrwać ptaki.

— Wyznaję moje grzechy — szeptał po hebrajsku. — To, że jestem winien zazdrości i złośliwości.

Stłumił łzy. Jako trzynastolatek nie był chłopcem, lecz płaczącym mężczyzną. Nie sądziłem, by ktoś ze stojących wokół nas wiedział, że Jakub płacze. Ujrzałem także, jak Józef przyciska go do siebie, gładzi po ramieniu i pociesza. W końcu pocałował go w policzek. Józef kochał Jakuba. Bardzo. Kochał też mnie. Kochał każdego w inny sposób.

Jakub schylił głowę i wyciągnął ptaki ku zmierzającemu w naszą stronę kapłanowi.

— „Albowiem dziecię nam się narodziło — recytował Izajasza — syn został nam dany, na jego barkach spoczęła władza”. — Przerwał, starając się powstrzymać łzy, a potem mówił dalej: — „Nazwano Go imieniem: «Przedziwny Doradca», «Bóg Mocny», «Odwieczny Ojciec», «Księżę Pokoju»,».

Spojrzałem na niego. Dlaczego właśnie ta modlitwa?

— Niech Pan wybaczy mi moją zazdrość. Niech Pan wybaczy mi moje grzechy i niech będę oczyszczony. Niech się nie lękam. Niech dostąpię zrozumienia. Żałuję wszystkiego.

Nagle przed nami wyrósł kapłan, wysoki mężczyzna, z twarzą i brodą schlapaną krwią. Mimo to wyglądał pięknie w lnianej szacie i trójkątnym nakryciu głowy. Obok niego stał lewita. Kapłan trzymał w ręku złote naczynie z wodą. Spojrzał zmrużonymi oczyma na Jakuba, a ten skłonił głowę i podał mu dwa ptaki.

— To ofiara za grzech — powiedział.

Ktoś popchnął mnie i nachyliłem się, oparty o balustradę, by obserwować wszystko, lecz kapłan wkrótce zniknął pośród kapłanów i nie widziałem dokładnie, co robili przy ołtarzu. Lecz

z Pisma wiedziałem, co będą robić. Pierwszemu gołębiowi naderwą głowę przy karku, nie odrywając jej, a krwią pokropią boki ołtarza, resztę wyleją na jego stopnie. To będzie ofiara przebłagania za grzech. Drugi gołąb zostanie spalony jako ofiara całopalna.

Nie staliśmy długo.

Wkrótce było po wszystkim. Przebłaganie za grzech się dokonało.

Torowaliśmy sobie z powrotem drogę przez tłum, rozpychając się łokciami, jeśli było trzeba, i wkrótce znaleźliśmy się na dziedzińcu pogan. Tym razem nie szliśmy przez jego środek, lecz wzdłuż portyku Salomona.

Tam, między kolumnami, siedzieli nauczyciele, a przy nich gromadziło się wielu młodych mężczyzn. Przystawały tam także przechodzące kobiety, by słuchać nauki. Jeden z nauczycieli mówił po aramejsku, drugi zaś, wokół którego zebrało się mnóstwo ludzi, odpowiadał na pytania po grecku.

Chciałem się na chwilę zatrzymać, lecz moja rodzina cały czas posuwała się naprzód i ilekroć zwalniałem kroku, by spojrzeć na nauczycieli i uchwycić chociaż słowo z tego, co mówią, ktoś zawsze chwycił mnie za rękę i ciągnął za sobą.

Wreszcie w oddali przed nami wyłoniła się ogromna stoa. Tłum się przerzedził.

Ku mojemu zaskoczeniu minęliśmy schody prowadzące do wyjścia z dziedzińca, lecz już po chwili wiedziałem dlaczego.

Chroniąc się w cieniu portyku, oparta o jedną z kolumn, siedziała Stara Sara, a obok niej nasza nieszczęsna uciekinierka Bruria i Riba, zabawiająca niemowlę. Były tam także moja matka i ciotki.

Zapomniałem o nich. Nawet nie pomyślałem, że przecież mamy się tu z nimi spotkać. Stara Sara natychmiast wzięła w ramiona Jakuba i ucałowała go serdecznie.

Ponieważ wszyscy byliśmy zmęczeni, usiedliśmy obok kobiet. Ujrzelśmy, że wielu ludzi robi to samo, nie zważając na to, że niedaleko pracują murarze, naprawiając uszkodzoną ścianę. Siedzieliśmy ciasno obok siebie, by przechodzący ludzie nie musieli nas przekraczać.

Wielu opuszczało już Świątynię. Widzieliśmy nawet kilku sprzedawców, którzy niosąc w klatkach ptaki, schodzili po schodach. Ciągle jednak dobiegały nas narzekania, odgłosy kłótni, a sprzeczki, do których dochodziło przy stołach, gdzie wymieniano pieniądze, powodowały, że tworzyła się kolejka czekających na wymianę.

Lewicy sprzedający mąkę i oliwę na ofiarę przebłagalną także zwijali stragany. W tej samej chwili ujrzałem uzbrojonych mężczyzn, być może ze straży świątynnej, którzy podeszli do schodów i obserwowali tłum opuszczający Świątynię.



Niebawem złożona zostanie wieczorna ofiara z baranka. Nie wiedziałem dokładnie, kiedy to nastąpi. Musiałem się jeszcze tylu rzeczy nauczyć. Ale wszystko przyjdzie z czasem i wcale nie martwiłem się z tego powodu.

Nieopodal ujrzałem ślepcę siedzącego na drewnianym zydlu; miał długą, siwą brodę, wyciągał ręce przed siebie i mówił coś po grecku, nie zwracając się do nikogo konkretnego, a może po prostu zwracając się do wszystkich. Ludzie rzucali mu monety. Niektórzy przystawali na chwilę, by go posłuchać, a potem szli dalej. Z powodu wrzawy nie słyszałem, co mówi. W końcu poprosiłem Józefa, czy mógłbym mu dać jałmużnę i podejść do niego na chwilę, by go posłuchać.

Józef zastanowił się i wreszcie dał mi denara, co było sporą sumą. Wziąłem monetę, popędziłem do starca i usiadłem u jego stóp.

Mówił piękną greką, tak płynnie jak sam Filon. Recytował słowa psalmu:

— „Niech wołanie moje dojdzie do Ciebie, o Panie; przez swoje słowo daj mi zrozumienie! Niech dojdzie do Ciebie moja modlitwa, wyzwól mnie zgodnie z Twym słowem!”

Przerwał i zaczął szukać ręką monety, którą położyłem mu na kolanach. Położyłem rękę na jego dłoni. Oczy miał szare, zasnucone bielmem.

— A kimże jest ten, kto daje mi tak wiele i siada u moich stóp? — spytał. — Czy to syn Izraela czy też ktoś, kto szuka Pana wszystkiego?

— Syn Izraela, nauczycielu — odparłem po grecku. — Uczeń, który pragnie czerpać mądrość z siwizny twych włosów.

— A czego chciałbyś się nauczyć, moje dziecko? — spytał, spoglądając przed siebie. Wsunął monetę do pasa między fałdami wełnianej szaty.

— Nauczycielu, powiedz mi, kto to jest Christos Kyrios?

— Och, moje dziecko, wielu jest pomazańców — odparł starzec. — Lecz pomazaniec, który jest Panem? Jak myślisz, kto to może być, jeśli nie Syn Dawida, Król i Pomazaniec z korzenia Jessego, który będzie rządził Izraelem i przyniesie pokój ziemi Pana!

— Ale co to znaczy, rabbi, jeśli przy narodzinach Pomazańca śpiewali aniołowie i przyszli magowie, którzy podążali za gwiazdą i przynieśli mu dary? — spytałem.

— Och, to stara historia, moje dziecko. To ta historia z Betlejem, o dziecku, które urodziło się w stajence. Znasz ją, jak słyszę. Prawie nikt dzisiaj już o niej nie pamięta. To zbyt smutna opowieść. Myślałem, że już o niej zapomniano.

Usłyszawszy te słowa, zamarłem.

— Ludzie mówią: „Tu jest Mesjasz” i „Tam jest Mesjasz” — ciągnął dalej starzec, zamiast greckiego „christos” używając hebrajskiego słowa „mesjasz”. A przecież będziemy wiedzieli, kiedy przyjdzie Mesjasz, bo jakże mielibyśmy nie wiedzieć?

Byłem tak podekscytowany tym, co usłyszałem, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Powiedz mi, co mówi prorok Daniel, moje dziecko... O Synu Człowieczym, który przyjdzie... Jesteś tutaj, mój chłopcze?

— Tak, rabbi, jestem. Ale co to za historia o tym dziecku w żłobie, w Betlejem? Opowiedz mi, rabbi.

— To zbyt straszna opowieść, a zresztą kto w ogóle wie, co się tam naprawdę zdarzyło. Wszystko stało się tak szybko i było takie straszne. Tylko Herod mógł zrobić coś takiego. Tylko on, zły i żądny krwi morderca. Ale nie wolno mi mówić takich rzeczy, bo jego syn jest królem.

— Ale co on takiego zrobił, rabbi? Jesteśmy tu sami, nikogo nie ma obok nas.

Starzec ujął mnie za rękę.

— Ile masz lat, chłopcze? Twoja dłoń jest drobna, ale stwardniała od pracy.

Nie chciałem mu mówić o sobie, bo wiedziałem, że byłby zbyt zaskoczony.

— Muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło w Betlejem, rabbi. Błagam cię, powiedz mi!

Potrząsnął smutno głową.

— Coś, czego nie da się wyrazić słowami — zaczął. — Jak to się stało, że rządzi nami taka rodzina? W przyływie złości mordują własne dzieci! Ileż to swoich dzieci zabił Herod? Chyba pięcioro. A Cezar August, co powiedział o Herodzie, kiedy się dowiedział, że ten zabił dwóch swoich synów? Ze lepiej być wieprzem Heroda niż jego synem. — Roześmiał się.

Ja także się roześmiałem, przez wzgląd na niego, ale w głowie galopowały mi myśli.

— Chłopcze, powiedz mi — zaczął znowu starzec. — Teraz, kiedy jestem ślepy, nie mogę już czytać ksiąg, a były one dla mnie wszystkim, niosąc mi pociechę. Teraz muszę płacić, by ktoś mi czytał, a księgi są wszystkim, co posiadam, moim skarbem. Nie sprzedam ich, by zapłacić chłopcu, by mi czytał te, które mi zostaną. Nie mogę także oddać tych, które sam przepisywałem, ani tych przepisywanych starannie, jak nakazuje Prawo. Wyrecytuj mi ten fragment z Zachariasza: „W owym dniu... w owym dniu...” ostatni werset, moje dziecko.

— W owym dniu nie będzie już przekupnia w domu Pana Zastępów — powiedziałem.

Skinął głową.

— Słyszysz ich? — spytał.

Miał na myśli wymieniających pieniądze i ludzi, którzy się z nimi sprzecznali.

— Tak, słyszę, rabbi.

— Owego dnia! — powiedział z naciskiem. — Owego dnia!

Spojrzałem w jego oczy zasnutę bielmem. Zamglify się. Gdybym tylko... Ale przecież obiecałem. Gdybym tylko wiedział, że tak trzeba... ale przecież obiecałem.

Jego palce, miękkie, pokryte pyłem, zacisnęły się na mojej dłoni.

Przycisnąłem się do niego mocno i modliłem w sercu za niego. *Miłosierny Boże, jeśli tylko taka jest Twoja wola, udziel mu pocieszenia, przynieś mu ulgę...*

Obok mnie stanął Józef.

— Chodź, Jeshua — powiedział.

— Niech Bóg ci błogosławi, rabbi — zwróciłem się do starca i pocałowałem go w rękę. Machał długo w moją stronę, chociaż już mnie przy nim nie było.

Gdy Sara odpoczęła i podniosła się z ziemi, a Riba przywiązała mocno do siebie zawiniątko z niemowlęciem, skierowaliśmy się ku schodom prowadzącym do bramy Świątyni.

Kiedy znaleźliśmy się u ich szczytu, Józef, który trzymał mnie za rękę, przystanął, Jakub zaś szedł dalej i już kilka kroków nas wyprzedził.

W naszą stronę biegł starzec z siwą brodą, a jego oczy, zasnutę przed chwilą bielmem, lśniły teraz żywym blaskiem. Mrużąc powieki, rozglądał się wokół i przez chwilę przyglądał się bacznie Józefowi. Było to tak, jakby ujrzeć zmarłego, który nagle powrócił do życia.

Serce waliło mi jak młotem.

— Tu było przed chwilą dziecko! — wołał starzec. — Chłopiec! — Spojrzał przelotnie na mnie, potem na schody, rozejrzał się po ludziach w tłumie. — Chłopiec! Mógł mieć dwanaście albo trzynaście lat! — mówił z przejęciem. — Przed chwilą jeszcze słyszałem jego głos! Dokąd poszedł?

Józef pokręcił tylko głową, podniósł mnie silnym ramieniem i trzymając na rękach, zniósł po schodach, przez sklepione przejście, poza świątynne mury.

W drodze powrotnej nie odezwał się do mnie ani słowem.

Chciałem mu powtórzyć słowa mojej modlitwy, chciałem mu powiedzieć, że wypłynęła ona z głębi mojego serca, że nie chciałem zrobić niczego, czego nie powinienem, że tylko się modliłem i złożyłem moją modlitwę w ręce Pana.

## XXIV

Dni, które nastąpiły potem, były dla naszej rodziny pogodne i obfitujące w wydarzenia. Poszliśmy do Świątyni poddać się oczyszczeniu i, jak nakazywało Prawo, po drugim pokropieniu dokonaliśmy obmycia. A między pierwszym a drugim pokropieniem chodziliśmy po ulicach Jerozolimy, podziwiając wspaniałą biżuterię, księgi i tkaniny wystawione na sprzedaż na targu. Kleofas kupił nawet niewielką książeczkę po łacinie, a Józef nabył dla mojej matki piękny haft, by mogła przyszyć go do nakrycia głowy i tak ozdobione wkładać na wszystkie wesela w miasteczku.

W nocy w Betanii rozbrzmiewała muzyka i były nawet tańce.

Samo Święto Paschy zaś było jednym wielkim cudem.

Józef w obecności kapłana poderżnął barankowi gardło, a lewita zebrał krew. Potem baranek został upieczony, a jego mięso zjedliśmy, jak każe zwyczaj, razem z niekwaszonym chlebem i gorzkimi ziołami. Wysłuchaliśmy też opowieści o tym, jak byliśmy w niewoli w Egipcie i jak Pan wykupił nas z Egiptu, i przeprowadził przez Morze Czerwone do Ziemi Obiecanej.

Jedliśmy niekwaszony chleb, ponieważ kiedy uciekaliśmy z Egiptu, nie mieliśmy czasu, by przygotować chleb na zakwasie; spożywaliśmy gorzkie zioła, bo nasz pobyt w niewoli był czasem goryczy; jedliśmy baranka, bo byliśmy wolni i mogliśmy świętować na cześć Pana, który nas wybawił, i to właśnie krwią baranka pokropione były odrzwia domów Izraelitów w Egipcie, tak że Anioł Śmierci omijał je, kiedy przechodził przez Egipt, by zabić wszystkie pierwotne stworzenia, a to dlatego, że faraon nie chciał nas wypuścić.

I czyż wszystkie te obrzędy nie miały szczególnego znaczenia dla naszej rodziny, która rok temu wróciła z Egiptu, doświadczyła wojny i cierpienia i znalazła spokojną Ziemię Obiecaną w Nazarecie, z którego radośnie wyruszyliśmy do Świątyni Pana?

Nazajutrz po święcie, gdy wielu ludzi zaczęło opuszczać Jerozolimę i nasza rodzina także się zastanawiała, kiedy powinniśmy wyruszyć w drogę i co powinniśmy teraz robić, i kiedy Stara Sara będzie gotowa do podróży powrotnej, i zajmowały nas temu podobne sprawy, ja szukałem Józefa, ale nigdzie nie mogłem go znaleźć.

Kleofas powiedział, że ponieważ tłumy już się przeredziły, razem z matką poszedł na targ do Jerozolimy, by mogła kupić trochę nici.

— Chcę wrócić do Świątyni, żeby słuchać nauczycieli w Portyku Salomona — powiedziałem Kleofasowi. — Dzisiaj jeszcze nie wyruszamy do Nazaretu, prawda?

— Nie, dzisiaj nie. Poczekaj, poszukam kogoś, kto pójdzie z tobą — odparł Kleofas. — Warto, żebyś obejrzał sobie Świątynię, kiedy nie ma tam tylu ludzi, ale nie możesz pójść sam. — To powiedziawszy, wrócił do rozmowy z mężczyznami.

Józef od dnia naszego pobytu w Świątyni nie powiedział ani słowa o ślepcu. To, co się z nim stało i jak odzyskał wzrok, napełniło go lękiem. Kiedy schodził ze mną pospiesznie po schodach, nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz wiedziałem.

Nie wiedziałem jednak, czy dostrzegł zmianę, która we mnie nastąpiła. Ja wiedziałem, że z pewnością się zmieniłem.

Matka to dostrzegła, ale wcale jej to nie zmartwiło. Mnie samego zresztą też to zbyt nie niepokoiło. Po prostu przestałem biegać z innymi chłopakami, i tyle. Ponieważ spoglądałem teraz na świat innymi oczyma, stałem się cichy i spokojny, ale wcale nie byłem z tego powodu nieszczęśliwy czy smutny. Kiedy mężczyźni rozmawiali, przysłuchiwałem się im. Zwracałem uwagę na rzeczy, których przedtem nie zauważałem. I najczęściej wybierałem własne towarzystwo.

Od czasu do czasu miałem ochotę wybuchnąć złością na tych, którzy nie chcieli mi powiedzieć wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Ale kiedy przypominałem sobie starca, który nie chciał mówić o tych „strasznych rzeczach”, natychmiast rozumiałem, dlaczego milczą w tej sprawie. Matka i Józef próbowali mnie przed czymś ochronić, lecz ja już nie chciałem, by chronili mnie przed czymkolwiek. Musiałem wiedzieć.

Musiałem wiedzieć to, co wiedzieli wszyscy inni.

Wyszedłem na drogę prowadzącą do Świątyni. Ujrzałem zmierzającego w stronę Świątyni Józefa Kajfasza i kilku najbliższych członków jego rodziny. Pozdrowił mnie skinieniem głowy i uśmiechnął się do mnie.

Ruszyłem ich śladem, trzymając się w pewnej odległości za nimi.

Józef Kajfasz obejrzał się kilka razy i zawołał mnie po imieniu, co mnie zaskoczyło. Potem skinął ku mnie, bym podszedł bliżej i dołączył do nich, co uczyniłem, ale nadal szedłem kilka kroków za nimi. Cokolwiek by powiedzieć, moje szaty były brudne i zakurzone, a on i ci, którzy mu towarzyszyli i pewnie też byli kapłanami, mieli na sobie, tak jak zawsze, szaty z pięknego lnu.

Tak czy owak, zrobiłem to, co mi kazał Kleofas. Nie szedłem do Świątyni sam.

Kiedy dotarliśmy do wzgórza świątynnego, odłączyłem się od nich.

Na dziedzińcu pogan nie było już takich tłumów i po raz pierwszy mogłem dostrzec ogrom Świątyni i bogactwo jej zdobień. Było tak, jak powiedział Kleofas.

Ale nie to przyszedłem tutaj oglądać.

Od razu skierowałem swoje kroki do portyku Salomona, by słuchać nauczycieli.

Było ich tam bardzo wielu, przy niektórych zgromadziło się więcej słuchaczy, przy innych mniej. Ja jednak szukałem starca, kogoś sędziwego, z siwymi włosami.

Wreszcie znalazłem najstarszego, wychudłego mężczyznę o głęboko osadzonych i płonących blaskiem oczach, z głową przykrytą szalem, za uszami sterczały mu kępkę siwych włosów. Jego szaty zdradzały, że jest człowiekiem ubogim, a frędzle płaszcza przetykane były błękitną nicią. Zgromadził się wokół niego spory tłumek chłopców, a niektórzy wyglądali na znacznie starszych ode mnie.

Przyglądałem się mu i słuchałem uważnie.

Rzucał pytania co bardziej gorliwym chłopcom. Spoglądał w twarz każdego, który odpowiadał na jego pytanie. Śmiał się krótko i był to przyjazny, serdeczny śmiech, ale jego postawa i słowa wymuszały na słuchaczach szacunek. Mówił, co miał do powiedzenia, i nie wypowiadał zbędnych słów. A mówił szybko i dźwięcznie, jak młody człowiek.

Zadawał takie same pytania, jakie zadawali nam rabini w Nazarecie. Podszedłem bliżej i zacząłem odpowiadać. Widać było, że jest zadowolony z moich odpowiedzi. Gestem ręki zachęcił mnie, bym podszedł bliżej. Chłopcy rozstąpili się i zrobili mi miejsce u jego stóp. Nawet nie myślałem o Jakubie. Odpowiadałem bez namysłu na kolejne pytania. Rabbi Berechiasz dobrze mnie przygotował. Po pewnym czasie rabin podziękował mi z uśmiechem i zaczął zadawać pytania innym chłopcom.

Kiedy rozległ się dźwięk rogu na znak, że zostanie złożona wieczorna ofiara, przerwaliśmy naukę, by odmówić modlitwę.

A wówczas nadeszła chwila, na którą czekałem, chociaż nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie o to mi chodzi. Serce biło mi bardzo szybko. Chłopcy rozeszli się na spoczynek do swoich izb lub domów w Jerozolimie. Rabin natomiast skierował się w stronę świątynnej biblioteki, a ja razem z jednym czy dwoma innymi chłopcami ruszyłem za nim.

Biblioteka była ogromna, o wiele większa niż biblioteka Filona, i pełna zwojów. Wszędzie widać było pracujących skrybów, przepisyjących starannie tekst, z pochylonymi głowami, i wszyscy podnieśli się na znak szacunku, gdy ujrzeli starca.

Rabin przeszedł przez pomieszczenia dla skrybów do miejsca przeznaczonego tylko dla niego i pozwolił nam pójść ze sobą, co chwilę jeden lub drugi chłopiec zadawali mu pytania na temat Prawa.

Słyszałem, o czym rozmawiali, lecz nie zwracałem na to większej uwagi, ponieważ miałem tylko jeden cel.

Wreszcie zostałem sam z rabinem. Zajął miejsce przy swoim stole do pisania, a sługa przyniósł mu puchar wina. Zapalono już lampy. Wokół było pełno zwojów, w pomieszczeniu pachniało pergaminem, papirusem i płonąca oliwą. Czułbym się tutaj wspaniale, gdyby nie to, że serce waliło mi ze strachu jak oszalałe.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał starzec. — Czekałeś na tę chwilę bardzo długo. Powiedz, o co chodzi.

Czekałem przez chwilę, ale nie przyszła mi do głowy żadna myśl, żaden plan rozmowy. Dlatego po prostu opowiedziałem mu krótko tę historię.

— Osiem lat temu w Betlejem urodziło się dziecko. Kiedy przyszło na świat, aniołowie śpiewali o nim pasterzom. Nazwali go Chrystusem Panem. Jakiś czas potem przybyli trzej mężczyźni ze Wschodu, magowie z Persji, którzy przynieśli z sobą dary. Mówili, że to gwiazda doprowadziła ich do dziecka.

— Tak — odrzekł starzec. — Znam tę opowieść.

— Co się stało z tym dzieckiem?

— Dlaczego chcesz to wiedzieć? Dlaczego w ogóle cię to obchodzi?

— Błagam cię, powiedz mi. Dzień i noc nie myślę o niczym innym, tylko o tym. Nie mogę jeść ani pić i nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się czegoś o tym dziecku.

Zastanawiał się przez chwilę nad moimi słowami. Potem upił łyk wina.

— Dobrze, powiem ci — rzekł. — Po to, byś mógł to od siebie odsunąć i by cię to już więcej nie dręczyło. Abyś mógł zająć się nauką, tak jak powinienes to uczynić.

— Dobrze — odparłem.

— Ci magowie, jak ich nazywasz, trzej mędrcy przybyli do Jerozolimy. Potem zjawili się w pałacu Heroda, na południe od Betlejem. Mówili, że podążają za jakąś gwiazdą. Że widzieli znaki na niebie, które powiedziały im o narodzinach Króla. — Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej. — Widać było od razu ich bogactwo, byli odziani z przepychem. Towarzyszyła im cała karawana i słudzy i byli to z pewnością doradcy swych władców. Mieli dary, które chcieli ofiarować dziecku. Jednak w pobliżu Jerozolimy było rozsianych tyle domów, że nie wiadomo było, nad którym dokładnie zawisła gwiazda, i nie potrafili znaleźć miejsca pobytu dziecka. Herod przyjął ich i udawał, że także chce wiedzieć, kim miałby być ten nowy Król. — Starzec uśmiechnął się gorzko i upił kolejny łyk wina.

Czekałem na jego dalsze słowa.

— Wezwał nas, starszych, uczonych w Piśmie, wszystkich, którzy znali Pismo i wiedzieli, gdzie narodzi się prawdziwy Król Izraela. Chrystus. Udawał przed nami, jak zawsze w takich

sprawach, i odgrywał przedstawienie przed magami, błagając nas, byśmy powiedzieli mu, co przepowiadają Pisma.

Potrząsnął smutno głową, odwrócił ode mnie spojrzenie, powiódł wzrokiem po ścianach, a potem znowu spojrzął na mnie.

— Powiedzieliśmy mu, że miejscem narodzin Mesjasza ma być Betlejem. To była prawda, i tyle. Och, gdybyśmy mu o tym wówczas nie wspomnieli... Ale nie wiedzieliśmy wtedy, że w Betlejem właśnie przyszło na świat dziecko, którego narodzinom towarzyszyły cudowne znaki. Nie słyszeliśmy tych wszystkich opowieści, ponieważ dziecko miało zaledwie kilka dni. Nie słyszeliśmy też o tym, co mówili aniołowie, ani o matce — dziewicy. Wszystkiego dowiedzieliśmy się później, znacznie później. Zналиśmy tylko Pismo i uważaliśmy, że mężowie przybyli ze Wschodu to zwykli poganie, którzy wybrali się w bezsensowną podróż. I dlatego odparliśmy szczerze, zgodnie z prawdą. Co się tyczy Heroda, wiedzieliśmy doskonale, że ostatnią rzeczą, której mógłby chcieć, było odnalezienie prawdziwego Króla, Chrystusa.

Starzec pochylił głowę i zamilkł.

Jego milczenie stawało się dla mnie nie do zniesienia.

— Co się stało, rabbi? — zapytałem.

— Magowie poszli do Betlejem. Dowiedzieliśmy się o tym później. Znaleźli dziecko. Ofiarowali mu dary. Lecz nie wrócili do Heroda, jak o to prosił. Powrócili do swej ojczyzny jakąś inną, nieznaną drogą. A kiedy Herod zorientował się, że go oszukali, wpadł w szał. Wczesnym rankiem, kiedy było jeszcze ciemno, wysłał siepaczy ze swej fortecy i stojąc na tarasie pałacu, spoglądał w stronę Betlejem, a żołnierze tymczasem wchodzili do każdego domu w miasteczku i zabijali wszystkie dzieci, które nie ukończyły jeszcze dwóch lat!

Przerażony zakryłem usta dłonią. Czulem, że w mojej piersi wzbiera szloch.

— Wyrywali dzieci z objęć matek. Roztrzaskiwali im głowy o kamienie. Podrzynali gardła. Zabili wszystkie. Żadne nie uszło z życiem.

— Nie, to nieprawda! — wydusiłem półgłosem z najwyższym trudem. — Przecież nie mogli zrobić czegoś takiego!

— Zrobili — odparł starzec.

Czulem, że zaraz wybuchnę płaczem. Nie byłem w stanie się ruszać. Chciałem schować twarz w dłoniach, ale nie mogłem ich podnieść.

Zacząłem się trząść i płakać, całym ciałem i całą duszą.

Poczułem na ramionach dłoń rabina.

— Synu — zwrócił się do mnie. — Synu.

Ale ja nie mogłem się opanować.



Nie mogłem przestać i zarazem nie mogłem mu niczego wyjaśnić. Nie mogłem nikomu nic powiedzieć! A więc to się stało z powodu moich narodzin! Zacząłem krzyczeć przeraźliwie. Krzyczałem tak samo jak tamtej nocy, kiedy widziałem, jak płonie Jerycho, a groza, która paraliżowała mnie w tej chwili, była tysiąc razy większa niż tamten strach, tysiąc razy. Stałem skulony i nie mogłem się wyprostować.

Z boku podtrzymywali mnie jacyś ludzie. Rabin przemawiał do mnie łagodnie. Ale jego słowa ginęły w przerażającym lęku, który odczuwałem.

Widziałem niemowlęta. Widziałem ich głowy roztrzaskiwane o kamienie. Widziałem ich podryznane gardła. Widziałem podryznane gardła baranków zabijanych w Świątyni w dniu Święta Paschy. Widziałem krew. Widziałem krzyczące w przerażeniu matki. I nie mogłem powstrzymać płaczu.

Wokół mnie rozlegały się gorączkowe szepty. Czyjeś ręce mnie uniosły.

Ktoś położył mnie na posłaniu. Czulem, jak przyłożono mi do czoła wilgotną szmatkę. Łkałem, z trudem łapiąc oddech. Nie byłem w stanie otworzyć oczu. Wciąż miałem przed sobą umierające niemowlęta. Wciąż widziałem zarzynane baranki, krew na ołtarzu, krew niemowląt. Widziałem tego człowieka z dziedzińca Świątyni, przebitego włócznią. Widziałem, jak odwracają go na plecy. Widziałem Esterkę, naszą Esterkę, zakrwawioną. Niemowlęta na kamieniach. *Panie w Niebiosach, nie! Nie z mego powodu. Nie.*

— Nie, nie... — To było jedyne słowo, które bez przerwy powtarzałem, jeśli w ogóle cokolwiek mówiłem.

— Usiądź i wypij to!

Czyjeś ręce mnie podniosły i posadziły na posłaniu.

— Otwórz usta! Wypij to!

Dławiłem się, pijąc najpierw miód, potem wino. Próbowałem przełknąć.

— Przecież one wszystkie nie żyją, nie żyją, nie żyją! Nie wiem, jak długo trwało, nim zacząłem płakać głośno, ale tak, że płacz już mnie nie dusił ani nie dławił.

— Nie chcę spać — powiedziałem do ludzi stojących obok mnie. — Kiedy zasypiam, widzę je wszystkie.

## XXV

Było mi niedobrze i chciało mi się pić. Dotykały mnie troskliwe dłonie, a do uszu dobiegały czułe głosy. Dano mi do picia wino i miód. Spałem, a chłodne okłady przynosiły ukojenie. Nawet jeśli miałem jakieś sny, to ich nie pamiętałem. Słyszałem muzykę; niskie, miękkie głosy lewitów. Płynąłem jakby unoszony falą. Tylko od czasu do czasu widziałem niemowlęta, pomordowane niewinne dzieci, i wtedy płakałem. Wtulałem twarz w posłanie i płakałem.

Muszę się obudzić, myślałem, lecz nie mogłem tego zrobić. Kiedy się w końcu przebudziłem, było ciemno, a stary rabin spał na krześle. To wszystko było dla mnie jak senne marzenie i pograżyłem się z powrotem we śnie, nie będąc w stanie go przerwać.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy otworzyłem oczy i stwierdziłem, że już doszedłem do siebie.

Natychmiast pomyślałem o zamordowanych dzieciach, ale myśl ta nie wywołała już płaczu. Usiadłem na posłaniu i rozejrzałem się. W pomieszczeniu był stary rabin i gdy tylko zobaczył, że się przebudziłem, wstał od stołu. Był tam także inny mężczyzna, który również do mnie podszedł.

Ten drugi, młodszy, położył mi rękę na czole i spojrzał głęboko w oczy.

— No, już po wszystkim — powiedział. — No, mój mały. Wróciłeś do siebie. Teraz jeszcze coś powiedz.

— Dziękuję wam — rzuciłem. — Miałem obolałe gardło i wiedziałem, że to nie tylko od mówienia. — Dziękuję wam, że się mną zajęliście. Nie chciałem wpaść w taki stan.

— Chodź tutaj, mam dla ciebie świeże ubranie — powiedział młodszy mężczyzna. — Pomogę ci je włożyć.

Kiedy się podniosłem, zorientowałem się, że mam na sobie nową tunikę, i dobroć tych ludzi ujęła mnie za serce.

Kiedy wróciłem z kąpieli, odświeżony i przebrany, stary rabin odprawił młodego mężczyznę i kazał mi usiąść naprzeciwko siebie.

Był tam zydel. Chyba nigdy przedtem nie siedziałem na zydlu. Zrobiłem, jak mi kazał.

— Jesteś małym chłopcem — powiedział — a ja o tym zapomniałem. Jesteś małym chłopcem o wrażliwym sercu.

— Chciałem znać odpowiedzi na moje pytania, rabbi. Musiałem je poznać. Inaczej nigdy nie przestałbym pytać.

— Ale dlaczego? — spytał rabin. — To dziecko urodzone w Betlejem nie żyje już od ośmiu lat, jak sam powiedziałaś. No, tylko nie zacznij teraz znowu płakać.

— Nie, nie będę.

— No i matka — dziewica, kto by wierzył w takie rzeczy...

— Ja wierzę, rabbi — powiedziałem. — A to dziecko nie zginęło. Udało mu się uciec.

Spoglądał na mnie uważnie przez długą chwilę.

I wtedy właśnie odczułem cały mój smutek, całą moją samotność i oddzielenie od tych, którzy byli wokół mnie. Poczulem straszną gorycz.

Wiedziałem, że zlekceważy moje słowa i powie, że jeśli nawet dziecko uciekło z Betlejem, to cała opowieść o jego narodzinach to jakaś niestworzona historia i że o wiele bardziej przerażające są jatki, których dokonał Herod.

Zanim jednak zdołałem coś powiedzieć, usłyszałem za drzwiami głosy.

Przyszli matka i Józef. Matka już z daleka wykrzykiwała moje imię.

Podniosłem się natychmiast i gdy tylko ich ujrzałem, przywitałem ich jak należy i powiedziałem uczonemu w Piśmie w sąsiednim pomieszczeniu, że jestem ich synem.

Matka objęła mnie i przytuliła do siebie.

Józef ucałował ręce starego rabina.

Zaczął się pospieszne opowiadanie. Nie nadążałem za wszystkim, co mówiono, i zrozumiałem jedynie, że Józef i matka szukają mnie już od trzech dni.

Rabin chwalił moje odpowiedzi na pytania, które mi zadawał, kiedy słuchałem go razem z innymi chłopcami. Na ile mogłem się zorientować, nie wspomniał nic o naszej rozmowie o Betlejem ani o tym, co się ze mną działo.

Podszedłem do niego, pocałowałem go w ręce i podziękowałem mu za cały czas, jaki ze mną spędził, on zaś powiedział:

— A teraz idź już z rodzicami.

Józef chciał zapłacić rabinowi za opiekę, lecz ten nie przyjął pieniędzy.

Kiedy wyszliśmy na zalany słońcem dziedziniec pogan, matka ujęła mnie za ramiona i spojrzała na mnie.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała. — Umieraliśmy ze strachu o ciebie!

— Matko, muszę teraz o wszystkim wiedzieć — odparłem. — O rzeczach, o które nie wolno mi pytać ciebie ani Józefa. Muszę wiedzieć, na czym polega to, co mam robić! To był dla niej straszny cios. Z trudem mogłem znieść cierpienie malujące się na jej twarzy.

— Bardzo cię przepraszam — powiedziałem. — Bardzo przepraszam, ale taka jest prawda. Spojrzała na Józefa i skinęła głową.

Opuściliśmy razem Świątynię i skierowaliśmy się w dół, ku staremu miastu, a potem wąskimi uliczkami dotarliśmy do Synagogi Nazaretańczyków i weszliśmy do małej izdebki na piętrze. Tam mieszkali matka i Józef, gdy szukali mnie przez trzy dni w Jerozolimie.

Izdebka miała okno przesłonięte kratownicą z deszczulek, dające dość światła, i było tam czysto i schludnie.

Matka usiadła pod ścianą ze skrzyżowanymi nogami, a Józef wyszedł cicho na zewnątrz.

Czekałem dłuższą chwilę, aż wróci, ale się nie zjawiał.

— Usiądź i posłuchaj mnie — zwróciła się do mnie matka. Usiadłem na podłodze naprzeciwko niej. Światło padające z okna rozświetlało jej twarz.

— Nigdy ci o tym nie mówiłam — zaczęła. — Opowiem ci to teraz, tylko raz.

Skinąłem w milczeniu głową.

— Kiedy będę mówiła, nie przerywaj mi i o nic nie pytaj.

Skinąłem powtórnie głową.

Odwróciła się i nie patrząc na mnie, zaczęła opowiadać.

— Miałam trzynaście lat. Zaręczono mnie, tak jak to było w zwyczaju, dalekiemu krewnemu, Józefowi, który należał do naszego rodu. Stara Sara wypowiadała się o nim pochlebnie, kiedy rozmawiała z moimi rodzicami, jeszcze nim ja sama przybyłam do Jerozolimy, żeby tkać zasłony dla Świątyni. Prawie wcale go sobie nie przypominałam. Potem go spotkałam. Był dobrym człowiekiem.

Byłam wychowywana bardzo surowo. Nigdy nie wychodziłam z domu. Do studni po wodę chodzili słudzy. Kleofas nauczył mnie trochę czytać. Bardzo niewiele wiedziałam o świecie. Zaślubiny miały się odbyć w Nazarecie, dokąd moi rodzice przeprowadzili się z Seforis, by zamieszkać ze Starą Sarą. Właśnie w tym wielkim domu, w którym teraz wszyscy mieszkamy. Któregoś ranka obudziłam się wcześniej, sama nie wiedząc dlaczego. Na zewnątrz panował jeszcze mrok. Podniosłam się z posłania i przez chwilę stałam w izbie. Pierwsza myśl, jaka przysła mi do głowy, była taka, że woła mnie matka. Kiedy jednak poszłam do jej izby, zobaczyłam, że śpi głębokim snem.

Wróciłam do mojej izdebki, która była zalana światłem. To zdarzyło się w jednej chwili i bezgłośnie. Światło było wszędzie, docierało do każdego zakątka izby. Wszystko w niej trwało w ciszy i było skąpane w świetle. To światło nie raziło oczu, choć było bardzo jasne. Jeśli możesz sobie wyobrazić, że spoglądasz prosto w słońce, a ono cię nie razi, takie właśnie było to światło.

Wcale się nie bałam. Stałam i ujrzałam w świetle jakąś sylwetkę, jak postać człowieka, tylko że był to ktoś znacznie większy od człowieka i się nie poruszał. Wiedziałam, że to nie człowiek.

Przemówił do mnie głos. Powiedział, że znalazłam względy u Pana. Że jestem błogosławiona między kobietami.

I że z mojego łona wyjdzie syn o imieniu Jezus, będzie on wielki i będzie Synem Najwyższego. Powiedział, że Pan da mu tron jego ojca Dawida i że będzie panował nad domem Jakuba na wieki. Zaczęłam rozmawiać z owym głosem. Powiedziałam, że nigdy nie obcowałam z mężczyzną. Głos powiedział, że Duch Święty zstąpi na mnie. I że Święte Dziecko, które urodzę, będzie Synem Boga.

Matka odwróciła się i spojrzała na mnie po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła mówić.

— Ten głos, ta istota, anioł, chciał znać moją odpowiedź, a ja odparłam: „Jestem służebnicą Pana. Niech tak się stanie.

Prawie natychmiast poczułam w sobie nowe życie. O, nie, wcale nie ciężar niemowlęcia, bo to przychodzi później, ani nie żadne ruchy, nie. Ale zmianę. Wiedziałam, że to się dokonuje. Wiedziałam! Wiedziałam to z chwilą, gdy znikło całkowicie światło.

Wybiegłam z domu na ulicę. Nie zrobiłam tego świadomie. Nie wiedziałam, co robię. Krzyczałam. Krzyczałam na cały głos, że przyszedł do mnie anioł, że anioł mi się ukazał i przemówił do mnie, że wkrótce urodzę dziecko.

Przerwała.

— Wystawiłam się na pośmiewisko w Nazarecie i to aż po dziś dzień. Chociaż z czasem wielu zapomniało.

Słuchałam dalej w milczeniu.

— Najgorzej było powiedzieć o wszystkim Józefowi synowi Jakuba — mówiła dalej. — Moi rodzice czekali. Wierzyli mi, to prawda. Ale czekali. I kiedy zobaczyli, że ich córka, która jest dziewicą, nosi w sobie dziecko, kiedy nie było już co do tego żadnych wątpliwości, wtedy, ale dopiero wtedy zdecydowali się na rozmowę z Józefem. To, co wiedzieli z początku tylko oni, stało się wiadome wszystkim.

Ale i do Józefa przybył we śnie anioł. Józef nie wybiegł na ulicę i nie krzyczał o tym głośno, tak jak ja. Nie był to ten sam anioł, który odwiedził mnie i wypełnił światłem izbę. Anioł powiedział Józefowi, by wziął mnie za żonę. Józef nie przejmował się tym, co będzie mówić cała wioska. Musiał udać się do Betlejem na spis, porozmawiał z Kleofasem i postanowiono, że cała rodzina uda się do Betanii, gdzie Kleofas i ja zamieszkamy u Elżbiety i gdzie odbędą się moje zaślubiny z Józefem i w ten sposób skończymy to wszystko raz na zawsze. Podróżowaliśmy zimą, wędrówka była bardzo trudna, ale szliśmy razem, wyruszyli z nami także bracia Józefa, o czym już wiesz, i mały Jakub, nasz kochany Jakub.

Mówiła dalej, powoli, bez pośpiechu.

Opowiedziała mi teraz to samo, co opowiadał mi Jakub. O gospodzie, w której nie było miejsca, o stajni i zwierzętach, o pasterzach, którzy przyszli w nocy, o ich twarzach pełnych szczęścia i aniołach, które widzieli na niebie. Opowiedziała o magach i ich darach.

Słuchałem jej, udając, że słyszę to wszystko po raz pierwszy.

— Wiedziała, że będziemy musieli opuścić Betlejem. Zbyt dużo gadano o tym, co się stało. Najpierw pasterze, potem magowie. Ludzie przychodzili dniem i nocą. Wówczas zaraz po przebudzeniu któregoś ranka Józef powiedział, że opuszczamy Betlejem, i to natychmiast. Zawinęliśmy w tobołki wszystkie nasze rzeczy i wyruszyliśmy w ciągu godziny. Józef nie chciał powiedzieć, po co ten pośpiech, i wyjaśnił tylko, że w nocy, we śnie, znowu przyszedł do niego anioł.

Dopiero wieczorem dowiedziałam się, że idziemy na południe, do Egiptu. Tego pierwszego dnia wędrowaliśmy jeszcze długo w noc.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu i znów odwróciła wzrok.

— Wędrowaliśmy wszyscy z miejsca na miejsce — mówiła dalej. — Mieszkaliśmy w wielu miasteczkach w Egipcie. Mężczyźni brali każdą nadarzącą się pracę i nie żyliśmy biednie. Cieśle mogą pracować wszędzie. Ludzie byli dla nas dobrzy. Ty byłeś moim szczęściem i radością. Nie myślałam o niczym ani o nikim, tylko o tobie. Byłeś najśłodszym dzieckiem, takim, jakiego pragnie każda kobieta. Cały ten czas nie wiedziałam, dlaczego uciekaliśmy. Wreszcie zawędrowaliśmy do Aleksandrii i zamieszkaliśmy w Zaułku Cieśli. Bardzo mi się tam podobało. Salome i Ester także pokochały to miejsce. Podobnie jak Kleofas.

Dopiero po pewnym czasie dotarły do mnie wieści o tym, co się zdarzyło w Betlejem. Opowieści o narodzinach Mesjasza wywołały zazdrość i wściekłość króla Heroda. Z pobliskiej warowni posłał do Betlejem swoich żołnierzy. Zabili każde małe dziecko w wiosce! Dwieście dzieci zamordowanych przed świtem, w ciemnościach nocy.

Spojrzała na mnie uważnie.

Starąłem się nie płakać, nie poddawać się lękowi i drzeniu, lecz tylko słuchać w milczeniu.

Pochyliła głowę, a jej twarz stężała. Kiedy znowu na mnie spojrzała, miała oczy wilgotne od łez.

— Spytałam Józefa: „Wiedziałeś, że to się stanie? Czy anioł, który do ciebie przyszedł, ci to powiedział?” Józef odparł: „Nie, nie wiedziałem o tym”. A ja spytałam znowu: „Jak Pan mógł dopuścić, by zdarzyła się taka rzecz, morderstwo niewinnych dzieci!” — Przygryzła wargę. — Nie byłam w stanie tego pojąć. Powtarzałam sobie: „Mamy krew na rękach!”

Przez krótką chwilę myślałem, że zaraz się rozpłaczę, ale wysiłkiem woli się powstrzymałem.

— Józef powiedział mi: „Na naszych rękach nie ma krwi. Przyszli pasterze, by oddać pokłon temu dziecku. Przyszli poganie, by złożyć mu hołd. Zły król pragnął je zabić, ponieważ ciemność nie może trwać przy świetle, lecz światła nie da się stłumić i zdusić ciemnością. Ciemność zawsze próbuje pochłonąć światło. Lecz światło zawsze będzie świecić. Czy nie pojmujesz tego? Musimy go chronić i będziemy to robić, a Pan pokaże nam jak”.

Jej wzrok spoczął na mnie. Wpatrywała się we mnie długo i intensywnie. Potem wyciągnęła rękę i położyła mi na ramionach.

Cały czas milczałem.

— Jesteś zrodzony z Boga — wyszeptała do mnie z przejęciem. — Nie jesteś synem Boga, tak jak Cezar siebie nazywa; nie synem Boga, tak jak dobry człowiek nim jest. Nie synem Boga, tak jak król namaszczonego na władcę nazywa siebie synem Boga! Jesteś z Boga zrodzony!

Umilkła na długą chwilę i wpatrywała się we mnie, lecz było widać, że nie czeka na to, bym coś powiedział. Jej dłonie spoczywały mocno i pewnie na moich ramionach. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

Kiedy po chwili znowu zaczęła mówić, jej głos stał się cichszy, łagodniejszy.

— Jesteś synem Boga i Pana — powiedziała. — To dlatego potrafisz zabijać i przywracać do życia, dlatego potrafiłeś uzdrowić ślepcę, co widział Józef; dlatego możesz modlić się o śnieg i spadnie śnieg i dlatego możesz wieść dysputy z wujem Kleofasem, ilekroć ten zapomina, że jesteś jeszcze chłopcem; dlatego możesz ulepić wróble z gliny, a potem tchnąć w nie życie. Zachowaj w sobie swą moc. Strzeż jej aż do chwili, gdy twój Ojciec w Niebie powie ci, że nadszedł czas, by jej użyć. Jeśli uczynił cię dzieckiem, zrobił to po to, byś wzrastał w mądrości i kształcił się w każdej innej umiejętności.

Skinąłem powoli głową.

— A teraz wrócisz razem z nami do domu, do Nazaretu. Nie pójdziesz z powrotem do Świątyni. Wiem, że bardzo chciałbyś tam zostać. Ale nie zrobisz tego. Pan w Niebiosach nie posłał cię do domu nauczyciela w Świątyni ani do domu kapłana w Świątyni, ani do domu uczonego w Piśmie, ani do domu bogatego faryzeusza. Posłał cię do domu Józefa syna Jakuba, cieśli, i do poślubionej mu Miriam z pokolenia Dawida w Nazarecie. I dlatego wrócisz z nami do domu, do Nazaretu.

## XXVI

Spojrzelismy ostatni raz z Góry Oliwnej na Jerozolimę.

Józef powiedział mi to, o czym już wiedziałem, że trzy razy w roku będziemy przychodzić do Jerozolimy na wielkie święta i że dzięki temu poznam dobrze to wspaniałe miasto.

Droga powrotna do Nazaretu trwała bardzo krótko, ponieważ szliśmy tylko we troje. Ale i tak wędrowaliśmy bez pośpiechu, rozmawiając beztrzesko o pięknie rozciągającej się wokół nas krainy i o różnych drobiazgach codziennego życia.

Kiedy w końcu dotarliśmy na wzniesienie, skąd widać było wyraźnie nasze miasteczko, powiedziałem rodzicom, że już nigdy więcej nie postąpię w taki sposób jak w Jerozolimie; nigdy nie pójdę sobie dokądś bez słowa, tak jak zrobiłem to wówczas. Nie starałem się im wyjaśnić, co się wtedy stało. Powiedziałem po prostu, że nie muszą się już martwić tym, że być może któregoś dnia znowu oddalę się od rodziny.

Widziałem, że byli radzi z tego powodu, ale widziałem także, że nie chcą rozmawiać o tym, co się stało. Wyrzucili te wydarzenia ze swoich myśli, zaprzątniętych teraz codziennymi sprawami. Matka zaczęła od razu mówić o tym, co nas czeka w najbliższych dniach w domu, a Józef jej przytakiwał.

Zstał na mnie ogromny spokój. Szedłem obok nich, lecz byłem całkowicie pochłonięty sobą.

Myślałem o słowach Józefa przytoczonych przez matkę, że ciemność próbuje pochłonąć światło, lecz nigdy jej się to nie uda. Były to piękne słowa, ale tylko słowa.

Nie czując bólu ani smutku, nie płacząc, nie drżąc, ujrzałem znowu martwego mężczyznę ze Świątyni, ujrzałem baranka paschalnego, którego krew spływała do naczynia, ujrzałem dzieci, których nigdy nie widziałem, zabite w Betlejem. Widziałem łunę w Jerycho bijącą w nocne niebo. Przez mój umysł przepływały kolejne obrazy.

Kiedy dotarliśmy do domu, usiadłem, by odpocząć.

Podeszła do mnie Mała Salome i stanęła przede mną. Nie odezwałem się ani słowem, bo myślałem, że położy przede mną kubek lub naczynie zjedzeniem i odejdzie, jak to zawsze robiła, ponieważ już prawie cały czas była bardzo zajęta, małą kobietą.

Ale ona nie odeszła. Stała.

Wreszcie podniosłem głowę.

— O co chodzi? — spytałem.



Uklękła przy mnie i położyła mi dłoń na policzku. Spojrzałem na nią i przez chwilę miałem wrażenie, że jest jak dawniej, kiedy jeszcze mnie nie opuściła, by przebywać cały czas z kobietami. Spojrzała mi głęboko w oczy.

— Co z tobą, Jezu? — zapytała.

Przełknąłem niespokojnie ślinę. Czułem, że jeśli powiem to, co chcę powiedzieć, zabrzmiałoby zbyt patetycznie, ale w końcu rzekłem:

— Muszę się nauczyć tego, czego każdy musi się nauczyć. Nie wiem, czemu nie rozumiałem tego wcześniej. — Jeszcze raz stanął mi przed oczyma mężczyzna leżący na dziedzińcu świątyni. Baranek paschalny. Dzieci. Spojrzałem na nią.

— Wyjaśnij mi — poprosiła.

— Tak! — wyszeptałem bardziej do siebie niż do niej. — Dlaczego tego nie widziałem?

— Wyjaśnij mi — zachęciła mnie kolejny raz.

— To takie proste. To nic nie znaczy, dopóki samo nie przyjdzie, i naprawdę nieważne, kim się jest.

— Chcę wiedzieć — nalegała.

— Prawda jest taka: ktokolwiek przychodzi na ten świat, nieważne jak i z jakiego powodu, rodzi się, by umrzeć.

Nic nie powiedziała na moje słowa.

Podniosłem się z ziemi i wyszedłem przed dom. Zapadał zmrok. Przeszedłem uliczkę i ruszyłem w górę wzgórze, tam, gdzie trawa była miękka i nie podeptana przez ludzi ani zwierzęta. To było moje ulubione miejsce, niedaleko kępy drzew, tam lubiłem spędzać czas.

Spojrzałem w górę na kilka pierwszych gwiazd pojawiających się na ciemniejącym niebie.

Zrodzony, by umrzeć? Tak, zrodzony, by umrzeć. Jeśli nie, to dlaczego miałbym narodzić się z kobiety? Dlaczego miałbym ciało, skoro nie miałbym umrzeć? Ból był tak straszny, że sądziłem, że go nie zniosę. Wiedziałem, że jeśli nie przestanę o tym myśleć, wrócę do domu z płaczem. Ale nie, tak nie może się stać. Nigdy więcej.

Kiedy przyjdą do mnie anioły i przyniosą mi tak jasne światło, że przestanę się bać? Kiedy anioły wypełnią niebo śpiewem, tak iż je zobaczę? Kiedy anioły odwiedzą we śnie także mnie?

I w tej chwili, kiedy myślałem, że nagle pęknie mi serce, ogarnął mnie spokój.

Odpowiedź przyszła jakby z samej ziemi, z gwiazd, miękkiej trawy, pobliskich drzew, cichych wieczornych odgłosów.

Nie zostałem tu posłany po to, by znaleźć anioły! Nie zostałem posłany po to, by o nich śnić! Nie zostałem posłany po to, by słyszeć, jak śpiewają! Zostałem tu posłany, by żyć! By oddychać, pocić się, odczuwać pragnienie, a czasami płakać.

I wszystko, co zdarzyło się w moim życiu, wszystkie rzeczy, zarówno wielkie, jak i małe, były dla mnie okazją, by czegoś się nauczyć! W nieskończonym zamyśle Pana było miejsce dla każdej z tych rzeczy i musiałem w każdej z nich odnaleźć właściwą naukę, nawet jeśli jej poszukiwanie było bardzo trudne.

Omal się nie roześmiałem.

Było to takie proste, takie piękne. Gdybym tylko mógł zachować to w świadomości, to zrozumienie, tę chwilę, i nigdy o tym nie zapomnieć, gdy będą płynąć, jedno po drugim, kolejne dni; nigdy nie zapomnieć, chociażby nie wiadomo co miało się zdarzyć, nigdy nie zapomnieć, chociażby nie wiadomo co miało przyjść.

Tak, wiedziałem już, że dorosnę, że nadejdzie dzień, kiedy opuszczę Nazaret, wiedziałem to na pewno. Wyruszę w świat, by czynić to, co zostało dla mnie postanowione. Tak. A na razie? Na razie wszystko było jasne i opuścił mnie lęk.

Miałem wrażenie, jakby cały świat trzymał mnie w swych objęciach. Dlaczego wcześniej wydawało mi się, że jestem sam, opuszczony? Byłem w objęciach ziemi, w objęciach tych, którzy mnie kochali, niezależnie od tego, co myślą o tym wszystkim i co z tego rozumieją; w objęciach samych gwiazd.

— Ojcze — powiedziałem — jestem Twoim dzieckiem.

## POSŁOWIE

Każdą z napisanych przeze mnie od 1974 roku powieści poprzedzały badania historyczne. Moją ambicją i radością było to, aby tło historyczne moich książek, nawet jeśli roilo się w nich od zjawisk nadprzyrodzonych, a fabuła i bohaterowie byli owocem mojej nieskrępowanej wyobraźni, było zawsze zgodne z rzeczywistością. Z biegiem czasu zaczęłam słynąć z wierności i dokładności w odtwarzaniu owego tła. Jeśli akcja którejs z moich powieści rozgrywa się w osiemnastym stuleciu w Wenecji, można być pewnym, że szczegóły dotyczące opery, strojów, środowiska, w jakim obracają się bohaterowie, oraz uznawane przez nich wartości — wszystko to jest zgodne z prawdą historyczną.

Chociaż nie miałam takiego zamiaru, powoli cofałam się w czasie, począwszy od wieku dziewiętnastego, w którym czuję się najlepiej i który przedstawiony został w moich dwóch pierwszych książkach, aż do pierwszego stulecia naszej ery, kiedy to poszukiwałam odpowiedzi na najbardziej ważne pytania, jakie ośwładnęły moim umysłem do tego stopnia, że nie mogłam ich zlekceważyć.

Tym, co najbardziej nie dawało mi spokoju, była postać Jezusa Chrystusa, a mówiąc szerzej — narodziny chrześcijaństwa i upadek świata starożytnego. Chciałam wiedzieć przede wszystkim, co takiego zdarzyło się w pierwszym wieku i dlaczego większość ludzi nigdy nie zajmowała się tym tematem.

Nie muszę wyjaśniać, że w dzieciństwie, które przypadło na lata czterdzieste i pięćdziesiąte, otrzymałam bardzo surowe katolickie wychowanie w starym stylu, w irlandzkiej parafii w Stanach Zjednoczonych, którą dzisiaj określono by mianem katolickiego getta, gdzie uczęszczaliśmy codziennie na mszę z komunią do ogromnego kościoła o bogatym wystroju, zbudowanego przez naszych przodków, i to po części własnymi rękoma. Lekcje religii były dzielone: osobno dziewczynki, osobno chłopcy. Uczyliśmy się katechizmu, historii biblijnej i żywotów świętych. Okna z witrażami, msza po łacinie, szczegółowe odpowiedzi na złożone pytania dotyczące dobra i zła — wszystko to na zawsze wryło się w moją duszę, razem z mnóstwem wiadomości na temat historii Kościoła w postaci długiego łańcucha zwycięskich wydarzeń, między innymi takich jak pokonanie schizmy wschodniej i reformacji, których kulminacją był pontyfikat Piusa XII.

Opuściłam ten Kościół w wieku osiemnastu lat, ponieważ przestałam wierzyć w to, że „jest to jedyny, prawdziwy Kościół, założony przez Jezusa Chrystusa, by udzielać ludziom wszelkich łask”. Utraty wiary nie poprzedziło żadne wydarzenie z mojego życia osobistego.

Straciłam ją w kampusie świeckiego college'u. Doświadczylam tam oczywiście ogromnej presji seksualnej, ale przede wszystkim zetknęłam się ze światem, światem bez katolicyzmu, wypełnionym dobrymi ludźmi czytającymi książki, które były mi surowo zakazane. Chciałam czytać Kierkegarda, Sartre'a i Camusa. Chciałam wiedzieć, dlaczego tak wielu dobrych ludzi (a na to wskazywały ich czyny) nie wierzy w żadne zorganizowane formy religii, a równocześnie zwracają oni ogromną uwagę na swe postępowanie i wartości, za którymi opowiadają się w życiu. Jako wychowana według sztywnych zasad katoliczka nie miałam możliwości, by przyjrzeć się temu bliżej. Zerwałam z Kościołem, porzuciłam wiarę w Boga.

Kiedy dwa lata później wychodziłam za mąż, moim życiowym partnerem został Stan Rice, zaprzysięgły ateista, który nie tylko nie wierzył w Boga, ale miał wręcz graniczące z objawieniem i dające mu pewność przekonanie, że Bóg nie istnieje. Był to jeden z najbardziej godnych szacunku i kierujących się sumieniem ludzi, jakich znałam. Dla niego i dla mnie nasze pisarstwo było całym życiem.

W roku 1974 została wydana moja pierwsza powieść. Odzwierciedlała ona moje poczucie winy i nieszczęśliwe położenie będące skutkiem odcięcia się od Boga i zbawienia oraz poczucie zagubienia w tym pozbawionym Boga świecie. Jej akcja toczy się w wieku dziewiętnastym. Zbadałam go gruntownie, starając się znaleźć odpowiedzi na pytania dotyczące Nowego Orleanu, w którym się urodziłam, lecz w którym już nie mieszkałam.

Potem napisałam jeszcze wiele innych powieści, nieświadoma tego, że odzwierciedlają one moje poszukiwanie sensu w świecie pozbawionym Boga. Jak powiedziałam wcześniej, cofałam się coraz bardziej w czasie, starając się odpowiedzieć na pytania dotyczące tego, dlaczego w taki, a nie inny sposób potoczyły się pewne wydarzenia; dlaczego doszło do pewnych rewolucji, dlaczego królowa Elżbieta I była taka, a nie inna, kto naprawdę napisał sztuki Szekspira (tym tematem nie zajęłam się w żadnej z moich powieści), jaki naprawdę był włoski renesans i jak wyglądała plaga dżumy, która go poprzedziła. I jak narodził się feudalizm.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych znowu zamieszkałam w Nowym Orleanie, moimi sąsiadami byli uczęszczający do kościoła, a zarazem otwarci na świat katolicy, którzy bez wątplenia wywarli na mnie wpływ.

Muszę jednak powiedzieć, że oddałam się bez reszty badaniom na temat pierwszego wieku naszej ery również dlatego, że chciałam wiedzieć coś więcej na temat starożytnego Rzymu. Chciałam napisać powieść o tamtych czasach. Myślałam, że może przy okazji uda mi się odkryć coś, co chciałam wiedzieć przez całe życie i czego nigdy się nie dowiedziałam.

Jak naprawdę narodziło się chrześcijaństwo? I dlaczego upadł Rzym?

Dla mnie były to i wtedy, i wcześniej najważniejsze i ostateczne pytania. Wiązały się bezpośrednio z tym, kim jesteśmy dzisiaj.

Pamiętam, jak w latach sześćdziesiątych byłam na przyjęciu wydanym na cześć pewnego poety w pięknym domu w San Francisco. Był tam jeden profesor z Europy. Kiedy siedzieliśmy sobie we dwoje na sofie, spytałam: „Dlaczego upadł Rzym?” Zaczął odpowiadać na moje pytanie, a trwało to dwie godziny.

Nie zdołałam przyswoić wszystkiego, co mówił, ale na zawsze zapamiętałam to, co zrozumiałam z jego opowieści, a mianowicie że całe zboże dla Rzymu dostarczano z Egiptu, a wokół Wiecznego Miasta rozłożyły się wille bogaczy i że tłumy biedoty karmiono rozdawanymi pszenicą i oliwą.

Był to cudowny wieczór, ale wychodząc z przyjęcia, wątpiłam, czy zrozumiałam, co naprawdę stało się z Rzymem.

Historia Kościoła katolickiego, którą poznałam bez szerszego kontekstu jako bardzo młoda osoba, dała mi świadomość naszego dziedzictwa kulturowego. Dlatego bardzo chciałam poznać ów kontekst i zrozumieć, dlaczego wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej.

Kiedy miałam dziesięć, a może jedenaście lat, często kładłam się na łóżku mamy, próbując czytać niektóre z jej książek. Przeczytałam wówczas zdanie mówiące o tym, że reformacja podzieliła kulturę Europy. Pomyślałam, że to absurd, i spytałam mamę, czy to prawda. Powiedziała, że tak. Nigdy tego nie zapomniałam. Przez całe życie chciałam zrozumieć, co to znaczy.

W roku 1993 zagłębiłam się w czasy starożytnego Rzymu i oczywiście cofnęłam się jeszcze bardziej w przeszłość, do historii Sumeru, Babilonii i całego Bliskiego Wschodu, a potem na powrót do Egiptu, którego dzieje zgłębiałam w college'u, i wgryzałam się w to wszystko. Czytałam specjalistyczne teksty archeologiczne przypominające powieści detektywistyczne, w których szuka się pewnego schematu wydarzeń, i byłam zafascynowana historią Gilgamesza i takimi szczegółami, jak narzędzia murarskie w dłoniach posągów przedstawiających starożytnych królów.

Napisałam w tamtym okresie dwie powieści będące odzwierciedleniem moich ówczesnych poszukiwań. Zdarzyło się jednak wówczas coś, czego nie da się przedstawić w żadnej książce.

Natknęłam się na tajemnicę bez rozwiązania, na tajemnicę tak ogromną, że zrezygnowałam z wszelkich prób poszukiwań jej rozwiązania, gdyż była ona wprost niewiarygodna. Chodzi o przetrwanie Żydów jako narodu.

Kiedy siedziałam na podłodze w moim gabinecie, otoczona książkami na temat Sumeru, Egiptu i Rzymu, a obok leżały jakieś sceptyczne publikacje na temat Jezusa, które przez przypadek wpadły mi w ręce, nie mogłam pojąć, jak Żydzi przetrwali jako tak wielki naród.

Była to tajemnica, która przyciągnęła mnie z powrotem do Boga. Wzbudziła myśl, że być może jednak Bóg istnieje. A kiedy to się stało, zaczęło rosnać we mnie — mniejsza z tym z jakiego powodu — ogromne pragnienie, by powrócić na ucztę. W roku 1998 wróciłam do Kościoła katolickiego.

Ale nawet wówczas byłam daleko od pytania o Jezusa Chrystusa i początki chrześcijaństwa. Oczywiście czytałam Biblię i w czasie lektury zawsze zdumiewała mnie jej różnorodność, poetycki język i zaskakujące portrety kobiet, a także obecność niezrozumiałych, a nierzadko krwawych i brutalnych szczegółów. Kiedy byłam w depresji, co zdarzało mi się dość często, prosiłam kogoś, by czytał mi na głos, i wybierałam zazwyczaj filologiczne tłumaczenie Nowego Testamentu autorstwa Richmonda Lattimore'a, które jest cudownie dosłowne i piękne i bardzo wiele odsłania, jakby otwierając na nowo tekst.

W roku 2002 odłożyłam na bok wszystko inne i postanowiłam całkowicie się skupić na poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, które dręczyły mnie całe życie. Decyzja ta dojrzała we mnie w lipcu tego roku. Czytałam regularnie Biblię, czytałam na głos fragmenty mojej siostrze, ślezczałam nad Tanachem (Starym Testamentem) i w końcu postanowiłam, że poświęcę się próbom zrozumienia postaci samego Jezusa i tego, jak narodziło się chrześcijaństwo.

Chciałam przedstawić życie Jezusa Chrystusa. Wiedziałam o tym od dawna, lecz dopiero teraz byłam gotowa. Byłam także przygotowana na to, że w ten sposób mogę zaprzepaścić moją karierę. Chciałam napisać książkę, której narratorem będzie sam Jezus. Nic innego nie miało dla mnie znaczenia. Ofiarowałam ją Chrystusowi.

Ofiarowałam siebie i moją pracę Chrystusowi. Nie wiedziałam jeszcze dokładnie, jak to zrobić.

Wtedy nawet nie wiedziałam, jaki będzie mój Jezus.

Przyswoiłam sobie wiele modnych teorii na Jego temat — że już o Nim za dużo powiedziano i napisano, że Ewangelie to „późne” dokumenty, że tak naprawdę nic o Nim nie wiemy, że chrześcijaństwo jako ruch od samego początku naznaczone jest przemocą i wewnętrznymi sporami. Kupiłam mnóstwo książek o Jezusie, które zapełniły półki w moim gabinecie.

Jednak prawdziwe poszukiwania rozpoczęły się w lipcu 2002 roku.

W sierpniu przeniosłam się do mojego domku na plaży, żeby usiąść i napisać planowaną książkę. Cóż za naiwność! Nie miałam pojęcia, że wkraczam na obszar, w którym nikt się z

nikim nie zgadza w jakiegokolwiek kwestii, niezależnie od tego, czy mówimy o liczbie mieszkańców Nazaretu w czasach Jezusa, poziomie życia Jego rodziny, stosunku Żydów do mieszkańców Galilei czy o tym, dlaczego Jego imię i postać stały się znane i dlaczego został skazany na śmierć, i dlaczego Jego naśladowcy wyszli do świata.

Jeśli chodzi o zakres badań, był on praktycznie nieskończony. Literatura dotycząca Nowego Testamentu obejmuje wszystkie rodzaje publikacji, jakie tylko można sobie wyobrazić, począwszy od książek sceptycznych, których autorzy starają się zadać kłam temu, że Jezus miał jakikolwiek wpływ na religię lub powstanie trwałego Kościoła, a kończąc na takich, które skrupulatnie rozprawiają się z każdą wątpliwością sceptyków za pomocą przypisów zajmujących pół strony.

Bibliografie zdawały się nie mieć końca. Dysputy rodziły czasem animozje.

Także podstawowy materiał źródłowy dotyczący pierwszego stulecia był przedmiotem nieustannych kontrowersji; jedni uważali Ewangelie za źródło o drugorzędym znaczeniu, inni przeciwnie; jeżeli chodzi o *Dzieje wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom* Józefa Flawiusza i prace Filona z Aleksandrii, to zostały one poddane wyczerpującej analizie i wypowiedano sprzeczne opinie na temat ich znaczenia i wiarygodności oraz tego, czy zawierają prawdę.

Oprócz tego pozostawała kwestia rabinów. Czy Miszna, Tosefta i Talmud przekazują dokładny obraz pierwszego wieku naszej ery? Czy wspominają Jezusa? A jeśli nie, to co z tego, skoro nie mówią także o Herodzie, który zbudował Świątynię?

Wszystko to czekało na mnie.

Cofnę się jednak trochę w czasie. W roku 1999 mój wydawca i długoletni mentor w wielu sprawach przysłał mi egzemplarz książki Pauli Fredriksen *Jesus of Nazareth. King of the jews*. Przeczytałam najważniejszą część książki, w której Fredriksen w bardzo piękny sposób odtworzyła żydowskie środowisko, w jakim być może dorastał Jezus, mieszkając jako chłopiec w Nazarecie i wędrując razem z rodziną na obchody Święta Paschy do Jerozolimy. Fredriksen bardzo mocno podkreślała — tak to rozumiałam — że Jezus był Żydem i należy o tym pamiętać, kiedy się o Nim pisze lub próbuje Go zrozumieć.

Sześć lat później napisałam książkę, dla której bez wątpienia inspiracją była scena opisana przez Fredriksen, i pozostaje mi tylko wyrazić jej moją pokorną wdzięczność i przyznać się do tego, że jej praca wywarła na mnie ogromny wpływ.

Oczywiście to, w co wierzę, sytuuje się na przeciwległym biegunie w stosunku do tego, w co wierzy Fredriksen, a wyraźnie pokazuje to książka *Chrystus Pan*. Nie ulega jednak wątpliwości, że to Fredriksen mnie ukierunkowała, każąc spojrzeć bliżej na Jezusa jako Żyda, i że właśnie od tego rozpoczęły się moje poważne badania nad Jego osobą.

Wróćmy jednak ponownie do roku 2002. Gdy zabrałam się na serio do pracy, któregoś dnia zadzwonił mój mąż. Miał pierwsze objawy raka mózgu, z powodu którego umarł niecałe cztery miesiące później.

Byliśmy małżeństwem od czterdziestu jeden lat. Kiedy powróciłam do Kościoła, mój mąż zgodził się wziąć ze mną ślub katolicki we wspaniałym, starym kościele, do którego uczęszczałam w dzieciństwie, a słowa przysięgi małżeńskiej powtarzaliśmy za moim kuzynem, który jest księdzem. Było to cudowne ustępstwo ze strony utwierdzonego w swoich przekonaniach ateisty. A przecież z miłości dla mnie to zrobił. Czterdzieści jeden lat wspólnego życia. A teraz odszedł.

Czy celowo otrzymałam ten dar przed tą tragedią, by mnie podtrzymywał i pozwolił przez nią przejść? Nie wiem. Wiem tylko, że w ostatnich tygodniach życia mój mąż, kiedy jeszcze zachował świadomość, stał się świętym. Okazywał miłość wszystkim, którzy byli wokół niego, i zrozumienie tym, których wcześniej nie rozumiał. Chciał, by nie zapomniano o upominkach dla tych, którzy pomagali mu w chorobie. Wcześniej, już na wpół sparalizowany, zdołał namalować trzy wspaniałe obrazy. Tego z pewnością nie mogę pominąć. Potem, po okresie miłości i zrozumienia, zapadł w śpiączkę i umarł. Pozostawił po sobie ponad trzysta obrazów, stworzonych w ciągu piętnastu lat, wiele tomików poezji, z których większość opublikowano w tym samym czasie, a także tysiące wierszy, które nie ukazały się drukiem. Poświęcona mu galeria zostanie wkrótce przeniesiona z Nowego Orleanu do Dallas w Teksasie, gdzie się urodził.

W czasie choroby i po śmierci męża nie zaprzestałam moich badań. Moje książki były dla mnie podporą. Powiedziałałam mu, o czym piszę. Uznał, że to wspaniałe, i nie szczędził pochwał.

Od jego śmierci w grudniu 2002 roku aż do roku 2005 cały czas zajmowałam się okresem Nowego Testamentu i zgłębiałam go. Czytałam bez przerwy, dniem i nocą.

Zapoznałam się z ogromną ilością pełnych sceptycyzmu prac, śledziłam zajadłe spory i żarłocznie pochłaniałam podstawowe źródła, jakimi są teksty Filona i Józefa Flawiusza, których lektura sprawia mi ogromną przyjemność.

Kiedy zaczynałam czytać krytyczne opinie sceptyków, którzy czerpali wskazówki z prac najwcześniejszych podobnie nastawionych badaczy okresu Nowego Testamentu piszących w epoce oświecenia, spodziewałam się, że ich argumenty będą bardzo mocne i trudne do podważenia i że będzie z nich wynikać, że chrześcijaństwo to w istocie jedno wielkie oszustwo. Musiałabym wówczas podzielić umysł na dwie części, jedną, w której zamieszkiwałaby wiara, i drugą, w której mieszkałaby prawda. Co wówczas napisałabym o moim Jezusie? Nie miałam



pojęcia. Jednak perspektywy ukazane w tych pracach były interesujące. Bez wątpienia Jezus był człowiekiem o liberalnych poglądach, żonatym, posiadającym dzieci, homoseksualistą, i Bóg jeden wie, kim jeszcze. Zanim jednak napisałam choćby jedno zdanie, musiałam dokończyć moje badania.

Wszyscy sceptyczni autorzy byli bardzo pewni siebie. Opierali całą konstrukcję swoich książek na paru opiniach, nie troszcząc się bynajmniej o ich weryfikację. Jakże bowiem można było zakładać, iż są one błędne? Badacze żydowscy bardzo skrupulatnie przedstawiali swój punkt widzenia. Nie ulega wątpiwości, że Jezus był po prostu pilnie przestrzegającym Praw Żydem lub pierwszym chasydem. Ukrzyżowano Go, ot i koniec całej historii.

Czytałam, czytałam, czytałam. Czasami w trakcie lektury miałam wrażenie, że jak Psalmista, wędruję „przez ciemną dolinę”. Nie rezygnowałam jednak, gotowa postawić wszystko na jedną kartę. Musiałam się dowiedzieć, kim był Jezus, albo, mówiąc inaczej, jeśli ktokolwiek wiedział, kim był Jezus, musiałam wiedzieć to, co ta osoba.

Nie znałam greki, łaciny ani hebrajskiego, ale jak każdy badacz potrafiłam śledzić logikę czyjegoś wywodu. Mogłam sprawdzić przypisy i odwołania do bibliografii; sięgnąć do tekstów biblijnych w języku angielskim. Mogłam sprawdzić wszystkie będące w moim posiadaniu tłumaczenia, a mam każde znane mi tłumaczenie, począwszy od Wycliffe’a, a kończąc na przekładzie, którego dokonał Lamsa, łącznie z *New Annotated Oxford Bible* i *Biblią Króla Jakuba*, którą szczególnie lubię. Mam stary przekład katolicki i każde tłumaczenie filologiczne, do którego udało mi się dotrzeć. Mam tłumaczenia pozostające poza głównym nurtem przekładów, o których nie wspominają badacze, takie jak przekład Barnstone’a i Schonfielda. Kupiłam każde dostępne tłumaczenie, licząc na to, że któreś z nich może rzucić światło na jakiś niezrozumiały dla mnie werset.

Stopniowo dotarło do mnie, że wielu argumentom zrodzonym ze sceptycyzmu, na przykład takim, że większość Ewangelii to teksty budzące wątpiwości, lub takim, że zostały one spisane zbyt późno, by mogły stanowić relację naocznych świadków — brak spójności. Argumenty nie były klarowne. Te, które dotyczyły samego Jezusa, opierały się na domysłach. Niektóre książki były jedynie zbiorami przypuszczeń, u podłoża których leżały inne przypuszczenia. Autorzy wyciągali absurdalne wnioski na podstawie nikłych dowodów lub nie odwołując się do żadnych dowodów.

W skrócie, cała argumentacja mówiąca o tym, że Jezus wcale nie był Bogiem i przypadkiem znalazł się w Jerozolimie, gdzie Go przypadkiem ukrzyżowano, chociaż wcale Go nie ukrzyżowano, i nie miał nic wspólnego z założeniem chrześcijaństwa, i przeraziłby się, gdyby wiedział coś dzisiaj na Jego temat — innymi słowy, wizja Jezusa popularna w kręgach

liberalnych, w których jako ateistka obracałam się przez trzydzieści lat — nie została poparta żadnymi przekonującymi dowodami. I nie tylko to. W trakcie moich lektur natknęłam się na przypadki najbardziej niechlujnego i tendencyjnego prowadzenia badań naukowych, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia.

Prawie żadne badania prowadzone z punktu widzenia sceptyków nie były przekonujące, Ewangelie zaś, rozdzierane na strzępy przez krytyków i rekonstruowane na powrót przez różnych teoretyków, traciły całą siłę wyrazu. Kiedy traktowano je jako zlepek różnych treści i zapis doświadczenia „wspólnot” z późniejszego okresu, przestawały fascynować czytelnika.

Nie przekonały mnie najbardziej zwariowane twierdzenia tych, którzy mienili się dziećmi oświecenia. Wyczuwałam w nich także coś innego. Wielu tych uczonych, ludzi, którzy, jak wszystko na to wskazywało, poświęcili całe życie studiowaniu Nowego Testamentu, darzyło niechęcią Jezusa Chrystusa. Niektórzy użalali się nad Nim, mając Go za beznadziejnego nieudacznika. Inni szydzili z Niego, a jeszcze inni odczuwali wobec Niego pogardę. To można było wyczytać między wierszami. Tym emanowały ich teksty.

W żadnej innej dziedzinie nie spotkałam się z tym, by autorzy byli zaangażowani emocjonalnie w stosunku do osoby stanowiącej przedmiot ich badań, a przynajmniej nie do tego stopnia. Było to intrygujące.

Osoby podejmujące studia nad epoką elżbietańską nie przystępują do pracy z zamiarem udowodnienia tezy, że królowa Elżbieta I była głupia. Nie ma w nich osobistej niechęci wobec angielskiej monarchini. Nie formułują kpiących uwag ani nie poświęcają całej swojej kariery naukowej na to, by zburzyć jej historyczną reputację. Podchodzą do niej w zupełnie inny sposób. Nie okazują niechęci, podejrzliwości ani pogardy także w stosunku do innych postaci tamtego czasu. Jeśli tak się dzieje, osoba, którą wzmiankują, nie znajduje się w centrum ich zainteresowania. Zdarza się, że uczoney bada życie jakiegoś łotra i złooczyńcy. Ale nawet wówczas zazwyczaj na końcu stara się wskazać jego dobre cechy i miejsce w historii lub na okoliczności łagodzące, uzasadniające samo podjęcie badań. Historycy analizujący różne tragiczne w skutkach wydarzenia bywają bardzo krytyczni wobec władców lub środowiska społecznego czy politycznego danych czasów, to prawda. W zasadzie jednak uczeni nie spędzają całego życia w towarzystwie postaci historycznych, którymi otwarcie gardzą.

A tymczasem istnieją badacze Nowego Testamentu, którzy gardzą Jezusem Chrystusem i darzą Go niechęcią. Oczywiście dobrze jest, że panuje wolność w badaniach naukowych, i dobrze, że studia biblijne rozwinęły się na taką skalę i mają tak ogromny wkład w nasze rozumienie tamtych czasów. Nie jestem w żadnym razie za cenzurą. Apelowałabym jednak do wszystkich czytelników o to, by byli bardziej wyczuleni. Apelowałabym o odrobinę

ostrożności w odniesieniu do całej tej dziedziny badań. Gdyż to, co może wyglądać na solidną podstawę, może wcale nią nie być.

Ogromnie niepokoiła mnie także jeszcze jedna rzecz.

Wszyscy sceptycy upierali się, że Ewangelie były późnymi dokumentami i że zawarte w nich proroctwa zostały zapisane po zburzeniu Jerozolimy. Jednak im więcej czytałam o tym wydarzeniu, tym bardziej nie potrafiłam tego pojąć.

Zburzenie Jerozolimy było rzeczą przerażającą i dokonało się w czasie strasznej i katastrofalnej w skutkach wojny, która trwała na terenie Palestyny przez wiele lat i po której nastąpiły kolejne bunty i prześladowania Żydów, w rezultacie czego Rzym wprowadził surowe prawa mające ukarać cały naród. Kiedy czytałam o tych wydarzeniach u S. G. F. Brandona i u Józefa Flawiusza, zdumiał mnie opis szczegółów tej budzącej grozę tragedii, na skutek której zniszczona została na zawsze największa świątynia starożytnego świata.

Nigdy wcześniej nie zmierzyłam się tak naprawdę z tymi wydarzeniami, nigdy wcześniej nie starałam się ich zrozumieć. Teraz jednak uważam za całkowicie niemożliwe to, by autorzy Ewangelii nie włączyli opisu zniszczenia Świątyni do swego dzieła, gdyby rzeczywiście pisali je już po tym wydarzeniu, jak podkreślają to zdecydowanie krytycy.

To po prostu nie miałyby żadnego sensu.

Autorzy Ewangelii należeli do judeochrześcijan. Takie było na początku chrześcijaństwo. Istotą samoświadomości judaizmu była historia wyzwolenia z niewoli egipskiej, a potem z niewoli babilońskiej. Jednak przed wyzwoleniem z tej drugiej nastąpiło zniszczenie Świątyni w Jerozolimie, a potem uprowadzenie do Babilonu. Tu mamy kolejną wielką wojnę. Czy autorzy chrześcijańscy nie wspomnieliby o niej, gdyby ją widzieli na własne oczy? Czy w upadku Jerozolimy nie dostrzegaliby echa podboju Nabuchodonozora? Oczywiście, że tak. Pisali zarówno dla Żydów, jak i dla pogan.

Sceptycy odsunęli na bok tę kwestię, zakładając po prostu, że Ewangelie to późne dokumenty, dlatego że są w nich wspomniane proroctwa. To zupełnie nieprzekonujący argument.

Zanim zostawię na dobre problem wojny żydowskiej i zburzenia Świątyni, pozwolę sobie na jeszcze jedną uwagę. Kiedy uczeni żydowscy i chrześcijańscy przystąpią do poważnego badania dziejów tej wojny, kiedy zaczną naprawdę analizować, co się zdarzyło w ciągu strasznych lat oblężenia Jerozolimy, zburzenia Świątyni i powstań, do których nieustannie dochodziło w Palestynie aż po ostatnie powstanie Szymona bar Kochby, kiedy zajmą się prześladowaniem chrześcijan przez Żydów w Palestynie, wojną domową w Rzymie w latach sześćdziesiątych, którą tak znakomicie opisuje Kenneth L. Gentry w swojej pracy *Before*

*Jerusalem Feli*, a także prześladowaniem Żydów w diasporze w tym samym okresie — innymi słowy, kiedy ten mroczny czas rozświetli światło badań — wówczas studia biblijne ulegną zasadniczej zmianie.

Obecnie uczeni nie przywiązują należytej wagi do realiów tamtego okresu lub całkowicie je ignorują. Dla niektórych jest to liczący sobie dwa tysiące lat wstydlivy problem, a ja nie rozumiem dlaczego.

Jestem przekonana, że kluczem do zrozumienia Ewangelii jest przyjęcie, że zostały one napisane, nim to wszystko się zdarzyło. To dlatego przechowano teksty, nie kwestionując niczego, chociaż przeczą sobie nawzajem. Pochodzą z okresu, który dla późniejszych chrześcijan został stracony na zawsze w następstwie historycznej katastrofy.

Kontynuując moje poszukiwania, natrafiłam na badania prowadzone w zupełnie innym duchu niż badania sceptyków, a mianowicie na pracę Johna A. T. Robinsona *The Priority of John*. Czytając jego opisy, w których z całą powagą traktuje słowa czwartej Ewangelii, ujrzałam wszystko, co przydarzyło się Jezusowi według tekstu Jana.

To był punkt zwrotny. Mogłam teraz wejść w czwartą Ewangelię i ujrzeć Jezusa jak żywego. Wreszcie po jakimś czasie dostrzegłam szczególną spójność wszystkich Ewangelii, tak jakby każda miała własną osobowość — oczywiście i nieuniknione piętno indywidualnego autorstwa.

Nie muszę dodawać, że John A. T. Robinson znacznie lepiej niż ja uzasadnił hipotezę o wczesnym powstaniu Ewangelii. Zrobił to w błyskotliwy sposób w roku 1975, a następnie przeprowadził miazdzącą krytykę stanowiska liberalnych badaczy i ich założeń w pracy *Redating the New Testament*, wszystkie jego twierdzenia zaś nadal pozostają prawdą.

Po Robinsonie dokonałam jeszcze wielu innych wspaniałych odkryć, a jednym z nich była praca Richarda Bauckhama *The Gospel for All Christians*, w której odrzuca on pogląd, jakoby Ewangelie były dziełem odizolowanych wspólnot, i pokazuje to, co oczywiście: że spisano je po to, by były rozpowszechniane i czytane przez wszystkich.

Należy także wspomnieć prace Martina Hengela, który w doskonały sposób obnaża wszystkie fałszywe założenia, a jego osiągnięcia są ogromne. Nadal czytam uważnie wszystko, co napisał.

Nie sposób przecenić znaczenia badań Jacoba Neusnera. Jego tłumaczenia Miszny i Tosefty są bezcenne, a jego rozprawy powalają na kolana. To gigant myśli. Jeśli chodzi o uczonech judaistycznych, bez wątpienia należy czytać Gezę Vermesa i Davida Flussera. Ten drugi zwrócił moją uwagę na takie rzeczy w Ewangelii według świętego Łukasza, których wcześniej nie dostrzegałam.

Spośród istotnych w moim mniemaniu prac o charakterze ogólnym, traktujących o rozwoju postaci Jezusa w sztuce, należy wspomnieć wspaniałą książkę Charlotte Allen *The Human Christ*, owoc badań pokazujących, jak najwcześniejsze poszukiwania historycznego Jezusa wpłynęły na sposób prezentowania Go w filmach i powieściach. Podobnie pomocny był dla mnie zawsze Timothy Lukę Johnson, a także prace Raymonda E. Browna i Johna P. Meiera. Należy także zwrócić uwagę na niesłychanie ważną pracę Seana Freyne'a o Galilei, a także prace Erica M. Meyersa.

Muszę także wspomnieć książkę Larry'ego Hurtado *Lord Jesus Christ* oraz Craiga L. Bloomberga *The Historical Reliability of Johns Gospel*, a także pracę Craiga S. Kelnera, którą dopiero co zaczęłam czytać. Mój nieklamany podziw budzi Kenneth L. Gentry Jr.

Zawsze mogę się nauczyć czegoś od Rogera AUSA, chociaż nie zgadzam się całkowicie z jego wnioskami. Prace Mary S. Thompson — zachwycające.

Zawsze godne polecenia jest to, co napisali o Biblii jako dziele literackim Robert Walter i Frank Kermode, podobnie jak *Mimesis* Ericha Auerbacha. Muszę także, nie wdając się w szczegóły, wskazać takich autorów, jak Ellis Rivkin, Lee I. Levine, Martin Goodman, Claude Tresmontant, Jonathan Reed, Bruce J. Malina, Kenneth Bailey, D. Moody Smith, C. H. Dodd, D. A. Carson, Leon Morris, R. Alan Culpep — per, a także znakomity Joachim Jeremias. Moje specjalne podziękowania dla [www.biblegateway.com](http://www.biblegateway.com).

Każda czytana przeze mnie książka czegoś mnie nauczyła.

Uczony, który prawdopodobnie pomógł mi i dalej pomaga przez swój ogromny dorobek ujrzeć najważniejsze rzeczy, to N. T. Wright. To jeden z najbardziej błyskotliwych pisarzy, jakiego kiedykolwiek czytałam, a jego gotowość do tego, by zająć się argumentami sceptyków, działa inspirująco. Ma ogromną wiarę i rozległą wiedzę.

W swojej książce *The Resurrection of the Son of God* udziela solidnej odpowiedzi na pytanie dręczące mnie przez całe życie. Chrześcijaństwo — pisze N. T. Wright — osiągnęło to, co osiągnęło, ponieważ Jezus zmartwychwstał.

To właśnie zmartwychwstanie sprawiło, że apostołowie rozeszli się po świecie z mocą konieczną do tego, by stworzyć chrześcijaństwo. Żadna inna siła nie byłaby w stanie tego sprawić.

Wright idzie o wiele dalej i umieszcza całe zagadnienie w historycznej perspektywie. Nie potrafię w pełni opisać w tym miejscu, jak ważny i znaczący jest to autor. Mogę jedynie polecić go całym sercem i sama dalej czytać jego prace.

Oczywiście moje poszukiwania nie są zakończone. Pozostają tysiące stron wspomnianych autorów, które muszę przeczytać lub do których muszę powrócić.

Muszę zapoznać się jeszcze ze sporą częścią dorobku Józefa Flawiusza, Filona z Aleksandrii, Tacyta, Cycerona i Juliusza Cezara. Jest mnóstwo tekstów poświęconych archeologii; muszę na przykład wrócić do prac Freyne'a i Meyersa na temat Galilei, a poza tym w Palestynie ciągle dokonuje się nowych odkryć i ciągle powstają nowe książki.

Dzisiaj dostrzegam ogromną spójność między życiem Chrystusa a początkami chrześcijaństwa; spójność, która dotąd umykała mojej uwagi. Dostrzegam także niewidoczną na pierwszy rzut oka transformację świata starożytnego, spowodowaną jego stagnacją gospodarczą, gwałtowny wpływ na ten świat wartości monoteistycznych, czyli judaistycznych związanych z chrześcijańskimi, na które świat ten prawdopodobnie nie był przygotowany.

Powinniśmy także czytać teologów; czytać więcej Teilharda de Chardin, Karla Rahnera i świętego Augustyna.

W trakcie lektury prac tych autorów pozbyłam się iluzji dotyczących poglądów sceptyków i mając świadomość, jak słabe są dowody, jakie mają na poparcie swych tez, zrozumiałam, o czym ma być moja książka.

Właśnie. Trzeba napisać o Jezusie takim, jakim przedstawiają Go Ewangelie!

Każdy mógł pisać o Jezusie liberale, Jezusie żonatym, Jezusie geju, Jezusie buntowniku. „Poszukiwania historycznego Jezusa” stały się kpina, a wszystko na skutek etykietek, których przyklejono Mu bez liku.

I dlatego prawdziwym wyzwaniem było odwołać się do Jezusa Ewangelii, tych Ewangelii, które wydawały mi się coraz bardziej spójne i przemawiały do mnie jako przekonujące świadectwa naocznych świadków, podyktowane rzecz jasna skrybie, ale bez wątpienia stosunkowo wcześnie, jeszcze przed zburzeniem Jerozolimy — a zatem odwołać się do Jezusa z Ewangelii, spróbować wniknąć w Jego psychikę i wyobrazić sobie, co przeżywał i czego doświadczał.

Oprócz tego były jeszcze legendy, a więc Ewangelie apokryficzne, niezmiernie frapujące, tak jak na przykład opowieści z *Ewangelii dzieciństwa Tomasza*, mówiące o tym, jak Jezus jako mały chłopiec potrafił jednym słowem uśmiercić towarzysza zabaw, a potem go wskrzesić, jak umiał ożywić ptaki ulepione z gliny i dokonywać innych cudów. Natknęłam się na te istniejące w różnych wariantach opowieści bardzo wcześnie w moich badaniach i pozostały one na stałe w mojej pamięci. Podobnie jak i w pamięci kolejnych pokoleń chrześcijan. Roily się od niewiarygodnych szczegółów, niektóre zaprawione były humorem i bez wątpienia posuwały się do skrajności, ale przecież przetrwały aż po wieki średnie i dłużej. Nie potrafiłam usunąć ich z mojej świadomości.

Ostatecznie postanowiłam wykorzystać ten materiał i włączyć go w przekaz kanoniczny najlepiej jak umiałam. Czułam podświadomie, że w tych legendach zawiera się jakaś głęboka prawda, i chciałam ją utrwalić w tej postaci, w jakiej do mnie przemówiła. To, co piszę, to oczywiście tylko przypuszczenia. Ale zdecydowałam się na nie. Kto wie, może formułując hipotezę, że Jezus objawiał swą nadprzyrodzoną moc już w bardzo wczesnym wieku, pozostaję w pewnym sensie wierna temu, co głosił Sobór Chalcedoński, a mianowicie, że Jezus był cały czas Bogiem i Człowiekiem.

Z pewnością starałam się pozostać wierna Pawłowi piszącemu, że Jezus dla nas ogołocił samego siebie, i przedstawiam Jezusa, który ogołocił siebie ze swej boskiej świadomości, by cierpieć tak jak każdy człowiek.

Składam tę książkę w darze wszystkim wyznawcom Chrystusa: fundamentalistom, katolikom i najbardziej liberalnym spośród chrześcijan w nadziei, że moje opowiadanie się w niektórych miejscach książki za bardziej konserwatywnym punktem widzenia uznają za spójne i nie pozbawione sensu. Składam ją w darze wszystkim badaczom w nadziei, że być może ucieszą się, że ich badania znalazły odzwierciedlenie w jej treści, a to znaczy, że składam ją w darze tym, których ogromnie podziwiam, od których tak wiele się nauczyłam, chociaż nigdy nie miałam okazji poznać ich osobiście i pewnie nigdy nie poznam.

Składam tę książkę w darze tym wszystkim, którzy nic nie wiedzą o Jezusie, w nadziei, że na jej kartach uda im się Go w jakiś sposób zobaczyć. Składam tę powieść w darze wam, moje czytelniczki i czytelnicy, którzy towarzyszyliście mi we wszystkich najdziwniejszych zwrotach akcji, w nadziei, że Jezus będzie dla was postacią tak rzeczywistą jak wszyscy inni wykreowani przeze mnie bohaterowie, których powołałam do życia w naszym wspólnym świecie.

Bo przecież czy to nie Chrystus, nasz Pan, jest największym nadprzyrodzonym bohaterem, najbardziej odmiennym od nich wszystkich, najbardziej nieśmiertelnym z nich wszystkich?

Tym, którzy wytrwali przy mnie aż dotąd, z serca dziękuję. Mogłabym dołączyć w tym miejscu bibliografię tak długą, że zapierałaby dech w piersiach, ale tego nie zrobię.

Na końcu chciałabym podziękować tym, którzy byli dla mnie we wszystkich tych latach największym wsparciem i natchnieniem. Są to:

Ojciec Dennis Hayes, mój przewodnik duchowy, który z nie kończącą się cierpliwością odpowiadał na wszystkie moje pytania dotyczące teologii.

Ojciec Joseph Callipare, którego kazania na temat Ewangelii Jana były wspaniałe i zachwycające. Czas spędzony w jego parafii na Florydzie uważam za jeden z najpiękniejszych okresów w mojej pracy nad książką.

Ojciec Joseph Cocucci, którego listy i rozmowy na temat teologii były dla mnie zawsze inspirujące.

Ojcowie redemptoryści z mojej parafii w Nowym Orleanie, którzy podtrzymywali mnie przez swoje kazania i których przykład był dla mnie zawsze jasnym światłem. Rozstaję się z nimi z wielkim żalem. Mój ojciec kształcił się w seminarium redemptorystów w Kirkwood w stanie Missouri, co bez wątpienia zmieniło całe jego życie. Nigdy w pełni nie spłacę mojego długu wobec redemptorystów.

Ojciec Dean Robins i ojciec Curtis Thomas z parafii pod wezwaniem Narodzenia Pańskiego, którzy przyjęli mnie serdecznie jako nową parafiankę. Także z nimi rozstaję się z wielkim żalem.

Brat Becket Ghioto, od którego otrzymywałam mądre listy, znamionujące ogromną cierpliwość nadawcy, inspirujące i otwierające oczy adresatowi.

I wreszcie ostatnia z osób, które wymieniam, chociaż z pewnością nie ostatnia w moim sercu, to Amy Troxler, moja przyjaciółka i powierniczka, która odpowiedziała na wiele moich najważniejszych pytań, słuchała moich nie kończących się bredni, chodziła ze mną na msze i przynosiła mi komunię, kiedy sama nie mogłam pójść do kościoła, oraz pomagała i pomaga mi bardziej, niż mogę to wyrazić. To Amy była przy mnie tamtego pamiętnego popołudnia 1998 roku, kiedy spytałam ją, czy zna księdza, który gotów byłby wysłuchać mojej spowiedzi i pomógłby mi powrócić do Kościoła. To Amy znalazła takiego księdza i zaprowadziła mnie do niego. To Amy pomagała mi swoim przykładem, kiedy przez pierwsze miesiące uczęszczania do kościoła nie potrafiłam się przyzwyczaić do liturgii w języku angielskim, całkowicie różnej od tej, jaką pamiętałam z czasów, gdy rozstałam się z Kościołem. Wyjeżdżając z Nowego Orleanu, rozstaję się z nią z ogromnym smutkiem.

Pragnę podziękować także wszystkim moim współpracownikom, moim najdroższym przyjaciołom: Vicky Wilson, która jako redaktorka czytała rękopis, wnosząc doń wiele cennych poprawek, oraz całej mojej rodzinie. Dziękuję wszystkim. Żyję otoczona troskliwą miłością. To wielkie szczęście.

Jeśli zaś chodzi o mojego syna, właśnie jemu dedykuję tę książkę. To wyjaśnia wszystko.

*24 lutego 2005, 6.00*